

Wesołe przygody Robin Hooda

Howard Pyle



calibre 0.9.27

HOWARD PYLE

Wesołe przygody Robin Hooda

Tytuł oryginału *The Merry Adventures of Robin Hood*

Był niedoścignionym mistrzem w strzelaniu z łuku. Odważny, dzielny, szlachetny, urodziwy. Wraz z bandą wesołych kompanów jak on wyjętych spod prawa — znalazł schronienie w gościnnych, rozległych lasach Sherwoodu, gdzie wiódł życie beztroskie i¹ pełne przygód. Pomagał biedakom i przetrząsał kiesy wielmożom. Dzięki sile, zręczności, sprytowi i brawurze wymykał się z najprzemysłniejszych zasadzek. Z niezrównanym dowcipem i tupetem ośmieszał swych prześladowców.

W średniowieczu na jego cześć urządzano zawody i zabawy ludowe. Na jarmarkach wędrowni kuglarze* przedstawiali epizody z jego życia. Poeci układali o nim ballady, minstrele śpiewali pieśni. Legenda o Robin Hoodzie rozeszła się szeroko, poza granice jego ojczystego kraju. Stała się integralną częścią kultury europejskiej, przedmiotem wielu opracowań literackich.

Sugestywność i wdzięk tej postaci zapewniły nieśmiertelność pewnemu młodemu człowiekowi, który obrał Robin Hooda za bohatera swej powieści. Był nim Howard Pyle (urodzony 3.III. 1853 w Wilmington w stanie Delaware — zmarł we Florencji 9.XI.1911), znany amerykański pisarz i równocześnie ilustrator swoich książek.

Biografowie Pyle'a powtarzają zabawną anegdotkę mającą dawać świadectwo jego wczesnym zamięłowaniem literackim. Opowiada ona o tym, jak mały Howard pisał pierwazy w życiu poemat. Zaczął od przemyśliwania nad formą swego dzieła i... na tym też poprzestał, gdyż — ku swemu wielkiemu rozżaleniu — zdał sobie sprawę, że jeszcze nie potrafi czytać ani pisać.

Kariere rozpoczął Pyle w Nowym Jorku, dokąd wyjechał po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych, w roku, 1870. Współpracował tam ze znanymi periodykami, które zamieszczały jego opowiadania i rysunki. Wrócił do rodzinnego miasta jako 26-letni młodzieniec, w blasku sławy.

Obdarzony bujną fantazją, Pyle zrewolucjonizował sztukę ilustratorstwa w Stanach Zjednoczonych. Celował zwłaszcza w rysowaniu piórkami, ale malował także akwarele. Dziś wiele jego prac znajduje się w amerykańskich galeriach sztuki. Są to przeważnie scenki rodzajowe z dziejów pionierstwa amerykańskiego oraz motywy średniowieczne. Odznaczają się romantyką, bogactwem kolorów i dużą starannością w odtworzeniu tła historycznego.

Pyle był również świetnym pedagogiem. Prowadził klasę rysunku w Instytucie Technologii im. Drexela w Filadelfii. Swym talentem, łagodnością charakteru i niebanalną osobowością podbijał serca słuchaczy.

Howard Pyle jest autorem wielu książek dla młodzieży, z których niemal wszystkie poświęcone są jego ulubionej tematyce — średniowiecznym legendom* Opisывał rycerstwo, zamki i turnieje! rycerskie obyczaje. Tłem tych opowieści bywa Stara Wesoła Anglia, czasem Słodka Francja, ale zawsze są pełne przygód, fantazji, wiernie oddają klimat i koloryt wieków średnich, a zarazem osobisty, entuzjastyczny stosunek pisarza do historii.

Kiedy Pyle obchodził 50 urodziny, jego uczniowie chcąc sprawić mu niespodziankę, przebrali się za postaci z jego ulubionej książki: "Wesołe przygody Robin Hooda" (1883). Napisana pięknym, jędrnym językiem, zawiera malownicze plenery i obrazki obyczajowe z XII-wiecznej Anglii. Jest to powieść pełna słońca, humoru, radości życia i optymizmu. Jej bohaterowie są dzielni, odważni i wierni. Kochają wolność, przygodę, muzykę, wino. Autor traktuje ich nieco z przymrużeniem oka, podkpiwa sobie z ich rubasności i nadmiernej miłości własnej. A jednocześnie ceni za wrażliwość na ludzką krzywdę, za dumę i odwagę w obliczu śmierci.

Życie w XII-wiecznej Anglii nie było bynajmniej sielankowe. Pyle wspomina — gwoli

prawdy historycznej — o okrutnych prawach dla wieśniaków, o żdzierstwie możnych i przekupstwie władz miejskich, o długoletnich wojnach krzyżowych. Ale są to wzmianki jakby przyciszone, przytłumione.

Bo “Wesołe przygody Robin Hooda” to niefrasobliwa baśń o wdzięku młodości i radości życia, szlachetnych zbójcach i niezwykłych przygodach, o starych, dobrych czasach — jakie przetrwały w pieśniach trubadurów.

Ewa Kieruzalska

Prolog, który opowiada o zwadzie Robin Hooda z królewskim leśniczym, a także o tym, jak Robin stworzył bandę i w wesołej przygodzie zdobył sobie przyjaciela, sławnego Małego Johna

Za dawnych czasów, gdy w wesołej Anglii panował dobry król Henryk II, w sherwoodzkich borach, nie opodal miasta Nottingham, żył sławny rozbójnik imieniem Robin Hood. Nie było na świecie tak znakomitego łuczника jak on ani nie było nigdy tak uciechnej kompanii jak jego stu czterdziestu kamratów, którzy wraz z nim buszowali po leśnych ostępach. Żyli ‘sobie wesoło w sherwoodzkich borach, bez trosk i niedostatków, zabawiając się urządzeniem zawodów łuczniczych albo szermierczych pojedynków na kije, żywiąc się królewską dziczyzną, tęgo popijaną paździenikowym piwem.

Nie tylko sam Robin Hood, ale i wszyscy jego kamraci byli wyjęci spod prawa i trzymali się z dala od ludzi, a jednak prości mieszkańcy okolic kochali ich, gdyż kto tylko w potrzebie zwrócił się do wesołego Robina o pomoc, nie odchodził nigdy z pustymi rękami.

A teraz opowiem wam, jak to się stało, że Robin Hood popełnił przestępstwo, za co ścigany był przez prawo.

Gdy Robin Hood wyrósł na osiemnastoletniego młodzieńca, o krzepkich mięśniach i dzielnym sercu, Szeryf Nottinghamu ogłosił zawody łucznicze, wyznaczając w nagrodę antałek piwa za najcenniejszą strzałę w całym hrabstwie Nottingham. “Wybiorę się i ja — rzekł Robin — rad bym spróbował szczęścia dla ślicznych oczu mojej dziewczyny i antałka dobrej paździenikowi!”. Wstał więc, wziął swój tęgi cisowy łuk, z tuzin albo i więcej wysmukłych strzał i wyruszył do Nottinghamu z miasta Locksley przez sherwoodzkie bory.

Był radosny majowy poranek, gdy żywopłoty się zielenią, a łąki toną w kwiatach; ‘gdy różnobarwne stokrotki i żółte pąki rzeżuchy, i śliczne pierwiosnki sypią się wzdłuż ciernistych głogów; gdy kwitną jabłonie i ptaki słodko śpiewają, skowronek.

O brzasku, drozd i kukułka; gdy chłopcy i dziewczęta spozierają na siebie z myślą słodką; gdy skrzętne gospodynie rozpościerają płótna na soczystej trawie, by je słońce wybieliło. Szedł przez cudny las, wśród rozmigotanych liści ptaki śpiewały pełną piersią I rozweselony Robin pogwizdywał sobie, idąc tak i myśląc o jasnych oczach Marianny, bo o takiej porze myśli chłopięce chętnie uciekają” do ukochanej dziewczyny.

Kiedy tak szedł szparkim krokiem, pogwizdując beztrosko, natknął się niespodzianie na grupę leśniczych siedzących pod ogromnym dębem. Było ich piętnastu, zabawiali się uczując i pijąc. Obsiedli kręgiem olbrzymi pasztet, którym każdy się raczył pełną garścią i popijał spienionym piwem, czerpiąc je wielkimi rogami ze stojącej obok baryłki. Ubrani w strój leśniczych z jasnozielonego sukna, pięknie się prezentowali siedząc tak na murawie pod rozłożystym, wspaniałym drzewem. Któryś z nich, z pełnymi ustami, zawołał do Robina:

— Hej, dokąd to idziesz, chłopaczku, z łukiem za dwa grosze i kołczanem niewartym szeląga?

Robin oburzył się, jako że chłopcy nie cierpią, aby im wytykano smarka ty wiek.

— Mój łuk i moje strzały — odparł — nie gorsze są od waszych. Co więcej, idę do miasta Nottinghamu na zawody łucznicze, sam Szeryf je ogłosił. I będę strzelał wraz z innymi dzielnymi szlachcicami, a najlepszy otrzyma w nagrodę antałek wyborowego piwa.

Na co odezwał się leśniczy ze spienionym rogiem w ręce:

— Patrzcie no go! Chłopaczku, masz mleko pod nosem, a pleciesz, że dorównasz najtęższym strzelcom z Nottinghamu? Przecież ty nawet prawdziwego łuku nie potrafisz porządnie naciągnąć.

— Założę się z wami o dwadzieścia marek — rzekł śmiało Robin — że na sto metrów trafię

każdy cel z pomocą Najjaśniejszej Panienci.,

Tamci wybuchnęli śmiechem, a któryś powiedział: — Brawo, osesku, brawo za przechwałkę! Dobrze wiesz, że nikt cię nie sprawdzi, bo nie ma tu do czego strzelać. A inny zawołał:

— Zafunduj sobie, chłopaczkę, piwo z mleczkiem. Rozwścieczyło to Robina.

— Słuchajcie no, wy — powiedział. — Tam, na skraju polany, widzę stado jeleni, dalej niż sto metrów. Założę się o dwadzieścia marek, że upoluję najtęższego rogacza w stadzie, z przyzwoleniem Matki Najświętszej.

— Przybijam — zawołał ten, który go zaczepił. — I kładę dwadzieścia marek. Założę się, że nie ubijesz żadnej zwierzyny, choćbyś do jutra wzywał Matkę Najświętszą.

Robin wziął do ręki swój cisowy łuk, oparł go gryfem o podbicie stopy i zręcznie nałożył cięciwę; po czym osadził smukłą strzałę i podnosząc łuk przyciągnął szare pióro do swego ucha; w jednej chwili zabrzączała cięciwa i strzała pomknęła nad polaną, szybując jak jastrząb na północnym wietrze. Na j szlachetniejszy rogacz w stadzie wspiał się rozpaczliwie i padł martwy, rosząc zieloną ścieżkę serdeczną krwią.

— Ha! — wykrzyknął Robin — jak wam się ten strzał podoba, druhu miły? Dawaj zakład. Szkoda, że nie założyłem się o trzysta funtów.

Leśniczych gniew ogarnął, a ten, który zaczepił Robina i przegrał zakład, rozeźlił się najwięcej.

— Figę dostaniesz, a nie zakład — zawołał. — I zmykaj lepiej, gdzie pieprz rośnie, bo jak mi Bóg miły, tak ci obiję gnaty, że ci się wszystkiego odechce.

— Czy ty nie wiesz — powiedział drugi — że zabiłeś królewskiego jelenia i wedle praw Najjaśniejszego Pana, króla Henryka, powinno ci się zgolić uszy?

— Łapać go! — zawołał trzeci.

— Wara — odezwał się czwarty — puśćmy go wolno, bo to młodzik jeszcze.

Robin Hood nie odezwał się ni słowem, tylko patrzył na leśniczych ponuro; wreszcie odwrócił się na pięcie i poszedł precz przez polaną. Ale okrutny gniew ścisnął mu serce, gdyż Robin miał krew młodą, gorącą i skłoną do wrzenia.

Otóż lepiej by było dla tego, który, go pierwszy zaczepił, gdyby zostawił Robina w spokoju; ale złość go poniosła, bo miał już mocno w czubie i nie mógł znieść, że taki smarkacz zakpił sobie z niego. Więc zniecka zerwał się na nogi i schwytał łuk.

— Dam ci bobu! — zawołał i te świstem wypuścił strzałę za Robinem.

Robin powinien był dziękować Bogu, że leśniczemu od piwska we łbie się kręciło, inaczej pożegnałby się z życiem; strzała świsnęła o trzy cale od jego głowy. Robin odwrócił się, błyskawicznie napiął łuk i posłał swoją strzałę.

— Powiedziałeś, że żaden ze mnie łucznik — zakrzyknął — ale spróbuj to powtórzyć!

Grot pomknął prościutko, leśniczy z krzykiem” zwałił się na ziemię i legł twarzą w trawie, z kołczana grzechocząc sypnęły się strzały, a szary bełt tkwiący w jego piersi zboczył się krwią. Ledwie tamci ochłonęli t przerażenia, Robin znikł już w głębi boru. Kilku puściło się za nim, ale bez zbytniego zapału, gdyż i bali się losu swego towarzysza. Zawrócili więc, dźwignęli ciało zabitego i ponieśli je do miasta Nottingham.

Tymczasem Robin umykał przez las. Przepadła wszelka radość i nic go już nie cieszyło, gdyż serce ścisnęło mu się z żalu, a na duszy legł ciężar dokonanego morderstwa.

— O, biada! — zawołał. — Przekonałeś się, niestety, jaki ze mnie strzelec, twoja żona będzie wić się z rozpacz! Wolałbym, żebyś nie zaczepił mnie ni słowem albo żeby nigdy nie spotkał cię na swej drodze, albo żebyś stracił wielki palec u prawej ręki, zanim do tego doszło! Porywczy jestem, ale boleję potem nad miarę i — Jednakże przy całym frasunku przypomniał sobie stare

przysłowie: “Co się stało, to się nie odstanie” i “Nie skleisz rozbitego jajka”.

I tak to Robin musiał zamieszkać w borze, który stał się jego domem na długie lata, nigdy już nie miał zaznać szczęśliwych dni w gronie chłopców i dziewcząt z miłego miasta Locksley. Został bowiem wyjęty spod prawa nie tylko dlatego, że popełnił morderstwo, ale i z tej przyczyny, że zabijając królewskiego jelenia dopuścił się kłusownictwa, i dwieście funtów wyznaczono za jego głowę w nagrodę dla każdego, kto przywiedzie go przed królewski sąd.

A Szeryf Nottinghamu zaprzysiął, że własnoręcznie dostarczy tego łotra, Robin Hooda, przed oblicze sprawiedliwości, i to z dwóch względów: najpierw, że sam chciał zagarnąć dwieście funtów, a po wtóre, że leśniczy, którego zabił Robin, był krewniakiem Szeryfa.

Ale Robin Hopd zaszył się na rok w sherwoodzkich borach i w ciągu tego czasu zgromadziło się przy nim wielu jemu-podobnych banitów, wyrzuconych ze swoich społeczności za to czy owo. Jedni uplowali jelenia podczas głodowej zjmy, kiedy nie było co włożyć do garnka, i zostali przyłapani przez leśniczych, ale zdołali im uciec ratując własne uszy; innych wydiedziczono z gospodarstw, aby powiększyć łowieckie tereny króla w sherwoodzkich borach; jeszcze innych obdarł doszczętnie. Jakiś wielki baron albo bogaty opat, alba wielmoża — wszyscy z tej czy innej przyczyny zbiegli do Sherwoodu, aby ująć prześladowaniom i bezprawiu.

Tak więc w ciągu tego roku ze stu albo-i więcej dzielnej szlachty zebrało się wokół Robin Hooda i obwołało go swym naczelnikiem i wodzem. Wnet poprzysięgli, że tak jak ich ograbiono, tak też będą grabili swoich ciemieżców, już to opatów! baronów, rycerzy czy wielmożów, i każdemu odbierać to, co tamci wymusili na biedakach przez niesprawiedliwe podatki albo dzierżawy, albo krzywdzące grzywny; ale ubogim będą zawsze spieszyć z pomocą i zwracać im to, co im bezprawnie wydarto. Ponadto przysięgli, że nigdy nie skrzywdzą dziecka ani niejviasty — panienki, zamężnej czy wdowy. Tak więc po pewnym czasie, kiedy ludzie spostrzegli, że nie grozi im od nich żadna krzywda, że pieniędzmi czy żywnością wspomagają w potrzebie niejedną zubożałą rodzinę, wówczas zaczęli wysławiać Robin Hooda i jego wesołą kompanię . i opowiadać wiele historii o nim i jego czynach w sherwoodzkim borze, gdyż czuli, że jest im bratem.

Któregoś pięknego ranka, kiedy wszystkie ptaki śpiewały radośnie wśród liści, Robin wstał ze snu, a wraz z nim wstali jego weseli kompani, aby umyć się dziarsko w zimnym strumieniu, który pluskał swawolnie wśród głązów. Rzekł im Robin: “Od dwóch tygodni nie mieliśmy rozrywki, pójdę więc poszukać, przygody Ale wy, chłopcy, zostańcie wszyscy w lesie, baczcie tylko dobrze na mój sygnał. Gdy będę w potrzebie, po trzykroć zadmę w. róg, wtedy czym prędzej spieszcie mi na pomoc”.

Co powiedziawszy powędrował przez szumiące leśne polany, aż znalazł się na granicy sherwoodzkich borów. Tam wałęsał się długo tędy i owędy, po jarach i parowach na skraju lasów. To spotkał hożą dziewczynę na cienistej ścieżce i zamienił z nią żarcik; to jadącą stępą piękną damę w siodle, przed którą zamiótł kołpakiem, a ona odkłoniła się godnie miłemu młodzianowi; to ujrzał tłustego mnicha na objuczonym ośle; to wspaniałego rycerza z kopią, tarczą i w zbroi błyskającej w słońcu; to pazia odzianego na czerwono; to znów krzepkiego mieszczucha z dobrego miasta Nottingham, zdążającego naprzód statecznym krokiem; wszystko to widział, ale przygody nie napotkał żadnej. Wreszcie poszedł skrajem lasu, ścieżyną, która prowadziła w dolinę nad szeroki żwirowaty strumień do wąziutkiego mostku z jednej belki. Schodząc nad wodę Robin zauważył, że jakiś drągal zbliża się do mostku z przeciwnej strony. Robin od razu przyśpieszył kroku, a nieznajomy uczynił to samo; każdy chciał przejść pierwszy.

— Nie pchajcie no się — zawołał Robin — puście najpierw tego, który lepszy.

— W takim razie sam się nie pchaj — odparł nieznajomy — bo widzi mi się, że to ja jestem

lepszy.

— To się zaraz okaże — rzekł Robin. — Spróbuj tylko ruszyć się z miejsca. Klnę się na głowę świętej Elfridy, że pokażę ci, jak się w Nottinghamie tańczy ze strzałą pod piątym żebrzem.

— A ja ci wygarbuję skórę na tyle odcieni, ile ma żebracza opończa — odparł nieznajomy — jeśli tylko dotkniesz się cięciwy tego łuku, który trzymasz w ręce.

— Gadasz jak osioł — rzekł Robin — bo mogę ci przedziurawić ślicznie zadufane serduszko, zanim mnich moczy morda zdąży odmówić dziękczynienie nad pieczoną gęsią na świętego Michała.

— A ty gadasz jak tchórz — odparł nieznajomy — bo trzymasz w garści dobry cisowy łuk, ja zaś nie mam nic prócz zwykłej pałki, żeby się z tobą zmierzyć.

— Ha! — zakrzyknął Robin — ,na mą cześć, nikt mnie jeszcze nie wyzwał od tchórzów. Odłożę mój wierny łuk i strzały i jeśli ośmielisz się na mnie zaczekać, pójdę i wytnę tęgą pałę, i zobaczymy, co z ciebie za mężczyzna.

— Ohoho. Zaczekam, zaczekam, i to z chęcią — rzekł nieznajomy, po czym wsparł się krzepko o swoją pałkę.

Robin skoczył w zarośla i wyciął dobrą pałkę z młodego dębczaka, prostą, bez sęków, długą na sześć łokci, i wrócił obciosując gałązki, podczas gdy nieznajomy wsparty ha kiju czekał na niego, pogwizdując sobie i rozglądając się wokół. Robin sposobiąc pałkę przyglądał mu się bacznie kątem oka, mierząc go od stóp do głów, i myślał, że nigdy jeszcze nie widział tak krzepkiego i po-tężnego chłopca. Robin był wysoki, ale nieznajomy przerastał go o głowę, miał ponad dwa metry wzrostu. Robin był tęgi w barach, ale nieznajomy tęższy co najmniej o dwie dłonie, a w pasie gruby na łokieć.

“A jednak — powiedział sobie. Robin — z radością policzę ci gnaty, druhu miły”, po czym głośno rzucił: — Hej, oto moja pała, tęga i mocna. Zastąp mi drogę, jeśli śmiesz, i zmierz się ze mną, jeśli się nie boisz. Zobaczymy, kto pierwszy wykopyrtnie się do wody.

— W to mi graj! — zawołał nieznajomy i zakręcił kijem takiego młynka nad głową, aż zaświszczało.

Nawet rycerze Okrągłego Stołu nie stoczyli nigdy zaciętszej walki jak ci dwaj. W jednej chwili Robin wskoczył na kładkę, na której stał nieznajomy. Najpierw zafuszerpwał, a potem wymierzył taki cios w głowę, że gdyby doszedł do celu, tamten piorunem wylądowałby w strumieniu, lecz przeciwnik zgrabnie sparował cios i oddał mu nie gorzej, ale i Robin Hood zdążył sparować. Z dobrą godzinę walczyli nie cofając się o cal, wiele ciosów padło z obu stron, tu i ówdzie pojawiły się już sińce i guzy, a żaden z walczących ani myślał zawołać: “Dość”, ani nie kwapił się spaść z kładki. Co pewien czas dla odpoczynku przerywali pojedynki i jeden myślał o drugim, że w życiu nie spotkał takiego mistrza w fechtunku na kije. Wreszcie Robin trafił tamtego w bok, aż mu kurtka zakurzyła jak wilgotna strzecha na słońcu. Cios był tak potężny, że przeciwnik o mały włos nie zwałił się z kładki, ale błyskawicznie odzyskał równowagę i z prawicy wyrzwał Robina w łeb, aż krew poszła, Robin rozwścieczył się do białej gorączki i świsnął pałką z całych sił, ale tamten odparł cios i znowu grzmotnął Robina tak pięknie, że Robin na łeb i szyję zwałił się do wody, tak jak królowa w grze w kręgle.

— No i gdzieś się podział, mój chłopcze? — zawołał nieznajomy, śmiejąc się do rozpuku.

— A płynę sobie z prądem - odrzyknął Robin, chichocząc z własnej biedy. Odzyskawszy grunt pod nogami zaczął brodzić do brzegu, płosząc pluskaniem przerażone i umykające na wsze strony rybki.

— Podaj mi tekę — zawołał, kiedy doszedł do brzegu.— Muszę przyznać, że z ciebie dzielny chłop i pałkę nosisz nie od parady. Tak mi przyłożyłeś, że w głowie mi szumi jak w ulu.

Po czym przycisnął do ust swój róg i zagrał sygnał, który rozpląnął się echem po leśnych

ostępach.

— Dalibóg — odezwał się znowu — chłop z ciebie jak świeca, no i dzielny na dodatek. Wątpię, żeby stąd do Canterbury znalazł się ktoś, kto by mnie tak potrafił urządzić.

— A ty — odparł śmiejąc się nieznajomy — mimo że cię obiłem, zachowujesz się jak prawdziwy chwata.

Ale oto zaszeleściły zarośla i raptem z dwa tuziny tęgich zabijaków w zielonym odzieniu wypadło z gęstwiny z wesołym Willem Stutely na czele.

— Cóż to, wodzu? — zawołał Will. — Mokry jesteś od stóp do głów, suchej nitki nie widzę na tobie.

— W rzeczy samej — odparł Robin — to ten osiłek zważył mnie do wody na złamanie karku i jeszcze wyłoił mi skórę.

— To my mu dopiero sprawimy łaźnię! — krzyknął Wili Stutely. — Brać go, chłopcy!

Rzucili się na niego hurmem, ale on bronił się zadając tęgie ciosy pałką, i choć uległ przewadze, niejednemu nabił guza, zanim go pokonali.

— Dość, zabraniam! — zawołał Robin śmiejąc się, aż go znów Zabolowały obite boki. — To naprawdę dobry człek i prawy, nie wolno mu robić krzywdy. Słuchaj no, bracie, nie chciałbyś zostać ze mną i przyłączyć się do mojej bandy? Dostaniesz co roku trzy nowe ubrania z zielonego sukna, czterdzieści marek zapłaty i będziesz dzielił z nami wszystko, co Bóg da. Zajadał smakowitą sarniną i pił najmocniejsze piwo. Naznaczę cię swoim zastępcą bo nigdy w życiu nie widziałem takiego mistrza w walce na pałki Mów, przystaniesz do mojej wesołej kompanii?

— Tego to ja nie wiem — odparł opryskliwie nieznajomy, zły że go tak poturbowano. — Jeśli tak samo radzisz sobie z łukiem jak z dębową pałką, to nie wart jesteś, aby cię nazwać szlachcicem. Ale jeśli ktoś z was potrafi strzelić celniej ode mnie, to wtedy się zastanowię, czyby do was nie przystać.

— Jak Boga kocham — powiedział Robin — zuchwały z ciebie łotrzyk, mośpanie. Ale ugnę się przed tobą jak przed nikim jeszcze. Stutely, bracie, skocz no, wytnij ładny kawałek białej kory na jakieś cztery palce i przytwierdź go z osiemdziesiąt metrów stąd, o, na tamtym dębie. No, chojraku, poceluj w to ślicznie, skoroś taki łucznik.

— Aż chęcią — odparł nieznajomy. — Dajcie mi mocny łuk i dobrą strzałę, jak nie poceluję, to możecie ściągnąć mi łachy i osmagać na goło cięciwami.

Po czym wybrał najmocniejszy łuk po łuku Robina i smukłą strzałę, dobrze opierzoną i gładką, i biorąc cel — podczas gdy tamci rozłożeni na murawie obserwowali go bacznie — napiął łuk i wypuścił strzałę tak zgrabnie, że trafiła prościutko w sam środek białego wycinka z kory.

— Aha! — zawołał — popraw, jeśli potrafisz. Nawet chłopcy Robin Hooda nagrodzili go oklaskami.

— Sprytny strzał, rzeczywiście — przyznał Robin — poprawić go nie mogę, ale zepsuć może mi się uda.

Biorąc swój wypróbowany łuk i mierząc Jak najuważniej, strzelił z niezrównanym kunsztem, Strzała śmignęła prosto, jej grot trafił w samą nasadę strzały tamtego tak silnie, że rozszczepił ją na drzazgi. Leśni ludzie zerwali się krzycząc z radości, że ich wódz tak się wspaniale popisał.

— O, na cisowy łuk świętego Witholda — zawołał nieznajomy — to dopiero strzał, w życiu czegoś takiego nie widziałem! Zostaję, druhu, z tobą, i to na dobre. Adam Bell to był łucznik, ale nawet on tego nie potrafił!

— No, to zyskałem dziś prawdziwego chwata — powiedział wesoły Robin. — A jakże się zwiesz, bracie?

— W moich stronach zwą mnie John Mały — odparł tamten. Na co odezwał się Will Stutely, który lubił dobre żarty.

— Nie, maleństwo kochane — rzekł — nie podoba mi się twoje imię i z chęcią bym je przeinaczył. Mały jesteś zaiste, taki drobniutki i cherlawy, a zatem nadajemy ci imię Małego Johna, a ja będę twym ojcem chrzestnym.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, aż tamten się obruszył.

— Jeśli kpisz sobie ze mnie — zwrócił się do Willa — to zaraz tego gorzko pożałujesz.

— Nie, przyjacielu — powiedział Robin Hood — porzuć gniew, bo to imię pasuje do ciebie jak ulał. Małym Johnem odtąd będziemy cię zwać i niech tak pozostanie. Jazda, chłopcy, idźmy przygotować chrzciny na cześć naszego noworodka.

Ruszając precz od strumienia zanurzyli się w las i szli nim długo, aż dotarli do swego obozowiska w głębi borów. Stały tam szałasy z gałęzi i kory, zaopatrzone w legowiska z wonnego sitowia i płowych skór. Pośrodku wznosił się ogromny, rozłożysty dąb, pod którym na tronie z zielonego mchu w czasie uczt i zabaw siadywał Róbin w otoczeniu swoich towarzyszy. Spotkali tu resztę drużyny, niektórzy właśnie powrócili z łowów dźwigając tłuste łanie. Wspólnie rozniecili wielkie ogniska, upiekli zwierzynę na rożnie i odszpuntowali beczkę musującego piwa. Kiedy uczta była gotowa, zasiedli do niej, a Robin posadził Małego Johna po swej prawicy, gdyż odtąd miał on być pierwszym po wodzu. Po skończonej uczcie odezwał się Will Stutely:

— Widzi mi się, że czas ochrzcić nasze drogie dziecię, co wy na to, chłopcy?

— Tak! Tak! — zawołali zgodnie, śmiejąc się, aż bór huczał od ich wesołości.

— Przyda się z siedmioro rodziców chrzestnych — powiedział Will Stutely wyłapując z gromady najtęższych zabijaków.

— O, na świętego Dunstana — krzyknął Mały John zrywając się z miejsca — niejeden z was gorzko pożałuje, jak mnie tylko dotknie palcem.

Ale tamci bez słowa rzucili się na niego, schwycili go za nogi i za ramiona, choć się wrywał, i trzymając go mocno, dźwignęli w górę, a inni otoczyli ich kołem, ciekawi zabawy. Wtedy wystąpił ten, którego wybrano na księdza, bo był łysy jak kolano; dzierżył w ręce spieniony kufel piwa.

— Kto trzyma to dziecię do chrztu? — zapytał z całą powagą.

— Ja, ojczye wielebny — odparł Will Stutely.

— A jakim imieniem go zwiesz?

— Zwę go Mały John.

— Otóż, Mały Johnie — powiedział “niby-ksiądz” — do tej pory nie żyłeś wcale, tylko pałętałeś się po świecie, ale od tej chwili żyć będziesz naprawdę. Kiedy nie żyłeś, zwano cię John Mały, ale teraz, kiedy żyjesz naprawdę, zwać się będziesz Mały John, chrzczę cię przeto. — Z tymi słowy wylał kufel na głowę Małego Johna.

Wybuchnęli gromkim śmiechem widząc, jak brunatne piwo ścieka mu po brodzie, kapie z nosa, szczypie w oczy, którymi mrugał rozpaczliwie. Z początku chciał się rozgniewać, ale inni tak się świetnie bawili, że i on roześmiał się z nimi. Robin wziął to słodkie dziecię, odział je od stóp do głów w zielone sukno, wręczył mu dobry, mocny łuk i tak przyjął go na kamrata do swojej wesołej bandy.

Tak to się stało, że Robin Hood został wyjęty spod prawa; tak to zebrała się jego wesoła kompanja i tak to zdobył sobie przyjaciela i zastępcę, Małego Johna; i na tym kończy się prolog. A teraz opowiem, jak Szeryf Nottinghamu po trzykroć usiłował schwytać Robin Hooda i ani razu mu się nie udało”.

Część pierwsza, która opowiada o tym, jak Szeryf Nottinghamu poprzysiął rozprawić się z Robin Hoodem i po trzykroć próbował, a za każdym razem został wystrychnięty na dudka

Wspominaliśmy już, że za głowę Robin Hooda wyznaczono dwieście funtów nagrody, a Szeryf Nottinghamu przysiągł, że własnoręcznie pojmie Robina, bo sam miał chrapkę na pieniądze i chciał “się zemścić za śmierć swego krewniaka. Otóż Szeryf nie wiedział jeszcze, jaką siłę ma przy sobie Robin w sherwoodzkich borach, i myślał, że wystarczy wydać nakaz aresztowania, tak jak na każdego zwykłego przestępcę. Obiecywał przeto czterdzieści złotych dukatów temu, kto przedstawi Robinowi ów nakaz. Ale mieszkańcy Nottinghamu, wiedzieli o Robin Hoodzie i jego czynach więcej niż Szeryf i śmieli się w kułak na samą myśl o doręczeniu nakazu dzielnemu banicie, zdając sobie sprawę, że mogą na tym zarobić tylko potężnego guza; więc też nikt się do tego nie kwapił. Przeszły ze dwa tygodnie, a żywa dusza nie zgłosiła się na ochotnika. Zdumiał się” Szeryf i powiedział:

— Nielichą nagrodę obiecałem każdemu, kto doręczy mój nakaz Robin Hoodowi, i dziwię się, że nikt nie zgłosił się do tej pory.

Na co jeden z jego ludzi, który był w pobliżu, powiedział: — Łaskawy panie, nie wiesz, jaką siłę Robin Hood ma przy sobie i jak mało go obchodzi werdykt króla czy Szeryfa. Zaprawdę, nikt nie ma ochoty podjąć się tego zadania ze strachu o własną skórę.

— Więc wszyscy Nottinghamczycy to tchórze! — powiedział Szeryf. — I niech mi ktokolwiek w całym hrabstwie Nottingham ośmieli się*’ nie usłuchać werdyktu miłościwie nam panującego króla Henryka, a na bazylikę Świętego Edmunda, powieszę takiego na najwyższej sośnie! Ale jeśli nikt w Nottinghamie nie ma odwagi zdobyć czterdziestu dukatów, to poszukamy gdzie indziej, bo przecież gdzieś są odważni ludzie w tym kraju.

Wezwał zaufanego posłańca, kazał mu osiodłać konia, wybrać się do miasta Lincoln i zobaczyć, czy znajdzie się ktoś, kto nie stchórze i zdobędzie nagrodę. Tak więc tego samego ranka posłaniec wyruszył ze swoją misją.

Jaskrawe słońce prażyło na tracie, który wiódł z Nottinghamu do miasta Lincoln, ciągnąc się wyjrtowiałą wstęgą przez góry i doły. Na gościńcu było pełno kurzu i posłaniec natykał go się dosyć, więc serce w nim z radości podskoczyło, gdy ujrzał przed sobą szyld oberży pod “Błękitnym Dzikim”, a zrobił już więcej niż połowę drogi. Gospoda przypadła mu do gustu, rosnące wokół dęby rzucały tak chłodny i przyjemny cień, że zsiadł z konia, aby chwilę odpocząć, i zawołał o garniec piwa dla przepłukania gardła.

Ujrzał tam rozbawioną kompanię siedzącą pod rozłożystym dębem, który ocieniał warzywne grządy przed gospodą. Był wśród nich kotlarz, dwóch bosonogich mnichów i sześciu królewskich leśniczych odzianych w stroje z zielonego sukna; popijali wszyscy musujące piwo i śpiewali wesołe ballady z dawnych, dobrych czasów. Leśniczy śmieli się głośno, dogadując sobie nawzajem — jeszcze głośniej śmieli się braciszkanie, bo byli to krzepcy ludzie z brodami kędzierzawymi jak czarne barany, ale najgłośniej śmiał się Kotlarz i śpiewał z nich wszystkich najładniej. Torba jego i miot wisiały na dębowym sęku, obok stała wsparta o pień maczuga, gruba jak pięść.

— Chodźcie — zawołał jeden z leśniczych do znużonego posłańca -r- wypijcie z nami jedną kolejkę. Hej, gospodarzu, jeszcze raz po pełnym garncu dla każdego.

Posłaniec całkiem chętnie przysiadł się do nich, gdyż czuł zmęczenie w kościach, a piwo było przednie.

— Cóż to za wieści niesiecie? — zagadnął jeden z biepiadni-ków. — I dokąd wam tak spieszą?’

Posłaniec był człkiem gadatliwym i lubił sobie poptot&ować, a garniec piwa nastroił go

serdecznie; usadowił się na ławie — podczas gdy gospodarz oparł się o framugę drzwi, a gospodyni stała z rękami założonymi pod fartuchem — i wyłożył swój zapas wieści z wielką satysfakcją. Opowiedział wszystko od samego początku: jak Robin Hood zabił leśniczego i ukrył się w borach, aby ująć przed prawem; jak żył sobie w lesie gardząc wszelkimi zakazami, Bóg świadkiem, polując na królewskie jelenie i pobierając myto od tłustych opatów, rycerzy i wielmożów, tak że nikt nie odważy się podróżować nawet szerokim traktem Watling ani przez Fosse Way ze strachu przed nim; o tym, jak Szeryf, niech Bóg ma go w swojej opiece, pan łaskawy, który jemu, posłańcowi, wypłaca co sobotę sześć pensów bitą królewską monetą, nie licząc baryłki piwa na świętego Michała i tłustej gęsi na Boże Narodzenie, postanowił w imieniu króla wydać nakaz aresztowania na tego łotra, choć tamten gwizdże sobie na słowo króla czy Szeryfa, bo daleko mu do tego, aby być człekiem prawomyślnym. Z kolei opowiedział, że nikt w całym mieście Nottingham nie podjął się doręczenia tego nakazu ze strachu o własną skórę i jak to on, posłaniec, jedzie właśnie do Lincolnu zobaczyć, co są warci tamtejsi mężczyźni, i czy znajdzie się ktoś, kto ośmiek się doręczyć onże nakaz; no i że nie siedział jeszcze w tak znakomitej kompanii i w życiu nie próbował tak dobrego piwa.

Słuchali go z otwartymi ustami, bo była to dla nich wyśmienita gadka. A kiedy skończył, odezwał się rubaszny Kotlarz.

— Wszak pochodzę z zacnego miasta Banbury — rzekł — i nikt z Nottinghamu — ani z samego Sherwoodu, jeśli o to chodzi — nie sprosta mi w walce na pałki. Baczcie no, chłopcy, czyż nie spotkałem się z tym zwariowanym samochwałą, Szymonem z Ely, i to na sławnym jarmarku w Hertfordzie, gdzie pokonałem go na oczach sir Roberta z Leslie i jego małżonki? Tenże sam Robin Hood, o którym — co tu gadać — pierwszy raz słyszę, to niczego sobie zabijaka, a jeśli tak silny, to czyż jam nie silniejszy? A jeśli sprytny, to czyż mnie brak sprytu? O, na cudne oczy Kasi z Młyna i na me własne imię, jakem Wat Maczuga, i na syna mej matki, to znaczy na siebie, klnę się, zem gotów jest, ja sam, Wat Maczuga, w pojedynkę spotkać tego zatwardziałego łotra, i jeśli nie uszanuje pieczęci .miłościwie nam panującego króla Henryka i nakazu zacnego Szeryfa hrabstwa Nottingham, to tak mu poharatam, ponabijam i rozkwaszę łepetynę, że więcej małym palcem nie poruszy! Słyszeliście, chłopaki? No to wypijmy se jeszcze po dzbanie.

— Znalazłem was w korcu maku — zawołał posłaniec. — Natychmiast jedzicie ze mną do Nottinghamu.

— Co to, to nie — powiedział Kotlarz, powoli kręcąc głową. — Z nikim nie pojedę, chyba że sam zechcę.

— Ma się rozumieć — powiedział posłaniec. — W całym hrabstwie Nottingham nie ma takiego, kto by mógł cię do czegoś zmusić, dzielny człeku.

— Obym był dzielny — rzekł Kotlarz.

— Wszak jesteś, jesteś dzielny — powiedział posłaniec. — Tylko że nasz dobry Szeryf obiecał czterdzieści szczerozłotych dukatów każdemu, kto doręczy Robin Hoodowi nakaz aresztowania, choć to i tak na niewiele się zda.

— W takim razie pójdę z tobą, brachu. Poczekaj, tylko wezmę torbę, młot i pałkę. Niech jeno spotkam tego tam Robin Hooda, a zobaczymy, czy nie posłucha królewskiego nakazu.

Tak więc zapłaciwszy swoją część posłaniec z Kotlarzem kroczącym u strzemienia wyruszyli z powrotem do Nottinghamu.

W jakiś czas potem, któregoś pięknego poranka Robin Hood wyruszył do Nottinghamu, aby się dowiedzieć, co słyhać w mieście. Szedł sobie wesoło brzegiem gościńca, po murawie pełnej stokrotek, rozglądając się i myśląc o tym i owym. Róg kołysał «mu się na biodrze, łuk i kołczan

przewiesił przez plecy, a w ręce niósł tęgi dębowy kij, którym idąc wywijał młynka.

Zapuszczając się w ocieniony parów ujrzał jakiegoś kotlarza, który zbliżał się z naprzeciwką, wyśpiewując wesołą piosenkę. Na plecach miał torbę i młot, w garści nielichą maczugę, a śpiewał sobie tak:

Gdy strąki grochu pękają — a róg
Głosi ogarom, że zaczęte łowy —
Gdy mali chłopcy nad brzegami strug
Pasą owieczki i łaciate krowy...

— Witaj, przyjacielu! .— zawołał Robin.

Ja sobie zbieram czerwone poziomki

— Witaj! — powtórzył Robin.

W leśnym parowie wśród miękkiego mchu.

— Hej, czyś ty głuchy, człeku! Przyjacielu, wołam!

— A ktoś ty taki, że śmiesz przerywać ładną śpiewkę? — rzekł Kotlarz urywając pieśń. — Sam witaj, jak cię tam zwać, czyś przyjaciel, czy nie. Ale powiadam ci z góry, mój drabie, jeśliś jest przyjacielem, to chwała nam obu, a jeśli nie, to marny twój los.

— Bądźmy przyjaciółmi — rzekł swawolny Robin — bo marnie, jeśli marnie, a marniej, jeśli twoja pała nie obróci się na marne, więc bądźmy przyjaciółmi.

— Zgoda — powiedział Kotlarz. — Ale, młody przyjacielu, tak gibko obracasz językiem, że nadażyć za tobą nie sposób z takim ciężkim pomysłuńkiem jak mój, a mówże prościej, jeśli łaska, bo ze mnie prosty człek, słowo daję.

— A skądże ty pochodzisz, tęgi chwacie? — zagadnął Robin.

— Z Banbury — odparł Kotlarz.

— O, na Boga! — rzekł Robin. — Złe wieści doszły mnie dziś rano.

— Ha, co ty powiesz? — zawołał skwapliwie Kotlarz. — A dyć gadaj szybko. Jako widzisz, jestem kotlarz, a w moim fachu człek się robi łasy na wieści niczym katabas na szelągi.

— No to słuchaj, co ci powiem — rzekł Robin — ale trzymaj się dzielnie, bo wieści są paskudne, bracie. Doszło do moich uszu, że dwaj kotlarze siedzą w dybach za picie miodu i piwa!

— A niech cię zaraza zeżre, ciebie i twoje wieści, ty parszywy psie — zawołał Kotlarz — bo źle się wyrażasz o dobrych ludziach. Ale to naprawdę smutna wiadomość, kiedy dwóch siedzi w dybach.

— Nie, bracie — powiedział Robin — mylisz się, słyszałeś dzwon, ale nie wiesz, gdzie on. Wiadomość jest smutna, bo tylko dwóch siedzi w dybach, a reszta swobodnie szwenda się po kraju.

— O, na cynowy półmisek świętego Dunstana — zawołał Kotlarz — mam wielką ochotę policzyć ci gnaty za ten podły żart. Ale jeśli ludzi pakują w dyby za picie miodu i piwa, to liczę, że i ciebie ta przyjemność nie ominie. Zaśmiał się Robin szeroko i zawołał:

— Brawo, Kotlarzu, brawo! Ależ twój dowcip jest jak piwo, zaczyna się pienić, kiedy dobrze ściernie. Chodźże więc ze mną prościuteńko pod “Błękitnego Dzika” i jak potrafisz tyle wypić, na ile wyglądasz, a głowę dam, że mnie nie zawiedziesz, to przygotuj gardło na taki napitek, że lepszego

nie ma w całym szerokim hrabstwie Nottingham.

— O, jak Boga kocham — powiedział Kotlarz — dobry z ciebie chłop mimo parszywego języka. Przypadłeś mi do serca, kochasiu, jeśli zaraz nie pójdę z tobą pod “Błękitnego Dzika”, możesz mnie zwać śmierzącym poganinem.

— Opowiedz mi, co w świecie słyhać, przyjacielu — rzekł Robin, kiedy tak wędrowali razem. — Kotlarze, moim zdaniem, są tak naszpikowani wiadomościami jak prosię farszem.

— Masz szczęście, że pokochałem cię jak brata, mój ty zuchu — rzekł Kotlarz — inaczej nic bym ci nie opowiedział. Bo przebiegły jestem, człeku, i czeka mnie tak poważne zadanie, że wyteńczyć muszę cały dowcip. Idę właśnie na poszukiwanie śmiałego rozbójnika, którego tutejsi ludzie zwaą Robin Hoodem. W sakwie mam nakaz aresztowania, słowo daję, pięknie wypisany na pergaminie i z wielką czerwoną pieczęcią na znak, że jest prawomocny. Gdyby mi się tylko udało spotkać tego Robin Hooda, położę na nim areszt, a jakby nie posłuchał, to spiorę go tak, aż wszystkie jego żebra zaczną wrzeszczeć: “Amen”. Ale ty mieszkasz w tych stronach, może znasz go osobiście, przyjacielu?

— A owszem, znam go trochę, — rzekł Robin. — Widziałem go nawet dzisiaj. Ale ludziska powiadają, Kotlarzu, że z niego zwykły zbój, ponury i chytry. Lepiej pilnuj swego nakazu, człeku, bo jeszcze ci go ukradnie z twojej własnej sakwy.

— Niech tylko spróbuje! — krzyknął Kotlarz. — Może on i chytry, ale jam też nie w ciemną bity. Niechbym go spotkał oko w oko! — i potrząsnął swoją maczugą. — Ale jak on wygląda, chłopcze?

— Do mnie podobny — zaśmiał się Robin — z wzrostu i postawy, a wiekiem prawie mój rówieśnik i oczy ma też niebieskie jak moje.

— E, tam — powiedział Kotlarz — z ciebie jeszcze całkiem młody chłopak. Wyobrażam sobie, że to tęgi i brodaty człek, nottinghamczycy tak się go boją.

— Pewno, że jest młodszy od was i nie taki postawny — powiedział Robin. — Ale powiadają, że umie nieźle młócić pałką.

— Możliwe — odparł śmiało Kotlarz — ale ja lepiej potrafię, czyż nie pokonałem Szymona z Ely na jarmarku w Hertfordzie? Ale jeśli znasz go, mój ty zuchu, może poszedłbyś i zaprowadził mnie do niego? Czterdzieści szczerozłotych dukatów obiecał mi Szeryf, jeśli położę areszt na tym lotrzyku, dziesięć będzie dla ciebie, jak mi go wskażesz.

— Dobrze, zgoda — rzekł Robin. — Ale pokaż mi ten glejt, człeku, żebym zobaczył, czy coś wart, czy nie.

— O, tego nie pokażę nawet rodzonemu bratu — odparł Kotlarz. — Nikt mego glejtu nie zobaczy, póki go nie przywalę tamtemu na amen.

— Niech ci będzie — rzekł Robin. — Chociaż jeśli nie mnie, to sam nie wiem, komu go pokażesz. Ale oto i oberża “Pod Błękitnym Dzikim”, wejdźmy i skosztujmy wybornej paździenikówki.

Przyjemniejszej gospody niż ta nie znalazłoby się w całym hrabstwie Nottingham. Żadnej nie otaczały takie piękne drzewa ani nie oplatał tak gęsto wonny powój; w żadnej nie było tak dobrego piwa ani tak musującego miodu; a w zimie, kiedy wyl pólnocny wiatr i zamieć hulała wśród żywopłotów, nigdzie nie znalazło się tak buzującego ognia na kominie jak w “Błękitnym Dzikim”. O takiej porze nieraz zbierała się zacna kompania szlachty czy kmieci, zasiadali przy trzaskającym ogniu, dogadując sobie wesoło, kiedy pteczone jabłuszka bulgotały w garncach piwa na kominie. Robin i jego banda świetnie znali tę oberżę, bo tam właśnie zbierali się gromadnie, z Małym Johnem, Willem Stutely albo młodym Dawidem z Doncasteru, kiedy cały las tonął w śniegu. Co do oberżysty, ten umiał trzymać język za zębami, bo wiedział aż za dobrze, z czego chleb je, gdyż Robin i jego

banda byli najlepszymi klientami, nie pili na kredyt, tylko płacili zawsze żywą gotówką. Toteż kiedy Robin Hood i Kotlarz weszli do gospody i zawołali głośno o dwa garnce piwa, nikt by nie poznał po oberżyscie, że kiedykolwiek widział rozbójnika na oczy.

— Poczekaj tu chwilę — zwrócił się Robin do Kotlarza — pójdę dopilnować, żeby nasz gospodarz utoczył nam piwa z właściwej beczki, bo ma przednią paździenikówkę, dobrze wiem, i to warzoną przez samego Witholda z Tamworth.

To rzekłszy poszedł do komory i szepnął oberżyscie, żeby zaprawił piwo flamandzką gorzałką. Tamten to zrobił i przyniósł im dwa garnce.

— Jak Boga kocham — odezwał się Kotlarz pociągnawszy sobie setnie — ten ci Withold z Tamworth... piękne saskie imię, żebyście wiedzieli... warzy takie piwo, jakiego jeszcze nigdy nie miał w ustach sam Wat Maczuga.

— Pij, człeku, pij — wołał Robin, sam ledwie maczając usta. — Hej, gospodarzu, przynieście mojemu przyjacielowi jeszcze garniec tego samego. Czekamy na śpiewkę, wesoły druhu.

— A zaśpiewam ci, miły bracie, zaśpiewam — rzekł Kotlarz — odkąd żyję, nie kosztowałem takiego piwa. Jak Bożę kocham, jeszcze mi szumi w głowie! Przybliżcie się, pani gospodyni, jeśli chcecie posłuchać, a i ty też, dziewczeczko miła, bo najlepiej mi się śpiewa, jak tylko spojrzą na mnie śliczne oczęta.

‘ Zaintonował starą balladę z czasów dobrego króla Artura, zwaną “Ślub sir Gawaine’a”, a kiedy śpiewał, wszyscy słuchali tej wspaniałej opowieści o szlachetnym rycerzu i jego poświęceniu dla monarchy. Ale zanim doszedł do ostatniej zwrotki, w głowie mu zaszumiało i język zaczął mu się plątać od gorzałki zmieszanej z piwem. Bełkotał, mamrotał, głowa zaczęła mu się kiwać, aż zasnął tak twardo, jakby miał się nigdy nie obudzić.

Wtedy Robin Hood zaśmiał się gromko i zwinnymi palcami wysupłał szybko z sakwy Kotlarza nakaz aresztowania.

— Sprytriys bo sprytny, Kotlarzu — mruknął przy tym — ale nie tak sprytny jak ten przebiegły zbój, Robin Hood.

Przywołał oberżystę i rzekł mu:

— Masz tu dziesięć szylingów, poczciwy człeku, za pyszną zabawę, jaką nam tu zgotowałeś. A zaopiekuj się dobrze swoim miłym gościem. Kiedy się obudzi, zażądaj i od niego dziesięciu szylingów, a jak nie będzie miał, to za zapłatę możesz mu wziąć torbę, młot i kapotę nawet. Tak karzę tych, którzy ośmielają się ze mną zadzierać. A co do ciebie, bracie, to jeszcze nie znałem oberżysty, który by nie policzył dwa razy tyle, jeśli tylko nadarza się sposobność.

Gospodarz uśmiechnął się na to przebiegle, jakby powtarzał sobie w duchu stare porzekadło: “Uczysz srokę wypijać jajka”.

Kotlarz spał przez całe popołudnie. A kiedy się obudził, długie cienie kładły się już pod borem. Łypnął okiem, spojrzał na niebo, spojrzał w ziemię, spojrzał na wschód i na zachód, zanim się wreszcie opamiętał. Najpierw przyszedł mu na myśl wesoły kompan, który gdzieś znikł. Potem maczuga, która stała pod ręką. Potem glejt i czterdzieści dukatów za aresztowanie Robin Hooda. Sięgnął do sakwy i nie znalazł ani papierka, ni szeląga. Rozwścieczony zerwał się na nogi.

— Hej, gospodarzu! — krzyknął. — Gdzie się podział ten łotr, który był tu ze mną przed chwilą?

— O jakim łotrze wasza łaskawość wspomina? — powiedział oberżysta schlebiając mu tym tytułem, aby go ugłaskać. — Nie widziałem w waszym towarzystwie żadnego łotra, wasza łaskawość, klnę się, że nikt nie ośmieliłby się w pobliżu sherwoodzkich borów nazwać tego człeka łotrem. Prawego i dzielnego szlachcica widziałem z waszą łaskawością, ale myślałem, że wasza

łaskawość go zna, bo przecie wszyscy go tu znają.

— Jakim sposobem, skoro nie zaglądam do twego chlewu, mam znać każdą świnię? Co to za jeden, jeśli go tak dobrze znasz?

— Jakże? Przecież to zacny chłop, którego ludziska zwą Robin Hoodem, tenże sam...

— Na Boga! — ryknął Kotlarz grubym głosem jak rozsierzony byk — to ty widziałeś, że wchodzę z nim do twojej oberży, ja, solidny, uczciwy rzemieślnik, i nie ostrzegłeś mnie przed nim, choć wiesz, kto to taki! O, ręka mnie świerzbi, żeby ci rozkwasić tę szelmowską łepetynę! — Porwał maczugę i spojrzął na oberżystę, jakby go chciał zabić na miejscu.

— Nie! — krzyknął oberżysta osłaniając się ręką, gdyż bał się ciosu. — Skąd mogłem wiedzieć, że waść go nie znasz?

— Dziękuj Bogu — powiedział Kotlarz — że ze mnie cierpliwy człowiek i nie rozwalę ci łysego łba, inaczej nie oszukałbyś więcej żadnego klienta. A tego łotra, Robin Hooda... już ja go znajdę i jak mu nie poprzetrącam gnatów, to porąb moją maczugę na podpałkę i zwij mnie babą. — Co mówiąc zaczął się zbierać do odejścia.

— Hola — zawołał oberżysta rozczapierzając ręce, jakby zaganiał gęsi, gdyż chęć zysku dodała mu odwagi — nie pójdiesz, dopóki nie zapłacisz rachunku.

— A on ci nie zapłacił?

— Ani złamanego szeląga! A wypiliście obaj za dobrych dziesięć szylingów. O nie, nie odejdiesz waść bez zapłaty, spróbuj, a nasz dobry Szeryf dowie się o tym.

— Kiedy nie mam czym zapłacić, przyjacielu luby — rzekł Kotlarz.

— Tylko nie "luby" — odparł oberżysta. — Luby to ja nie jestem, kiedy mam stracić dziesięć szylingów! Zapłać, co się należy, żywą gotówką, a jak nie, to dawaj kubrak, torbę i młot. Bogiem a prawdą i tak stracę na tym. Nie, bratku, mam dobrego psa, rusz się tylko, a poszczuję go na ciebie. Magda, spuść Briana, jeśli ten jegomość zrobi choć krok.

— Nie trzeba — zawołał Kotlarz; wędrując po kraju poznał psy na własnej skórze. — Bierz, co chcesz, daj mi odejść w spokoju i niech cię zaraza weźmie. Ale niech no złapię tego parszywego łajdaka, przysięgam, że zapłaci zawiązką za wszystko.

To rzekłszy ruszył w stronę lasu burcząc pod nosem, a oberżysta z żoną i córką patrzyli za nim i, kiedy znikł im z oczu, wybuchnęli śmiechem.

— Oporządziliśmy z Robinem zgrabnie tego osła — zauważył oberżysta.

Zdarzyło się, że Robin szedł właśnie przez las, zmierzając do Fosse Way, aby zobaczyć, co dzieje się na tym trakcie, gdyż księżyc był w pełni i noc zapowiadała się jasna. Ścisnął w garści dębową pałkę, przez plecy miał przewieszony róg. Kiedy tak sobie szedł, pogwizdując, leśną ścieżką, nie wiedział, że z przeciwnej strony nadchodzi Kotlarz, który burczał pod nosem i potrząsał głową jak rozsierzony byk. Na zakręcie wpadli raptem na siebie i znaleźli się oko w oko. Chwilę stali obaj zaskoczeni, aż odezwał się Robin.

— Witaj, ptaszku — powiedział ze śmiechem — jak ci piwko smakowało? Nie zaśpiewasz mi nowej piosenki?

Kotlarz zrazu nic nie odpowiedział, tylko spoglądał na Robina spode łba.

— Ha — odezwał się wreszcie — bardzo się cieszę, że cię spotkałem. Jak ci zaraz nie pogruhoczę gnatów, to masz prawo postawić mi nogę na gardle.

— Z wielką przyjemnością — zawołał wesoło Robin. — Pokaż, co potrafisz, i policz mi gnaty.

Co mówiąc zacisnął w garści pałkę i stanął gotów do walki.. Kotlarz popluł w garść i schwyciwszy swój sękacz ruszył na przeciwnika. Zadał ze dwa czy trzy ciosy, ale wprędce spostrzegł, że trafiła kosa na kamień. Robin bowiem sparował je gładko i, nim się Kotlarz ocknął,

pomacał go silnie po żebrach. Zaśmiał się z tego głośno, co tak rozwścieczyło Kotlarza, że zamachnął się z całych Sił. Robin odparł znów dwa ciosy, alć przy trzecim pałka pękła od siły uderzenia.

— Bądź przekłeta — zawołał Robin, gdy strzaskana pałka wypadła mu z rąk — za to, że mnie tak zawiodłaś w potrzebie!

— Poddaj się — rzekł Kotlarz — jesteś moim jeńcem. Jak się nie poddasz, rozkwaszę ci łeb.

Robin Hood nic na to nie odpowiedział, tylko przytknął do ust swój róg i zadał weń po trzykroć, głośno i czysto.

— A trąb sobie, trąb — powiedział Kotlarz — i tak pójść musisz ze mną do Nottinghamu, gdzie Szeryf rad cię czeka. No, poddajesz się, czy mam ci rozłupać makówkę?

— Jak nawarzyłem sobie piwa, to i wypić muszę — rzekł Robin. — Ale nie poddałem się jeszcze nikomu zdrów i cały, nawet bez draśnięcia. A jak sobie pomyślę, to i teraz się nie poddam. Hejże, chłopcy! Żywo do mnie!

Z lasu wypadł Mały John i sześciu zabijaków w jasnozielonych strojach.

— Co się stało, wodzu — zawołał Mały John — że dąłeś w róg tak głośno?

— Widzicie go? — rzekł Robin. — To Kotlarz, rad by zawlec mnie do Nottinghamu na szubienicę.

— No, to sam zaraz będzie dyndał — zawołał Mały John i skoczył wraz z innymi schwytać Kotlarza.

— Nie trzeba, nie ruszcie go — rzekł Robin — to kawał chwata. Żelazem się para, i sam jest twardy jak żelazo, w dodatku ładnie śpiewa ballady. Powiedz no, bracie, przystaniesz do mojej ^wesolej bandy? Otrzymasz co roku trzy ubrania z zielonego sukina, ponadto czterdzieści marek żołdu, będziesz dzielił z nami wszystko i czeka się w borze naprawdę wesołe życie. W naszej puszczy nie znamy ni trosk, ni trwóg. Polujemy po królewsku i nie bn-ak nam ni dziczyzny, ni słodkich placków owsianych, twarogu ani miodu. Pójdziesz ze mną?

— Dalibóg, rad do was przystanę — rzekł Kotlarz — bo kocham wesołe życie i kocham ciebie, dobry wodzu, chociiiż wystrychnąłeś mnie na dudka i pomacałeś po żebrach. Chętnie przyznam, że jesteś mocniejszy i sprytniejszy ode mnie. Przyrzekam ci posłuszeństwo i wierną służbę.

Ruszyli więc wszyscy razem w głąb lasu, do puszczy^, gdzie Kotlarz miał odtąd zamieszkać. Długo jeszcze śpiewał incu swoje ballady, dopóki nie przyłączył się do bandy sławny Allan z Doliny, przy którego cudnym głosie wszystkie inne brzmiały jak kwakanie.

Ale o nim dowiemy się w swoim czasie.

Tedy Szeryf rozsierdził się wielce, że nie udało mu się pojmać wesołego Robina, albowiem doszło do jego uszu — jak to zazwyczaj bywa ze złymi nowinami — że ludzie śmieją się z niego i kpią sobie, że chciał urzędowym papierkiem pokonać śmiałego rozbójnika; a nie ma dla człeka nic gorszego, niż stać się pośmiewiskiem; rzekł tedy Szeryf: “Najjaśniejszy nasz Król i P»an osobiście dowie się ó tym, jak banda zbuntowanych rzezimieszków gwałci i lekceważy ustanowione przez niego prawa. A teg«o sprzedawczyka, Kotlarza, jak mi wpadnie w ręce, powieszę na najwyższej szubienicy w całym hrabstwie Nottingham”.

Polecił tedy swojej świcie i sługom gotować się do podróży, aby w Londynie prosić o posłuchanie u króla.

Na zamku Szeryfa zapanował rwetes, krzątano się gorączkowo, biegano tędy i owędy, podczas gdy w kuźniach miejskich jarzyły się ognie i mrugały czerwono w’noc jak gwiazdy, wszyscy bowiem kowale kuli i naprawiali zbroje dla orszaku Szeryfa. Trudzone się tak przez dwa dni, a na trzeci wszystko było gotowe do podróży. Wyruszyli więc w słoneczny poranek z Nottinghamu do Fosse Way, a stamtąd do Watling Street; podróżowali tak przez dwa dni, aż ujrzeli wreszcie dzwonnice i wieże wielkiego miasta Londynu; przechodnie przystawali po drodze, podziwiając strojny orszak, połyskliwe zbroje, zawadiackie pióra, bogatą uprząż.

Król Henryk i piękna królowa Eleonora utrzymywali w Londynie wspaniały dwór, pełen dam w jedwabiach, atłasach, aksamitach i złotogłowiach, pełen dzielnych rycerzy i wytwornych dworzan.

Szeryf udał się tam i został dopuszczony przed królewskie oblicze.

— Petycję przed tron twój wnoszę, Panie — rzekł klękając na oba kolana.

— Czegóż to sobie życzysz? — powiedział monarcha. — Posłuchajmy, czego pragniesz, mów.

— O łaskawy mój Panie i Suwerenie — ozwał się Szeryf — w sherwoodzkich borach, w naszym zacnym hrabstwie Nottingham, grasuje bezczelny rozbójnik zwany Robin Hoodem.

— Zaprawdę — rzekł król — postęпки jego dotarły nawet do naszych królewskich uszu. To zuchwały i buntowniczy łotr, ale rad przyznam, że rogata i zawadiacka dusza.

— Racz posłuchać tylko, Najjaśniejszy Panie — rzekł Szeryf. — Pewien dzielny człek miał mu doręczyć w moim imieniu nakaz aresztowania z twoją królewską pieczęcią, ale on pobił posłańca i ukradł dokument. Trzebi twą zwierzynę, Panie, i grabi twych lennych poddanych nawet na najszerszych gościńcach.

— Jakże to! — rozsierdził się król. — Czego ty ode mnie wymagasz? Toś ty ściągnął tu z wielkim zastępem zbrojnych i pachołków, a nie potrafisz osaczyć bandy zwykłych rzezimieszków w swoim własnym hrabstwie! Czego ty ode mnie wymagasz? Czy nie jesteś moim Szeryfem? Czy moje prawa nie są w mocy w hrabstwie Nottingham? To na własną rękę nie możesz poskromić tych, co się im sprzeniewierzają albo szkodzą tobie czy innym? Idź, idź no stąd i pomyśl sobie dobrze. Sam wynajdź jakiś fortel, a nam nie zwracaj więcej głowy. Ale bacz no, panie Szeryfie, bo ja nie dopuszczę, aby ktokolwiek w królestwie gwałcił moje prawa, jeśli nie potrafisz zagwarantować im posłuchu, to nic mi po takim szeryfie. Więc, staraj się dobrze, powiadam, albo źle się to skończy dla ciebie i dla wszystkich łotrowskich rozbójników w hrabstwie Nottingham. Nie tylko śmiecie, ale i ziarno ginie z powodu.

Szeryf odszedł z ciężkim i zbolałym sercem i przeklinał w duchu wystawność swojej świty, pojął bowiem, że król się rozgniewał, iż mając tylu ludzi nie potrafi wymusić posłuchu ani prawa. Wiec kiedy noga za nogą wracali do Nottinghamu, Szeryf, pełen troski, pograżył się w myślach. Nie

odzywał się do nikogo i nikt nie śmiał mu przerywać, tylko cały czas głowił się, jakim fortem pojmać Robin Hooda.

— Mam! — krzyknął niespodzianie, waląc się dłonią po udzie. — Mam!... Jazda, chłopcy, wracajmy do Nottinghamu co koń wyskoczy. I zakarbujcie sobie moje słowa: nie miną dwa tygodnie, jak ten podły łotr, Robin Hood, znajdzie się ślicznie w lochach Nottinghamu.

Ale jaki to fortel Szeryf wydumał?

Tak jak lichwiarz bierze na ząb każdą monetę, aby sprawdzić, czy nie jest fałszywa, tak też Szeryf — gdy wlekli się smętnie w powrotnej drodze do Nottinghamu — obracał w głowie pomysł po pomysłu, ale w każdym znajdował jakieś braki. Zadumał się wreszcie nad śmiałością Robina i nad tym, że zapuszczał się on często nawet w obręb murów miejskich, o czym Szeryfowi było wiadomo.

“Ha, gdybym tylko podkusił Robina — myślał Szeryf — do pokazania się w pobliżu miasta, to tak capnę go za kołnierz, że więcej mi się nie wywinie”. I raptem zaświtało mu w głowie, że gdyby ogłosił wielkie zawody łucznicze ze wspaniałą nagrodą, to zawadiacki temperament Robina skusi go do wzięcia w nich udziału. Na tę myśl wykrzyknął: “Mam!” i trzepnął się z radości po udzie.

Kiedy tylko wrócił szczęśliwie do Nottinghamu, rozesłał posłańców na cztery strony świata, aby obwieścili po grodach, wsiach i osadach wielkie zawody łucznicze, do których stanąć może każdy, kto umie naciągnąć cięciwę, a zwycięzcę czeka kuta strzała ze szczerego złota.

Wieści o tym dotarły do Robina, gdy bawił akurat w mieście Lincoln. Natychmiast pospieszył do sherwoodzkich borów, zwołał swoją drużynę i odezwał się do nich w te słowa:

— Posłuchajcie, chłopcy, co za wiadomość przynoszę z Lincolnu. Nasz druh serdeczny, Szeryf Nottinghamu, obwieścił zawody łucznicze, rozesłał gońców po całej okolicy — nagrodę stanowić ma śliczna złota strzała. Dalibóg, rad bym, aby ktoś z nas ją wygrał, bo piękna to nagroda i szczerze ufundowana przez naszego zacnego przyjaciela, Szeryfa. Więc bierzmy łuki i kołczany i spieszmy co żywo, bo czuję, chłopcy, świetną zabawę. Co na to powiecie?

Powstał młody Dawid z Doncasteru i rzekł:

— Racz posłuchać, wodzu, czego się dowiedziałem. Przybywam prosto od naszego przyjaciela Eadoma z oberży pod “Błękitnym Dzikim” i tam słyszałem wszystko o tych zawodach. Ale wiem od niego, wodzu, a on z kolei od sługi Szeryfa, Ralfa Blizny, że tenże parszywy Szeryf zastawił tylko na ciebie pułapkę i niczego więcej nie pragnie, jak żebyś się pokazał na tych zawodach. Więc nie idź tam, wodzu, bo wiem dobrze, że chcą ci zrobić krzywdę, ale zostań w lesie, inaczej wszyscy gorzko pożałujemy.

— Tak... — rzekł Robin — mądry z ciebie chłopak, słyszysz, co trzeba, i milczysz, kiedy trzeba, jak na prawdziwego rycerza leśnego przystało. Ale czy pozwolimy, aby mówiono, że Szeryf Nottinghamu napędził strachu Robin Hoodowi i stu czterdziestu łucznikom, jakich nie zna cała Anglia? Nie, Dawidzie, to, co mówisz, sprawia tylko, że mam jeszcze większą chrapkę na nagrodę niż przedtem. Ale cóż powiada nasz dobry bazarz, Swanhold? Czyż nie tak: „Niecierpliwy gębę sobie sparzy, a głupiec, jak wleci do dołu, dopiero otwiera oczy”? Tak rzecze, dalibóg, przeto i my podstępem odpowiedzmy na podstęp. Niechaj jedni z was przebiorą się za wędrownych mnichów, inni za wieśniaków, inni za kotlarzy czy żebraków, ale niech każdy dopilnuje łuku albo miecza na wszelki wypadek. Co do mnie, zmierzę się z zawodnikami o tę złotą strzałę, a jak wygram, to zawiesimy ją na naszym dębie ku uciesze całej drużyny. No, jak wam się podoba mój plan, chłopcy?

— Dobry! Dobry! — odkrzyknęli z całego serca.

Piękny widok stanowiło miasto Nottingham w dniu zawodów łuczniczych. Wzdłuż zielonej łąki za murami wzniesiono wysokie trybuny dla rycerzy i dam, hrabiów i hrabianek, zamożnych mieszczan

i ich żon, nikt bowiem poza wysoko postawionymi nie miał prawa zasiadać na trybunach. Nie opodal tarczy strzelniczej stało podium, udekorowaną wstęgami, szarfami i wieńcami kwiatów, dla Szeryfa i jego małżonki. Na jednym końcu majdanu stała tarcza, na drugim — namiot w pasy, z którego masztu powiewały różnobarwne proporce i chorągiewki. Wewnątrz rozpierały się antałki piwa, którym każdy łucznik mógł się raczyć bezpłatnie, jeżeli miał ochotę przepłukać sobie gardło. Po drugiej stronie majdanu, naprzeciwko trybun, ustawiono ogrodzenie, aby zebrana tu hołota nie pchała się na stadion. Choć pora była wczesna, trybuny już się zapełniały możliwymi tego świata, którzy napływali wciąż karetami albo na wierzchowcach w takt wesołego pobrzękiwania srebrnych dzwoneczków na uzdach; ścigał z nimi i skromny ludek, który rozsiadał się albo pokładał na trawie za ogrodzeniem. A w wielkim namiocie łucznicy gromadzili się po dwóch, po trzech; jedni przechwalali się dawnymi sukcesami, inni starannie sprawdzali łuki, cięciwy, czy się nie strzępią, strzały, czy nie są przypadkiem spaczone, tylko proste i dobre, albowiem ani łuk, ani strzała nie powinna zawieść w takiej chwili i przy takiej nagrodzie. I nigdy jeszcze nie zgromadziło się tylu asów, co w Nottinghamie tego dnia, co najznakomitsi łucznicy Albionu stawili się na owe zawody. Był tam Gili, zwany “Czerwonym Kołpakiem”, najlepszy ze strzelców Szeryfa, i Diccon Cruikshank z Lincolnu, i Adam Dell, rodem z Tamworth, z siódmym krzyżykiem na karku, a żwawy wciąż i chwacki, ten sam, który swego czasu stawał do słynnych zawodów w Woodstock i pokonał głośnego łucznicę, C^lyma z Clough. I zjechało tam wielu innych sławnych mistrzów łuku, których imiona przekazały nam piękne stare ballady.

Ale oto wszystkie już trybuny zapełniły się gośćmi — lordowie i damy, kupcy i mieszczańki — kiedy wreszcie ukazał się sam Szeryf ze swoją panią; jechał z królewską miną na mlecznobiałym ogierze, a ona na karej żrebicy. Miał kołpak z purpurowego aksamitu i purpurowy płaszcz podbity gronostajem; kaftan ł pończochy z seledynowego jedwabiu, czarne aksamitne sandały z zakręconym noskiem, przytwierdzone do podwiązek złotymi łańcuszkami. Szczerozłoty łańcuch wisiał mu na piersi, a pod szyją migotał wielki karbunkuł osadzony w metalu. Pani jego była odziana w płaszcz z błękitnego aksamitu, podbity łabędzim puchem. Stanowili piękny widok, jadąc tak strzeżeni w strzeżeniu, aż gawiedź zakrzyknęła gromko, stłoczona za ogrodzeniem. Szeryf i jego pani dojechali do podium, gdzie oczekiwała ich straż w kolczugach, uzbrojona we włócznie.

Kiedy zasiedli oboje na podium, Szeryf skinął na herolda, aby zadał w srebrny róg. Herold zagrał po trzykroć i radosne echo odpowiedziało mu od murów i baszt Nottinghamu. Łucznicy zajęli swoje stanowiska wśród potężnej wrzawy, jaka się podniosła, gdyż każdy wywoływał swojego faworyta. “Czerwony Kołpak” — wołali jedni: “Cruikshank” — wołali drudzy; “Niech żyje William Leslie!” — wołali jeszcze inni; a damy powiewały jedwabnymi szalami, aby zachęcić strzelców do najlepszych wyników.

Natenczas wystąpił herold i potężnym głosem obwieścił reguły obecnych zawodów:

— Niechaj każdy strzela z tego oto stanowiska, które znajduje się w odległości stu pięćdziesięciu jardów od celu. Najpierw każdy wyśle po jednej strzale, abyśmy mogli wybrać spośród wszystkich zawodników dziesięciu najlepszych. Z tej dziesiątki każdy wyśle po dwie strzały, abyśmy mogli wyłonić trzech najlepszych zawodników. Ci zaś będą mieli po trzy strzały i temu, który popisie się najcelniejszym okiem, przypadnie w udziale nagroda.

Tymczasem Szeryf wychylił się i wypatrywał bacznie, czy wśród gromady łuczników nie dojrzy Robin Hooda, ale nikt z nich nie był odziany w strój z zielonego sukna, jaki nosił Robin i jego banda. “Może zagubił się tylko w tłumie — powiedział sobie Szeryf. — Poczekajmy, niech no wyłoni się najlepsza dziesiątka, na pewno w niej będzie, inaczej nie chcę go znać”.

Łucznicy po kolei mierzyli do tarczy i nigdy jeszcze nie widziano tak znakomitych wyników jak

tego dnia. Sześć strzał tkwiło w samym środku tarczy, cztery w czarnym kręgu, a tylko dwie najdalej, w białym; więc kiedy ostatnia strzała pomknęła trafiając w cel, rozległ się gromki aplauz, gdyż było to piękne łucznictwo.

Z całej gromady zostało tylko dziesięciu łuczników, a z tej dziesiątki sześciu słynęło w całym kraju i większość widzów znała ich dobrze. Szóstkę tę stanowili: Gilbert "Czerwony Kołpak", Adam Dell, Diccon Cruikshank, William Leslie, Hubert z Cloud i Swithin z Hertfordu. W pozostałej czwórce było dwóch szlachciców z hrabstwa York, wysoki przybysz w błękitnym stroju, który powiadał, że pochodzi z Londynu, i wreszcie jakiś obdartus w połatanym szkarłacie, z przepaską na oku.

— Słuchaj — zwrócił się Szeryf do swego przybocznego — czy wśród tych dziesięciu widzisz Robin Hooda?

— Niestety nie, wasza wielmożność — odparł zagadnięty. — Sześciu znam bardzo dobrze. Ci dwaj z Yorku... jeden za wysoki, a drugi za niski na tego bezczelnego łotra. Robin ma brodę złotopłową, a ten obdartus w szkarłatnych łachmanach kasztanową, poza tym ślepy na jedno oko. Ten obcy w błękitnym stroju znowu za cherlawy, Robin jest dużo tęższy w barach niż on.

— W takim razie — rzekł Szeryf uderzając się ze złości po udzie — to nie tylko łotr, ale i tchórz parszywy, który nie śmie pokazać się wśród przyzwoitych ludzi.

Po krótkim odpoczynku dziesięciu tęgich strzelców znów stanęło do zawodów. Każdy wypuścił po dwie strzały, a kiedy mierzyli do celu, cisza zapadła jak makiem posiał, tłum śledził walkę z zapartym tchem. Ale gdy ostatnia strzała utkwiła w tarczy, znów podniosła się przeogromna wrzawa i mnóstwo kołpaków poleciało w górę, tak się cieszący z zadziwiającego wprost mistrzostwa.

— Jak Boga szczerze kocham — powiedział sędziwy sir Amyas z Dell, starzec blisko dziewięćdziesięcioletni, który siedział obok Szeryfa — takich łuczników jeszcze nigdy w życiu nie widziałem, a przyglądam się prawdziwym asom z kopę lat i więcej.

Wreszcie ze wszystkich zawodników zostało tylko trzech. Jednym był Gili "Czerwony Kołpak", drugim nieznany obdartus w szkarłacie, a trzecim Adam Dell z Tamworth. Na trybunach podniosła się wrzawa, jedni wołali: "Hura, Gilbert, Czerwony Kołpak!", drudzy wołali: "Adam z Tamworth, niech żyje!", ale nikt nie wołał na cześć obcego przybysza w szkarłacie.

— A strzelaj dobrze, Gilbert — krzyknął Szeryf — jak zdobędziesz pierwsze miejsce, dostaniesz na dodatek sto srebrnych pensów ode mnie!

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — odparł dzielnie Gilbert. — Człek nie potrafi więcej, niż jest w jego mocy, ale o to się właśnie postaram.

Co mówiąc dobył z kołczana wysmukłą strzałę z szerokim piórem, założył ją zgrabnie, z uwagą napiął cięciwę i zwolnił grot.

Strzała furknęła prościuteńko i pięknie utkwiła w tarczy o grubość palca od samego środka.

— Gilbert! Gilbert! — zahuczał cały tłum.

— Na mą cześć — zawołał Szeryf klaszcząc w ręce — to dopiero strzał!

Wtedy wystąpił nieznany obdartus i gromki śmiech rozległ się na majdanie, bo sf>od podniesionego łokcia, gdy mierzył, Wyjrzała żółta łata i wszystkich śmieszył widok jednookiego, który składał się z łuku. Szybko naciągnął swój cisowy łuk i tak szparko ' wystrzelił, że ludzie ani się nie obejrzeni, gdy jego strzała tkwiła już w tarczy o dwa źdźbła jęczmienia bliżej środka niż grot poprzednika.

— O, na wszystkich świętych w raj! — zawołał Szeryf. — To przepiękny ątrzał w rzeczy samej.

Z kolei strzelił Adam Dell, uważnie i ostrożnie, a grot utkwił tuż obok strzały nieznajomego. Po

chwili wypuścili dalsze trzy strzały i znowu każda utkwiała w celu, tylko tym razem Adam Dell trafił najdalej od środka, a nieznajomy oberwaniec najbliżej. Wreszcie po chwili odpoczynku przystąpili do trzeciej i ostatniej kolejki. Gilbert celował tym razem z uwagą, bacznie mierzył odległość i strzelił z największą wprawą. Strzała pomknęła prosto iż wszystkich piersi wyrwał się tak potężny krzyk, aż chorągiewki na masztach zatrzepotały, a kawki i gołębie wzbiły się z wrzawą nad starą basztą, strzała bowiem utkwiała prawie w samym sercu tarczy, tuż, tuż.

— Brawo, Gilbert! — zawołał Szeryf ze szczerą radością. — Głowę daję, że nagroda jest twoja i wywalczona pięknie. No, oberwańcze, pokaż nam lepszy strzał od tego.

Obcy bez słowa zajął stanowisko. Wokół uciszyło się i nie tylko nikt nie śmiał się odezwać, ale i odetchnąć nawet, tak wielka była ciekawość, co też on pokaże. Tymczasem obcy również stał nieporuszony z łukiem w rękę, tak długo; że dałoby się policzyć do pięciu; potem naciągnął wierny cisowy łuk, mierzył jedną chwilę i puścił cięciwę. Grot pomknął prosto i tak celnie, że utracił szare pióro ze strzały Gilberta — migocząc w słońcu sfrunęło na ziemię, gdy grot utkwił w samym sercu tarczy. Z wrażenia nie padło żadne słowo ani żaden okrzyk, tylko sąsiad sąsiadowi zaglądał w twarz ze zdumieniem.

— No... — westchnął stary Adam Dell potrząsając głową — z cztery dziesiątki lat i więcej minęło, odkąd strzelam z łuku, i może czasem nie najgorzej, ale dziś nie oddam już strzału, bo nikt ni« może się mierzyć z tym obcym kimkolwiek on jest. — Po czym wrzucił strzałę, aż zagrzechotała w pustym kołczanie, i zdjął cięciwę z gryfu.

Szeryf zstąpił z podium i cały w jedwabiach i atłasach zbliżył się do nieznanego oberwańca, który stał wspierając się na swym tęgim łuku, otoczony przez ciekawskich, którzy tłoczyli się, by poznać tak cudownego strzelca.

— Proszę, przyjacielu — rzekł Szeryf — przyjmij tę nagrodę, boś sprawiedliwie i pięknie ją zdobył, jak powiadam. Jakże na cię wołają i skąd to pochodzisz?

— Zwą mnie Jock z Teviotdale i stamtąd też pochodzę — odparł nieznajomy.

— No, jak Boga kocham, Jock, tyś jest najlepszym łucznikiem, jakiego widziałem na oczy. I jeśli zechcesz wstąpić do mojej służby, to wystroję cię w piękny mundur zamiast tych łachów na grzbiecie. Nie zabraknie ci najlepszego jadła i trunku, a na Nowy Rok dostaniesz żołdu osiemdziesiąt marek. Uważam, że lepiej strzelasz z łuku niżeli ten tchórzliwy łotr, sam Robin Hood, który nie śmiał tu się dzisiaj pokazać. Powiedz, przyjacielu, czy wstąpisz do mojej służby?

— Nie, nic z tego, panie — odparł szorstko łucznik. — Sam jestem sobie panem i nikt w całej wesołej Anglii nie będzie mi rozkazywał.

— Więc idź precz i niech cię zaraza zeżre! — krzyknął Szeryf dygoczącym z gniewu głosem. — I Bóg mi świadkiem, że miałbym ochotę oćwiczyć cię batogami za twoje zuchwalstwo! — Po czym obrócił się na pięcie i poszedł.

Arcypstrokata zaiste kompania zebrała się tegoż dnia pod szlachetnym dębem w sherwoodzkim borze. Było tam z dwa tuziny bosonogich mnichów i jacyś tacy, co wyglądali jak kotlarze albo przypominali żebraków czy kmieci. A na tronie z mchu siedział jeden w połatanym szkarłacie, z przepaską na oku i trzymał w ręce złotą strzałę, która stanowiła nagrodę w wielkich zawodach - łuczniczych. Wśród wrzawy i śmiechu zdjął z oka przepaskę, zdarł z siebie szkarłatne łachy, ukazując się w jednolicie zielonym stroju z sukna, i rzekł:

— Nie sztuka się tego pozbyć, ale kasztanowa farba nie tak łatwo schodzi z płowej brody.

Wtedy wszyscy zaśmieli się jeszcze głośniejsz, gdyż był to Robin Hood we własnej osobie, który dostał nagrodę z rąk samego Szeryfa.

Zasiedli niebawem do leśnej uczty, cieszyli się między sobą z figla spletanego Szeryfowi i

rozprawiali o przygodach, które każdego spotkały w przebraniu. Ale kiedy uczta dobiegła końca, Robin wziął na bok Małego Johna i powiedział:

i — Powiadam ci, krew się we mnie burzy, gdy pomyślę, co Szeryf dziś do mnie powiedział: “Ty lepiej strzelasz z łuku niżli ten tchórzliwy łotr, Robin Hood, który nie śmiał tu się dzisiaj pokazać”. Rad bym mu uświadomić, kto to zdobył z jego rąk nagrodę i że nie jestem takim tchórzem, za jakiego mnie ma.

— Wodzu — powiedział Mały John — weź ze sobą mnie i Willa Stutely, a my już pošlemy tej opasłej świni wieść przez takiego posłańca, jakiego się nawet nie spodziewa.

Tego dnia Szeryf siedział przy pieczeni w wielkim hallu swego zamku w mieście Nottingham. Przy długich stołach biesiadowali zbrojni, służba i postawni niewolnicy, z osiemdziesięciu chłopów było na sali. Jedząc i pijąc gwarzyli o porannych zawodach łuczniczych. Szeryf ze swoją panią siedział pod baldachimem na głównym miejscu przy stole.

— Dalibóg, byłem święcie przekonany — powiedział — że ten łotr, Robin Hood, weźmie udział w zawodach. Nie myślałem, że z niego taki tchórz. Ale kim mógł być ten szelma, który mi tak buńczucznie odpowiedział? Dziwię się, że nie kazałem go wychłostać, ale coś mnie powstrzymało mimo tych jego łachmanów i łat.

Ledwie zdążył to powiedzieć, kiedy coś spadło z brzękiem na zastawiony stół; siedzący w pobliżu zerwali się zdumieni, co to takiego. Po chwili jeden z wojaków zdobył się na odwagę, podniósł to i podał Szeryfowi. Wówczas wszyscy zobaczyli, że była to strzała o stępionym grocie, z przywiązaniem u nasady zwitkiem grubości szpulki. Szeryf rozwinął papier i spojrzał nań, żyły wystąpiły mu na czole i spurpurowiał z gniewu, gdy to czytał; a było tam napisane:

Na Ciebie, Panie, nieb niech spłyną blaski —
Szepcze w Sherwoodzie lud —
Bo wziął nagrodę z twej ręki i łaski
Wesoły Robin Hood.

— Skąd się to wzięło? — krzyknął Szeryf potężnym głosem.

— Oknem wleciało, wasza wielmożność — rzekł wojak, który wręczył mu tę strzałę.

III. Will Stutely uratowany przez druhów

Otóż kiedy Szeryf przekonał się, że ani prawem, ani podstępem nie da się zwyciężyć Robin Hooda, wpadł w wielką rozterkę i powiedział sobie: “Cóż za głupiec ze mnie! Gdybym nie powiedział Królowi o Robin Hoodzie, nie nawarzyłbym sobie piwa. A teraz muszę albo pojmać go, albo narazić się na srogi gniew królewski. Próbowałem prawa, próbowałem podstępu i zawiodłem się w dwójnasób, więc spróbuję, co się da zrobić siłą”.

Rozprawiając tak ze sobą samym, zawezwał swych konstabli i powiedział im, co ma na myśli.

— Niechaj każdy z was weźmie po czterech ludzi uzbrojonych po zęby — rzekł — drużynami zapuśćcie się w las i czatujcie na Robin Hooda. Jeśli któryś z was natknie się na przeważającą siłę, niech zadmie w róg i niechaj każda drużyna, posłyszawszy sygnał, spieszy mu na pomoc. Tym sposobem, jak myślę, pochwycimy tego łotra. Ponadto temu, kto pierwszy zoczy Robin Hooda, przypadnie w udziale sto srebrnych funtów, jeśli mi go dostarczy żywego czy zabitego. A temu, kto napotka kogoś z jego bandy, przypadnie czterdzieści funtów, jeśli mi go dostarczy żywego czy zabitego. Więc bądźcie odważni i bądźcie przebiegli.

Wyruszyli zatem w sześćdziesiąt drużyn po pięciu do sherwoodzkich borów pojąć Robin Hooda. Każdy konstabl z nadzieją, że on właśnie pochwyci śmiałego rozbójnika albo przynajmniej któregoś z jego bandy. Przez siedem dni i nocy węszyli po borach, ale nie znaleźli ni śladu nawet po zielonych rycerzach. Wierny bowiem oberżysta spod “Błękitnego Dzika” uprzedził Robin Hooda o ich zamiarach.

Posłyszawszy z jego ust nowinę, Robin Hood rzekł:

— Jeśli Szeryf śmie użyć przeciw nam siły, biada mu i lepszym odeń biada, gdyż krew się poleje i nieszczęście spadnie na wszystkich pospołu. Ale rad bym uniknąć starcia i rozlewu krwi i rad bym oszczędzić rozpaczony żonom i matkom, gdyż dzielni mężowie tracą życie. Niegdyś zabiłem człowieka i nigdy więcej nie pragnąłbym tego uczynić, gdyż wielka zmora spada potem na duszę. Więc przyczaimy się w sherwoodzkim borze, aby było lepiej dla wszystkich, ale jeśli zostaniemy zmuszeni do obrony siebie czy towarzysza, to niechaj każdy napnie łuk z całej mocy i niechaj uderza bez pardonu.

Słuchając tej mowy wielu potrzęsało głowami i mówiło sobie w duchu: “Dopiero Szeryf sobie pomyśli, że jesteśmy tchórzami, a ludziska w całym hrabstwie szydzić z nas będą, że boimy się zbrojnych pachołków”. Ale jawnie żaden się nie odezwał, tłamsząc w sobie opór i postępując tak, jak Robin nakazał.

Ukrywali się więc w głębi borów przez siedem dni i nocy i przez cały ten czas nie wytknęli nosa z ukrycia, ale ósmego dnia rankiem Robin Hood zwołał całą bandę i rzekł:

— Trzeba by pójść na zwiady i przewąchać, co o tej porze porabiają ludzie Szeryfa. Jestem przekonany, że nie będą wiecznie siedzieć w naszym borze. Kto na ochotnika?

Podniosła się wrzawa, bo każdy wymachiwał łukiem i wołał, że chce pójść. Robinowi serce urosło z dumy na ten widok i powiedział do swych towarzyszy:

— Odważni i prawi jesteście jak jeden mąż i dzielną stanowicie, chłopcy, kompanię, ale wszyscy pójść nie możecie, więc wybiorę jednego z was, a będzie nim Will Stutely, bo jest tak przebiegły jak stary wyżeł, co tropi lisy w sherwoodzkim borze.

Will Stutely aż podskoczył i zaśmiał się, klaszcząc w ręce z radości, że jego właśnie wybrano spośród całej bandy.

— Dzięki ci, wodzu — rzekł. — Jeśli nie przyniosę ci wieści o tych łobuzach, to przestań mnie nazywać swoim sprytnym Willem.

Przebrał się zaraz w mnisi habit, pod którym zręcznie ukrył szeroki miecz, aby w każdej chwili łatwo było poń sięgnąć. W tym przebraniu wyruszył na zwiady i z borów wydostał się na trakt. Napotkał dwie drużyny Szeryfa, ale nie zboczył z drogi, tylko głębiej nasunął kaptur na oczy i założywszy ręce szedł pogrążony niby w rozmyślaniach. Dotarł wreszcie do szyldu gospody pod “Błękitnym Dzikim”. “Bo — powiedział sobie — nasz dobry przyjaciel, Eadam, opowie mi wszystkie nowiny”.

W oberży zastał gromadę wojaków Szeryfa, którzy popijali sobie tęgo: usiadł więc bez słowa w szarym kącie na ławie, z kosturem w ręce i z pochylonym czołem, jakby zatopił się w pobożnych medytacjach. Siedział tak czekając, aż uda mu się na osobności zobaczyć z gospodarzem, a Eadam go nie poznał, tylko myślał, że to jakiś biedny, zmęczony mnich, więc zostawił go w spokoju, choć drażnił go habit. “Ale — powiedział sobie — żeby wyrzucać kulawego psa za próg, trzeba mieć zatwardziałe serce”. Stutely siedział sobie spokojnie, kiedy przyplątał się do niego ogromny kot oberżysty, który zaczął się łaścić i przymilnie ocierać o jego nogę, aż zadarł mu nieco habit. Stutely czym prędzej poprawił habit, ale konstabl dowodzący drużyną zdążył zauważyć, co się stało, i spostrzec pod habitem nogawicę z zielonego sukna. Zrazu nie dał nic poznać po sobie, tylko podumał

chwila: "To na pewno nie żaden franciszkanin ani prawy szlachcic, bo ten by się nie przebrał w zakonną szatę, ani złodziej, bo i po co miałby się przebierać bez powodu. Myślę w dobrej wierze, że to któryś z ludzi Robin Hooda". Odezwał się więc na głos:

— Ojciec świątobliwy, nie wypiłbyś garnca dobrego marcowego piwa dla pokrzepienia duszy?

Ale Stutely w milczeniu potrząsnął głową, bo pomyślał sobie: "Uważaj, ktoś może znać twój głos".

— Dokąd to zmierzasz, wielbny ojciec — zagadnął znów konstabl — w taki upalny dzień?

— Pielgrzymuję do Canterbury — odburknął Will Stutely, aby nikt nie poznał go po głosie.

Wtedy konstabl odezwał się po raz trzeci:

— Powiedz no mi, wielbny ojciec, czy pielgrzymi noszą pod habitem nogawicę z zielonego sukna? Przebóg, z ciebie chytry złodziej albo i zbójnik z bandy Robin Hooda! Klnę się na Matkę Najświętszą, porusz się tylko, a przeszyję cię na wylot tym mieczem!

Błysnął żelazem i rzucił się na Willa licząc, że go zaskoczy, ale Stutely ścisnął już swój miecz pod habitem i wyciągnął go na czas. Potężny konstabl świsnął mieczem po raz pierwszy i ostatni w tej walce, gdyż Stutely zwinnie sparował cios i ciał konstabla z całych sił. I byłby uciekł, gdyby konstabl osuwając się zalany krwią nie uczeplił mu się kolan, oszołomiony ciosem. Wtedy hurmem rzucili się na niego i Stutely ciał jednego w łeb, ale stalowa misiurka złagodziła cios i nie zabił tamtego, tylko zranił mocno. Tymczasem omdlewający konstabl ciągnął Willa do ziemi, a tamci, widząc go w opałach, jeszcze raz skoczyli na niego, któryś rąbnął go w czaszkę, aż krew zalała Willowi oczy. Zachwiał się i upadł, a tamci przydusili go do ziemi, choć bronił się zaciekłe i wyrywał. Spętali mu ręce i nogi konopnymi powrozami i unieszkodliwili go wreszcie. Ale dwóch z nich ciężko zapłaciło za to zwycięstwo: konstabl był poważnie ranny, a ten drugi, którego Stutely ciał w łeb, niejeden tydzień przeleżał w łóżku, zanim odzyskał siły, które miał przed tą sławną potyczką.

Robin Hood stał pod dębem, myśląc o Willu Stutely, jak mu się wiedzie, kiedy raptem ujrzał dwóch swoich zuchów nadbiegających ścieżką, a między nimi — hożą Madzie z oberży "Pod Błękitnym Dzikim".

— Will Stutely pojmany! — zawołali stając przed nim.

— Czy to ty przynosisz te bolesne wieści? — zwrócił się Robin do dziewczyny.

— Niestety, widziałam na własne oczy — zapłakała, zziębnięta jak zajac, który umknął nagonce. — I boję się, że zranili go srodze, bo jeden ciał go prosto w czoło. Związali go i w pętach powieźli do Nottinghamu. I zanim wybiegłam spod "Błękitnego Dzika", słyszałam, że mają go powiesić jutro rano.

— Nie powieszają go ni jutro, ni pojutrze! — zawołał Robin. — A jeśli spróbują, to niejeden gryźć będzie ziemię i niejeden przeklinać ten dzień, w którym się urodził!

Z tymi słowy przytknął do ust swój róg i zadał weń po trzykroć, niebawem z głębi lasu zaczęli nadbiegać jego wierni towarzysze, aż zebrało się ich ze stu czterdziestu.

— Słuchajcie, bracia! — zawołał Robin. — Nasz drogi druh, Will Stutely, wpadł w ręce siepaczy Szeryfa. Trzeba wziąć łuk i miecz do garści, aby go uwolnić. Bo uważam, że powinniśmy dla niego narazić życie, tak jak on»je dla nas narażał. Prawdę mówię, chłopcy?

— Tak jest!... — zawołali potężnym głosem.

— Słuchajcie, jeśli ktoś z was — podjął Robin Hood — nie ma ochoty ryzykować życia czy zdrowia, niechaj zostanie w obozie, bo nie chcę nikogo z was przymuszać. Ale jutro będę tu z powrotem z Willem albo umrę wraz z nim.

Słyszając to wystąpił potężny Mały John.

— Czy myślisz, wodzu — rzekł — że wśród nas znajdzie się choć jeden, który by nie zechciał

ryzykować życia dla towarzysza w potrzebie? Jeśli się taki znalazł, to znaczy, że nie znam swoich ludzi. Takiego, dalibóg, trzeba by siec po gołej skórze i wygnąć precz z naszej puszczy. Prawdę mówię, chłopcy?

— Tak jest!... — odkrzyknęli zgodnie, gdyż jak jeden mąż gotowi byli odważyć się na wszystko dla przyjaciela w potrzebie.

Następnego więc dnia wydostali się z puszczy różnymi drogami, gdyż należało zachować ostrożność; podzielili się na grupki po dwóch, po trzech, aby zejść się o umówionej godzinie w dziko zarośniętym parowie nie opodal miasta Nottingham.

Kiedy zgromadzili się wszyscy na wyznaczonym miejscu spotkania, Robin rzekł im:

— Zaczajmy się tutaj, póki nie uda się zasięgnąć języka. Trzeba rozwagi i sprytu, aby wyrwać naszego przyjaciela, Willa Stutely, ze szponów Szeryfa.

Leżeli więc w ukryciu długi czas, aż słońce stanęło wysoko na niebie. Dzień był ciepły i nikt się nie pokazał na zakurzonej drodze prócz sędziwego pielgrzyma z Ziemi Świętej, który wędrował traktem pod szarymi murami miasta. Kiedy Robin przekonał się, że nikogo innego nie ma na drodze, zawołał młodego Dawida z Doncasteru, który był bystry ponad swój wiek, i powiedział mu:

— Widzisz, Dawidzie, tego pielgrzyma na trakcie pod murami? Idź i zagadnij go, bo właśnie opuścił bramy miasta i może akurat coś wie o naszym Willu Stutely.

Zatem Dawid wyszedł naprzeciw pielgrzyma, pokłonił mu się i rzekł:

— Dzień dobry, ojcie świątobliwy, czy nie wiesz przypadkiem, kiedy Will Stutely zawisnie na szubienicy? Rad bym nie przegapić takiego widowiska, bo kawał drogi zrobiłem, aby zobaczyć, jak wieszają tego zatwardziałego łotra.

— Hańba ci, młodzieńcze — krzyknął pielgrzym — że mówisz tak, kiedy mają stracić prawego człowieka za nic, bo przecież bronił tylko własnego życia. — Iz gniewu stuknął kosturem w ziemię. — Hańba, powiadam, że takie rzeczy się dzieją! Bo dziś jeszcze, zanim słońce zajdzie, ma on zostać powieszony o trzysta kroków za główną bramą, na rozstaju dróg. Szeryf chce, aby jego śmierć była przestrogą dla wszystkich ludzi ściganych przez prawo w hrabstwie Nottingham. Ale raz jeszcze powiadam, biada! Bo > niechaj nawet Robin Hood ze swoją bandą będzie wyjęty spod prawa, to łupi on tylko bogatych, silnych i nieuczciwych, ale za jego przyczyną ni biednej wdowie, ni rolnikowi obarczonemu działwą nie zbraknie w tych stronach garści jęczmiennej mąki przez cały długi rok. Serce mi się ściska, gdy taki dzielny człek jak ten Stutely ma zginąć marnie, bo sam byłem dobrym saskim szlachcicem, zanim zostałem pielgrzymem, i cenię twardą pięść, co bije śmiało w okrutnego Normana[1] i wyniosłego opata z worami złota. Gdybyż tylko Robin Hood wiedział, w jakich tarapatach znalazł się jego człowiek, potrafiłby może przyjść mu z pomocą i wyrwać go z rąk nieprzyjaciół.

— Dalibóg, prawda — zawołał młodzieniec. — Jeśli Robin i jego ludzie są tylko gdzieś w pobliżu, to na pewno postarają się wyciągnąć go z opałów. Idźcie z Bogiem, zacny starcze, i wierzcie mi, jeśli Will Stutely umrze, to będzie sprawiedliwie pomszczony.

Po czym odwrócił się i odszedł szparkim krokiem, ale pielgrzym spoglądał za nim mrużąc: “Ho, ho, to nie żaden chłystek, który chciałby zobaczyć, jak wieszają porządnych ludzi. Kto wie, może Robin Hood nie jest wcale tak daleko, ho, ho, szykuje się dziś tęga bijatyka...” I mamrocząc pod nosem poszedł swoją drogą.

Kiedy Dawid przekazał wieści Robin Hoodowi, ten zwołał całą bandę i rzekł:

— Ruszajmy niezwłocznie do Nottinjjhamu, w mieście zmieszamy ślę z tłumem, ale niech każdy ma drugiego na oku i przepycha się tak blisko więźnia i straży, jak tylko się da, kiedy cały orszak wyjclzie za bramę. Niech nikt nie uderza bez potrzeby, bo rad bym uniknąć rozlewu krwi, ale jak już

bić, to bić mocno, raz a dobrze, żeby ręki na darmo nie podnosić. No i trzymać się w gromadzie, aż wrócimy do puszczy, niechaj nikt nie chodzi samopas.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy z murów zaniku odezwała się trąbka. Na jej głos zaroilo się w mieście i tłumy zapełniły ulice, gdyż wszyscy wiedzieli, że sławny Will Stutely ma być wiedziony na szubienicę. Wrota zamku otwarły się szeroko i ukazał się wielki orszak zbrojnych z chrzęstem i tupotem. Na jego czele jechał Szeryf w błyszczącej kolczudze. Will Stutely ze stryczkiem na szyi stał na wozie otoczonym strażą. Rana i upływ krwi spowodowały, że twarz miał bladą jak księżyc w jasny dzień, a włosy na czole zlepione zakrzepłą krwią. Gdy wywieziono go za bramę, rozejrzał się na prawo i na lewo, zobaczył na niektórych obliczach litość i życzliwość, ale nie ujrzał ani jednej znajomej twarzy. Wtedy serce skurczyło mu się z rozpacz, ale mimo to odezwał się dzielnie:

— Daj mi miecz do ręki, panie Szeryfie, i chociażem ranny; walczyć będę z tobą i całym zastępem, póki mi w piersi stanie tchu.

— Nie, występny łotrze — odparł Szeryf przez ramię, spoglądając nań spode łba — nie dostaniesz miecza, tylko zginesz podłą śmiercią, jak na parszywego zbója przystało.

— To rozwiąż mi tylko pęta, a walczyć będę z wami bez oręża, na gołe pięści. Nie proszę o broń, tylko nie daj mi ginąć tak haniebnie.

Szeryf na to roześmiał się w głos.

— Co, strach cię obleciał? — rzekł. — Wyspowiadaj się lepiej, nikczemny łotrze, bo mam zamiar cię powiesić, i to na rozstaju, aby wszyscy widzieli, jak dyndasz ku uciesze sępów i kruków.

^H — Ach, ty wywłoko bojaźliwa! — krzyknął Will zgrzytając zębami. — Ty tchórze śmierdzący! Niech tylko mój wódz cię spotka, drogo'za to zapłacisz! On tobą pogardza, tak jak i wszyscy dzielni ludzie. Czyż nie wiesz, że ty i twoje imię jest pośmiewiskiem wśród całej szlachty? Taki jak ty, tchórze śmierdzący, nigdy nie pokona śmiałego Robin Hooda.

— Ha! — wrzasnął Szeryf z wściekłością. — Tak powiadasz? To ja mam być pośmiewiskiem dla twojego, jak'go tam zwiesz, wodza? Poczekaj, już ja z ciebie zrobię pośmiewisko, i to żalosne, bratku, po powieszeniu każę cię poćwiartować. — Spiął konia ostrogą i nie odezwał się więcej do Willa.

Zbliżyli się wreszcie do głównej bramy miejskiej, za którą Stutely ujrzał cudny, kraj, zielone doliny i wzgórza, a w oddali przymglone pasmo sherwoodzkich borów. A kiedy zobaczył, jak zachodzące słońce kładzie się na ugorach i łąkach, jak powleka czerwienią chaty i zagrody, kiedy usłyszał, jak słodko kłaskają na podwieczerz ptaki, a owce pobekują na stokach pagórków, i ujrzał jaskółki śmigające w pogodnych przestworzach — serce mu wezbrało tak, że cały obraz się zamazał, i Will pochylił głowę na pierś, aby nikt nie pomyślał, że się boi, widząc łzy w jego oczach. I stał tak z pochyloną głową, aż minęli bramę i wyjechali z obrębu murów miejskich. A kiedy wreszcie podniósł oczy, serce w nim zatrzepotało i zamarło z radości, ujrzał bowiem twarz jednego z leśnych przyjaciół. Zerknął szybko na boki i wszędzie napotkał dobrze znane twarze, leśni bracia zewsząd napierali na strażników. Raptem krew uderzyła mu na policzki, ba na moment mignął mu w ciźbie sam wódz; ujrawszy go Will zrozumiał, że Robin Hood stawiał się na pomoc z całą bandą. Jednakże dzielił go od nich kordon zbrojnej straży.

— Hola, nie pchać się! — krzyknął Szeryf potężnym głosem, bo tłum cisnął się zewsząd. — Co wy, chudopachołki, tak na nas napieracie? Nie pchać się, mówię!

Powstało zamieszanie i zgiełk, gdyż ktoś usiłował przepchać się przez kordon do wozu, i Stutely zobaczył, że to Mały John narobił całego bałaganu.

— Nie pchaj się, ty! — krzyknął strażnik, którego Mały John szturchnął łokciami.

— Sam się nie pchaj! — zawołał Mały John i wyrznął strażnika w kark, zwalając go z nóg jak rzeźnik wołu, a sam wskoczył na wóz obok Willa.

— Zmykaj, bracie, gdzie pieprz rośnie, bo zginiesz, Will — rzekł mu — a jeśli trzeba, to i ja z tobą zginę, bo nie doczekałbym się lepszego towarzystwa.

Po czym jednym pociągnięciem noża przeciął mu więzy u rąk i nóg i Stutely natychmiast dał chodu z wozu.

— Jak mi Bóg miły, znam tego drania! — krzyknął Szeryf. — To znany rebeliant! Brać go i nie puszczać z rąk!

Co mówiąc spał konia, kierując go na Małego Johna, uniósł się w strzemionach i ciął z całej siły, ale Mały John nurknął pod brzuchem końskim i miecz świsnął tylko przez powietrze.

— Nie, łaskawy panie Szeryfie — zawołał wynurzając się. — Muszę nawet pożyczyć od jaśnie pana miecz. — Zgrabnym ruchem wyrwał Szeryfowi oręż z ręki.

— Masz, Stutely — zawołał. — Szeryf pożyczca ci swój miecz. Stawaj ramię w ramię, chłopie, i brońmy się, bo pomoc blisko!

— Brać ich — zaryczał Szeryf jak rozwścieczony buhaj; i natarł na nich koniem, zapominając w furii, że nie ma w ręku broni.

— Strzeż się, Szeryfie! — zawołał Mały John i w tejże chwili zagrał przenikliwie róg bojowy, a smukła strzała świsnęła o cal od głowy Szeryfa. Zakotłowało się tu i ówdzie, rozległy się przekleństwa, krzyki, jęki i szczęk stali, miecze zabłyły w zachodzącym słońcu, chmara strzał świszcząc przecinała powietrze. Jedni krzyczeli: „Na pomoc!”, a drudzy: „Ratunku! Ratunku!”

— Zdrada! — ryknął Szeryf wielkim głosem. — Cofać się! Cofać! Bo wytłuką nas do nogi! — I skierował konia w tył przez największą ciżbę.

Robin Hood ze swoją bandą, gdyby tylko chciał, mógł wybić z połowę drużyny Szeryfa, ale pozwolił im przedrzeć się przez tłum i zmykać co koń wyskoczy, dla ponaglenia tylko posłał za nimi wiązkę strzał.

— Stójże! — zawołał Will do umykającego Szeryfa. — Jak chcesz pojmać Robin Hooda, to bij się z nim.

Ale Szeryf, leżąc prawie na grzbiecie końskim, nie odpowiedział, tylko przynaglił jeszcze konia ostrogą.

Wtedy Will Stutely obrócił się do Małego Johna i patrzył mu w twarz, aż łzy popłynęły mu z oczu, rozplakał się w głos i całując przyjaciela w oba policzki mówił:

— O, Mały Johnie, prawdziwy mój przyjacielu, nikogo na świecie nie kocham tak jak ciebie, Nie liczyłem już, że cię jeszcze¹ zobaczę i spotkam tutaj, a nie w raju.

Mały John nie mógł słowa z siebie wydobyć, bo też płakał.

Niebawem Robin Hood skrzyknął swoich ludzi i całą gromadą, z Willem pośrodku, oddalili się wolno w stronę SherWoodu i znikli, tak jak chmura gradowa znika po przejściu nawałnicy. Pozostawili za sobą dziesięciu ludzi Szeryfa, którzy leżeli na polu ranni —jeden lżej, inni ciężej — ale nikt nie wiedział, kto ich powalił na ziemię..’

Tak to Szeryf Nottinghamu po trzykroć usiłował pojmać Robin Hooda i po trzykroć mu się nie udało; a ostatnim razem najadł się strachu, czując, że omal nie postradał życia; powiedział więc sobie w duchu: „Ci ludzie rfe boją się ni Boga, ni diabła, ani króla, ani królewskich namiestników. Wolę już stracić swój urząd niż życie, więc nie będę więcej szukał z nimi zwady”. Zatem przez długi czas siedział w swoim zamku i nie wytykał nawet nosa z komnat, wiecznie ponury nie odzywał się do nikogo, gdyż wstydził się tego, co zaszło w ów pamiętny dzień.

Część druga, która opowiada o tym, jak Robin Hood zamienił się w rzeźnika i jak pomścił się na Szeryfie, a dalej mówi o przygodach Małego Johna na Jarmarku w Nottinghamie i o tym jak Mały John zaciągnął się na służbę u Szeryfa

I. Robin Hood zostaje rzeźnikiem

Po tych wszystkich wydarzeniach, kiedy stało się wiadome, że Szeryf po trzykroć zastawiał na niego pułapkę, Robin Hood powiedział sobie: “Jeśli nadarzy mi się sposobność, to każę Szeryfowi słono za to zapłacić. Może uda mi się zwabić go do Sherwoodu i wyprawić mu arcywesołą ucztę”. Bo gdy Robin Hood przychwycił barona czy wielmożę, grubego opata czy biskupa, to sadzał ich pod dębem i podejmował ucztą, zanim opróżnił im sakiewki.

Na razie jednak Robin Hood ze swoją bandą siedział cicho, nie wytykając nosa z sherwoodzkich borów, wiedział bowiem, że nierozsądnie byłoby kręcić się w okolicach Nottinghamu, skoro naraził “się wszelkim władzom. Leśni ludzie nie ruszali się wprawdzie ze swojej kryjówki, ale wesoło im się żyło w borze. Dla rozrywki strzelali z łuków, kto strąci wieniec z wierzbowej gałązki, aż liście trzepotały od wesołych żartów i śmiechu: kto nie pocelował w wieniec, dostawał tęgiego kuksańca, a jeśli trafił akurat na Małego Johna, to od razu nakrywał się nogami. Urządzali też zapasy i pojedynki na kije, więc z każdym dniem przybywało im wprawy, i siły.

Minął tak prawie cały rok, a w tym czasie Robin Hood nieraz przemyślał, jak odpłacić Szeryfowi pięknym za nadobne. Wreszcie zaczęło mu dokuczać przewlekłe odosobnienie; więc pewnego dnia wziął swoją tęgą pałkę i postanowił poszukać przygód. Szedł sobie beztrosko przez las, aż wynurzył się z sherwoodzkich borów. Wałęsając się po słonecznej drodze napotkał chwackiego rzeźnika, który poganiał dzielną kobyłę, zaprzężoną do wozu obwieszanego połciami mięsa. Młody rzeźnik telepiąc się na koźle pogwizdywał sobie radośnie, bo jechał na jarmark w śliczną pogodę i wesoło mu było na sercu.

— Dzień dobry, mój słowiku — powiedział Robin Hood. — Co ci tak wesoło?

— A pewno, że wesoło — odparł młody rzeźnik. — Dlaczego nie miałbym się cieszyć? Czy nie jestem zdrów jak rydz? A bo to nie mam najpiękniejszej dziewczyny w całym hrabstwie Nottingham? A bo to nie żenię się z nią w następny czwartek w cudownym mieście Locksley?

— Ha — rzekł Robin — pochodzisz z samego Locksley? Znam tam każdy kamień, każdy żywopłot, każdy strumyk i każdą połyskliwą rybę w nim, bo tam się urodziłem i wyrosłem. Dokąd to podążasz z całą jatką, mój miły przyjacielu?

— Spieszę się na targ do Nottinghamu z wołowiną i baraniną — odparł rzeźnik. — Ale ktoś ty taki, że pochodzisz z miasta Locksley?

— Szlachcic jestem, przyjacielu, a zwą mnie Robin Hoodem.

— O, Matko Najświętsza — zawołał rzeźnik — znam dobrze twoje imię i nieraz słyszałem o twoich czynach, krążą o nich gadki i pieśni. Ale niech Pan Bóg broni, żebyś miał ze mnie ściągać myto! Uczciwy jestem i krzywdy żadnej nie zrobiłem nikomu. Więc nie zadzieraj ze mną, dobry panie, bo i ja z tobą nie zadzierałem.

— Niech Pan Bóg broni — rzekł Robin — abym miał łupić takich jak ty, wesoły przyjacielu. Złamanego szeląga nie wezrnę od ciebie, bo serdecznie lubię prawdziwą saską twarz. A cóż dopiero rodaka z Locksley, który w dodatku ma się żenić w następny czwartek. Ale słuchaj, powiedz mi, za ile byś sprzedał wszystko mięso razem z koniem i furą?

— Oceniam mięso, wóz i kobyłę na cztery marki — rzekł rzeźnik — ale jeśli nie sprzedam

całego towaru, nie utarguję czterech marek.

Na co Robin Hood wydobył zza pasa sakiewkę i rzekł:

— Mam tu sześć marek. Rad bym na jeden dzień zostać rzeźnikiem i pohandlować mięsem w Nottinghamie. Może ubijemy interes i za sześć marek odstąpisz mi hurtem cały zaprzęg?

— Niech cię Pan Bóg i wszyscy święci błogosławią za uczciwe serce! — zawołał uradowany rzeźnik zeskakując z fury i biorąc sakiewkę z rąk Robina.

— O, nie — zaśmiał się Robin — wielu mnie lubi i dobrze mi życzy, ale mało kto nazywa mnie uczciwym. Wracaj, bracie, do swojej ślicznotki i ucałuj ją słodko ode mnie.

Co mówiąc wdział rzeźniczy fartuch, wdrapał się na furę i wzięwszy lejce do ręki odjechał przez las do Nottinghamu.

W mieście zatrzymał się na rynku, tam gdzie handlowali rzeźnicy, i wynajął najdogodniejszy stragan. Rozłożył swój towar i dzwoniąc w topór wyśpiewywał na wesołą nutę:

Hejże, dziewczęta, hejże, damy!

Która chce kupić mięsa —

Dam trzypensowy kotlet, proszę,

Za jedyne pensa!

Owca — za życia wykarmiona

Płatkami ze stokroci,

Wonnym fiołkiem i żonkilem,

Co się wśród łąki złoci!

Wół z pobliskiego wrzosowiska,

A baran znów z daleka,

Cielątko <— niby płeć dziewczęcia

Bielutkie jak biel mleka!

Proszę, dziewczęta, proszę damy!

Kupcie na obiad mięsa!

Dam trzypensowy kotlet — proszę,

Za jedyne pensa!

Śpiewał tak skocznie, a wszyscy słuchali w osłupieniu; kiedy skończył, zadzwonił jeszcze głośniej w żelazo, wołając krzepkim głosem:

— Komu mięsa? Komu? Po czterech cenach. Dla prałatów i opatów kilo za sześć pensów, bo nie chcę z nimi handlować. Dla radnych i mieszczuchów kilo po trzy pensy, bo wszystko mi jedno, czy kupią, czy nie. Dla miłych gospodyń kilo po jednym pensie, bo przyjemnie z nimi targować. A ślicznotkom za jeden piękny całus, bo to najlepszy zarobek.

Wtedy ludziska gapić się zaczęli, a gromadzić wokół ze śmiechem, bo nigdy jeszcze, jak miasto miastem, takiego kupca nie widzieli; ale kiedy przyszło do kupowania, okazało się, że szczerą prawdę mówił, bo gospodyniom i damom za jednego pensa dawał taką wagę, jak inni sprzedawali za trzy, a kiedy podeszła wdowa albo kobiecina uboga, to dostawała całe kilo za darmo; a od pięknej dziewczyny, gdy dała mu całusa, nie brał za mięso m grosza i niejedna ślicznotka podchodziła do jego straganu, bo oczy miał błękitne jak niebo czerwcowe i śmiał się wesoło, rozdzielając półcie.

Tym sposobem rozprzedał mięso tak prędko, że żaden rzeźnik w pobliżu nie utargował.

Zacząli więc szeptać między sobą po jatkach, a jedni mówili: “To jakiś rozbójnik, co ukradł furę, konia i mięso”; ale drudzy mówili: “Widział kto kiedy rozbójnika, żeby tak łatwo i z humorem rozstawał się z tym, co ukradł? To pewno syn marnotrawny, który sprzedał ziemię po ojcu i bawi się wesoło, póki starczy grosza”. A ponieważ tych, co tak mówili, było więcej, inni jeden po drugim przychyłili się do ich zdania.

Niebawem paru rzeźników podeszło do niego, aby się zapoznać.

— Słuchaj, bracie — zagadnął go najstarszy — jesteście z jednej branży, nie poszedłbyś z nami na obiad? Dzisiaj właśnie Szeryf wydaje w ratuszu ucztę dla naszego cechu. Strawa będzie przednia i trunków moc, a ty to lubisz, jeśli mnie oko nie myli.

— Niech tego piorun strzeli — rzekł wesoły Robin — kto by odmówił rzeźnikowi! Dalibóg, pójdę z wami ucztować, mili moi, i to prędzej, niż mogę nadażyć.

Sprzedał już cały towar, więc zamknął stragan i wybrał się z nimi do ratusza, do wielkiej Sali Cechów.

Zasiadał tam już Szeryf i wielu mistrzów rzeźniczych. Kiedy Robin wszedł w roześmianym towarzystwie, któremu właśnie opowiadał dowcip, sąsiedzi Szeryfa zaczęli szeptać: „To zupełny wariat, brał na rynku po pensie za kilo mięsa, a jak go która dzierlatka pocałowała, to dostawała towar za darmo”. A drudzy mówili:

“To syn marnotrawny, sprzedał ziemię za srebro i złoto, aby z fantazją przehulać majątek”.

Wtedy Szeryf przywołał Robina, nie poznawszy go w tym stroju, i posadził po prawicy; zapalał bowiem sympatią do młodego rozrzutnika — zwłaszcza kiedy sobie pomyślał, że strumień złota z jego kieszeni może skierować do własnej jaśnie wielmożnej sakiewki. Forytował więc Robina przy stole, śmiał się i gawędził z nim częściej niż z innymi.

Wreszcie podano wystawny obiad i Szeryf poprosił Robina, aby odmówił dziękczynienie. Na co Robin wstał i powiedział:

— Oby Pan Bóg błogosławił nas wszystkich i mięsiwo dobre, i wino słodkie w domu tym, i oby wszyscy rzeźnicy byli i pozostali tacy uczciwi jako ja.

Zaśmieli się wszyscy, a Szeryf najgłośniej, bo powiedział sobie w duchu: “Jako żywo, to syn marnotrawny i może skubną mu trochę tego złota, którym tak szasta na prawo i na lewo”. A głośno rzekł do Robina:

— Przypadłeś mi do serca, sowizdrzale. — Klepnął go po plecach.

A Robin zawtórował mu głośno śmiechem.

— Tak... — rzekł — wiem, że lubisz sowizdrzałów, bo czyż nie zaprosiłeś wesołego Robin Hooda na swoje zawody łucznicze i czyż mu z chęcią nie podarowałaś na zawsze strzały ze szczerego złota?

Szeryf zachmurzył się i cały cech rzeźników za nim, nikt się nie roześmiał prócz Robin Hooda, tylko niektórzy mrugali do siebie łobuzersko.

— Hej, napełnijcie puchary! — zawołał Robin. — Radujmy się póki czas, bo człek to proch jeno i dzisiaj żyje, jutro gnije. Więc mówię, jak już żyć, to wesoło. Nigdy nie spuszczaście nosa na kwintę, panie Szeryfie. Kto wie, czy jeszcze nie pochwycisz Robin Hooda, jeśli tylko mniej będziesz złopał wina i małmazji, jeśli brzuch ci trochę skłębnie i we łbie ci się przejaśni. Bądź wesół, człeku.

Szeryf roześmiał się, ale jakby nie w smak mu były te żarty, a rzeźnicy poszepty wali jeden do drugiego: “Dalibóg, nie widzieliśmy jeszcze takiego narwańca i hulaki. Szeryf gotów się wściec, jak tak dalej pójdzie”.

— Coście tacy smutni? — zawołał Robin. — Weselcie się, bracia. Szylingów nie liczcie, bo stawiam tę kolejkę, choćby miała kosztować dwieście funtów z okładem. Więc niechaj nikt gęby nie krzywi ani nie grzebie palcem w sakiewce, bo klnę się, że ni rzeźnik, ni Szeryf grosza nie zapłaci za tę całą ucztę.

— A toś serdeczny kompan — rzekł Szeryf — i pewno musisz mieć moc bydła rogatego i ziemi, że tak hojnie szafujesz złotem.

— A pewno, pewno, że mam — zaśmiał się Robin — bydła rogatego więcej niż pięćset sztuk mam ja i bracia moi, i nawet jednego bydłatka sprzedać się nam nie udało, inaczej nie zostałbym rzeźnikiem. A co do mej posiadłości, to nigdy nie pytałem rządcy, ile akrów posiadam.

Szeryf na to zamrugnął oczami i zachichotał w duchu.

— Wiesz co, zacny młodzieńcze — rzekł — jeśli masz trudności ze sprzedaniem bydła, to może ja ci znajdę nabywcę, który ci ulży w kłopotcie. Kto wie, czy nie o sobie mówię, bo kocham młodych i lubię ich wspierać na drodze życia. No, na ile szacujesz swoje bydło rogate?

— Hm, warte jest co najmniej pięćset funtów — rzekł Robin.

— Ho, ho — odparł wolno Szeryf, jakby się w duchu zastanawiał — lubię cię szczerze i rad bym ci pomóc, ale pięćset funtów to nie bagatela. Poza tym nie mam tyle przy sobie. Ale dam ci za to trzysta funtów, w szczerym srebrze i złocie.

— Ach, ty lichwiarzu stary! — zawołał Robin. — Dobrze wiesz, że takie stado warte jest siedemset funtów i więcej, a nawet i to za mało. Jak ci nie wstyd, z siwizną na skroni i z jedną nogą w grobie, zerować na szaleńczej fantazji młodzieńca?

Szeryf spojrzał na niego spode łba.

— Nie patrz tak na mnie, jakbyś się nachleptał gorzkiego piwa, człeku — rzekł Robin. — Przyjmuję twoją ofertę, bo pieniądz jest bardzo potrzebny mnie i moim braciom. Prowadzimy wesołe życie, a to kosztuje niemało, więc ubiję z tobą interes. Ale pamiętaj, żebyś przyniósł uczciwie trzysta funtów, bo nie ufam takim, co robią interesy na gorąco.

— Gotówkę wezmę ze sobą — rzekł Szeryf. — Ale powiedz mi, jak cię zwać, zacny młodzieńcze?

— Zwę się Robert z Locksley — odparł śmiały Robin.

— W takim razie, cny Robercie — powiedział Szeryf — wybiorę się dzisiaj obejrzyć twe rogate stado. Ale najpierw mój sekretarz przygotuje pismo, w którym ty się zobowiążesz do sprzedaży, bo nie dostaniesz gotówki bez bydła w zamian. Robin roześmiał się znów.

— No, dobra — zawołał przybijając z Szeryfem interes. — Doprawdy, moi bracia będą ci wdzięczni za te pieniądze.

Tym sposobem ubito interes; ale rzeźnicy mówili między sobą, że to parszywy podstęp ze strony Szeryfa, wyłudzić taki majątek od biednego narwańca.

Po południu Szeryf dosiadł konia i spotkał się z Robin Hoodem, który czekał nań za bramą, gdyż sprzedał kupcowi swoją kobyłę i wóz za dwie marki. Wyruszyli w drogę, Szeryf jechał konno, a Robin biegł trzymając się strzemienia. Wydostali się za miasto i śpieszyli tak zakurzonym traktem, śmiejąc się i żartując jak dwaj starzy przyjaciele, ale Szeryf powtarzał sobie w duchu: "Wypomniałeś mi Robin Hooda, lecz ten żart drogo cię będzie kosztował, bratku, całe czterysta funtów, głupcze". Bo myślał, że co najmniej tyle zarobi na całym interesie.

Wędrowali tak, aż znaleźli się na skraju sherwoodzkich borów, w które zapuszczała się droga. Szeryf rozejrzał się na wszystkie strony, odeszła go ochota do żartów i spowaźniał zaraz.

— Niech nas ręka boska broni — rzekł — i strzeże dziś od łotra zwanego Robin Hoodem.

Towarzysz jego roześmiał się w głos.

— Niechaj wasza wielmożność — rzekł — pozbędzie się niepokoju, bo dobrze znam Robin Hooda i gwarantuję, że dzisiaj nie więcej wam od niego grozi niż ode mnie.

Szeryf spojrział na niego z ukosa, powiadając sobie w duchu: “Wcale mi się nie podoba, że jest za pan brat z tym rozbójnikiem, i wolałbym trzymać się z dala od sherwoodzkich borów”.

Jednakże im dalej zagłębiali się w las, tym bardziej Szeryf stawał się małomówny. Trakt skręcał gwałtownie i kiedy wynurzyli się zza zakrętu, przecięło im drogę, stąpając lekko, stado jeleni. Robin Hood przybliżył się do Szeryfa i pokazując palcem rzekł:

— To właśnie moje bydło rogata, jasnie panie Szeryfie. Nie podoba się panu? Takie piękne i tłuste stado?

Szeryf na to gwałtownie ściągnął wodze.

— Słuchaj, bratku — rzekł — wolałbym nie być w tym lesie, bo nie odpowiada mi twoje towarzystwo. Idź sobie swoją drogą, przyjacielu, pozwól, że ja pójdą swoją.

Ale Robin zaśmiał się tylko i schwycił szeryfowego konia za uzdę.

— Nie — zawołał — poczekaj chwilkę, bo chciałbym, abyś poznał moich braci, którzy wraz ze mną posiadają te dorodne stada.

Co rzekłszy przycisnął do ust swój róg i po trzykroć zatrąbił wesoło. W jednej chwili wypadła na drogę setka ludzi z Małym Johnem na czele, sadząc wielkimi susami.

— Czego sobie życzysz, wodzu? — zapytał Mały John.

— Jakże — odparł Robin — nie widzisz, że sprowadziłem zacnego gościa do nas na ucztę? A, wstyd! Czyż nie poznajesz naszego dobrego i czcigodnego pana, Szeryfa Nottinghamu? Bierz wodze, Mały Johnie, i prowadź Szeryfa, który nas zaszczyca przyjmując zaproszenie na ucztę.

Cała banda z szacunkiem zamiotła kołpakami ziemię, bez uśmiechu i całkiem poważnie; Mały John chwycił za uzdę i prowadził wierzchowca coraz głębiej w las; całe bractwo maszerowało w ordynku, a Robin Hood towarzyszył Szeryfowi z kołpakiem “ w ręce.

Szeryf nie odezwał się ni słowem, tylko rozglądał się wokół, jak człek raptownie obudzony ze snu; a kiedy spostrzegł, że wiodą go w najgłębszą głąsę, serce uciekło mu w pięty, bo pomyślał: “Ani chybi zabiorą mi trzysta funtów, dobrze, jeśli nie przyplacę głową, bo niejedyn raz dybałem na ich życie”. Ale wszyscy wyglądali pokornie i cicho i nie spotkała go nawet najmniejsza pogróżka, jakby nikt nie miał zamiaru nastawać na jego życie czy mienie.

Dotarli wreszcie na polanę, gdzie patriarchalny dąb szeroko rozpościerał konary. Robin zasiadł pod nim na tronie z mchu, a Szeryfowi wskazał miejsce po prawicy.

— Bierzcie się do dzieła, chłopcy, a żywo — rzekł Robin — podajcie najlepsze mięsiwa i trunki, bowiem Jego Wysokość, nasz Szeryf, podejmował mnie dziś w Sali Cechów w Nottinghamie i nie puszcze go stąd głodnego.

Przez cały czas nie padło ni słowo o pieniądzech, więc Szeryf zaczął pokrzepiać się na duchu. “Bo może — powiedział sobie — Robin Hood całkiem o tym zapomniał”.

Nie opodal ognie trzaskały wesoło, pasztety przyrumieniały się pięknie, smakowity zapach pieczeni i kapłonów rozchodził się po polanie, a Robin Hood tymczasem zabawiał Szeryfa iście po królewsku. Najpierw kilku chwatów stanęło do walki na pałki, a prowadzili ją tak znakomicie, tak błyskawicznie zadawali i parowali ciosy, że Szeryf, który lubił męskie rozrywki, klaskał w ręce zapominając, gdzie się znajduje, i wołał w głos: “Brawo! Piękny cios! Brawo, ty z czarną brodą!” — nie zdając sobie sprawy, że chwali właśnie Kotlarza, który miał w jego własnym imieniu doręczyć Robin Hoodowi nakaz aresztowania.

Z kolei najlepsi strzelcy w całej bandzie zawiesili na drzewie piękny wieniec i z odległości osiemdziesięciu kroków strzelali doń z najwspanialszym łuczniczym kunsztem. Ale Szeryfowi nie

przypadło to do gustu i naburmuszył się, gdyż miał świeżo w pamięci sławne zawody łucznicze w Nottinghamie, a trofeum z nich — złota strzała — wisiało tuż za jego plecami na dębie. Kiedy więc Robin spostrzegł, co Szeryfa gnębi, przerwał tę zabawę i zawołał rodzimych muzykantów, którzy odśpiewali wesoło ballady pod dźwięk lutni.

Gdy pieśni się skończyły, rozpostarto na trawie obrusy i zastawiono królewską ucztę, pojawiła się również utoczona z baryłek małmazja, wino i krzepkie piwo w dzbanach obok rogów do czerpania i picia. Wtedy wszyscy zasiedli do półmisków, biesiadowali i pili wesoło, aż słońce zaszło i sierp księżycy prześwitywał blado przez gęstwinę drzew nad nimi.

Na koniec Szeryf powstał i rzekł:

— Dziękuję wam, wszem wobec, za tę wesołą biesiadę, którą wyprawiliście dziś dla mnie. Podejmowaliście mnie nader dwornie, dając tym samym dowód szacunku, jaki żywicie dla naszego wspaniałego króla i jego namiestnika w dzielnym hrabstwie Nottingham. Ale zmierzch zapada i muszę wyruszyć przed zmrokiem, aby nie zagubić się w lesie.

Wtedy Robin Hood i wszyscy jego ludzie powstałi, a Robin rzekł do Szeryfa:

— Komu w drogę, czcigodny panie, temu czas, ale wasza wysokość zapomniał o jednej rzeczy.

— Nie, niczego nie zapomniałem — odparł Szeryf, lecz serce uciekło mu w pięty.

— A ja powiadam, że wasza wysokość zapomniał — rzekł Robin. — Prowadzimy tu w lesie wesołą oberżę, ale kogo zapraszamy, ten płaci rachunek.

Szeryf zaśmiał się na to, ale był to śmiech nieszczerzy.

— No, braciszku mili — rzekł — zabawiłem się wesoło w waszym towarzystwie i nawet gdybyście nie pytali, dałbym wam z dwa dziesiątki funtów za tak przyjemną rozrywkę.

— Wykluczone — rzekł poważnie Robin — abyśmy mieli potraktować waszą wysokość w tak nikiemny sposób. Dalibóg, panie Szeryfie, wstydzilibym się ludziom na oczy pokazać, gdybym nie szacował królewskiego namiestnika co najmniej na trzysta funtów. Nie mam racji, chłopcy?

Odkrzyknęli z głośnym aplauzem.

— Trzysta diabłów siarczystych! — ryknął Szeryf. — Żeby wasza dziadowska ucztą była warta choć trzy funty, a co dopiero trzysta!

— Pohamuj się, wasza wysokość — rzekł z powagą Robin. — Uwielbiam cię szczerze za przemiłą ucztę, jaką wyprawiłeś mi dziś w wesołym Nottinghamie, ale są tu tacy, którzy mego uwielbienia nie podzielają. Jeśli spojrzysz w tamtą stronę, zobaczysz Willa Stutely, w którego oczach nie cieszysz się zbytnią sympatią. A masz tam i dwóch innych tęgich zuchów, którzy — choć ich nie znasz — zostali ranni swego czasu w pewnej potyczce koło Nottinghamu — kiedy, sam wiesz. Jeden miał mocno pokaleczoną rękę, ale nieźle już nią włada. Łaskawy Szeryfie, posłuchaj mojej rady. Zapłać swoją dolę bez dalszych ceregieli, bo może źle się to dla ciebie skończyć.

Kiedy mówił, rumiana twarz Szeryfa zbladła, nie odezwał się już ni słowem, tylko wbił oczy w ziemię i zagryzł dolną wargę. Wreszcie powoli wyciągnął opasał sakiewkę i cisnął ją na obrus.

— Weź sakiewkę, Mały Johnie — rzekł Robin — i sprawdź, czy rachunek się zgadza. Ufamy oczywiście naszemu Szeryfowi, ale może być mu przykro, jeśli spostrzeże poniewczasie, że nie zapłacił co do grosza.

Mały John przeliczył pieniądze i stwierdził, że sakiewka zawiera trzysta funtów w srebrze i złocie. Ale Szeryfowi zdawało się, że z każdym brzękiem monety krwi mu ubywa po kropki, a kiedy ujrzał przeliczone krocie, górę srebra i złota na drewnianym półmisku, odwrócił się i załamany wsiadł na konia.

— Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak dostojnego gościa — rzekł Robin. — A jako że późna pora, a puszcza głucha, dam wam jednego ze swoich ludzi na przewodnika.

— Broń Panie Boże! — zaperzył się Szeryf. — Trafie, dobry człowieku, bez niczyjej pomocy.

— Więc sam was podprowadzę — rzekł Robin i wzięwszy jego konia za uzdę, wywiódł go z ostępów na leśny trakt; zanim, puścił go wolno, rzekł:

— Szczęśliwej drogi, zacny Szeryfie. A kiedy następnym razem zechcesz oszwabić biedaka, syna marnotrawnego, to przypomnij sobie ucztę w sherwoodzkim borze. “Nie kupuj konia, przyjacielu miły, dopóki nie zajrzysz mu w zęby”, jak powiada nasz mądry bजारz Swanthold. Zatem, raz jeszcze, szczęśliwej drogi.

I klepnął konia po zadzie. Zwierzę ruszyło z kopyta, niosąc Szeryfa przez leśne polany.

Odtąd Szeryf gorzko przeklinał ten dzień, w którym zadał się z Robin Hoodem, gdyż wszyscy ludzie śmieli się z niego i wiele ballad krążyło po kraju o tym, jak Szeryf wybrał się łupić i wrócił do domu obłupiony do cna. Tak to chytry dwa razy traci.

Opowiemy teraz wesołe przygody Małego Johna na zawodach łuczniczych w Nottinghamie, dowiedziecie się o tym, jak pokonał Eryka z Lincolnu w sławnym pojedynku na pałki, i o tym, jak zaciągnął się na służbę Szeryfa, a także o wesołej zwadzie z szerwofowym kucharzem. Słuchajcie więc, co będzie dalej.

Wiosna minęła od owej uczy Szeryfa w Sherwoodzie i lato minęło, aż nadszedł dostatni miesiąc październik. Powietrze było chłodne i rześkie, stodoły pełne plonów, piskłeta porosły w pióra, zbiór chmielu pięknie się udał, a jabłka podejrzewały. Z czasem i ludzie przestali gadać, jak to Szeryf wyszedł na bydle rogatym, ale on sam wciąż nad tym bolał i nie mógł ścierpieć imienia Robin Hooda.

W październiku miał się odbyć w Nottinghamie urządzany tradycyjnie co pięć lat Wielki Jarmark, na który ściągali ludzie z najdalszych stron. Zazwyczaj w przewidzianych na ten dzień rozrywkach prym dzierżyło łucznictwo, ponieważ hrabstwo Nottingham słynęło z najlepszych strzelców w całej Anglii. Tego jednak roku Szeryf ociągał się długo, zanim ogłosił datę Jarmarku, bojąc się, że zjedzie nań Robin Hood ze swoją bandą. Początkowo skłonny był w ogóle nie urządzać Jarmarku, ale przyszło mu na myśl, iż narazi się na śmiech i plotki, że boi się Robin Hooda, więc wziął to pod rozwagę. Ostatecznie postanowił wyznaczyć taką nagrodę, która by nie skusiła żadnego z leśnych ludzi. Zazwyczaj przyznawano zwycięzcy dziesięć marek albo baryłkę piwa, więc tym razem Szeryf wyznaczył w nagrodę dla najlepszego strzelca dwa tłuste woły.

Usłyszawszy o tym Robin rozżościł się i powiedział:

— Niech go diabli wezmą, tego Szeryfa, żeby dawać nagrodę jak dla pastuchów! Miałem wielką ochotę wziąć znów udział w zawodach, ale co by mi przyszło z takiej nagrody, ni przyjemności żadnej, ni zysku.

Odezwał się na to Mały John.

— Posłuchaj tylko, wodzu — rzekł — byliśmy dzisiaj we trójkę pod “Błękitnym Dzikim”, Will Stutely, młody Dawid z Doncasteru i ja. Otóż usłyszeliśmy tam wszystko o Jarmarku, między innymi i to, że Szeryf specjalnie wyznaczył taką nagrodę, aby nikt z Sherwoodu nie połakomił się na nią i nie zjawił się na Jarmarku. Zatem, jeśli pozwolisz, wodzu, rad bym pójść i pokusić się o wygraną nawet tej marnej rzeczy w zacnej kompanii strzeleckiej, jaka stanie do zawodów w Nottinghamie.

— Nie, bracie — rzekł Robin — dzielny i mądry z ciebie człek, ale brak ci sprytu, takiego choćby, jaki ma nasz Stutely, a ja za nic w świecie nie dopuszczę, aby ci się stała krzywda. Jeśli się jednak uprzesz, to przynajmniej idź w przebraniu, a nuż znajdą się tacy, co cię znają.

— Zgoda, wodzu — rzekł Mały John. — Ale żadnego przebrania mi nie trzeba prócz szkarłatnego odzienia, zamiast naszej zieleni. A czuprynę i brodę ukryję pod kapturem, tak że nikt mnie nie pozna.

— Bardzo mi to nie dogadza — powiedział Robin Hood — ale skoro tak tego pragniesz, to idź, tylko trzymaj się godnie, Mały Johnie, boś jest moją prawą ręką i ciężko by mi było, gdyby spotkała cię krzywda.

Mały John przebrał się zatem w szkarłat od stóp do głów i wyruszył na Wielki Jarmark w Nottinghamie.

Wesołe dni nastąpiły w czas Jarmarku w Nottinghamie. Zielone łąki u głównej bramy miasta mieniły się od straganów poustawianych w rzędy, od kolorowych namiotów, chorągiewek i girland. Tłumy ściągnęły ze wszystkich okolic, zarówno możni, jak i pospólstwo. W niektórych namiotach

wesołe kapele przygrywały do tańca, w innych lał się miód i piwo, a w jeszcze innych sprzedawano słodczyce i specjały. Zabawa wyszła i poza stragany, na murawę, gdzie minstrelle[2] śpiewali dawne ballady, brzdąkając na harfie, albo zapaśnicy walczyli ze sobą na wysypanym trocinami ringu; ale najwięcej widzów gromadziło się wokół podium, gdzie twardzi zabijacy toczyli pojedynki na pałki.

Mały John zjawił się na Jarmarku cały w szkarłacie. Miał szkarłatne trykoty i kaftan, szkarłatny kołpak i zatknięte w nim pióro szkarłatne. Przez ramię przewiesił mocny cisowy łuk, a przez plecy kołczan pełen smukłych strzał. Oglądano się z podziwem za takim dryblasem, bo bary miał szersze niż najtęższy mąż i przerastał każdego o głowę. A i dziewczęta zerkały na niego ukradkiem, myśląc sobie, że pierwszy raz widzą tak dorodnego młodziana.

Najpierw skierował kroki tam, gdzie sprzedawano krzepkie piwo, i wskoczywszy na ławę wezwał wszystkich wokół do wypitki. — Hej, bracia mili! — wołał. — Kto wypije z dzielnym kompanem? Chodźcie, chodźcie wszyscy! Weselmy się, bo dzionek piękny, a piwo aż się pieni. Chodź tu, druhu, i ty, i ty, bracie, żaden grosza nie płaci. A nie odwracaj się, chwacki żebraku, tylko chodź do nas, i ty, wesoły kotlarzu, bo stawiam wszystkim pospołu dla prawdziwego wesela.

Wołał tak, gdy kompani ze śmiechem się tłoczyli, a słodowe piwo lało się brunatną strugą. Wychwalali go pod niebiosa, każdy się zaklinał, że kocha go jak brata; taką to miłość każdy żywi do tego, kto go ugości za darmo.

Z kolei Mały John skierował się tam, gdzie trzej kobziarze przygrywali skocznie do tańca. Odłożył na bok swój kołczan i łuk i poszedł w tany, a tak zapalczywie, że nikt mu nie sprostał. Z tuzin dziewcząt, jedna po drugiej, kusiło się na darmo, aby zmęczyć go do upadłego, ale żadnej to się nie udało; a Mały John skakał tak wysoko i strzelał palcami, i pokrzykiwał tak głośno, aż dziewczęta zaklinały się jedna przez drugą, że w życiu nie widziały tak słodkiego chłopca.

Kiedy wreszcie Mały John wytańczył się za wszystkie czasy, poszedł pooglądać sobie zawodników i walkę na pałki, przepadał bowiem za szermierką nie mniej niż za pieczystym i trunkiem. T tam spotkała go przygoda, o której przez długie lata śpiewano potem ballady.

Wśród zawodników był jeden, co nabijał guzy i kładł każdego bez wyjątku, kto tylko rzucił swój kołpak na ring. Był to cieszący się wielkim rozgłosem Eryk z Lincolnu, którego imię powtarzało się w niejednej ludowej balladzie. Zjawiwszy się tam Mały John zobaczył, że nikt nie walczy, tylko dzielny Eryk przechadza się tam i z powrotem po ringu, kołyszac pałką i wykrzykując chwacko:

— Hej, kto dla swojej krasnej bogdanki skrzyżuje pałkę z prawym szlachcicem z hrabstwa Lincoln? No, chłopcy? Stawajcie! Stawajcie który, bo pomyślę sobie, że dziewczęta w waszych stronach ze wszem nieurodzone albo — jak Nottingham szeroki — krew w was zimna i gnuśna. Lincoln wyzywa Nottingham, powiadam! Bo jeszcze nie postawił dziś nogi na deskach żaden taki, którego u nas zwą “prawdziwą pałką”.

Na to jeden drugiego trącił łokciem, powiadając: „Idź ty, Ned!” albo: “Idź ty, Tomasz!”, ale żadnemu nie uśmiechało się oberwać guza za nic.

Niebawem Eryk zoczył Małego Johna, który o głowę wyrastał nad tłum, i zawołał do niego głośno:

— Hej ty, dryblasie w szkarłacie! Bary masz potężne i łeb jak ceber twardy. Czyżby twoja luba tak brzydka była, że nie weźmiesz dla niej pałki do ręki? Dalibóg, w Nottinghamie mężczyźni schodzą na psy, bo serca nie mają ni odwagi! No, drażgalu, nie wywiniesz pałką za honor Nottinghamu?

— A jakże — rzekł Mały John — gdybym tylko miał tu swojego sękacza, z wielką ochotą trzepnąłbym cię w ciemię, ty durny pyszałku. Na zdrowie by ci wyszło, bo przestałbyś się puszyć jak kogut. — Tak mu odparował, najpierw cedząc słowa, bo podniecał się niełatwo, ale wściekłość w

nim wzbierała jak gładz toczący się z góry i pod koniec cały dyszał gniewem. Eryk z Lincolnu zaśmiał się w głos.

— Pięknie powiedziane jak na tchórza, co boi się zmierzyć ze mną po męsku — zawołał. — Sam jesteś pyszałek, postaw tylko nogę na deskach, a twoje przechwałki kołkiem ci w gardle staną!

— Dobra — rzekł Mały John — nie ma tu takiego, co by mi pożyczył tęgiej pałki, abym mógł wypróbować, ile wart ten łachmyta?

Z tuzin pałek wyciągnęło się na to do Małego Johna, a on wybrał najtwardszą i najcięższą. Przeciągając po niej okiem, powiedział:

— Trzymam w garści taki sobie patyczek, słomkę nieledwie, ale liczę, że mnie nie zawiedzie, leć... — rzucił pałkę na ring, zgrabnie wskoczył za nią i pochwycił ją znów do ręki.

Każdy stanął w swoim rogu i mierzyli się obaj złowrogim spojrzeniem, aż sędzia spotkania zawołał: “Zaczynać!” Wystąpili naprzód, ściskając pałki przez pół. Naówczas ci, co zgromadzili się wokół ringu, ujrzeni taką walkę, jakiej Nottingham jeszcze nie oglądał. Z początku Eryk z Lincolnu mniemał, że łatwo zdobędzie przewagę, więc wyszedł czelnie naprzód, jakby mówił: “Patrzcie no, dobrzy ludzie, jak w mig oporządzą tego kogucika”; ale zaraz przekonał się, że nie pójdzie mu jak po maśle. Pięknie zaatakował i z wielkim kunsztem szermierczym, lecz okazało się, że trafiła kosa na kamień. Uderzył raz, drugi, trzeci, a Mały John trzykrotnie sparował w prawo i w lewo, po czym błyskawicznie dosięgnął Eryka ślicznym ciosem na odlew, aż tamtemu w uszach zadzwoniło. Eryk zawlókł się do rogu, aby odzyskać siły, a widownia wybuchnęła gromkim krzykiem, gdyż wszyscy się cieszyli, że nottinghamczyk nabił lincolńczykowi guza; tak skończyła się pierwsza runda spotkania.

Niebawem sędzia zawołał: “Zaczynać!” i znów ruszyli na siebie, ale tym razem Eryk walczył ostrożnie, bo poznał się na przeciwniku i dobrze zapamiętał otrzymany cios. Więc w tym spotkaniu ani Mały John, ani zawodnik z Lincolnu nie dosięgnął zniemacka przeciwnika; po wzajemnym sparowaniu wielu ciosów sędzia ich rozdzielił i tak minęła druga runda.

Aż ruszyli do walki po raz trzeci i początkowo Eryk usiłował nadać mieć się na baczności, ale powoli własna nieporadność wprawiała go w szal i spadł na przeciwnika gradem wściekłych i błyskawicznych ciosów, aż trzask się rozlegał, lecz mimo wszystko nie dosięgnął Małego Johna ni razu w przepięknej obronie. Aż wreszcie Mały John zyskał sposobność do uderzenia i arcyzgrabnie ją wykorzystał. Krótkim ciosem trafił Eryka w tył głowy i zanim tamten zdążył się pozbierać, przerzucił pałkę z prawej ręki do lewej, oburącz wziął potężny zamach i strzelił Eryka prosto w łeb, aż tamten zwał się i padł bez czucia.

Widownia zaryczała tak gromko, że zewsząd zbiegli się ludzie ciekawi, co się dzieje; Mały John zaś zeskoczył z ringu i oddał pałkę temu, od kogo ją pożyczył. I tak oto skończył się sławny pojedynek między Małym Johnem i głośnym Erykiem z Lincolnu.

Ale przyszedł już czas na łuczników, by stanęli do konkursu, więc ludzie gromadnie ciągnęli ku strzelnicy. W najwygodniejszym miejscu, nie opodal tarczy, siedział na podium Szeryf w otoczeniu szlachty i dostojników. Gdy łucznicy stanęli na stanowiskach, wystąpił herold i obwieścił regulamin zawodów: każdy miał oddać po trzy strzały, a za najcelniejszy przypadnie nagroda w postaci dwóch tłustych wołów. Z dwa dziesiątki bystrych strzelców stanęło do konkursu, a wśród nich paru prawdziwych asów z Lincolnu i hrabstwa Nottingham; Mały John górował wzrostem nad tą całą gromadą. “Kto to taki, ten w szkarłacie?” — nagabywali jedni: inni zaś odpowiadali: „To ten właśnie, co powalił przed chwilą Eryka z Lincolnu”. Pogadywali tak między sobą, aż doszło to wreszcie i do uszu Szeryfa.

Ale zaczęły się zawody i łucznicy występowali po kolei, lecz choć każdy strzelał dobrze, Mały John wypadł najlepiej, gdyż trzy razy trafił w czarne kółko tarczy, w czym raz o włos od samego

środką.

“Niech żyje dryblas!” — wołał tłum, a niektórzy: “Niech żyje Reynold Zielonolistny!”, gdyż takie właśnie imię Mały John przybrał sobie na ten dzień.

Wówczas Szeryf zstąpił z podium i zbliżył się do łuczników, a po drodze wszyscy mu czapkowali. Spojrzał bacznie na Małego Johna, ale choć go nie poznał, powiedział po chwili:

— Coś jakbym cię znał, braciszku, albo i widział kiedyś.

— Całkiem możliwe — odparł Mały John — bo ja nieraz waszą dostojność widywałem — patrzył mu przy tym prosto w oczy, tak że tamten zbył się podejrzeń.

— Chwat z ciebie, przyjacielu — powiedział Szeryf — słyszę, żeś pięknie utwierdził szermierczą sławę Nottinghamu, odnosząc zwycięstwo nad lincolńczykiem. A jakże się nazywasz?

— Zwą mnie Reynold Zielonolistny, wasza dostojność — odparł Mały John; a dawna ballada, opowiadając o tym, dodaje: “Zaiste był on liściem zielonym, tylko z jakiego gatunku drzewa, żebyż to Szeryf wiedział!”

— No, Reynoldzie Zielonolistny — rzekł Szeryf — strzelasz z łuku wprost znakomicie, prawie jak ten przebiegły łotr, Robin Hobd, od którego podstępów · broń mnie, Panie Boże! Nie wstąpiłbyś do mojej drużyny, przyjacielu? Sowiec cię wynagrodzę, dostaniesz co roku trzy zmiany garderoby, wikt przedni i trunków do woli, a ponadto czterdzieści marek na każdego świętego Michała.

— A więc jako człek wolny z prawdziwą ochotą przystaję do was, wasza dostojność — powiedział Mały John z myślą, że uda mu się urządzać jakąś hecę, jeśli się zaciągnie na służbę do Szeryfa.

— Pięknie wygrałeś dwa tłuste woły — rzekł Szeryf — a dołożę do tego całą beczkę marcowego piwa, bom rad z pozyskania takiego człowieka. Klnę się, że prujesz z “łuku jak sam Robin Hood.

— Zatem — rzekł Mały John — z radości, żem dostał się na waszą służbę, oddaję dwa tuczne woły i piwa beczkę wszystkim tu zacnym zebrany gwoili serdecznej uciechy.

Podniósł się radosny okrzyk i wiele kołpaków poleciało w górę w podzięce za dar.

Jedni skoczyli zaraz, aby rozniecić wielkie ognie i obracać woły na rożnie, inni zaś odszpuntowali każdą i zaczęli wszystkich raczyć piwem; a kiedy już najedli się i napili, ile kto mógł, a wieczór zapadł i wielki księżyc, czerwony i okrągły, wstał nad wieżyczkami i basztami Nottinghamu, to wzięli się za ręce i tanczyli wokół ogni przy muzyce kobz i harf. Ale na długo przedtem, nim zabawa się zaczęła, Szeryf i jego nowy dworzanin, Reynold Zielonolistny, znaleźli się na zamku w Nottinghamie.

III. Mały John w służbie u Szeryfa

W ten sposób Mały John znalazł się na dworze szeryfowym i dosyć lekko mu się żyło, gdyż był w tak wielkich łaskach u Szeryfa, że ten uczynił go pierwszym po sobie. Mały John zasiadał z nim do stołu i towarzyszył mu na polowaniach; tak więc — polując, jedząc do syta, popijając małmazję i sypiając do południa — roztył się jak spasiony bawół. Życie płynęło mu jak po miodzie, aż do pewnego dnia, w którym Szeryf wybrał się na łowy i przez przypadek diabli wzięli całą idyllę.

Owego ranka Szeryf wyjechał na spotkanie kilku lordom, z którymi miał razem polować. Rozglądał się za swoim namiestnikiem, Reynoldem Zielonolistnym, i nie widząc go rozsierdził się, chciał bowiem pochwalić się zręcznością Małego Johna przed swoimi dostojnymi przyjaciółmi. Tymczasem ten spał chrapiąc dzielnie, póki słońce nie stanęło wysoko na niebie. Wreszcie otworzył oczy, rozejrzał się wokół, lecz wcale nie kwapił się wstać. Jasne słońce wpadało oknem, w

powietrzu unosił się słodki zapach powojów, które oplatały mury, gdyż sroga zima minęła i wiosna była znowu, więc Mały John leżał cicho, myśląc, jak ślicznie wygląda wszystko w ten cudny poranek. Wtedy właśnie usłyszał odległy głos trąbki grającej czystym i przenikliwym tonem. Dźwięk był nikły, ale jak kamyczek uderzający w taflę sadzawki naruszył gładki spokój jego myśli i wzburzył go do głębi. Dusza jego jakby ocknęła się z lenistwa, a w pamięci odżyło wspomnienie wesołego puszczańskiego życia — jak ptaki leśne śpiewają w ten rzeński poranek, jak mili sercu druhowie i przyjaciele weselą się i uczują, a może i wspominają go z rozgoryczeniem. Zaciągając się bowiem na służbę u Szeryfa, zrobił to na żarty, ale ciepło mu było w zimie przy kominku i strawa mu dogadzała, więc ociągał się odkładając z dnia na dzień swój powrót do Sherwoodu, aż minęło sześć długich miesięcy. Ale teraz rozmyślał o swoim dobrym wodzu i o Willu Stutely, umiłowanym nade wszystko w świecie, i o młodym Dawidzie z Doncasteru, którego tak dobrze wykształcił we władaniu wszelką bronią, rozmyślał tak, że ogarnęła go wielka i gryząca tęsknota za nimi i łzy napłynęły mu do oczu. Wtedy rzekł w głos: “Tyję tu jak spasiony wieprz i męskość całą zatracam, a staję się gnuśny i głupi jak but. Ale otrząsnę się z tego i wrócę do swoich najdroższych przyjaciół, i póki życia nigdy więcej od nich nie odejdę”. Co mówiąc wyskoczył z łóżka, gdyż obmierzła mu do reszty własna niemrawość.

Zszedłszy po schodach ujrzał marszałka dworu stojącego przy drzwiach od spiżarni: był to ogromny tłuścioch z potężnym pękiem kluczy u pasa. Mały John zwrócił się do niego:

— Dzień dobry, panie marszałku. Głodny jestem jak pies, bo od samego świtu nic w ustach nie miałem. Nakarm mnie przeto.

Marszałek dworu spojrział na niego ponuro i zabrzączał kluczami, gdyż nie cierpiał Małego Johna za to, że był w wielkich łaskach u Szeryfa.

— A, to ichmość Reynold Ospałolistny zgłodniał co nieco? — rzekł z przekąsem. — No, luby młodzieńcze, jak pożyjesz dłużej, to przekonasz się snadnie, że kto gnuśnieje w łóżku, temu potem kiszeczki marsza grają. Bo cóż powiada nasze stare porzekadło, proszę waszmości? „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. A waszmość śpisz bez pamięci.

— Ach, ty beczo z łojem! — krzyknął Mały John, — Nie proszę cię o błazeńskie uwagi, tylko o chleb i mięso. Ktoś ty taki, żeby mi odmawiać jedzenia? Na świętego Dunstana, mów lepiej, gdzie moje śniadanie, jeśli nie chcesz, żebym ci pogruchotał kości!

— Wasze śniadanie, panie Zapalczywolistny, jest w spiżarni — odparł marszałek dworu.

— To podaj je tu! — krzyknął Mały John, który rozsierdził się porządnie.

— Sam sobie podaj! — rzekł marszałek dworu. — Masz mnie za niewolnika, żebym biegał w dyrdy i podtykał ci pod nos jedzenie?

— Mówię, idź i przynieś je zaraz!

— A ja mówię, sam idź i sam sobie przynieś!

— Dobra, do pioruna! — rzekł Mały John z wściekłością, podskoczył i targnął drzwi spiżarni, ale okazało się, że są zamknięte. Na co marszałek wybuchnął śmiechem i zabrzączał kluczami. Wtedy Mały John zakipiał z gniewu i trzasnął pięścią w drzwi, wybijając trzy płyty szklane — zrobiła się dziura, przez którą łatwo mógł przedostać się do środka.

Gdy marszałek ujrzał, do czego doszło, wpadł w szal z wściekłości i kiedy Mały John pochylił się zaglądając do spiżarni, wpił mu się z tyłu palcami w kark i zaczął go okładać kluczami po głowie, aż tamtemu świeczki w oczach stanęły. Odwrócił się i tak trzepnął marszałka, że ten zwałił się na podłogę i leżał jak ogłuszony baran.

— Masz i zapamiętaj sobie, jak biją — powiedział Mały John — żebyś nigdy więcej nie odmawiał głodnemu dobrego śniadania.

Co rzekłszy wlaźł przez dziurę do spiżarni i rozejrzał się, czy znajdzie coś na zaspokojenie apetytu. Zobaczył ogromny pasztet z dziczyzny, dwa pieczone kapłony, za nimi półmisek jaj siewki, a ponadto flaszkę małmazji i wina kanaryjskiego — słodki widok dla zgłodniałych oczu. Zdjął to wszystko z półek, postawił na kredensie i zabierał się do biesiady.

Tymczasem Kucharz w kuchni po drugiej stronie dziedzińca usłyszał kłótnię między Małym Johnem i marszałkiem, a także cios, którym Mały John zdzielił tamtego, więc puścił się pędem przez dziedziniec i w górę po schodach do spiżarni, ściskając w ręce rożen z nadzianym kawałkiem pieczeni. Marszałek zdążył tymczasem odzyskać zmysły i podnieść się z podłogi, więc kiedy Kucharz nadbiegł po schodach, zastał marszałka przy drzwiach spiżarni, zagląającego do środka przez dziurę. Wbijał wściekłe oczy w Małego Johna, który zabierał się do uczy, spoglądając nań jak jeden pies na drugiego, któremu kość przypadła w udziale. Marszałek ujrzawszy Kucharza podszedł do niego i położył mu dłoń riam ramieniu.

— Biada, luby przyjacielu — powiedział chcąc się przypodchlebić wysokiemu i silnemu mężczyźnie, jakim był Kucharz — widzisz, co ten podły łotr, Reynold Zielonolistny, narobił? Włamał się do spiżarni naszego pana i tak trzepnął mnie w ucho, aż myślałem, że ducha wyzionę. Kucharzu zacny, szczerze cię lubię, dostaniesz codziennie pełen garniec najprzedniejszego wina, boś jest starym i wiernym sługą. Ponadto, “dobry Kucharzu, mam tu dziesięć szylingów, które pragnę ci podarować. Ale powiedz, czy cię nie boli, aby taki przybłęda, jak ten Reynold Zielonolistny, obżerał się na naszych oczach tak bezczelnie?

— A boli, czemu nie — odparł dzielnie Kucharz, w którym obudziła się sympatia do marszałka z chwilą, gdy ten wspomniał o winie i dziesięciu szylingach. — Niech waszmość zmyka do swojej komnaty, a ja już wyciągnę tego Zielonochłystka za uszy. — Co mówiąc odłożył szpikulec różną i dobył miecz z pochwy wiszącej u pasa. Wówczas marszałek czmychnął czym prędzej, gdyż nie znosił widoku nagiej stali.

Kucharz podszedł wprost do pokiereszowanych drzwi spiżarni i ujrzał przez dziurę Małego Johna, akurat jak ten zakładał sobie serwetkę pod brodę i zabierał się do ucztowania.

— Jakże to, Reynoldzie Zielonolistny? — zagadnął. — Dalibóg, poczynasz sobie nie lepiej niż zbój. Wylaż stąd w te pędy, człeku, albo poćwiartuję cię jak prosię.

— Ani mi się śni, Kucharzu. Zachowuj się przyzwoicie}, bo nauczę cię rozumu. Na ogół łagodny jestem jak baranek, ale jak mi ktoś chce sprzątnąć mięso sprzed nosa, tom wściekły lew, jako żywo.

— Lew nie lew — rzekł waleczny Kucharz — ale wylaż, bratku, albo jesteś śmierdzącym tchórzem i złodziejem.

— Ha! — krzyknął Mały John — od tchórzów nikt mnie nie wyzywał! Więc pilnuj się, kucharczyku, bo zaraz poznasz, co to wściekły lew. Ostrzegalem cię.

Po czym też dobył miecza i wylaż ze spiżarni. Przybrali szermiercze pozy i z wolna następowali na siebie z ponurymi i złymi minami, ale raptem Mały John opuścił ostrze.

— Powstrzymaj się, cny Kucharzu! — zawołał. — Bo widzisz, przyszło mi na myśl, że nie godzi się ham walczyć ze sobą, gdy smakowite wiktuały czekają tak blisko i ucztą jak dla nas dwóch wymarzona. Wiesz co, przyjacielu, myślę, że powinniśmy uraczyć się tą ucztą znakomitą, zanim staniemy do boju. Co ty na to, wesoły Kucharzu?

Na tę mowę Kucharz poskrobał się po głowie i oczami w rozterce błędził, bo przepadał za ucztowaniem, wreszcie odetchnął głęboko i rzekł do Małego Johna:

— Zgoda, przyjacielu, twój plan całkiem mi przypadł do gustu.

Więc powiadam, chłopcze miły, ucztujmy z całego serca, bo jeden z nas wieczerzać dziś może

w raju.

Więc wsunęli miecze w pochwy i udali się do spiżarni: gdy zasiedli, Mały John wydobył sztylet i ciachnął nim kawał placka.

— Głodnego trzeba nakarmić — powiedział — więc częstuję się, kochasiu, bez ceregieli.

Ale Kucharz nie pozostał w tyle, natychmiast uraczył się potężną porcją pasztetu. Nie zamienili więcej ni słowa, wykorzystując gębę na właściwsze cele. Ale choć nie odzywali się do siebie, spoglądali jeden na drugiego, myśląc sobie, że ten po drugiej stronie stołu to najdzielniejszy chłop, jakiego się w życiu widziało.

Wreszcie — po długim, długim czasie — Kucharz westchnął głęboko, jakby z wielkim żalem, i wytarł ręce w serwetkę, bo nie mógł więcej jeść. Mały John też miał już dosyć, gdyż odsunął na bok pasztet, jakby mówiąc: “Zbrzydłeś mi, przyjacielu”. Po czym wziął do ręki garniec wina i powiedział:

— No, bracie, klnę się na wszystkie świętości, że nie miałem jeszcze takiego kompana przy stole jak ty. Twoje zdrowie! — Podniósł garniec do ust, przechylił głowę i wlał sobie do gardła z pół kwarty wina. Podał garniec Kucharzowi, który odwzajemnił mu się toastem za jego zdrowie i udowodnił, że wcale nie ustępuje Małemu Johnowi ni w jedzeniu, ni w picu.

— Masz przyjemny głos, wesoły druho — rzekł Mały John. — Wyobrażam sobie, że pięknie śpiewasz ballady. Może nie?

— A podśpiewuję sobie od czasu do czasu — odparł Kucharz — ale sam nie zaśpiewam.

— Ma się rozumieć — rzekł Mały John — byłoby to nieładnie z mojej strony. Kropnij ty najpierw swoją śpiewkę, a potem ja swoją. Zobaczymy, która lepsza.

— Zgoda, kochasiu — powiedział Kucharz. — A słyszałeś kiedy skargę opuszczonej pasterki?

— Nie, jak żywo — odparł Mały John. — Ale śpiewaj, to posłucham.

Kucharz najpierw pociągnął tęgo z garnca, odchrząknął i nad podziw pięknie zaśpiewał :

SKARGĘ OPUSZCZONEJ PASTERKI

W czas wiosny, gdy się liść zieleni,
Gdy ptaszki się kojarzą w pary,
Skowronek śpiewać się nie leni
I drozd — czy młody, czyli stary —
Samotna Filis pod wierzbiną
Śpiewa i łzy jej z oczu płyną:
“Oj wierzbo, wierzbo, moja wierzbo!
Z gałązek twoich wianek splotę.
Niech skryje włosy moje złote!”

Drozd przyhołubił sobie żonę
I gołąb też już gniazdko wije —
Mój Robin w inną odszedł stronę
I innej rzuca się na szyję,
Tak więc usiadłam pod wierzbiną
I śpiewam. Z oczu łzy mi płyną:
“Oj, wierzbo, wierzbo, moja wierzbo!
Z gałązek twoich wianek splotę

I skryję włosy moje złote”.

Lecz śledź z przybrzeżnej, bliskiej wody
Nie gorszy jest od morskich śledzi —
I patrzcie — już Korydon młody
U boku pięknej Filis siedzi —
A choć są razem pod wierzbiną,
Łzy z oczu jakoś jej nie płyną —
“Oj wierzbo, wierzbo, moja wierzbo!
Z gałązek wianka już nie splecę,
Odślaniam włosy moje złote”.

— Dalibóg — zawołał Mały John — zacna to pieśń, a i prawdę niebłahą zawiera.

— Cieszę się, że ci się spodobała — powiedział Kucharz. — A teraz twoja kolej, bo nie wypada radować się samemu albo śpiewać, a drugich nie posłuchać.

— Zaśpiewam ci więc pieśń o chwackim rycerzu z dworu króla Artura. O takim, co wyrwał cierń z serca nie nadziejąc się zaraz na drugi, jak ta twoja Filis. Bo widzi mi się, że ona, aby wyleczyć jedną ranę, zadała sobie drugą. Słuchaj zatem tego, co zaśpiewam:

RYCERZ I JEGO MIŁOŚĆ

Gdy władał u nas Artur król,
Dobre to było władanie —
Rycerzy dzielnych i na schwał
Miał wesolutką kompanię.

A pośród nich, nad dziwy dziw,
Niby pacholę jakoweś,
Rycerzyk jeden sobie żył,
Co kochał cud białogłowe.

Lecz ona nie chcąc chłopca znać,
W inną odwraca się stronę —
Rycerzyk ruszył tedy w świat
I pozostawił swą donnę.

A gdy nareszcie został sam,
Wnet zaczął szlochać i wzdychać —
(Ach, nawet twardy głaz by zmiękł)
I z żalu zaczął usychać.

Serce rycerza trawił ból —
Rozpaczy bezbrzeżnej źródło —
Ból, który coraz rósł i rósł,
W miarę jak ciało wciąż chudło.

I wrócił rycerz, nim minął rok,
W wesołych kompanów koło —
I rycerz przestał wzdychać “Ach”,
I znów mu było wesoło.

Z tego wynika — sądzić śmiem
I sąd ten powtarzam dalej —
Ze jeśli tylko pełny brzuch
I serce też się nie żali.

— Niech skonam — zawołał Kucharz walnąwszy garncem w stół — ogromnie mi się ta pieśń podoba, a i morał, który siedzi w niej jak słodki orzech w skorupie.

— A toś bystry chłop — rzekł Mały John. — Pokochałem cię szczerze jak brata.

— I jam cię polubił też. Ale dzionek mija, a ja mam jeszcze robotę w kuchni i muszę zdążyć, zanim nasz pan wróci z polowania, Więc chodźmy raz dwa i załatwimy ten dzielny pojedynek, który nas czeka.

— No to już — powiedział Mały John — byle żwawo. Ze mnie kompan, bracie, i do bitki, i do wypitki. Ruszaj na korytarz, bo tam jest gdzie wywinąć mieczem, a postaram się dogodzić ci setnie.

Wyszli więc na krużganek, który prowadził do spiżarni, dobyli miecza i bez dalszych ceregieli natarli na siebie z taką furją, jakby jeden drugiego chciał porąbać na kawałki. Miecz o miecz uderzał ze szczękiem, aż iskry sypały się dokoła. Wodzili się w walce po całym krużganku z godzinę albo i więcej, a żaden drugiego nie dosięgnął, choć starali się, jak mogli; obaj bowiem byli świetnymi szermierzami i nic z ich wysiłku nie wynikło. Od czasu do czasu przerywali pojedynek zmordowani, a odetchnąwszy nieco rzucali się do walki z jeszcze większą zaciętością. Wreszcie Mały John zawołał: “Stój, dobry Kucharzu!” i obaj wsparli się na mieczach ciężko dysząc.

— Składam, bracie, uroczystą przysięgę — powiedział Mały John — że jesteś najznakomitszym szermierzem, jakiegom kiedykolwiek widział na oczy. Dalibóg, myślałem, że sieczkę z ciebie zrobię.

— A ja z ciebie, bratku — rzekł Kucharz. — Ale jakoś mi się nie udało.

— Widzisz, zastanawiałem się, o co właściwie my się bijemy — powiedział Mały John — i doprawdy sam dobrze nie wiem.

— Ani ja, na dobrą sprawę — odparł Kucharz. — Wcale nie uwielbiam tego wieprza, marszałka dworu, ale myślałem, że jak już wzięliśmy się do bitki, to bić się trzeba do skutku.

— Hm, wydaje mi się — rzekł Mały John — że zamiast pokieraszować sobie łby, lepiej by nam było zostać przyjaciółmi od serca. Co ty na to, wesoły Kucharzu? Może poszedłbyś ze mną do sherwoodzkich borów i wstąpił do bandy Robin Hooda? W puszczy żyć ci się będzie wesoło i mieć będziesz stu czterdziestu zacnych kompanów, z których jeden stoi przed tobą. Rocznie dostaniesz trzy stroje z zielonego sukna i żołdu czterdzieści marek.

— A toś mi, bracie, z nieba spadł! — zawołał Kucharz uradowany serdecznie. — To właśnie wymarzona dla mnie służba. Idę z tobą, i to z całego serca. Daj dłoń, druhu miły, odtąd jesteśmy za pan brat. A jakże się zwiesz, chłopie?

— Zwą mnie Mały John, przyjacielu.

— Co? To ty jesteś właśnie Mały John, prawa ręka samego Robin Hooda? O, nieraz o tobie słyszałem, ale nie marzyłem nawet, że cię kiedy spotkam. A to tyś jest sławny Mały John! — i Kucharz wprost oniemiał ze zdumienia, robiąc wielkie oczy.

—W rzeczy samej, jestem Mały John i przyprowadzę dziś Robin Hoodowi dzielnego ochotnika do naszej wesołej bandy. Ale zanim wyruszymy, przyjacielu, wydaje mi się, że to wielka szkoda, gdybyśmy — zjadłszy tyle u Szeryfa — nie wzięli ze sobą paru srebrnych półmisków w prezencie dla Robin Hooda od jego wysokości.

— A pewno, że szkoda — powiedział Kucharz. Zakrzętnęli się żwawo i nałowili tyle srebrnej zastawy, ile tylko zmieściło się do worka. A kiedy już napchali pełen wór srebra, wyruszyli do Sherwoodu.

Zanurzywszy się w bór dotarli wreszcie do zielonego dębu, gdzie znaleźli Robin Hooda i z sześćdziesięciu kompanów wylegujących się na soczystej murawie. Kiedy tamci ujrzeli, kogo Bóg sprowadza, zerwali się na równe nogi.

— Witaj nam! —zawołał Robin Hood. — Witaj, Mały Johnie! Wszak dawnośmy wieści od ciebie nie mieli, choć wiedzieliśmy wszyscy, żeś przystał na służbę u Szeryfa. Jak ci się wiodło przez ten długi czas?

— A znakomicie żyło mi się u Szeryfa — odpowiedział Mały John — i prosto stamtąd przybywam. Spójrz, wodzu, sprowadziłem ci Kucharza jego wysokości, i nawet ze srebrną zastawą. — Po czym opowiedział Robin Hoodowi i zebranym, co się z nim działo od chwili, gdy opuścił ich udając się na Wielki Jarmark w Nottinghamie. Na koniec wszyscy prócz Robin Hooda zanosili się ze śmiechu, tylko on miał ponurą minę.

— Nie, Mały Johnie — powiedział — dzielny i niezawodny z ciebie chłop. Cieszę się, że powróciłeś do nas, i to z tak dobrym towarzyszem jak Kucharz, którego serdecznie w naszej puszczy witamy. Ale nie podoba mi się wcale, że ukradłeś srebra Szeryfa jak zwykły, nędzny złodziejaszek. Szeryf został przez nas ukarany i postradał trzysta funtów, bo zachciało mu się oszukiwać ubogich. Ale nie uczynił nic takiego, abyśmy mieli kraść mu srebra z kredensu.

Chociaż Małemu Johnowi zrobiło się głupio, postarał się obrócić to w żart.

— Nie, wodzu — powiedział — jeśli myślisz, że Szeryf nie ofiarował nam tych półmisków, to zaraz go tu sprowadzę, abyśmy usłyszeli z jego własnych ust, że darowuje je nam ze szczerego serca. — Co mówiąc wziął nogi za pas i przepadł, zanim Robin zdążył go powstrzymać.

Całe pięć mil gnał Mały John, nim zdybał Szeryfa i jego wesołą kompanię polującą w pobliżu lasu. Zbliżywszy się do Szeryfa ściągnął kołpak i przyklęknął na jedno kolano.

— Niech Bóg ma waszą wysokość w swojej opiece — rzekł na powitanie.

— A to Reynold Zielonolistny! — zawołał Szeryf. — Skąd się zjawiasz i gdzieś się podziewał?

— Tropiłem po lesie — odparł Mały John z zaaferowaną miną — i zobaczyłem coś, czego nigdy ludzkie oczy nie widziały! Ujrzałem młodego rogowca, który był od stóp do głów zielony, a przy nim stado jeleni, ze sześćdziesiąt sztuk, też całe zielone. Nie śmiałem jednak strzelać, wasza wysokość, z obawy, że mnie na śmierć zatratują.

— Cóż to, Reynoldzie Zielonolistny — zawołał Szeryf. — Przyśniło ci się coś czy zwariowałeś, że Opowiadasz takie banialuki?

— Ani mi się nie przyśniło, ani nie zwariowałem — odparł Mały John. — I jeśli tylko pójdziesz ze mną, wasza wysokość, pokażę ci ten cudny widok, bo doglądałem go na własne oczy. Ale sam, wasza wysokość, bo w gromadzie wypłoszylibyśmy tylko całe stado.

nc.

Orszak ruszył więc naprzód i Mały John zawiódł ich w głąb boru.

— Jesteśmy, wasza wysokość — powiedział wreszcie. — Niedaleko stąd ujrzałem te niezwykle jelenie.

Szeryf zsiadł z konia i poprosił, aby inni zaczęli do jego powrotu, a Mały John poprowadził go przez gęste zarośla, aż raptem wyszli na ogromną polanę, gdzie w cieniu wielkiego dębu siedział Robin Hood wraz z całą wesołą kompanią.

— Spójrz, wasza wysokość — rzekł Mały John — oto i rogacz, o którym ci mówiłem.

Szeryf na to odwrócił się do Małego Johna i powiedział z goryczą:

— Niegdyś twoja twarz wydała mi się znajoma, ale teraz cię poznaję. Bądź przeklęty, Mały Johnie, zdradziłeś mnie podle.

Mały John wybuchnął śmiechem.

— Zaczny panie Szeryfie — powiedział — rzeczywiście rozpoznałeś mnie, jestem Mały John. Ale pozwól sobie powiedzieć, że nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby twój parszywy marszałek dworu nie chciał mnie zagłodzić i nie odmówił mi strawy, kiedy go o nią prosiłem. Ale jeśli on nie dał mi ni kęsa chleba, to zielony jeleni wyprawi ci w zamian nową ucztę, a kiedy wrócisz do domu, powiedz swojemu marszałkowi, że przyjdzie pora, gdy się z nim policzę.

Tymczasem Robin Hood zbliżył się do nich.

— Witaj nam, czcigodny Szeryfie — powiedział. — Czy przybywasz do mnie na nową biesiadę?

— Niech Pan Bóg broni! — zaklął się Szeryf z najgłębszą powagą. — Nie mam ochoty na żadne uczty i wcale nie jestem dziś głodny.

— Wszakże — rzekł Robin — jeśli nie jesteś głodny, to może dokucza ci pragnienie, ba, jestem przekonany, że wypijesz ze mną kroplę słodkiego wina. Żal mi, że jeść nic nie chcesz, bo mógłbyś mieć ucztę wedle swego gustu, gdyż tam właśnie stoi twój Kucharz.

Po czym, chcąc nie chcąc, Szeryf dał mu się zaprowadzić na dobrze znane siedzenie z mchu pod dębem.

— Hej, chłopcy! — zawołał Robin. -r- Napełnijcie Szeryfowi garniec wina po brzegi i przynieście no tu, bo gość nasz omdlewa z fadygi.

Na to jeden z drużyny przyniósł Szeryfowi napój i podając mu go pokłonił się nisko, ale Szeryf nie mógł tknąć wina-, gdyż poznał swój własny srebrny puchar i swoją własną srebrną tackę.

— Jakże — rzekł Robin — czy nie podoba się waszej wysokości nasza nowa srebrna zastawa? Dostaliśmy jej dziś pełny worek — co mówiąc zademonstrował wór srebra, który Mały John i Kucharz przynieśli ze sobą.

Szeryfa serce zabolalo, ale nie śmiejąc nic powiedzieć, wbił tylko oczy w ziemię. Robin chwilę przyglądał mu się bacznie, zanim odezwał się znowu.

— Posłuchajcie' panie Szeryfie — powiedział. — Ostatnim razem wybrałeś się do Sherwoodu, aby oszachrować biednego rozrzutnika, i sam wystrychnąłeś się na dudka. Ale teraz nie sprowadzają cię żadne złe zamiary i nie słyzałem, abyś kogoś niedawno oszukał. Pobieram dziesięcinę od grubych księży i wyniosłych wielmożów, aby pomóc tym, których grabią, i wesprzeć tych, których przyginają do ziemi. Ale nie słyzałem, abyś wyrządzał krzywdę swoim dzierżawcom w jakikolwiek sposób. Zabierz przeto swoją własność i nie bój się, bo nie wezmę ci dzisiaj nawet złamanego szeląga. Chodź, wyprowadzę cię z lasu' do twojej kompanii.

Zarzuciwszy worek na ramię poszedł przodem, a Szeryf skonsternowany pospieszył za nim, zapomniawszy języka w gębie. Szli tak, aż zbliżyli się na jakieś ćwierć wiorsty do miejsca, gdzie oczekiwali na Szeryfa towarzysze. Wtedy Robin zwrócił Szeryfowi worek ze srebrem.

— Masz tu swoją własność, Szeryfie — powiedział — i masz tu na dodatek dobrą radę ode mnie. Na drugi raz pilnuj się dobrze, zanim kogoś łacno weźmiesz na służbę. — Po czym odwrócił się na pięcie i poszedł, zostawiając ogłupiałego Szeryfa z workiem w rękach.

Czekające na niego towarzystwo nie posiadało się ze zdumienia zobaczywszy Szeryfa wychodzącego z lasu z ciężkim worem na plecach; ale choć nagabywali go, nie odpowiedział ni słowa, zachowując się jak lunatyk. W milczeniu załadował worek na grzbiet konia, po czym dosiadł go i pojechał, a reszta za nim. Ale myśli ani na chwilę nie przestawały z ogromnym zgiełkiem kłębić mu się w głowie. I tak się kończy wesoła opowieść o Małym Johnie i jego służbie u Szeryfa.

Cześć trzecia, która opowiada o tym, jak w jednym dniu spotkały Robin Hooda i innych trzy wesole przygody, w których Robin oberwał w skórę, ale i zdobył trzech dzielnych przyjaciół

I. Mały John i Garbarz z Blyth

Nieraz tak się zdarza na tym świecie, że nieszczęścia spadają na człowieka jedno po drugim, aż przypomina się znane przysłowie: “Siła złego na jednego”. Tak właśnie miało się z Robin Hoodem i Małym Johnem w pewien piękny dzionek majowy; posłuchajcie zatem, a dowiedziecie się, jak Zła Fortuna tak im się dała we znaki, że długo ją popamiętali.

Pewnego ślicznego dnia — w niedługi czas po tym, jak Mały John rzuciwszy służbę u Szeryfa powrócił do wesolej kniei wraz z Kucharzem jego wysokości, o czym opowiedzieliśmy przed chwilą — Robin Hood z paroma wybrańcami losu wylegiwał się w obozowisku na puszystej murawie pod dębem. Dzień był gorący i parny, większość bandy krzątała się i uganiała po lesie za tym lub owym, a ci zdrowi lenie wylegiwali się w cieniu całe popołudnie, strojąc żarty i opowiadając sobie ze śmiechem wesole facecje.

Powietrze tchnęło cierpką wonią maja, zarośla wokół rozbrzmiewały śpiewem ptaków — drozdów, kukulek, gołębi leśnych — a w ten ptasi koncert wpadał rześko rozbulgotany strumień, który wyrывая się z mroczonej puszczy pomykał przez słoneczną polanę pod dębem, burząc się i pieniąc wśród chropowatych głazów. I zaiste, wspaniały stanowią widok, gdy tak leżeli — wysocy, mocno zbudowani, od stóp do głów przyodziani w zieleń — pod szeroko rozpostartymi konarami dębu, którego drżące liście rozrzucały po trawie roztańczone płatki słońca.

Dawno już minęły te dobre czasy, kiedy wyrastali tacy ludzie; kiedy tęga pałka i mocny łuk hartowały mięśnie jak twarde rzemienie. Wokół Robin-Hooda zgromadził się tego dnia sam kwiat angielskiego junactwa. Był tu potężny Mały John, o muskułach jak dąb sękaty, ale rozluźnionych nieco od pałacowych wygod jakich zaznawał niedawno u Szeryfa; był tu Will Stutely, ogorzały na brąz od wiatru i słońca, a najprzystojniejszy i nie ustępujący urodą nikomu w całej środkowej Anglii z wyjątkiem Allana z Doliny, minstrela, o którym osobno usłyszycie. Był tu i Will Kędzierzawy, chudy jak chart a rączy jak młody jelen, i Dawid z Doncasteru, osilek słabszy tylko od Małego Johna, choć ledwie mu się zaczynał sypać młodzieńczy meszek na brodzie, i inni mniej lub bardziej sławni w kraju i okolicach. Nagle Robin palnął się w udo.

— Na świętego Dunstana — rzekł — omal nie zapomniałem, że nowy kwartał się zbliża, a tu nie mamy w zapasie ani łokcia sukna zielonego na przydział dla całej bandy. Trzeba się tym zająć, i to piorunem. Jazda, gotuj się, Mały Johnie! Podnieś te leniwe gnaty, bo musisz się wybrać czym prędzej do naszego dobrego kuma sukiennika, Hugona Laskonogiego z Ancasteru. Proś go, niechaj raz dwa przyśle z pięćset łokci zielonego sukna, najlepszego wyrobu z Lincolnu. A w podróży może stracisz trochę tego sadła, w któreś tak obróś z lenistwa u Szeryfa.

— Co to, to nie — wyburczał Mały John, bo tak mu już tym dokuczali, że miał tego dosyć. — Może i przytyłem nawet, ale z sadłem czy bez sadła, nie wątpię ani trochę, że jeącze potrafię na najwęższej kładce stawić czoło każdemu w SherWoodzie albo i w całym hrabstwie Nottingham, jeśli o to chodzi, ohoćby nawet ten ktoś miał tyle tylko sadła na sobie co ty, dzielny wodzu.

Na tę odpowiedź podniósł się wielki śmiech i wszyscy spoglądali na Robin Hooda, gdyż każdy wiedział, że Mały John mówił o pewnej bójce między nim a wodzem, dzięki której poznali się ze sobą.

— Niech Pan Bóg broni, abym ci zaprzeczył — powiedział Robin, sam śmiejąc się najgłośniej

— wcale się nie kwapię do bliższej znajomości z twoją pałką, Mały Johnie. Stanowczo przyznaję, że w mojej bandzie są lepsi ode mnie, jeśli chodzi o pałkę, ale nikt w całym hrabstwie Nottingham nie potrafi naciągnąć łuku moimi palcami. W każdym razie podróż do Ancasteru zapewne ci nie zaszkodzi, wybierz się więc, jak cię proszę, i to najlepiej jeszcze tego wieczoru, bo przez swój pobyt u Szeryfa masz dość znaną twarz i za dnia mógłbyś się narwać na zbrojnych pacholków jego wysokości. Poczekaj, aż przyniosę pieniądze dla naszego zacnego Hugona. Gwarantuję, że w całym hrabstwie Nottingham nie ma lepszych od nas klientów. — Co mówiąc odszedł w las, zostawiając ich na chwilę.

Niedaleko od dębu, który stanowił ich miejsce zbiórek, znajdowała się wielka skała z wykutą jaskinią, strzeżoną przez masywne dębowe drzwi naszpikowane żelaznymi kolcami i zamknięte na ogromną kłódkę. Był to skarbiec bandy. Tam właśnie skierował się Robin i odryglowawszy drzwi przyniósł ze skarbcza sakiewkę złota, którą wręczył Małemu Johnowi; miała to być zapłata dla Hugona Laskonogiego za zielone sukno.

Mały John wsunął sakiewkę w zanadrze, przepasał się mocno, wziął w garść dwumetrową pałkę, żerdź prawie, i wyruszył w drogę.

Pogwizdując sobie wędrował leśną ścieżką, która wiodła do Fosse Way, nie zbaczając ni w prawo, ni w lewo, aż dotarł wreszcie do rozgałęzienia, skąd jedna droga prowadziła prosto do Fosse Way, a drugą — o czym Mały John dobrze wiedział — do wesołej oberży “Pod Błękitnym Dzikiem”. Tutaj Mały John przestał gwizdać i zatrzymał się na rozdrożu. Najpierw rozejrzał się smętnie, a potem, zsuwając kołpak na oko, powoli podrapał się w głowę. Albowiem na widok obu tych ścieżek, dwa głosy zaczęły w nim się ścierać i zmagać; jeden krzyczał: “Tędy droga do «Błękitnego Dzika», gdzie czeka garniec brunatnego piwa i całonocna zabawa w wesołej kompanii”, a drugi “Tędy droga do Ancasteru i obowiązek, który ci powierzono”. Otóż pierwszy głos był znacznie silniejszy, gdyż Mały John przywykł do uciech na dworze u Szeryfa; zadarł więc głowę i spoglądając w błękitne niebo, po którym jasne obłoki żeglowały jak srebrne łodzie, a jaskółki śmigły kolistym lotem, powiedział: “Obawiam się, że będzie łało jak z cebra, więc lepiej przeczekam ulewę pod «Błękitnym Dzikiem», bo na pewno Robin by nie chciał, abym przemókł do suchej nitki”. I bez dalszych ceregieli pomaszzerował ścieżką w myśl własnych upodobań.

Oczywiście nic nie wskazywało na to, że pogoda się psuje, ale gdy ktoś czegoś pragnie tak jak Mały John, nie narzeka na brak racji.

Pod “Błękitnym Dzikiem” zastał czterech wesołych kompanów: rzeźnika, żebraka i dwóch bosonogich mnichów. Z daleka usłyszał ich śpiewanie, gdy zbliżał się w ciszy łagodnego zmierzchu, który już zasnuwał pagórki i doliny. Radzi byli powitać tak serdecznego moczygębę jak Mały John. Świeże garnce piwa zjawily się na stole i wśród żartów, śpiewek i wesołych pogaduszek czas im zleciał niepostrzeżenie. Zanim się obejrzel, stała się tak późna noc, że Mały John poniechał myśli o wybraniu się w drogę ciemną porą i został pod “Błękitnym Dzikiem” do samego ranka.

Otóż była to pechowa chwila dla Małego Johna, gdy gwoli przyjemności porzucił obowiązek, i srodze się to na nim zemściło, tak jak i na każdym zemścić się może, o czym się snadnie przekonacie.

Zerwał się o brzasku i wzięwszy w garść swoją tęgą pałkę, spieszenie ruszył w drogę, jakby chciał odrobić stracony czas.

W zacnym mieście Blyth mieszkał pewien Garbarz, sławny siłacz, który dokazywał cudów, odnosił zwycięstwa w zapasach i pojedynkach na pałki. Przez dziesięć lat nikt mu nie odebrał mistrzowskiego pasa jako najlepszemu w całej środkowej Anglii zapaśnikowi, aż mocarny Adam z Lincolnu powalił go na deski, łamiąc mu jedno żebro; ale na pałki nie znalazł jeszcze równego sobie

w całej szerokiej okolicy. Ponadto był rozmiłowany w łuku i skrytych wycieczkach do lasu, gdy księżyc stał w pełni i jelenie czekały na odstrzał; tak że królewscy gajowi mieli na niego baczne oko, gdyż Artur Łagodny miewał w swojej spiżarni mnóstwo mięsiwa, które bardziej pachniało dziczyzną, niż prawo na to zezwala.

Otóż na dzień przedtem, zanim Mały John wyruszył ze swoim poleceniem, Artur bawił w Nottinghamu, gdzie zajmował się sprzedażą tuzina wygarbowanych krowich skór. I o brzasku, gdy Mały John porzucił właśnie oberżę, Artur wypuścił się z miasta w powrotną drogę do domu. Szlak jego wiódł w rosisty poranek skrajem sherwoodzkich borów, gdzie ptaki witały śliczny dzień wielką i głośną radością. Przez plecy Garbarz przewiesił sobie tęgą pałkę, aby w każdej chwili mieć ją na podorędziu, i nadział skórzaną czapę tak grubą i twardą, że miecz by jej nawet nie rozciął.

Kiedy doszedł do miejsca, gdzie droga przecinała kawałek lasu, Artur Łagodny powiedział sobie: “Ani chybi o tej porze roku jelenie wychodzą z głębi boru bliżej na łąki. Może uda mi się gdzieś dojrzeć ślicznotki kochane z samego ranka”. Gdyż za niczym tak nie przepadał jak za widokiem wędrującego stada jeleni, nawet gdy nie mógł ich pomacać po żebrach opierzoną strzałą. Przeto porzucając ścieżkę zaczął węszyć i tropić po zaroślach chytrze, jak przystało na prawdziwego traperę, który nieraz wdziawał zieloną kurtkę gajowego.

Mały John tymczasem wędrował sobie beztrąsko, o niczym nie myśląc, tylko podziwiając słodkie pąki głogów i leśne jabłonie obsypane różowym kwieciem, i skowronka na niebie, który przed chwilą zerwał się z rosistej kępy i zawisł na drżących skrzydełkach wysoko w złotym słońcu, skąd rozsiewał swą piosenkę jak deszcz gwiazd. Zadzierając tak głowę, Mały John zboczył ze szlaku i znalazł się nie opodal miejsca, gdzie Artur Łagodny tropił zwierzynę pośród gęstego listowia. Usłyszawszy szelest gałęzi, Mały John zatrzymał się i spostrzegł niebawem brunatną czapę Garbarza nurkującą wśród zarośli.

“Ciekaw jestem bardzo — powiedział sobie — na co ten łobuz dybie, że tak węszy i zerka tędy i owędy. Wierzę święcie, że to parszywy łotr, nie gorszy od kłusownika, widać ma chrapkę na nasze i królewskie jelenie”. Bo Mały John, żyjąc długo w puszczy, zaczął z czasem patrzeć na wszystkie jelenie w Sherwoodzie jako na wspólną własność bandy Robin Hooda oraz króla Henryka. “Nie — mruknął po chwili — stanowczo trzeba się tym zająć”. Zapuścił się więc w zarośla i zaczął śledzić barczystego Artura.

Tak więc dłuższy czas obaj tropili, jak mogli. Mały John — Garbarza, a Garbarz -¹- jelenie. Wreszcie jakaś gałązka trzasnęła Małemu Johnowi pod nogą. Garbarz usłyszał i obracając się szybko, przywahał tamtego. Widząc, że się zdradził, Mały John pokrył tę sprawę tupetem.

— Hej ty — powiedział — co tu robisz, rabusiu jeden? Kto ci pozwolił tropić zwierzynę w Sherwoodzie? Dalibóg, masz ponurą gębę i źle ci z oczu patrzy. Nie gorszyś, moim zdaniem, od zbója i myślę, że znęciły cię tu królewskie jelenie.

— Nie, łziesz jak pies w żywe oczy — odparł śmiało Garbarz, bo chociaż został zaskoczony, niełatwo było go odstraszyć ‘gromkimi słowami. — Nie jestem zbójem, tylko uczciwym rzemieślnikiem. Co do mojej gęby, to taką mi Pan Bóg dał, a i twoja w rzeczy samej niewiele przystojniejsza, ty zuchwały bratku.

— Co, będziesz mi się odszczekiwał?! — zawołał Mały John potężnym głosem. — Aż mnie ręka świerzbi, żeby ci łeb za to rozwalić. Wiedz, chłystku jeden, zem jest, jakby nie było, jednym z królewskich leśniczych. A przynajmniej — mruknął sam do siebie — ja i moi przyjaciele troszczymy się jak najlepiej o stada najjaśniejszego pana.

— Nie dbam o to, kim jesteś — odparł śmiały Garbarz — a dopóki nie masz przy sobie swoich koleżków, nigdy nie zmusisz Artura Łagodnego do wołania o łaskę!

— Ach tak?! — krzyknął Mały John z wściekłością — Na Boga, przez twój wredny język, ty zuchwały łotrze, wplatałeś się w kabałę, z której nieprędko się wygrzebiesz. Bo sprawie ci takie ciągi, jakich jeszcze nigdy w życiu nie oberwałeś. Bierz pał w garść, chłystku, “bo nie napadam na bezbronnego.

— Stawaj, zarazo jedna! — zawołał Garbarz, bo on też zawrzał gniewem. — Wielkie słowa nawet myszy jeszcze nie zabiły. Ktoś ty taki, aby się chełpić, że rozwalisz łeb Arturowi Łagodnemu? Jeśli nie wygarbuję ci skóry, tak jak nigdy jeszcze cielaka nie wygarbowałem, to możesz pociąć moją pałkę na wykałaczkę i zwać mnie safandulą! Pilnuj się, bratku!

— Stój! — zawołał Mały John. — Zmierzymy najpierw swoje pałki, bo moja widzi mi się dłuższa, a nie chcę wykorzystywać swojej przewagi choćby o cal.

— Nie zależy mi na metrze — odparł Garbarz. — Moja pałka jest na tyle długa, żeby zwalić z nóg cielaka, więc pilnuj się bratku, powiadam.

Zatem bez dalszych ceregieli każdy chwycił oburącz swoją pałkę i ze zwłowrogą miną, spoglądając spode łba, zaczęli zbliżać się do siebie.

* * *

Tymczasem do Robin Hooda dotarły wieści, że Mały John, zamiast wykonać polecenie i udać się prosto do Ancasteru, zlekceważył swój obowiązek i spędził noc w wesołej kompanii pod “Błękitnym Dzikiem”. Robin Hood rozsierdzony tym do ostatka, wyruszył o świcie, aby zaskoczyć Małego Johna w oberży albo przynajmniej zdybać go w drodze i ulżyć sobie na nim. Kiedy tak spieszył w gniewie, układając sobie reprimendę, jaką powita Małego Johna, usłyszał zniecka wzburzone głosy, jakby jacyś doprowadzeni do pasji ludzie obrzucali się wzajem wyzwiskami. Przystanął i słuchał: “Ani chybi — powiedział sobie — to głos Małego Johna; musi gadać w wielkim gniewie. Widzi mi się, że tego drugiego głosu nie znam. Czyżby mój wierny Mały John wpadł w ręce królewskich leśniczych? Niech Pan Bóg broni! Muszę się tym zająć, i to natychmiast”.

Tak mówił sobie Robin, a gniew jego ulotnił się jak oddech na szybie — na samą myśl, że jego zaufany przyjaciel i zastępca mógł się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ostrożnie więc zaczął się skradać przez zarośla w stronę, skąd dochodziły głosy, i rozchylając liście zerknął na małą polankę — ujrzał ich, gdy z pałkami w garściach powoli zbliżali się do siebie.

“Ha! — rzekł sobie Robin — szykuje się wesoła zabawa. Dalibóg, dałbym z własnej kieszeni trzy złote dukaty, gdyby ten tęgi chłop porządnie wygrzmocił Małego Johna! Miałbym prawdziwą satysfakcję patrząc, jak Mały John obrywa guzy za to, że zlekceważył moje polecenie. Boję się jednak, że nie zakosztuję tego miłego widoku, kiepskie szansę”. Co mówiąc wyciągnął się wygodnie na ziemi, aby lepiej oglądać walkę i rozkoszować się nią do woli.

Tak jak dwa rozjuszony psy, które krążą wokół siebie, a żaden nie kwapi się skoczyć pierwszy, tak ci dwaj siłacze wodzili się wolno dokoła, czekając sposobnej chwili, aby zniecka zadać pierwszy cios. Wreszcie Mały John śmignął pałką jak błyskawica, Garbarz osłonił się, sparował i świsnął na odlew, a Mały John również osłonił się zgrabnie; i tak zaczął się ten wspaniały pojedynek. We wzajemnych atakach stratowali całą polankę, a ciosy sypały się tak gęsto i szybko, iż na odległość ktoś mógłby pomyśleć, że to z tuzin chłopów walczy na pałki. Zmagali się tak prawie pół godziny, aż zryli obcasami cały plac boju, a dyszeli z wysiłku jak woły w jarzmie. Ale Mały John gorzej się zmęczył, gdyż odwykł od twardej roboty i mięśnie nie chodziły mu tak gładko jak przed gościna u Szeryfa.

Tymczasem Robin Hood leżał sobie pod krzakiem, rozkoszując się tą piękną szermierką. “Na Boga — powiadał sobie — nie śniło mi się nawet, że zobaczę takiego partnera, z którym Mały John nie potrafi sobie poradzić. Wszakże możliwe, że pokonałby już do tej pory tego siłacza, gdyby był w

swojek dawnej formie”.

Wreszcie Mały John wypatrzył świetną okazję wkładając całą siłę w jeden cios, który mógłby powalić wołu, wyrznął Garbarza z niesłychaną mocą prosto w łeb. I gdyby nie skorzana czapa, która nie zawiodła Garbarza w potrzebie, tamten by już chyba nigdy nie wziął pałki do ręki. Jednakże cios okazał się na tyle mocny, że Garbarz zatoczył się przez polankę, i gdyby Mały John miał siły wykorzystać tę przewagę, źle by się to skończyło dla dzielnego Artura. Dał mu jednak chwilkę ochłonąć i Artur machnął pałką na odlew. Cios doszedł celu i tak palnął Małego Johna, że ten runął jak długi na ziemię, a pałka wyfrunęła mu z garści. Wtedy Artur zamierzył się powtórnie i zdzielił go po żebrach.

— Stój! — ryknął Mały John. — Bijesz leżącego?!...

— A pewno, że biję — rzekł Garbarz i znów grzmotnął go pałką.

— Dość! — ryczał Mały John. — Pomocy! Stój, powiadam! Poddaję się, przyjacielu, słyszysz?

— Masz dosyć czy jeszcze za mało? — zagadnął Garbarz ponuro, dzierząc pałkę w pogotowiu.

— Oj oj, aż nadto.

— I przyznajesz, że z nas dwóch jam jest lepszy?

— Przyznaję i... niech cię cholera weźmie — powiedział Mały John pierwsze słowo głośno, a resztę pod nosem.

— No, to możesz odejść — rzekł Garbarz. — I dziękuj swojemu patronowi, że mam miłosierne serce.

— Niech zaraza weźmie takie miłosierdzie! — zaklął Mały John podnosząc się na łokciu i obmacując obite boki. — Przysięgam, że żebra bolą mnie jak połamane ze szczętem. Powiadam ci, człeku zacny, nie myślałem nigdy, że w całym hrabstwie Nottingham znajdzie się taki, co by mi tak dogodził jak ty dzisiaj.

— Ani ja nie myślałem — zawołał Robin Hood wyskakując z zarośli i zanosząc się ze śmiechu, aż mu łzy spływały po policzkach. — Chłopie, chłopie! — mówił, na ile mu wesołość pozwalała — wykopyrtnałeś się jak butelka strącona z półki. Widziałem całą waszą walkę, to ci dopiero zabawa, i nie śniło mi się nawet, że tak sromotnie się poddasz komukolwiek w całej wesołej Anglii. Poszukiwałem ciebie, aby cię wyłajać za niewykonanie mojego rozkazu, ale zapłacił ci za to zawiązką, aż miło patrzeć, ten zacny chłop. Dalibóg, jak świsnął na odlew — a ty stałeś z rozdziawioną gębą — i jak trzepnął cię pięknie, toś poleciał na łeb na szyję, bratku, w życiu nie widziałem, żeby ktoś tak się nakrył nogami — mówił dzielny Robin, a Mały John siedział na ziemi z taką miną, jakby połykał żabę.

— Jakże się zwiesz, przyjacielu? — zwrócił się z kolei Robin do Garbarza.

— Zwą mnie Arturem Łagodnym — odparł śmiało Garbarz. — A ty jak masz na imię?

— Ha, Artur Łagodny! — zawołał Robin. — Słyszałem o tobie, bracie. To tyś nabił guza mojemu przyjacielowi w październiku na jarmarku w Ely. W tamtych stronach wołają go Jock z Nottinghamu, a my nazywamy go Wilłem Kędzierzawym. Ten zaś biedaczek, któregoś tak dziś wymłócił, zalicza się do najlepszych fecht mistrzów na pałki w całej Anglii. Zwie się Mały John, a ja zwę się Robin Hood.

— Boże! — zawołał Garbarz. — To tyś jest wielki Robin Hood, a to sławny Mały John? Dalibóg, gdybym wiedział, kim waszmo^ć jesteś, nie ośmieliłbym się nigdy podnieść ręki na ciebie. Pozwól waszmo^ć, a pomogę ci wstać i otrzepać kurtkę z kurzu.

— Obejdzie się — odparł opryskliwie Mały John, podnosząc się ostrożnie, jakby był ze szkła — dam sobie radę, człeku, bez twojej pomocy. I pozwól, że ci powiem.. gdyby nie ta twoja nędzna czapa, źle by się to dla ciebie skończyło.

Na to Robin znów parsknął śmiechem i zwracając się do Garbarza powiedział:

— Nie zechciałbyś wstąpić do mojej bandy, dzielny Arturze? Przysięgam, że należysz do na j męźnie j szych ludzi, jakich kiedykolwiek widziałem.

— Miałbym nie zechcieć? Ja? — zawołał radośnie Garbarz. — Wstępuję całym, sercem! Wiwat, wesołe życie! — wykrzyknął skacząc pod niebo i strzelając palcami. — I wiwat to, co lubię! Precz z garbnikiem, precz z cuchnącymi kadziami, precz ze wstrętną oprawianą skórą! Pójdę za tobą na koniec świata, dobry wodzu, i nie będzie takiego stada w całej puszczy, które nie zapamięta brzęku mojej cięciwy.

— A co do ciebie — iszekł Robin zwracając się ,ze śmiechem do Małego Johna — hulaj Węszcie do Ancasteru, odprowadzimy cię kawałek, żebyś znów nie. skręcił w prawo czy w lewo, chcę zobaczyć, jak wychodzisz pięknie z Sherwoodu. Bo znasz po drodze jeszcze inne karczmy.

Zatem wydostali się z zarośli natrakt i pospieszyli przed siebie.

Wędrowali tak słoneczną drogą trzej siłacze, jakich próżno szukać w całej Anglii. Wielu przystawało z podziwem oglądając się za nimi, tak szerokie mieli bary i tak mocny chód.

— Czemuś wczoraj nie udał. się prosto do Ancasteru, jak ci powiedziałem? — zagadnął Robin Małego Johna. — Nie popadłbyś w takie tarapaty, gdybyś posłuchał mojego rozkazu.

— Obawiałem się ulewy — odburknął Mały John, gdyż złościło go, że Robin wciąż sobie kpi z jego nieszczęścia.

— Ulewy! — zakrzyknął Robin i aż stanął na środku drogi, wytrzeszczając na niego oczy. — Ach, ty stary durniu! Od trzech dni kropli deszczu nie było, a co dopiero ulewy! Skąd ci się wzięła ulewa? Ani znaku o niej nie było na ziemi, na niebie ni na wodzie!

— Akurat — burknął Mały John. — Święty Swithin dzierży niebiańskie kaskady w cynowym kuble i jak mu się spodoba, może zesłać powódź wprost z jasnego nieba. Zależało ci na tym, żebym przemókł do suchej nitki?

Robin Hood ryknął śmiechem.

— A niech cię! — zawołał. — Co za dowcip siedzi w tej głowie! Któż mógłby żywić gniew do kogoś takiego jak ty, Mały Johnie?

Więc znów ruszyli dalej, prawą nogą naprzód, jak powiada przysłowie.

Zrobili już kawał drogi, dzień był ciepły, a trakt pełen kurzu i Robinowi zaczęło dokuczać pragnienie. Tuż za żywopłotem zobaczyli źródółko z wodą zimną jak lód, więc przeskoczyli przełaz i dopadli źródła, które bulgotało pod omszałym kamieniem. Przyklęknęli i czerpiąc w dłonie napili się do syta, a potem wyciągnęli się na trawie w tym chłodnym i cienistym zakątku, aby zażyć odpoczynku.

Przed nimi, za żywopłotem, ciągnął się przez równinę zakurzony trakt; za ich plecami rozpościerały się w szczerym słońcu piękne łąki i jasnozielone łany młodziutkiego zboża, a w górze rozsiewały cień szemrzące liście buku. Przyjemnie łaskotał ich w nozdrza delikatny zapach purpurowych fiołków i dzikiej macierzanki rosnącej wokół źródółka, które rozkosznie i łagodnie bulgotało. Wszędzie panowała słoneczna cisza, tylko od czasu do czasu na skrzydłach łagodnego wietrzyka dolatywało dalekie pianie koguta albo senne brzęczenie szerszenia dobierającego się do kwiatów koniczyny, albo głos zapracowanej gospodyni z najbliższej zagrody.

Panował tak przyjemnie łagodny majowy urok i było tak cudnie, że długi czas żadnemu z nich nie chciało się gadać, tylko leżeli z ramionami pod głową, gapiąc się przez migoczące liście w czyściutkie niebo. Na koniec Robin, który mniej się rozmarzył od innych i raz po raz rozglądał się dokoła, zmącił ciszę.

— O, lichu! — zawołał. — To ci dopiero rajski ptaszek, niech skonam.

Tamci podnieśli głowy i ujrzeni młodzieńca wolno idącego traktem. Rzeczywiście — Robin utrafił w sedno — mienił się jak rajski ptak i prezentował pięknie w szkarłatnej kurtce i w takichż szkarłatnych pończochach; zgrabny mieczyk wisiał mu u boku w skórzanej pochwie złotem wyszywanej; na głowie miał kołpak ze szkarłatnego aksamitu, z zawadiackim piórem, złote kędziory opadały mu na ramiona. A w palcach niósł świeżą różyczkę, którą wachał wytwornie od czasu do czasu.

— Niech zdechnę! — zaśmiał się Robin. — Widzieliście kiedyś takiego gogusia?

— Faktycznie, jak na mój smak za bardzo wystrojony — powiedział Artur Łagodny. — Ale wszystko jedno, wodzu, spójrz, jak się nosi. W ramionach szeroki, w biodrach wąski, a ręce jak

trzyma zgrabnie. Założę się, że to nie mamałyga, tylko prężne mięśnie siedzą pod tym wymuskany szkarłatem.

— Zgadza się z tobą, bracie Arturze — rzekł Mały John. — Myślę uczciwie, że to nie taka różyczka ani lukrowany galancik, jak by się wydawało.

— Tfe! — prychnął Robin. — Męli mnie na sam jego widok! Spójrzcie, jak trzyma ten kwiatusek w dwóch palcach, jakby mówił: „Dobra różyczko, nawet cię lubię, ale nie zniosę twojego zapachu dłużej niż przez chwilę”. Uważam, że obaj się mylicie, i wierzę święcie, że niechby tylko groźna mysz przebiegła mu drogę, wrzasnąłby ze strachu i padł bez czucia na ziemię. Ciekaw jestem, kto to taki.

— Ani chybi synalek jakiegoś wielkiego barona — odparł Mały John — z sakiewką nadzianą złotem wyciśniętym z cudzego potu.

— Masz rację, nie przeczę wcale — rzekł Robin. — Co za los, aby komuś takiemu, jak ten bezmyślny goguś, musieli służyć prawdziwi ludzie i tańczyć na każde jego zawołanie! I to tacy, którym rzemyka u sandałów nie jest nawet godny zawiązać. Na świętego Dunstana, świętego Alfreda, świętego Witholda i wszystkich prawych świętych w saskim kalendarzu, szafu dostaję, kiedy widzę, jak taki strojniś, zamorski przybłęda, stawia stopę na karku dzielny Sasom, do których ta ziemia należała, kiedy pradziadkowie tamtego żarli jeszcze korę z drzewa! Na jasny łuk nieba, będę tych pasibrzuchów łupił ze skóry, choćbym miał za to zawisnąć na najwyższej sośnie!

— A cóżes ty taki w gorącej wodzie kąpany, mój wodzu! — rzekł Mały John. — Uważaj, żebyś się nie zagalopował. Moim zdaniem, to nie Norman żaden, bo włosy ma za jasne. Skąd wiesz, może to dobry i prawy człek.

— Akurat — powiedział Robin — głowę daję, że poznałem się na nim. Widziałeś kiedy, aby jaki Sas krygował się jak panienka i chodził takim kroczeniem, żeby — broń Boże — bucików nie pobrudzić? W każdym razie zatrzymam gagatka i dowiem się, skąd ma te swoje pieniądze. Jeśli się mylę, to Bóg z nim, nie wezmę mu ni złamanego szeląga. A jeśli okaże się, że mam rację, to tak go oskubię jak żywą gęś na jesieni. Powiadasz, że to silny chłop, Mały Johnie. Więc leż tu i czekaj, a pokażę ci, jak puszczańskie życie hartuje człowieka, to nie to, co te twoje wygody, od nich tylko człowiek kapcanieje. No, to zostańcie tu obaj, mówię, a zobaczycie, jak policzę tamtemu gnaty.

Co rzekłszy Robin Hood zostawił ich w cieniu buka, a sam przeskoczył żywopłot, wyszedł na trakt i stanął w pośrodku drogi, wsparty pod boki.

Tymczasem nieznajomy zbliżał się wolniutko, ani nie przyspieszył kroku i w Ogóle nic sobie z tego nie robił, jakby Robin Hood nie istniał. Więc Robin stał na środku drogi i czekał, aż tamten podejdzie bliżej. A on siedł sobie wolno, wachając różyczkę, rozglądał się swobodnie, ale ni razu nie spojrzął na Robina.

— Stój! — krzyknął Robin, gdy tamten wreszcie był już blisko. — Nie ruszać się z miejsca!

— Dlaczegoż to mam stać? — zagadnął nieznajomy łagodnym i uprzejmym gipsem. — I dlaczego nie ruszać się z miejsca? Wszakże, ponieważ tego sobie życzysz, zatrzymam się na chwilę i posłucham, co takiego masz mi do powiedzenia.

— Skoro tak grzecznie spełniasz to, co ci każę — powiedział Robin — i zwracasz się do mnie tak uprzejmą mową, więc i ja potraktuję cię z pełną kurtuazją. Chciałbym, abyś wiedział, luby przyjacielu, że jestem, rzecz można, wyznawcą świętego Wilfreda, który to święty, możeś słyszał o tym, zabierał poganom — czy chcieli, czy nie chcieli — wszelkie złoto i przetapiał na gromnice. Zatem i ja na takich, co tędy przechodzą, nakładam niejaki cło, z którego dochód obracam, zdaje mi się, na lepszy pożytek niż wytapiane gromnice. A więc, kochasiu, bądź łaskaw podać mi swoją sakiewkę, abym mógł zajrzeć do niej i ocenić, najlepiej jak potrafię, czy masz więcej majątku przy

sobie, niż na to zezwala nasze prawo. Albowiem, jak powiada nasz zacny bajarz Swanthold: “Kto się roztył od zbytku, temu trzeba puścić krew”.

Młodzieniec cały czas wachał różę, którą trzymał w dwóch palcach.

— Nie — powiedział z łagodnym uśmiechem, kiedy Robin Hood skończył — mówisz w tak miły sposób, że z przyjemnością cię jeszcze posłucham, jeśli nie dokończyłeś. Nie krępuj się, bardzo cię proszę. Mam jeszcze chwilkę czasu.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia — rzekł Robin. — Daj mi teraz swoją sakiewkę, a puszcę cię niezwłocznie, gdy tylko zobaczę, co ona zawiera. Jeśli sam masz mało, nie zabiorę ci ni grosza.

— Niestety, smutno mi bardzo — odparł tamten — że nie mogę spełnić twojego życzenia. Nic dać ci nie mogę. Pozwól mi, z łaski swojej, pójść swoją drogą. Nie uczyniłem ci nic złego.

— Nie, nie pozwolę — rzekł Robin — dopóki nie pokażesz mi swojej sakiewki.

— Przyjacielu — powiedział tamten uprzejmie — mam pilną sprawę do załatwienia. Poświęciłem ci sporo czasu i wysłuchałem cię cierpliwie. Daj mi odejść spokojnie, z łaski swojej.

— Mówiłem ci już raz — rzekł srogo Robin — i powtarzam, że nie ruszysz się ni kroku, dopóki nie spełnisz mojego żądania. — Co mówiąc groźnie zamierzył się pałą.

— Niestety — powiedział smutno nieznajomy — jakże mi żal, że do tego doszło. Obawiam się, że będę musiał cię zabić, biedaku. — Co rzekłszy dobył miecza.

— Schowaj go — rzekł Robin. — Nie chcę korzystać ze swojej przewagi. Twój miecz nie sprostą mojej dębowej pałce. Mógłbym go złamać jak słomkę. Widzisz ten dębowy zagajnik przy drodze? Idź, wytnij sobie pałkę i broń się pięknie, jeśli masz gust do twardej walki.

Nieznajomy zmierzył okiem najpierw Robina, a potem jego dębową łagę.

— Masz rację, przyjacielu — powiedział wreszcie. — Faktycznie mój miecz nie może się równać z taką pałą. Poczekaj chwilkę, aż sprokuruję sobie kijaszek. — Co mówiąc odrzucił na bok różę, wepchnął miecz do pochwy i szybszym niż dotychczas krokiem skierował się do dębowego zagajnika przy drodze, o którym wspomniał Robin. Obejrzał sobie drzewka i wynalazł młodego dębczaka, który mu przypadł do gustu. Nie ściał go wcale, tylko podwinął nieco rękawy, schwycił go oburącz, zaparł się obcasem w ziemię i jednym potężnym szarpnięciem wyrwał młode drzewko z korzeniami. A potem wrócił ociosując mieczykiem gałązki i korzenie — tak spokojnie, jak gdyby nie zrobił nic szczególnego.

Mały John i Garbarz obserwowali wszystko z ukrycia, lecz kiedy ujrzeli, jak nieznajomy wyrwał z ziemi dębczaka, i usłyszeli trzask rwących się korzeni — Garbarz aż zachłysnął się powietrzem i zagwizdał przeciągle.

— O, niech mnie piorun strzeli!

— Niech skonam! — wysapał Mały John, gdy tylko ochłonał ze zdumienia. — Widziałeś, Artur? Dalibóg, nasz biedny wódz narwał się paskudnie na tego gościa. Bóg świadkiem, tak ci wyciągnął tego dębczaka z korzeniami, jakby to było źdźbło jęczmienia.

Robin Hood zaś, czego by nie myślał, czekał nieustępliwie na drodze, aż jego przeciwnik w szkarłacie stanie z nim oko w oko.

Pięknie bronił Robin Hood tego dnia honoru swoich stron. Sile przeciwnika przeciwstawił swą zrećność w tej zażartej walce. Kurz wzbil się na drodze i okrył ich chmurą, tak że chwilami Mały John i Garbarz nic nie widzieli, słyszeli tylko grzechot pałek. Robin Hood trzykrotnie trafił przeciwnika, raz w ramię, a dwa razy po żebrach, sam jednakże sparował wszystkie ciosy tamtego, z których jeden wystarczyłby, aby powalić mocnego Robina tak nisko w proch, jak nigdy jeszcze nie upadł. W końcu przeciwnik trafił tak silnie w sam środek jego pałki, że omal nie wytrącił mu jej z

ręk; uderzył powtórnie i Robin zachwiał się pod ciosem; znów się zamachnął i tym razem nie tylko przełamał osłonę, ale i zaprawił Robina tak celnie, że zwałił go z nóg na zakurzoną drogę.

— Stój! — krzyknął Robin Hood widząc, że tamten znów się zamierza. — Poddaję się!

— Stój! — krzyknął Mały John wypadając z ukrycia razem z Garbarzem. — Stój! Dość tego, mówię!

— Nie — odparł spokojnie obcy — jeśli was dwóch jeszcze, a każdy taki mocny, jak ten dobry przyjaciel, to będę musiał tego się napracować. Ale nic to, chodźcie, postaram się wszystkim wam dogodzić.

— Stójcie! — krzyknął Robin Hood. — Nie będziemy więcej walczyć. Klnę się, że mamy dziś wyjątkowego pecha, ty i ja, Mały Johnie. Wierzę święcie, że od tego piekielnego ciosu sparaliżowało mi przegub i całe ramię.

Mały John spojrzał na Robina.

— Jak się masz, dobry wodzu — powiedział. — Ojej, paskudnie ci się dostało! Dalibóg, cały kaftan masz uwalany w kurzu. Pozwól, pomogę ci wstać.

— Szlag niech cię trafi z twoją pomocą! — krzyknął gniewnie Robin. — Obejdę się bez twojej łaski, bratku.

— Ależ pozwól choć otrzepać ci kurtkę. Boję się, że biedne kości bolą cię paskudnie— powiedział Mały John z powagą, lecz i przewrotnym błyskiem w oku.

— Odczep się, mówię! — rozeźlił się Robin. — Już mi porządnie wytrzepano dziś kurtkę bez twojej pomocy. — I odwracając się do nieznanego zagadnął: — Jakże się nazywasz, bracie?

— Nazywam się Gamwell — odparł tamten.

— Co ty mówisz! — zawołał Robin. — Mam bliskich krewnych o tym nazwisku. Skąd pochodzisz, miły przyjacielu?

— Z miasta Maxfield — odpowiedział nieznanomy. — Tani się urodziłem i wychowałem, i stamtąd idę, aby odszukać młodego brata mojej matki, którego ludzie zwą Robin Hoodem. Więc gdybyś przypadkiem mógł mi wskazać drogę...

— Ha! Will Gamwell! — zawołał Robin kładąc mu dłonie na ramiona i przyglądając mu się. — Doprawdy, onże sam! Powinienem był cię poznać po tym ślicznym dziewczęcym wyglądzie... po tych wymuskanych i wytwornych manierach. Nie poznajesz mnie, chłopcze? Przyjrzyj mi się dobrze.

— A niech mnie piorun strzeli! — zawołał tamten. — Serce mi mówi, że tyś jest mój własny wuj Robin. Ależ, na pewno taki I padli sobie w objęcia, całując się w policzki. Wreszcie Robin przytrzymał go znów za ramiona, lustrując go od stóp do głów.

— To ci dopiero — rzekł — cóż to za zmiana? Dalibóg, osiem czy dziesięć lat -temu zostawiłem cię wyrostkiem, niezgrabne toto było i chuderlawe, a teraz masz ci... chłop na schwał, aż miło popatrzeć! Pamiętasz chłopcze, pokazywałem ci, jak należy trzymać w palcach strzałę i napinać łuk, tak żeby ręka nie dygotała? Zapowiadałeś się na świetnego strzelca. A nie przypominasz sobie, jak uczyłem cię szermierki, ciosów i parowania pałką?

— Owszem — rzekł młody Gamwell — a ja byłem taki w ciebie zapatrzony i uważałem, że tak wszystkich przerastasz... Jak Boga kocham, gdybym dziś wiedział, że to ty, nigdy bym się nie ośmielił podnieść na ciebie ręki. Wierzę, że nie zrobiłem ci wielkiej krzywdy.

— Nie, nie — rzekł spieszenie Robin, zerkając na Małego Johna — wcale mi nie zrobiłeś krzywdy. Ale nie mów więcej o tym, z łaski swojej. Przyznam jednak, chłopcze, że wolałbym nie poczuć drugi raz takiego ciosu na własnej skórze. Jezus Maria, mrowie mi jeszcze chodzi po ręce, od paznokci do samego łokcia. Dalibóg, myślałem, że mi ją sparaliżowało na całe życie. Powiadam ci, kuzynku, że takiego siłacza jak ty jeszcze nie widziałem. Klnę się, że łydki pode mną zadrzały,

kiedym ujrzał, jak wyrwałś z korzeniami tego zielonego dębczaka. Ale powiedz, jak to się stało, że musiałeś opuścić sir Edwarda i matkę swoją?

— Niestety, smutna to, wuju, historia, którą muszę ci opowiedzieć — rzekł młody Gamwell. — Nasz nowy rządca, który nastąpił po śmierci starego Gilesa Krzywonogiego, był wręcz bezczelnym łobuzem i sam nie wiem, dlaczego ojciec go trzymał, tyle że doglądał wszystkiego bardzo pilnie. Żółć mnie zalewała kiedym słyszał, z jakim tupetem zwraca się do ojca, który był zawsze cierpliwy dla wszystkich, jak wiesz, nieskory do gniewu i ostrych słów. No i któregoś dnia — a był to czarny dzień dla tego pyszałka — szykował się wyłajać ojca w mojej obecności. Nie wytrzymałem tego, drogi wuju, podszedłem i trzepnąłem go w ucho i — czy mi uwierzysz? — gość skonał od tego na miejscu. Mówili, że przetrąciłem mu kark czy coś w tym guście. Więc wyprawili mnie czym prędzej, żebym cię odnalazł i uciekł przed prawem. Spieszyłem właśnie w tym celu, kiedy mnie ujrzałeś, i otom jest.

— Olaboga — rzekł Robin Hood — jak na zbiegłego przestępcę zachowywałeś się tak swobodnie, aż trudno sobie wyobrazić. Któż to widział, aby ten, co zabił człowieka i uciekał z tego powodu, dreptał sobie drogą jak wytworna dama dworu i wachał przy tym różę?

— Nie, wuju — odparł Will Gamwell — co nagle to po diable, jak powiada stare przysłowie. Ponadto mam przekonanie, że z nadmiaru siły straciłem zwinność. Wszak tylko co zdziesiąłem mnie po gnatach trzy razy, a ja nie trafiłem cię nawet jeden raz, lecz pokonałem cię jeno na siłę.

— No, no — rzekł Robin — nie mówmy więcej na ten temat. Rad jestem szczerze, że cię widzę, Will. Przyniesiesz wielki zaszczyt i pożytek mojej wesołej bandzie. Ale musisz zmienić nazwisko, bo lada chwila rozesłane zostaną za tobą listy gończe. A więc ze względu na swój barwny strój będziesz się odtąd zwał na dobre Szkarłatnym Willem.

— Willu Szkarłatny — rzekł Mały John podchodząc i wyciągając swą potężną prawicę, którą tamten uściśnął — to imię pasuje do ciebie jak ulał. Z radością witam cię wśród nas. Nazywam się Mały John. A to nasz nowy nabytek, który przystąpił właśnie do bandy, krzepki Garbarz imieniem Artur Łagodny. Jesteś na najlepszej drodze do sławy, Willu, pozwól, że ci powiem, bo niejedna, wesoła ballada rozejdzie się po kraju i wiele zabawnych historii będzie się opowiadać w Sherwoodzie o tym, jak to Robin Hood uczył mnie i Artura, jak należy posługiwać się pałką. Innymi słowy, rzecz można, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

— Daj spokój, przyjacielu — powiedział Robin łagodnie, bo nie w smak mu było, aby krążyły o nim takie żarty. — Po co mamy mówić o takiej bagatelce? Proszę was, niechaj dzisiejsze zdarzenia zostaną między nami.

— Z całą chęcią — rzekł Mały John. — Ale myślałem, dobry wodzu, że ty lubisz ucieszne historyjki, bo tak często opowiadałeś żarty o tym, jak to ja utylłem, jak to mi brzuch u Szeryfa urosło, jak to...

— Nie, nie, bracie — rzekł spiesznie Robin — uważam, że wygadałem się już dosyć na ten temat.

— To dobrze — rzekł Mały John — bo prawdę mówiąc i mnie znudziło to już trochę. Ale właśnie przychodzi mi na myśl, że zdradzałeś też ochotę pokpić sobie z ulewy, która groziła wczorajszej nocy, więc...

— Nie, musiałem się pomylić — powiedział Robin Hood opryskliwie. — Przypominam sobie właśnie, rzeczywiście zdawało się, że grozi ulewa.

— Dalibóg, sam tak myślałem — rzekł Mały John. — A zatem uważasz bez wątpienia, że mądrze postąpiłem zatrzymując się na noc pod "Błękitnym Dzikim", zamiast tłuc się w taką burzliwą pogodę, racja?

— Cholera z tobą i twoimi sprawkami! — zawołał Robin Hood. —t Skoro tak chcesz, mogłeś się zatrzymać, gdzie ci się żywnie podobało!

— Powtarzam więc, to dobrze — rzekł Mały John. — Co do mnie, byłem dziś ślepy i głuchy. Nie widziałem, jak ci złocono skórę. Nie widziałem, jak wykopyrtnąłeś się i leżałeś w pyle. A jeśli ktoś powie, że tak było, to mogę mu z czystym sumieniem dać w gębę, aż mu kłamliwy język zagrzechocze o zęby.

— Chodźcie, chodźcie! — wołał Robin zagryzając dolną wargę, gdy tamci nie mogli się powstrzymać od śmiechu. — Na dzisiaj dosyć, wracamy do Sherwoodu, a ty wybierzesz się do Ancasteru innym razem, Mały Johnie.

Powiedział tak, gdyż bolały go kości i w tym stanie wołał nie narażać się na długą wędrówkę. Więc odwróciwszy się na pięcie ruszyli tam, skąd przyszli.

Minęło południe, cała czwórka szła już długo powrotną drogą do Sherwoodu, kiedy zaczął im dokuczać głód.

— Ech, żeby tak coś zjeść — odezwał się Robin Hood. — Widzi mi się, że bochen pszennego chleba z kawałkiem bielutkiego sera i łyk piwa do tego to by była królewska uczta.

— Skoro o tym mówisz — rzekł Szkarłatny Will — widzi mi się, że i ja byłbym nie od tego. Coś mi tam w środku lamentuje; “Jadła, bracie, jadła!”

— Znam tu jeden dom, niedaleko — powiedział Artur Łagodny. — I gdybym tylko miał grosiwo, przyniosłbym wam to, o czym mówicie. Wiadomo, słodki bochen chleba, śliczną gomółkę sera i bukłak ciemnego piwa.

— Jeśli o to chodzi, dobry wodzu, to wiesz, że mam przy sobie pieniądze — odezwał się Mały John.

— W rzeczy samej — rzekł Robin. — Ile by to kosztowało, Arturze, mięso i napitek dla nas wszystkich?

— Myślę, że za sześć dobrych pensów z tuzin chłopą się naje — odparł Garbarz.

— To daj mu sześć pensów, Mały Johnie — powiedział Robin — bo widzi mi się, że jak zjem za trzech, to mi prawie wystarczy.

Ruszaj więc, Arturze, z gotówką i przynieś tu zapasy. W tamtych zaroślach przy drodze cień aż miło, tam pokrzepimy się na duchu.

Mały John dał więc pieniądze Arturowi i we trójkę rozłożyli się w zaroślach czekając na powrót Garbarza.

Zjawił się po pewnym czasie, dźwigając ogromny bochen razowca, piękną gomółkę sera i przewieszony przez ramię pełen bukłak krzepkiego marcowego piwa. Szkarłatny Will wyjął na to puginał i pokroił chleb i ser na cztery piękne kawały, po czym każdy wziął swoją porcję. Robin Hood zaś pociągnął tęgi łyk piwka.

— Ha! — zawołał łapiąc oddech — w życiu mi tak nie posmakowało!

Odtąd żaden nie odezwał się ni słowem, tylko zajadali chleb z serem, aż im się uszy trzęsły, raz po raz popijając piwem.

Wreszcie Szkarłatny Will spojrzał na kęsek chleba, który mu jeszcze został w garści, i powiedział:

— Trzeba dać coś wróblom, niech mają. — Rzucił go i otrzepał okruchy z kaftana.

— Ja też mam dosyć chyba — rzekł Robin Hood.

Mały John zaś i Garbarz zdążyli do tej pory zjeść swój chleb i ser do najdrobniejszej okruszynki.

— A teraz, przyjaciele — powiedział Robin sięgając po nie opróżniony jeszcze bukłak — życzę wam, abyście zawsze byli tacy szczęśliwi jak ja po tym zdrowym posiłku. Wznoszę więc toast za was wszystkich i piję wasze zdrowie, aby wam zawsze służyło tak jak dzisiaj — co mówiąc gołnął sobie od serca. Z kolei bukłak krzepkiego piwa powędrował do Szkarłatnego Willa, potem do Małego Johna, a wreszcie w ręce Garbarza. Na początku bukłak był gruby i opasły jak kupiec, a po skończonej kolejce sflaczał i schudł jak starowinka.

— No, czuję się jak nowo narodzony — rzekł Robin — i rad bym rozerwać się trochę, zanim ruszymy w dalszą drogę. Wiesz co, Will, przypominam sobie, że masz ładny głos i ślicznie śpiewałeś piosenki. Zanuć nam coś z łaski swojej, odetchniemy sobie.

— Ja się nie wymawiam — odparł Will — zaśpiewam, ale nie sam.

— Dobrze, każdy będzie śpiewał po kolei. Zaczynaj chłopcze — rzekł Robin.

— W takim razie zgoda — powiedział Szkarłatny Will. — Przypominam sobie pieśń, którą bardzo lubił wykonywać pewien minstrel na dworze mojego ojca. Tytułu jej nie znam, więc nie powiem, ale brzmi ona tak... — odchrząknął i zaśpiewał:

Kiedy się raduje świat,
Gdy się sercom śni wesele,
Gdy na łące kwitnie kwiat
I gdy ptaszek gniazdko ściele —
Słowik nocą słodko kłaska,
Kukułeczka w lesie kuka,
Podśpiewuje drozd w gałązkach
I turkawka cicho huka —
Ale dla mnie miłszy rudzik,
Bo się swym śpiewem cały roczek trudzi.
Rudzik, rudzik
Miły rudzik —
Gdybyż to miłość była tak jak on —
A nie płochliwa,
Co wraz się zrywa,
Gdy wiatr powieje z nieprzyjaznych stron!

Gdy się z wiosną budzi moc,
Gdy wysoki lot skowronka,
Gdy z dziewczyną w słodką noc
Chłopak się po gaju błąka —
Wtedy kwitnie polna róża,
Wtedy złoci się stokrotka,
Z trawy orlik się wynurza,
Gdy fiołka gdzie napotka —
Ale bluszcz zielony rośnie,
Kiedy już wszyscy zapomną o wiosnie.
Bluszczyk, bluszczyk,
Wierny bluszczyk,
Gdybyż jej miłość była tak jak on,
Nie tak płochliwa,
Co wraz się zrywa,
Gdy wiatr powieje z nieprzyjaznych stron!

— Ładnie — pochwalił Robin — ale powiem ci szczerze, kuzynie, że w ustach takiego osiłka jak ty wolałbym jakąś skoczną balladę, a nie takie trele o ptaszkach, kwiatkach i licho wie czym. Bądź co bądź, przyjemnie to zaśpiewałaś, no i sama pieśń nie jest znów taka najgorsza. No, Garbarzu, na ciebie kolej.

— Nie wiem — bąknął z uśmiechem Artur, chyląc wstydliwie głowę jak podlotek zaproszony

do tańca — nie wiem, czy potrafię dorównać naszemu przyjacielowi. W dodatku przeziębilem się, naprawdę, coś mnie tak drapie w gardle i mam chrypę.

— Śpiewaj, śpiewaj, bracie — powiedział Mały John klepiąc go po ramieniu. — Masz ładny, głęboki głos. Daj nam posłuchać trochę.

— Na pewno pożałujecie — powiedział Artur. — Trudno, zrobię, co mogę. Słyszeliście kiedy o zaręczynach młodego Keitha, dzielnego kornwalijskiego rycerza z czasów dobrego króla Artura?

— Chyba słyszałem coś o tym — powiedział Robin — ale nie zaszkodzi posłuchać jeszcze raz, bo jak sobie przypominam, to bardzo piękna pieśń. Więc dalej, chłopie.

Garbarz odchrząknął i bez dalszych ceregieli zaczął śpiewać balladę...

O ZARĘCZYNACH RYCERZA KEITHA

W królewskim dworcu Artur król
Zasiadł — a wedle zwyczaju
Po jego bokach panów rząd —
Co najmożniejszych w kraju.

Więc czarny Lancelot jak kruk,
Gawaine o włosach z pszenicy,
Tristram i Kay, co dzierży klucz —
I inni, których nie zliczysz.

A przez witraży barwne szkło,
Znad dachu lico swe szczerząc
Tęczowe słońce słało blask
W krąg hełmom i pancerzom

I nagle cisza... krągły stół
Ucina gadkę w pół zdania —
To dama wkracza w sali próg,
Nisko ku ziemi się siania...

Nos ma jak haczyk, w oczach mgła,
Włos rozczesany i siwy,
Na brodzie zarost, wyżej wąs —
Ach, jakiż widok straszliwy!

Człapiąc — przyspiesza coraz krok,
Przed króla obliczem klęka —
A na to Kay: "Ach, cóż za stwór,
Niech boska broni nas ręka!"

"Potężny królu, twoich łask
Nie błaga nikt nadaremnie" —
Tak rzekła dama. "Czego chcesz —

Powiedział Artur — ode mnie?”

A ona: “Królu, straszny trąd
Żre moje ciało i serce.
Jedna mnie może zbawić rzecz
I ulgę przynieść rozterce.

Nie masz spoczynku dla mych stóp
I skargom moim nie ustać —
Póki mnie rycerz razy trzy
Nie ucałuje w usta.

Bezzenny mąż ów musi być,
Co z męki mej mnie wyzwoli,
A ów całunek — to nie mus,
Lecz z dobrej dań ma być woli.

Czy taki rycerz znajdzie się
O sercu wykutym w złocie,
Który by odjął bólu i trosk
Torturowanej istocie?”

“Jam jest żonaty — w takie to król
Zaraz odezwie się słowa —
Inaczej z chęcią razy trzy
W usta bym cię ucałował.

Tyś, Lancelocie, rycerz praw
Rycerstwa wódz i korona!
Cierpieniom damy połów kres,
Wyciągnij ku niej ramiona”.

A Lancelot odwraca wzrok,
Chyląc ku ziemi swe czoło...
Nie zdzierzyłby rycerzy drwin
I śmiechu ech naokoło.

“To może ty, Tristramie” — rzekł
Król Artur. Na to Tristram:
„Nie zdzierzę, królu, wybacz mi,
Że z rady nie skorzystam”.

“A ty co na to powiesz, Kay?”
“O królu, daj pokój targom.
Któraż by dama chciała ust

Dotkniętych taką wargą!”

“A ty, Gawaine?” — “Nie mogę, nie!”

“A Gearaint?” — “Biję się w piersi,
Bo niżbym dotknąć miał jej ust —
Wolałbym uścisk śmierci!”

Aż oto wstaje młody człek,
Najmłodszy z wszystkich u stoła,
I — “Jam jest gotów, królu mój,
Skrócić jej mękę” — zawoła.

A był to Keith, młodzian na schwał,
Pełen odwagi i siły.
Na brodzie włosy niby puch
Złociste mu się mieniły.

Rzekł Kay: “Kochanki nie ma Keith
I słodkich ust nie próbował...
Lecz zdobyć ją — nietrudna rzecz,
Jak świadczą damy tej słowa”.

Już Keith całuje raz i dwa,
Całuje wnet i po raz trzeci,
I — patrzcie — oto istny cud:
Twarz inną widzi naprzeciw.

Już lica płoną ogniem róż,
Czoło marmurem się bieli —
I bielsza pierś nad śniegu biel,
A oczy jak u gazeli.

Jej oddech niby lata wiew,
Co wieje ponad łąką —
A głos jak szept szumiących drzew,
Podobny chyba skowronkom.

Jej włosy niby złoto skrzą,
I dłonie białe jak mleko,
A brudny łachman zmienia się
W szatę jedwabną i lekką.

W podziwie panów patrzy rój —
A Kay: “Przysięgam oto,
Że jeśli dama zgodzi się —

Całunek dam jej z ochotą”.

Lecz młody Keith przed damą kląkł
I szaty całuje brzeżek:
“O, zwól mi rabem twoim być,
Serce ci złożyć w ofierze!”

A ona chyli się do ust,
Całuje oczy i lica —
I rzecze: “Tyś mój teraz pan,
I twojam jest niewolnica.

Majątek wszystek, jaki mam,
I wszystkie daję ci włości,
Bo któż okazał którejs z dam
Aż tyle rycerskości!

Mnie dotąd pętał srogi czar,
Tyś pocałunki dał zbawcze —
Więc kiedym wolna — miły mój,
Jam twoja, twoja na zawsze”.

— Tak... — rzekł Robin, kiedy Garbarz zakończył pieśń — dobrze zapamiętałem, śliczna ballada i o melodii bardzo przyjemnej.

— Często mi się wydawało — odezwał się Szkarłatny Will — że kryje się w niej pewna myśl, coś koło tego: nieraz człowiekowi się zdaje, że ma odrażający i paskudny obowiązek, ale jeśli, że tak powiem, śmiało całuje go w usta, to okaże się, że wcale nie jest taki plugawy.

— Masz chyba rację — powiedział Robin — i na odwrót, całujesz w usta uciechę, bo wydaje się taka cudna, a potem odżałować tego nie możesz, prawda, Mały Johnie? Dalibóg, przez taką zabawę nazbierałeś dziś sińców i guzów. No, bracie, nie spuszczaaj nosa na kwintę. Gardziołko oczyść i dawaj piosenkę.

— Nie — powiedział Mały John — nie znajdę takiej ładnej pieśni jak ta, którą zaśpiewał nam wesoły Artur. Znam tylko takie sobie śpiewki. Zresztą nie jestem dzisiaj przy głosie, a żal mi zepsuć nawet mizerną piosenkę kiepskim śpiewaniem.

Na to wszyscy zaczęli molestować Małego Johna i prosić go tak długo, aż uległ wreszcie, bo nie wypadało mu dłużej odmawiać.

— No, jak się tak upieracie, to niech wam będzie — powiedział. — Zrobię, co się da. Tak samo jak Will nie mam tytułu do swojej śpiewki, ale brzmi ona tak... — odchrząknął i zaśpiewał:

O miła ma, maj przyszedł w gości,
Hej nonny, ninny, nonny!
Najmilsza pora dla miłości —
O ninny, nonny, o hej!
Dziewczyna z chłopcem
W trawie pod kopcem,

Trawa zielona
Kwieciem skropiona,
Kozioł się leni,
Liść się zieleni
I kogut pieje,
I wietrzyk wieje —
A wkoło wszystko się śmieje!

— Co to za jeden nadchodzi drogą? — zagadnął Robin, wpadając w piosenkę.

— Tego nie wiem — burknął Mały John. — Ale wieni natomiast, że to paskudnie przerywać komuś, gdy mu dobrze wychodzi ładna piosenka.

— Nie złość się, bardzo cię proszę — powiedział Robin. — Od chwili, kiedy tylko zacząłeś śpiewać, obserwuję go, jak idzie zgarbiony pod tym ogromnym worem. Spójrz no, Mały Johnie, czy go nie znasz przypadkiem.

Mały John popatrzył we wskazanym przez Robina kierunku.

— Faktycznie — powiedział po chwili — to taki sobie młody Młynarczyk, widywałem go nieraz w okolicach Sherwoodu. Dla takiego człeczyny, moim zdaniem, nie warto psuć dobrej piosenki.

— Przypomniałeś mi, że i ja go czasem widywałem — rzekł Robin Hood. — Czy to nie jego młyn stoi za Nottinghamem, niedaleko gościńca do Salisbury?

— Masz rację. To ten sam — powiedział Mały John.

— Kawał chwata — rzekł Robin. — Widziałem jakieś dwa tygodnie temu, jak rozłożył Neda z Bradfordu jednym palnięciem po łbie, aż mu w moich oczach taki śliczny guz wyrósł, że ładniejszego w życiu nie oglądałem.

Tymczasem młody Młynarz zbliżył się drogą o tyle, że go już wyraźnie widzieli. Cały umączony zginał się tak, aby mu ciężar jak najlepiej spoczywał na plecach — był to wór z mąką, zza którego wystawała długa pałka. Krzepki Młynarczyk kroczył zakurzoną drogą całkiem dzielnie, z ciężkim worem na karku. Policzki miał rumiane jak polna róża, włosy jasne jak len i jasną, puszystą brodę.

— Prawy i dzielny chłop — rzekł Robin — tacy nam chlubę przynoszą. Zrobmy mu wesoły kawał. Napadnijmy go jak pospolici i zbóje i udawajmy, że chcemy go obrabować. A potem zabierzmy go do lasu i wyprawmy mu taką ucztę, jakiej w życiu swoim nie zakosztował. Napoimy go znakomitym kanaryjskim winem i odeślemy do domu z pełną kieszą, dając mu po koronie za każdego zabranego pensa. Co wy na to, chłopcy?

— Słowo daję, szczęśliwy pomysł — powiedział Szkarłatny Will.

— Całkiem niezły — przyznał Mały John — ale niech nas ręka boska broni od nowego bicia! Dalibóg, moje biedne kości tak mnie bołą, że...

— Przestałbyś lepiej, cicho sza — przerwał mu Robin. — Przez twój głupi jęzor wystawisz nas jeszcze obu na pośmiewisko.

— Mój głupi jęzor, tere-fere — mruknął Mały John do Artura. — Dałby Bóg, aby powstrzymał naszego wodza od wplątania nas w nową kabałę.

Ale Młynarz, sunąc drogą, zrównał się właśnie z ich kryjówką, wyskoczyli więc we czwórkę, otaczając go ze wszech stron.

— Stój, bratku! — krzyknął do niego Robin.

Na co Młynarz okręcił się powoli dokoła, z ciężarem na plecach, i przyglądał się każdemu po kolei całkiem zbaraniały, bo choć był dzielny i poczciwy, miał ciężki pomyślunek.

— Kto mi każe stać? — warknął grubym głosem, zupełnie jak ogromne psisko.

— A ja — rzekł Robin. — I radzę ci lepiej od razu posłuchać.

— A ktoś ty taki, przyjacielu? — zapytał Młynarz, zrzucając z pleców wór z mąką na ziemię. — Coście za jedni?

— Czterej zacni chrześcijanie — powiedział Robin. — Radzi byśmy pomóc ci, abys się nie poderwał pod takim ciężarem.

— Serdeczne dzięki — rzekł Młynarz — ale mój worek nie waży tyle, żebym nie mógł go sam udźwignąć.

— Źle mnie zrozumiałeś — powiedział Robin. — Miałem na myśli inny ciężar, szelągi i pensy, które masz przy sobie, nie mówiąc o srebrze i złocie. Nasz zacny bajarz Swanthold powiada, że złoto to stanowczo za ciężkie brzemię dla osła na dwóch nogach, więc z chęcią ulżymy ci nieco.

— Rety! — krzyknął Młynarz. — Co wy mi zrobicie? Nie mam przy sobie złamanego szeląga. Nie krzywdźcie mnie, błagam was, dajcie mi odejść w spokoju. Na dodatek powiem wam, jesteście na ziemiach Robin Hooda i niechby tylko przyłapał was, że próbujecie ograbić uczciwego rzemieślnika, toby wam uszy poobcinał i gnałby was batogami do samych wrót Nottinghamu.

— Szczerze mówiąc, tyle się boję Robin Hooda co siebie samego — zażartował Robin. — Trudna rada, musisz mi oddać wszystko do ostatniego pensa. Nie, bratku, rusz się tylko, to ci pałką zęby policzę.

— Nie bij! Nie trzeba — krzyknął Młynarz osłaniając się łokciem, jakby bał się ciosu. — Chcesz, to możesz mnie obszukać, sakiewkę i kieszenie, ale nie znajdziesz nic, choćbyś mnie rozebrał do gołej skóry.

— Czyżby? — rzekł Robin świdrując go oczami. — Nie weźmiesz nas na takie bajeczki. Jeśli się zbytnio nie mylę, masz co nieco na dnie tego wora z mąką. Arturze, wysyp worek na ziemię, znajdzie się tam jeden, drugi szyling, daję słowo.

— Rety! — krzyknął Młynarz padając na kolana. — Nie niszczone mi takiej dobrej mąki. Dla mnie to ruina, a dla was żaden pożytek. Oszczędźcie mąkę, a ja wam oddam pieniądze z dna worka.

— Masz! — zawołał Robin trącając łokciem Szkarłatnego Willa. — Ach tak? Więc wywąchałem, gdzie są pieniądze? Dalibóg, mam nosa do błogosławionych wizerunków króla Henrysia. Coś mi pachniało srebrem i złotem spod jęczmiennej mąki. Wyjmuj nam to zaraz, Młynarzu.

Młynarz niemrawo powstał z kolan, niemrawo i niechętnie rozwiązał supeł, powoli zanurzył ręce po łokcie w jęczmiennej mące i zaczął grzebać nimi w worku. Tamci otoczyli go kołem, nachyleni w wianuszek głowami, patrząc i dziwiąc się, co też on stamtąd wyciągnie.

Stali więc tak, głowa przy głowie, gapiąc się w otwarty worek. Tymczasem Młynarz udając, że szuka pieniędzy, zaczerpnął pełne garście mąki.

— Ha! — zawołał — są kochane pieniądze.

Na co tamci z ciekawości pochylili się jeszcze bliżej, a Młynarz raptem sypnął irn mąką w twarz. Dostała im się w oczy, nosy i usta, oslepiając ich i dusząc prawie. Najgorzej ucierpiał Artur Łagodny, bo stał akurat z ciekawie rozdziawioną gębą i wielka chmura mąki dostała mu się do gardła, aż chwycił go taki kaszel, że ledwie mógł ustać na nogach.

Zataczali się we czwórkę, rycząc, bo ich oczy piekły, i trąc je, aż im łzy pożłobiły umazane mąką twarze, a Młynarz tymczasem chwycił jedną garść mąki za drugą i ciskał im prosto w gębę, więc ledwie przejrzeliby trochę, zaraz ślepli na nowo, i to lepiej niż najgorszy żebrak w całym Nottinghamie, a włosy, brody i ubrania mieli bielusieńkie jak śnieg.

A Młynarz porwał swoją ogromną lagę i zaczął młócić nią wokoło, jakby dostał pełnego

fiola. Cała czwórka skakała jak w ukropie, ale tak poślepli, że ani bronić się, ani uciec nie mieli sposobu. Bęc! Bęc! łomotała ich pałka po tyłkach, a za każdym, ciosem biały obłok mąki wzbijał się z ich kaftanów i żeglował na łagodnym wietrze.

— Dość! — ryknął Robin wreszcie. — Opamiętaj się, przyjacielu, jestem Robin Hood!

— Łzesz, łotrze jeden! — krzyknął Młynarz i zdzielił go po żebrach, aż wzbila się chmura wielka jak kłęb dymu. — Dzielny Robin nigdy nie ograbił uczciwego kupca. Ha! Zachciało ci się moich pieniędzy, tak? — i dołożył mu jeszcze raz. — A, zapomniałem o tobie, długonogi szelmo. Tobie też się należy, każdemu po równo — i rymnął Małego Johna po plecach, aż ten poskakał na skraj drogi. — Nie bój się, czarnobrody, i ciebie nie ominie! — i tak ćwiknął Garbarza w łepetynę, że ten mimo kaszlu zaryczał wniebogłosy. — No, a ty, w szkarłatnym kaftanie, pozwól, że strzepnę z ciebie pyłek! — zawołał okładając Szkarłatnego Willa. I tak częstował ich wesolutko razami, aż ledwie trzymali się na nogach, a jak zobaczył, że któryś odzyskuje wzrok, to zaraz sypał mu w twarz mąkę. Nareszcie Robin Hood odszukał swój róg, przytknął go do ust i głośno zadał po trzykroć.

Przypadek zdarzył, że Will Stutely z drużyną Robinowych ludzi znalazł się na polanie niedaleko miejsca, gdzie odchodziła ta wesola zabawa. Usłyszawszy zgiełk i odgłosy takie jak młócenie cepa w stodole, zatrzymali się nasłuchując i dziwiąc się, co to takiego.

— Jeśli się nie mylę — powiedział Will Stutely — to jakaś zażarta bitwa na pałki toczy się niedaleko stąd. Rad bym ucieszyć nią oko.

Co mówiąc ruszył w stronę, skąd nadlatywała wrzawa, a za nim reszta drużyny. Kiedy byli już niedaleko źródła zgiełku, usłyszeli powtórzony trzykrotnie sygnał rogu Robina.

— Biegiem! — krzyknął młody Dawid z Doncasteru. — Nasz wódz na gwałt potrzebuje pomocy!

Więc bezzwłocznie rzucili się hurmem naprzód i wypadli z zarośli na gościniec.

Ale jakież spotkał ich widok! Cały gościniec był biały od mąki, a na nim pięciu ludzi tak samo białych od stóp do głów, bo i Młynarz sypiąc mąką sam się też upaprał.

— Czego ci trzeba, wodzu? — zawołał Will Stutely. — I co to wszystko znaczy?

— ‘Jakże — wybuchnął Robin w wielkiej pasji — ten zdrajca o mały włos mnie nie zabił. Gdybyś nie zdążył na czas, Stutely, bracie, twój wódz już by nie żył.

Po czym, gdy cała czwórka przecierała oczy z mąki, a Will Stutely ze swoimi ludźmi otrzepywał im ubrania, Robin opowiedział wszystko po kolei; o tym jak chciał Młynarzowi zrobić kawał, który się tak paskudnie skrupił na nich samych.

— Piorunem, chłopcy, chwytać niegodziwca! — zawołał Stutely, który niemal dusił się ze śmiechu, tak jak i cała reszta. Kilku więc zaraz osaczyło krzepkiego Młynarza, schwytali go i cięciwami związali mu z tyłu ręce.

— Ha! — krzyknął Robin, gdy przyprowadzono dygoczącego Młynarza. — Chciałeś mnie zamordować, co? Jak Boga szczerze kocham — urwał i wpatrywał się w Młynarza złowrogo. Lecz gniew zaczął go opuszczać, więc najpierw Robin zamrugał oczami, a potem wybuchnął śmiechem mimo wszystko.

Kiedy tylko stojący kołem ludzie zobaczyli, że ich wódz się śmieje, nie mogli dłużej się powstrzymać, i potężny śmiech gruchnął w jednej chwili. Wielu aż nie mogło ustać, tylko tarzali się po ziemi ze szczerzej uciechy.

— Jak się nazywasz, dobry człowieku? — odezwał się nareszcie Robin do Młynarza, który stał z otwartą gębą, jakby dostał kręćka.

— Biada mi, panie. Jestem Muszka, syn młynarza — wybąkał przerażonym głosem.

— Klnę się — zażartował Robin, klepiąc go mocno po ramieniu — że jesteś najpotężniejszą

Muszką, jaką widziałem na oczy.

Rzuciłbyś ten zapyłony młyn i przystał do mojej bandy, co? Dalibóg, szkoda, aby taki chwyt jak ty całe życie przesiewał mąkę.

— Skoro mi wybaczasz wszystkie razy, jakie ci zadałem nie wiedząc, kim jesteś, to z prawdziwą ochotą do ciebie przystaję — powiedział Muszka.

— Zatem pozyskałem dziś dla swojej drużyny — rzekł Robin — trzech najtęższych chwatów w całym hrabstwie Nottingham. Idźmy do obozu i wyprawmy wesołą ucztę na cześć naszych nowych przyjaciół, a może pucharek lub dwa małmazji czy kanaryjskiego wina ulży mi trochę i moim obolałym gnatom, choć niejeden dzionek minie, zanim wrócę do siebie, słowo daję. — Co powiedziawszy obrócił się na pięcie i poszedł przodem, a reszta za nim; na powrót zanurzyli się w las i znikli z oczu.

Tej nocy wielka łuna trzaskających ognisk oświetlała polanę, bo choć Robin i cała trójka z wyjątkiem Muszki, syna młynarza, była boleśnie pobita i podrapana na całym ciele, to jednak nie byli tacy zmaltretowani, żeby się nie poweselić na uczcie wydanej na cześć nowych członków bandy. Po dalekich i cichszych zakamarkach lasu odbijały się echa pieśni, żarty i śmiech, noc mijała szybko, tak jak zwykle mijają chwile uciechy, aż wreszcie wszyscy rozeszli się po swoich szałasach i nastąpiła cisza, tak jakby wszystko zasnęło.

Tak oto w ciągu jednego dnia wydarzyły się trzy wesołe przygody, z których jedna drugiej deptała po piętach.

Mały John jednak miał język nieposkromiony, tak że po troszeczkcu cała historia jego bójki z Garbarzem i bójki Robina ze Szkarłatnym Willem wyszła na jaw. A ja wam ją opowiedziałem, abyście i wy się ze mną pośmieli z tych wesołych perypetii.

Tak już się dzieje na świecie, że sprawy poważne splatają się z wesołymi do tego stopnia, że powstaje zupełna czarno-biała mieszanina, aż życie nasze, rzecz można, przypomina szachownicę, na której prosty lud grywa w warcaby przy buzującym oghiuw oberży w zimowe wieczory.

Tak też się miało z Robin Hoodem, bo po tym sowizdrzańskim dniu, który właśnie przeżyliśmy wraz z nim i paroma innymi narwańcami, wprędce nastąpił dzień znacznie poważniejszych przedsięwzięć, choć i wesołości w nim nie brakowało.

Część czwarta, która opowiada o tym, jak Robin Hood pomógł w nieszczęściu Allanowi z Doliny i wybrał się w tym celu na poszukiwanie Kusego Braciszka ze źródlanego opactwa. A także o tym, jak Robin Hood połączył dwoje wiernych kochanków i nie dał złamać im życia.

I. Robin Hood i Allan z Doliny

Opowiedzieliśmy właśnie, jak to pech prześladował Robin Hooda i Małego Johna, aż nabawili się sińców i guzów. Z kolei więc opowiemy, jak zrehabilitowali się przez dobry uczynek, choć Robin ucierpiał przy tym co nieco.

Minęły dwa dni i obolałe kości nie dokuczały już tak bardzo Robin Hoodowi, chociaż — kiedy się zapomniał i poruszył zbyt raptownie — ból dźgał go to tu, to tam, przypominając: “Zbito cię na kwaśne jabłko, bratku”.

Ranna rosa świeciła jeszcze na trawie, dzień był pogodny i wesoły. Robin Hood siedział pod dębem, obok wyciągnął się na murawie Szkarłatny Will, założył ręce pod głowę i kontemplował czyściuteńkie niebo, Mały John siedząc w kucki strugał pałkę z grubego konaru dzikiej jabłoni; reszta bandy porozmieszczała się wkoło.

Will Kędzierzawy, który znał mnóstwo baśni i legend, opowiadał o przygodach sir Carodoca, zwanego Suchorękim, z czasów króla Artura, i o jego wiernej miłości do swej jedynej, o tym, na co się odważyli i co przecierpieli dla siebie. Krążyło o nich wiele pieśni i ballad, dworskich i gminnych. Słuchali go w niemym skupieniu, a kiedy historia dobiegła końca, niejeden westchnął z głębi piersi, porwany opowieścią o rycerskiej odwadze i poświęceniu.

— Człek zmienia się na lepsze — powiedział Robin Hood — kiedy słyszy o tych szlachetnych ludziach, którzy żyli tak dawno temu. Coś mu mówi w duszy: „Porzuć swoje mizerne upodobania, porzuć te błahostki i staraj się postępować tak jak oni”. Pewno, że można nie dać rady i wypaść gorzej od nich, ale człek korzysta już przez samo usiłowanie. Przypomina mi się, że mędrzec nasz i nauczyciel, Swanthold, zwykł mawiać: “Ten, kto rzuca się na księżyc i nie dostaje go, skacze wyżej niż ten, kto zgina się po szeląg leżący w błocie”.

— Zaiste — rzekł Will Stutely — to piękna myśl, ale mimo wszystko, wodzu, jeden dostaje szeląga, a drugi figę, a bez grosza człowiekowi kiszki marsza grają. Tych historyjek przyjemnie się słucha, ale gorzej brać je za wzór, moim zdaniem.

— Jak Boga szczerze kocham — zaśmiał się Robin — ty zawsze musisz podstawić nogę i zapatrzona w niebo wzniosła myśl ryje nosem w piach. Mimo wszystko masz trzeźwą głowę, bracie Stutely. Sprowadziłeś mnie na ziemię i właśnie przychodzi mi na myśl, że od dawien dawna nie zaprosiliśmy nikogo do nas na obiadek. Tymczasem skarbiec nasz pustoszeje, bo nie było chętnych do płacenia rachunków. Bierz więc, Stutely, sześciu ludzi, ruszaj na wyprawę i pamiętaj, żebyś nam tu sprowadził kogoś na wieczerzę. Fosse Way to najlepszy gościniec, tam się zawsze ktoś znajdzie. My tymczasem przygotujemy tu wspaniałą ucztę dla gościa, kim by on nie był. Aha, jeszcze jedno, Stutely. Masz wziąć ze sobą Szkarłatnego Willa, bo trzeba go zapoznać z naszym terenem.

— Dziękuję ci, wodzu — powiedział Stutely, rażno skacząc na nogi — żeś mi powierzył tę przygodę. Dalibóg, robię się niemrawy od tego próżniactwa. A do kompanii wybiorę sobie Muszkę Młynarczyka i Artura Łagodnego, oni obaj, jak dobrze o tym wiesz, wodzu, mają ciężką rękę i dryg do pałki. Prawda, Niały Johnie?

Wszyscy się na to roześmieli prócz Małego Johna i Robina, który zrobił kwaśną minę.

— Mogę się tylko wypowiedzieć co do Muszki — rzekł — i Szkarłatnego Willa, mojego kuzyna. Rano oglądałem sobie żebra i stwierdziłem, że mam ciało pstrokate jak żebracza opończa.

Dobrawszy sobie jeszcze czterech chwatów Will Stutely wyruszył ze swoją drużyną spróbować szczęścia na gościńcu Fosse Way i sprowadzić, jak się uda, bogatego gościa na wieczerzę w Sherwoodzie.

Przez cały boży dzień czatowali w pobliżu gościńca. Każdy zaopatrzył się w solidny zapas zimnego mięsiwa i butelkę mocnego marcowego piwa, aby mieć czym się pokrzepić przed powrotem do obozu. Więc w samo południe rozsiedli się na murawie pod rozłożystym krzewem głogu i wyprawili sobie serdeczną i wesołą ucztę. Potem jeden został na straży, a reszta ucięła sobie drzemkę, gdyż dzień był spokojny i duszny.

Czas mijał im całkiem przyjemnie, ale żaden odpowiedni gość nie pojawił się ni razu na widnokręgu. W słonecznym skwarze wiele osób przewinęło się zakurzoną drogą: przeszła wdzięcznie gromadka rozszczebiotanych dziewcząt, pokazał się kotlarz, to znów wesoły pastuszek, to krzepki gospodarz; przeszli wpatrzeni w drogę, nie zdając sobie sprawy, że tuż obok czatuje w ukryciu siedmiu zabijaków. Tacy zjawiali się wędrowcy, ale ani opasły opat, ani żaden wielmoża, ani złotem nadziany lichwiarz nie pokazał się na gościńcu.

W końcu słońce zaczęło chylić się na niebie, cienie wydłużyły się w krwistym świetle zachodu. Nastąpiła cisza, ptaki szczebiotały sennie, a z oddali nadlatywała melodyjna śpiewka dziewczyny zwołującej krowy do udoju.

Stutely, który czatował na ziemi, dźwignął się i wstał.

— Szlag niech trafi takie szczęście! — wybuchnął. — Siedzieliśmy tu cały dzień, a nie nawinął nam się, że tak powiem, żaden ptaszek wart ustrzelenia. Gdybym wybrał się na niewinną wycieczkę, zaraz napatoczyłby mi się z tuzin dostojnych klechów i drugie tyle ciepłych lichwiarzy. Ale to zawsze tak jest: najtrudniej o jelenia, kiedy człowiek ma właśnie łuk w pogotowiu. Jazda, chłopcy, zwijajmy manatki i wracajmy do obozu.

Wyszli więc z zarośli i skierowali się z powrotem do Sherwoodu. Po jakimś czasie Will Stutely, który szedł przodem, zatrzymał się raptownie.

— Szal — syknął, bo słuch miał ostry jak lis pięciolatek. — Nastawcie uszy! Mnie się zdaje, że coś słyszę.

Na to wszyscy przystanęli i zaczęli nasłuchiwać wstrzymując oddech, choć początkowo nic nie rozróżniali, gdyż nie mieli łąk wyostrzonego słuchu jak Stutely. W końcu dobiegło ich słabiutkie i melancholijne zawodzenie, jakby czyjś lament.

— Ha! — odezwał się Szkarłatny Will. — Trzeba się tym zająć. Niedaleko nas ktoś tu jest w rozpacz.

— Nie wiem, czy trzeba — powiedział Will Stutely z powątpiewaniem potrząsając głową — nasz wódz bardzo lubi wtykać palec między drzwi, bo jest w gorącej wodzie kąpany. Ale ja tam nie widzę, po co mamy się plątać w kabałę. To męski głos, jeśli się nie mylę, a mężczyzna powinien być zawsze gotów sam się wykaraskać z tarapatów. — Tak mówił Stutely, a jednak w gruncie rzeczy połowicznie tylko się z tym zgadzał w cichości ducha. W każdym razie, odkąd niemal cudem wyrwał się ze szponów Szeryfa, nabrał trochę przesadnej ostrożności.

— Wstydzilibyś się tak gadać, Stutely — odezwał się śmiało Szkarłatny Will. — Chcesz, to zostań sobie. Ja idę zobaczyć, co tak gnębi tego biedaka.

— Nie bądź taki popędliwy, bo się sparzysz — rzekł Stutely. — Kto powiedział, że ja nie pójdę? Idziemy, mówię wam.

I ruszył pierwszy, a inni za nim. Natrafili wkrótce na małą polankę, gdzie strumyk bulgoczący Wśród chaszczów rozlewał się tworząc szklistą i szeroką sadzawkę usłaną kamyczkami. Na jej brzegu, pod schyloną wierzbą leżał młodzieniec twarzą do ziemi, płacząc głośno; ów płacz właśnie

pierwszy ułowił Will Stutely swoim bystrym słuchem. Złote włosy nieznajomego 'były zmierzwione, cały strój w nieładzie, w ogóle wszystko wokół niego zdradzało smutek i rozpacz, Nad jego głową, pomiędzy gałązek łożyny zwisała piękna harfa z polerowanego drzewa, inkrustowana srebrem i złotem w fantastyczne wzory. Przy boku jego leżał mocny jesionowy łuk i z tuzin smukłych strzał.

— Hejże ho! — zawołał Will Stutely, gdy wyszli z lasu na polankę. — Ktoś ty taki, bratku? Po co niszczysz trawę słoną wodą z oczu?

Na dźwięk jego głosu nieznajomy zerwał się na nogi, schwycił łuk i zakładając strzałę stanął w pogotowiu.

— Dalibóg' — odezwał się jeden z drużyny kiedy ujrzeli twarz młodzieńca — całkiem dobrze znam tego chłopca. To taki sobie minstrel, widywałem go nieraz w okolicach. Jeszcze tydzień temu widziałem, jak hasał sobie po pagórkach niczym roczna łania. Aż miło było na niego popatrzeć, kwiatusek za uchem i kogucie pióro w kołpaku. Ale teraz, widać, nasz kogucik postradał wesołe piórka.

— A otrzyj że oczy, człeku! — zawołał Will Stutely podchodząc doń. — Diabli mnie biorą, kiedy widzę, jak taki chłop na schwał mazgai się niczym smarkula nad zdechłym kanarkiem. Opuść ten łuk, człeku! Nie chcemy ci zrobić krzywdy.

Ale Szkarłatny Will widząc, jak mocne słowa Stutely'ego uraziły młodziutkiego minstrela, który miał bardzo chłopięcy wygląd, podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

— Wiem, że jesteś w biedzie, chłopcze — powiedział z sympatią. — Nie przejmuj się tym, co oni mówią. Są gruboskórni, ale dobrze ci życzą. Może nie potrafią cię zrozumieć. Pójdiesz z nami, a nuż znajdziemy kogoś takiego, kto ulży ci w biedzie i wyciągnie cię z tarapatów, jakie by one nie były.

— Tak, chodź, chodź — burknął Will Stutely. — Nie miałem wobec ciebie złych zamiarów, a może żywię i dobre. Zabieraj swój instrument z gałęzi i ruszaj z nami.

Młodzieniec posłuchał rady i ze zwieszoną głową, smętnym krokiem powlókł się obok Szkarłatnego Willa. Wędrowali tak przez las. Zmierzch zasnuł wszystko szarością. Z głębi puszczy nadlatywały dziwne szepty nocy, w ciszy rozlegał się pod nogami szelest zeschniętych, ubiegłorocznych liści. Wreszcie krwawy blask zaczął prześwitywać przez zarośla przed nimi, podeszli jeszcze kawałek i wychynęli na polanę skąpaną w bladym świetle księżyca. W samym jej środku buzowało ogromne ognisko rzucając wokół czerwony odblask. Na rusztach piekły się soczyste steki, bażanty, kapłony i świeże ryby z potoku. Powietrze przesiąkało słodką wonią przysmaków.

Gromadką przemierzali polanę, leśni ludzie z ciekawością oglądali się za nimi, ale nikt ich nie zaczepił ani o nic nie pytał. Aż nieznajomy, mając po jednej stronie Szkarłatnego Willa, a po drugiej Willa Stutely. stanął przed Robin Hoodem, który siedział pod dębem na tronie z mchów, a Mały John stał za jego plecami.

— Dobry wieczór, piękny przyjacielu- — odezwał się Robin Hood wstając na powitanie. — Przychodzisz do mnie na ucztę?

— Nie wiem... — wybąkał młodzieniec tocząc wokół zdumionymi oczami, oszołomiony wszystkim, co zobaczył. — Dalibóg, nie wiem, śnię czy co? — wyszeptał cicho do siebie.

— A gdzie tam — roześmiał się Robin. — Wcale nie śnisz i zaraz się o tym przekonasz, bo świetna uczta czeka na ciebie. Jesteś dziś naszym zaszczytnym gościem.

Młodzieniec wciąż rozglądał się dokoła jak we śnie. Na koniec zwrócił się do Robina.

— Chyba już wiern, gdzie jestem — powiedział — i co mnie spotkało. Tyś jest ten wielki Robin Hood?

— Trafieś w sedno — rzekł Robin klepiąc go po ramieniu. — Rzeczywiście tak mnie ludzie

nazywają. A skoro mnie znasz, wiesz zapewne, że kto ucztuje ze mną, musi zapłacić rachunek. Wierzę, że masz przy sobie pełną sakiewkę, cherubinku.

— Biada mi! — zawołał nieznajomy. — Nie mam ani sakiewki, ani żadnych pieniędzy, tylko połówkę srebrnej monety, której drugą połówkę moja ukochana nosi na piersi, na jedwabnej nitce zawieszanej na szyi.

Wszyscy wokół gruchnęli śmiechem, a biedny chłopak wyglądał tak, jakby chciał zapaść się pod ziemię ze wstydu; ale Robin obrócił się gwałtownie do Willa Stutely.

— Co to ma znaczyć? — rzekł. — To ma być ten bogacz, którego nam sprowadziłeś? Ejże, przywiozłeś na targ chudego koguta.

— Nie, wodzu — odparł Will szczerząc zęby — ja go tu nie sprowadziłem. To Szkarłatny Will go zaprosił. Tak czy owak, pamiętasz chyba tę ranną pogaduszkę o obowiązku i siakich takich rzeczach, co się lepiej opłacają, niż pens podniesiony z kurzu? No więc trafia się świetna okazja, aby popraktykować trochę miłosierdzie.

Z kolei zabrał głos Szkarłatny Will i opowiedział, jak natrafili na zrozpaczonego młodzieńca i jak zaprosił go tutaj myśląc, że może Robin znajdzie lekarstwo na jego biedę. Wysłuchawszy go Robin Hood obrócił się do minstrela i kładąc mu dłoń na ramieniu przyjrzał mu się uważnie.

— Taka młoda twarz — powiedział na wpuł do siebie cichym głosem — taka łagodna i taka szczerza. Nieskazitelna jak liczko dziewczęce i w ogóle najurodziwsza, jaką zdarzyło mi się widzieć. Ale sądząc po twojej minie, chłopcze, boleść nie omija tak starych, jak i młodych.

Na te słowa wypowiedziane tak dobrotliwie biedakowi łzy napłynęły do oczu.

— No, no, rozpogódź się, chłopcze — powiedział natychmiast Robin Hood, — Gwarantuję ci, że znajdzie się jakieś lekarstwo. Powiedz rai, jak się nazywasz?

— Zwę się Allan z Doliny, łaskawy panie.

— Allan z Doliny — powtórzył z zastanowieniem Robin. — Allan z Doliny. Coś mi się zdaje, że skądś znam to nazwisko. Ależ tak, ty jesteś minstrelem, o którym ostatnio słyszeliśmy. Oczarowujesz wszystkich swoim głosem. Czy nie pochodzisz przypadkiem z doliny Rotheru, tej pięknej rzeki?

— Rzeczywiście — odparł Allan — właśnie stamtąd pochodzę.

— Ile masz lat, Allanie?

— Dopiero dwadzieścia.

— No, toś za młody na takie ciężkie przykrości, moim zdaniem — powiedział łagodnie Robin, a potem zwrócił się do reszty i zawoła*: — Do roboty, chłopcy, zwijajcie się, bo ucztą nasza ma być zaraz gotowa! Tylko wy dwaj, Szkarłatny Willu i Mały Johnie, zostańcie ze mną.

A kiedy tamci rozbiegli się do swoich obowiązków, Robin zwrócił się na powrót do młodzieńca.

— Opowiedz nam teraz, chłopcze, swoje troski — rzekł Robin — i mów śmiało. Daj upust swoim zgryzotom, a zaraz lżej ci się zrobi na sercu. Chodź tu, usiądź przy mnie i mów bez skrępowania.

Młodzieniec zwierzył się im ze wszystkiego, co mu leżało na sercu; początkowo jąkał się i zacinał, ale kiedy zobaczył, że słuchają go z uwagą, zaczął mówić swobodniej i śmieiej. Opowiedział im więc, jak przywędrował z Yorku jako minstrel do cudnej doliny Rotheru, popasając po drodze w zamkach, dworach i grodach; raz zatrzymał się w dworku pewnego wolnego kmiecia, gdzie spędził cudowny wieczór śpiewając przed gospodarzem i jego córką, niewinną i śliczną jak pierwiosnek; grał dla niej i śpiewał, a słodka Helena z Doliny słuchając rozmiłowała się w nim. A potem melodyjnym i cichym jak szept głosem opowiedział jak śledził ją, kiedy wychodziła z domu,

aby móc się z nią spotkać, ale w jej obecności czuł się tak onieśmielony, że w ogóle nie potrafił się odezwać, aż wreszcie nad brzegiem rzeki wyznał jej swoją miłość, a ona szepnęła mu coś na ucho, od czego mu serce zadrżało z radości. I wtedy przełamali na dwie połówki srebrną monetę i poprzysięgli sobie wierność dożgonną.

Dalej opowiedział im, jak jej ojciec spostrzegł, co się święci, i ukrył ją przed nim, tak że jej więcej nie zobaczył, i nieraz zdawało się, że mu serce z rozpaczy pęknie. A dzisiaj rano, zaledwie w sześć tygodni od ich ostatniego spotkania, dowiedział się, że za dwa dni Helena ma wyjść za mąż za starego lorda Stefana z Trentu, gdyż jej ojcu imponowało to, że córka zrobi tak znakomitą partię, choć ona tego nie chciała; a że jego ukochana jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie, nic dziwnego, że rycerz chciał ją poślubić.

Cała trójka słuchała tej historii w milczeniu, wokół nich rozbrzmiewał gwar, żarty i śmiechy, a czerwony odblask ogniska migotał im w oczach i pełgał po twarzach. Słowa chłopca były tak proste, a rozpacz tak głęboka, że nawet Mały John czuł, jak coś go ściska za gardło.

— Nie dziwię się — odezwał się Robin po chwili milczenia — że twoja ukochana rozmyślała się w tobie, bo niechybnie masz pod językiem srebrny krzyżyk, jak sam dobry święty Franciszek, który swoją mową czarował ptaki niebieskie.

— Do stu diabłów! — wybuchnął Mały John, chcąc pokryć wzruszenie szorstką mową. — Ręka mnie swędzi, żeby schwycić pałkę i tak sprać tego paskudnika, lorda Stefana, aż wyzionie parszywego ducha. Dalibóg, chodźmy zaraz, mówię. Co, do diabła, czy ten stary przyk myśli, że młodzieńcze dziewczęta można kupić jak kurczaki na jarmarku? Huzia na niego!... Już ja mu... mniejsza z tym, niech się lepiej pilnuje.

— Moim zdaniem — odezwał się Szkarłatny Will — nie najlepiej to świadczy o dziewczynie, gdy zachowuje się jak chorągiewka na wietrze, zwłaszcza kiedy idzie o poślubienie takiego starego człowieka, jak ten lord Stefan. To mi się w niej nie podoba, Allanie.

— Kiedy ty ją krzywdzisz — powiedział Allan gorąco. — Ona jest łagodna i cicha jak gołąbka. Znam ją lepiej niż ktokolwiek na całym świecie. Może być posłuszna woli ojca, ale jeśli poślubi sir Stefana, serce jej pęknie i umrze na pewno. Ukochana moja, ja'... — urwał i potrząsnął głową, bo nie mógł mówić więcej.

Robin Hood tymczasem, kiedy tamci rozmawiali, siedział w głębokiej zadumie.

— Zdaje mi się, że znalazłem sposób, Allanie — odezwał się. — Ale powiedz mi najpierw, mój chłopcze, czy myślisz, że twoja ukochana będzie miała odwagę poślubić ciebie, gdybyście się razem znaleźli w kościele, po zapowiedziach i przed księdzem, nawet jeśli jej ojciec powie: nie?

— Ależ na pewno! — zawołał Allan z zapalem.

— W takim razie, jeśli jej ojciec okaże się takim człowiekiem, za jakiego go mam, postaram się już o to, że da wam obojgu swoje błogosławieństwo jako mężowi i żonie, zamiast starego sir Stefana, i to w dniu jego ślubu. Ale chwileczkę, przychodzi mi na myśl, że na jedną rzecz nie mogę liczyć, mianowicie na księdza. Dalibóg, dostojnicy kościelni za mną nie przepadają, tym bardziej wątpię, żeby w tym wypadku chcieli zrobić to, czego sobie życzę. A co do szarych klechów, boją się oddać mi przysługę ze względu na opata czy biskupa.

— No, jeśli o to chodzi — zaśmiał się Szkarłatny Will — znam takiego jednego mnicha. Byleby tylko trafić mu do serca, zmięknie i zrobi, co zechcesz, choćby go sam papież miał za to wykląć. Znany jest pod imieniem Kusego Braciszka ze Źródlanego Opactwa, a mieszka w Źródlanej Dolinie.

— Ale — rzekł Robin — Źródlane Opactwo jest o dobrych sto mil stąd. Jakże pomożemy temu chłopcu, skoro nie mamy czasu na drogę tam i z powrotem, zanim jego ukochana wyjdzie za mąż. Nic z tego, kuzynie.

— Tak — zaśmiał się znów Will — ale to Źródlane Opactwo nie jest tak daleko, jak tamto, o którym ty mówisz, wuju. Źródlane Opactwo, o którym ja mówię, nie jest wcale tak bogate i wspaniałe jak tamto, stanowi je po prostu zwykła celka. Ale w każdym razie tak przytulny kącik, jak na prawdziwego pustelnika przystało. Bywałem tam nieraz, znam drogę i mogę cię zaprowadzić. Drogi jest spory kawałek, ale myślę, że dobry piechur potrafi obrócić w jeden dzień tam i z powrotem.

— To daj mi rękę, Allanie — zawołał Robin — i niech ci powiem, przysięgam na złote włosy świętej Elfridy, że za dwa dni od tej chwili Helena z Doliny będzie twoją żoną. Jutro rano odszukam tego Braciszka ze Źródlanego Opactwa i słowo daję, zmięczę mu serduszko, choćby nawet kijem. Szkarłatny Will zaśmiał się znowu.

— Nie bądź tego taki pewny, wuju — powiedział. — W każdym razie, o ile go znam, myślę, że nasz Kusy Braciszek z chęcią połączy parę tak uroczych kochanków, zwłaszcza jeśli go nie ominie huczne wesele.

Ale w tej chwili jeden z leśnych ludzi zawiadomił ich, że uczta już czeka na murawie, udali się więc na posiłek z Robinem na czele. Biesiada upłynęła w wesołym nastroju. Krążyły żarty i anegdoty, gromki śmiech dzwonił po lesie. Allan śmiał się wraz z innymi, policzki zapłonęły mu nadzieją, w której utwierdził go Robin.

Wreszcie uczta dobiegła końca i Robin Hood zwrócił się do Allana, który siedział przy nim.

— Tyle się mówi o twoim śpiewie, Allanie — powiedział — że radziłyśmy też podelektować się twym kunsztem. Nie zechciałybyś nas czymś uraczyć?

— Naturalnie — odpowiedział ochoczo Allan. Nie był bowiem żadnym trzeciorzędnym śpiewakiem, którego trzeba prosić do znudzenia, odpowiadał od razu “tak” lub “nie”. Biorąc więc do ręki swoją harfę, leciutko przebiegł palcami po dźwięczących słodko strunach i cisza zapadła wśród biesiadników. Na tle cudnej muzyki zaczął śpiewać:

ŚLUB MAY ELLEN

poemat zdający sprawę z tego, jako była kochana przez księcia z bajki,
który ją uniósł w swój dom

Pod krzewem głogu Ellen May
Usiadła — a jak ulewą
Za każdym wiewem biały kwiat
Na ziemię sypał się z krzewu,
A na gałązce blisko gdzieś
Przedziwny ptak swą śpiewał pieśń.

O jakież słodki, słodki ton
(o tęskna, o śpiewna nuto!)
Zapiera oddech Ellen May,
Ze aż w serduszku jej luto.
O, nie dziw, Ellen, że swą twarz
Zwróciwszy w górę, w ciszy trwasz!

“Porzuć gałązkę, ptaszku mój,

Chciej prośbie mojej ulec,
A ja cię wraz do piersi mej
Przycisnę i utulę” . .
Gdy Ellen May prosiła, tak,
Wciąż sypał kwieciem głogu krzak.

Z gałązki nagle spłynął ptak,
Skrzydółka zatrzepotały —
I spadł na pierś jej niby kwiat.
“Mój miły ptaszku, mój mały!”
I zaraz May najkrótszą z dróg
W domowy ptaszka niesie próg.

I minął dzień. Już słodka noc
I księżyc srebrzy już cienie —
A w jego blasku — któż to — patrz:
W pokoju stoi młodzieniec...
Uroczy młodzian pięknych lic
Stał w ciszy i nie mówił nic.

Stał tam, gdzie księżyc srebrny blask
Kładł sennie na dywanie —
A Ellen oczy wbija weń,
Zdumiona niesłychanie,
I patrzy wciąż, zmieniona w słuch,
A młodzian milczy wciąż jak duch.

Aż wargi jej poruszył szept
“Kto jesteś — pyta z obawą —
Czy jesteś tylko moim snem,
Czy widmem jeno i zjawą?”
I szept jej szuścił niby wiew
Wśród trzciny nad rzeką i wśród drzew.

“Przybyłem, uskrzydłony ptak,
Z krainy baśni, z daleka,
Gdzie szmer szemrzących śpiewa wód
I złotym piaskom ucieka,
Gdzie drzew zielony wiecznie liść,
Gdzie matka ma króluje dziś”.

Odtąd pokoju swego ścian
Nie rzuca May ni na chwilę,
A gdy wieczorny rośnie mrok,
Brzmią nutki czułych kantylen,

Zaś w księżycowy, srebrny nów
Usłyszysz cichy szept jej słów...

“W jedwabnych szat się przystrój biel
Tak rzecze matka do Ellen —
Bo oto przybył lord na Lyne
I wkrótce wasze wesele”.
A na to Ellen: “Broń mnie Bóg,
Bym w domu jego weszła próg!”

A na to znów rzekł Ellen brat:
“O siostrze, w tejże godzinie
Na twego ptaka przyjdzie kres —
Jak rychło przyszedł — tak zginie,
Bo dziwnej sztuki mając dar,
Swój chytry na cię rzucił czar!”

A wtedy żalu nucąc śpiew
Uleciał ptak między chmury —
Ponad zamczyska stromy dach
Srebrnymi łuskając pióry...
“Idź precz — do siostry rzecze brat —
Po twoim ptaku zginął ślad!”

I oto pięknej Ellen ślub.
Na niebie modrość wesoła —
I orszak panów w kręgu dam
U wrót się zebrał kościoła.
W jedwabiach, w złocie młody pan
Jak słońce u kościelnych ścian.

Na Ellen lam się srebrzy biel
I biały na czole diadem,
Lecz w oczach martwy jeno blask,
I lica trupie i blade —
A gdy stanęła pośród drzew,
Przedziwny z ust jej zabrzmiał śpiew.

I nagle słysząc jakiś zgiełk;
Jak gdyby w wiatrów powiewie —
I z powań, z okien, z mrocznych wnęk
Łabędzi spłynęło dziewięć,
Które swym lotem niecąc szum,
Wnosiły lęk w weselny tłum

I wokół głowy Ellen May
Szybując lotnym kręgiem
Wiązały raz i dwa, i trzy
Jak gdyby skrzydeł wstęgę —
Aż u ołtarza blady ksiądz
Trzykroć się żegnał z trwogi drząc.

Gdy trzeci raz przemknęły w krąg,
Z May Ellen ani już znaku,
A na jej miejscu łabędź stał,
Najokazalszy wśród ptaków —
Lecz i on dziki wydał krzyk
I szybko wraz z innymi znikł.

W kościele starców było moc,
A każdy powtarzał szeptem,
Ze ślubu jak dzisiejszy ślub
Nikt nie oglądał tu przedtem,
Lecz nie powstrzymał nikt — w tym rzecz
Ptaka, co uniósł Ellen precz.

Kiedy Allan z Doliny skończył, zapanowała cisza jak makiem zasiał, wszyscy wlepiali tylko oczy w urodziwego śpiewaka, bo tak cudny był jego głos i muzyka, że każdy siedział z zapartym tchem, bojąc się nie utracić tego, jeśli coś jeszcze nastąpi.

— Mój ty Boże — rzekł wreszcie, zachłystując się, Robin — chłopcze, tyś jest... Nie puścimy cię od nas, Allanie! Nie zostaniesz z nami w naszej cudnej puszczy? Dalibóg, z całego serca zapalałem do ciebie wielką sympatią.

Allan wziął dłoń Robina i pocałował ją.

— Zostanę z tobą na zawsze, drpigi wodzu — powiedział — bo nigdy nie zaznałem takiej dobroci, jaką mi dziś okazałeś.

Wtedy Szkarłatny Will wyciągnął dłoń do Allana i wymienił z nim uścisk na dowód braterstwa, podobnie jak i Mały John. I tak właśnie Allan z Doliny przyłączył się do bandy Robin Hooda.

Leśni ludzie zawsze wstawiali skoro świt, zwłaszcza letnią porą, kiedy w świeżym brzasku rosa była najjaśniejsza, a śpiew ptasząt najśłodszy.

Rzekł tedy Robin:

— Skoro świt pójdę poszukać tego Braciszka ze Źródlanego Opactwa, i wezmę ze sobą czwórkę naszej dzielnej drużyny. Pójdzie ze mną Mały John, Szkarłatny Will, Dawi*d z Doncasteru i Artur Łagodny. Reszta z was niech tutaj zostanie, na czas mojej nieobecności będzie warii przewodził Will Stutely.

Rankiem Robin ubrał się do drogi. Nałożył piękną kolczugę, a na nią lekki zielony kaftan. Na głowę wdział stalową misiurkę, obciążoną delikatną białą skórką, w której tkwiło wpięte kogucie pióro, u boku przywiesił miecz z hartowanej stali, którego niebieskawą główkę pokrywały dziwaczne rysunki smoków, skrzydlatych heroin i inne rozmaitości. Tak wystrojony prezentował się wspaniale, wypolerowana kolczuga rzucała w słońcu stalowe błyski spod zielonego kaftana.

W tym uzbrojeniu wyruszył z czterema towarzyszami: prowadził ich Szkarłatny Will najlepiej znający drogę. Wędrowali mila za milą, to przez szemrzący strumień, to słonecznym gościńcem, to cichą leśną ścieżką, nad którą drzewa rozpiwały zielony i szeleszczący baldachim, by za zakrętem wypłoszyć stado jeleni, które jak burza umykało przez zarośla. Wędrowali z pieśnią, żartem i śmiechem na ustach, aż minęło południe, kiedy dotarli wreszcie nad brzeg szerokiej rzeki, której lustrzaną powierzchnię porastały lilie wodne. Po obu brzegach w tym miejscu ciągnął się pas udeptanej ziemi, tędy konie przeciągały prom naładowany jęczmienną mąką i różnym towarem, jaki ze wsi woziło się do miasta, którego liczne wieże widniały w oddali. Ale teraz w gorącej ciszy południa nie było tu ni koni, ni żywej duszy. Rzeka płynęła łagodnie i spokojnie, gdzieniegdzie lekki wietrzyk marszczył jej powierzchnię w ciemnopurpurowe smugi. Smukła zielona trzcina porastała brzeg, a w oddali migotały w słońcu czerwone gonty jakiejś miejskiej wieży, a na niej kogucik jak iskra na tle błękitnego nieba.

Szło im się teraz wygodniej po płaskim i twardym gruncie. Wokół nich i nad wodą śmigwały nurkujące jaskółki, wesołe ważki uwijały się migocząc w słońcu, to znów samotna czapla z przerażonym krzykiem zrywała się pluszcząc ze swojej kryjówki wśród sitowia.

— No, wuju — powiedział wreszcie Szkarłatny Will, kiedy już długo wędrowali brzegiem ślicznej rzeki — zaraz za tamtym zakrętem znajduje się bród. Płytko, w najgłębszym miejscu trochę powyżej kolan. A na drugim brzegu w gęstych krzakach i zaroślach kryje się maleńka pustelnia, gdzie mieszka Braciszek ze Źródlanej Doliny. Tam cię zaprowadzę, bo znam drogę, chociaż wcale nie jest taka trudna.

— Masz ci los — powiedział Robin przystając nagle — gdybym pomyślał, że mam brodzić po wodzie, nawet takiej krystalicznej jak ta rzeka, tobym się ubrał inaczej. Ale mniejsza z tym, co się zmoczy, to i wyschnie, jak trzeba, to trzeba. Ale wy zaczekajcie *tu, chłopcy, bo mam ochotę sam zakosztować tej wesołej przygody. Tylko nadstawiajcie uszu, bo jak zagram na rogu, przybywajcie natychmiast.

— Zawsze to samo — burknął Mały John. — Ciągłe sam się narażasz, a my, choć nasze życie mało warte przy twoim, choć mielibyśmy wielką ochotę zakosztować ryzyka, musimy siedzieć, rzecz można, i gmerać palcem w bucie.

— Nie masz racji, Mały Johnie — powiedział Robin. — Jestem przekonany, że tym razem nic ni nie grozi. Wiem, że jesteś do tego skory i lubisz nadstawiać karku, ale zostań tym razem, jak cię

proszę.

To rzekłszy Robin odwrócił się i zostawiając ich, sam ruszył naprzód. Nie uszedł dalej niż za zakręt, który skrył go sprzed oczu wiernych towarzyszy, kiedy przystanął raptownie, bo wydało mu się, że dobiegły go czyjeś głosy. Stał cicho, nasłuchując — jacyś dwaj jakby przegadywali się ze sobą, ale jeden głos był do drugiego niesamowicie podobny. Dyskurs ten dobiegał gdzieś z dołu, znad wody; brzeg w tym miejscu urywał się stromo od drogi i spadał z dziesięć stóp w dół porośniętego sitowiem jaru.

— To dziwne — mruknął Robin po chwili, gdy oba głosy umilkły, — Na pewno gadali dwaj, a ciągle mi się zdaje, że mają taki sarny głos. Dalibóg, czegoś podobnego w życiu nie słyszałem. Gdyby ich sądzić po głosie, byłiby bardziej do siebie podobni niż dwie krople wody. Trzeba w to wglądać.

Podszedł po cichutku do krawędzi urwiska, wyciągnął się na trawie i zerknął w głąb jaru. Był to chłodny i cienisty zakątek. Nad wodą pochylała się wysoka łożyna, rzucając łagodny cień listowia. Gęsto rosły wokół pierzaste paprocie, wybijały w chłodnym parowie, dolatywała przyjemna woń dzikiego tymianku, który lubi rosnąć na wilgotnych brzegach strumieni. Tu, pod wierzbą, wsparty plecami o chropowaty pień i na wpół zasłonięty przez paprocie, siedział tęgi, muskularny człek, ale prócz niego nie było nikogo, Głowę miał okrągłą jak kula, szczeciniaste czarne włosy, zarastające czoło i krótko przycięte na skroniach, tworzyły wianuszek wokół czaszki wygolonej do cna niczym kolano; gdyby nie ta tonsura, nabit, kaptur i różaniec, nie wyglądałby wcale na mnicha. Policzki jego tryskały rumieńcem jak jabłko, o ile tylko pozwalał na to gęsty zarost na twarzy i kędzierzawa czarna broda. Szyję miał grubą jak u byka, głowę mocno osadzoną w ramionach, a bary takie, żeżnie powstydziliby się ich sam Mały John. Pod krzaczastymi brwiami igrały szare oczka, którym na chwilę nie pozwalała odpocząć ich żartobliwa natura. Kto w nie spojrzał, nie mógł się oprzeć wesołości. Opodal leżała stalowa misiurka, którą zdjął z czoła dla ochłody. Rozstawiwszy szeroko nogi siedział nad ogromnym pasztetem z najrozmaitszego mięsiwa, smakowicie przyprawionym cebulką i wymieszanym z gęstym sosem. W prawicy trzymał chrupką pajdę chleba, którą przegryzał, sięgając raz po raz lewą ręką po pełną garść pasztetu. Co pewien czas pociągał tego małmazję z wielkiej flachy, którą miał pod bokiem.

— Jak Boga kocham — powiedział do siebie Robin — to najweselsza uczta, najweselszy gość, najweselszy zakątek i najweselszy widok w całej wesołej Anglii. Myślałem, że jest tu ktoś drugi, ale to ten święty człek musiał gadać sam ze sobą.

Robin obserwował go tak z ukrycia, a Braciszek, nieświadom, że go się podgląda, zajadał z rozkoszą. Skończył wreszcie i najpierw wytarł z tłuszczu ręce o paprocie i tymianek (żaden król nie miał tak cudownej serwetki), a potem podniósł flachę i zaczął przemawiać do siebie jak do kogoś drugiego i odpowiadać sobie jak komuś innemu.

— Chłopcze drogi, jesteś najmilszym kompanem na świecie, kocham cię tak jak kochanek swoją kochankę. Ojej, zawstydzasz mnie mówiąc tak do mnie w tym ustronnym zakątku, gdzie nikogo przy nas nie ma, ale powiem ci, że kocham cię tak samo jak ty mnie. Ach, nie napijesz się w takim razie dobrej małmazji? Po tobie, chłopcze, po tobie. Ależ nie, proszę cię, będzie słodsza po twoich ustach (tu przełożył butelkę z prawej ręki do lewej). Skoro mnie tak do tego zmuszasz, spełniam twą wolę z tym większą przyjemnością, że piję za twoje naj-naj lepsze zdrowie (tu pociągnął łyk). A teraz twoja kolej, kochasiu (przełożył butelkę z lewej ręki do prawej). Biorę ją, mój gołąbeczku, życząc ci nawzajem tyle samo dobrego. — Z tymi słowy znów pociągnął z flaszki i, dalibóg, wypił za dwóch.

Robin cały ten czas leżał nad urwiskiem i słuchał, a brzuch tak mu się trząsał ze śmiechu, że musiał zatkać sobie usta dłonią, żeby nie parsknąć, gdyż za nic nie chciałby zepsuć tak wyśmienitego

żartu, choćby mu dawano pół hrabstwa Nottingham.

Braciszek, złapawszy oddech po winie, zaczął znów gwarzyć na taką modłę:

— No, kochasiu, nie zaśpiewałbyś mi piosenki? Doprawdy nie wiem, głos mam dziś kiepski, nie namawiaj mnie, z łaski swojej, no, nie słyszysz, że skrzeczę jak ropucha? Ależ, co ty mówisz, głos masz słodziutki jak sam gil, zaśpiewaj, bardzo cię proszę, miłsze mi twoje śpiewanie niż najwspanialsza uczta. Niestety, wolałbym się nie popisywać przed kimś, kto słynie ze swojego głosu i zna tyle świetnych pieśni i ballad, a skol-o się upierasz, postaram się, jak mogę. Chociaż przychodzi mi na myśl, że moglibyśmy razem zaśpiewać jakąś ładną piosenkę, ty i ja. Czy znasz taką uroczą piosenkę, co się zowie: “Zakochany młodzian i dziewczyna”? A owszem, zdaje się, że ją kiedyś słyszałem. No to może ty byś wziął rolę dziewczyny, a ja chłopca? Czemu nie, popróbuje, zaczynaj ty chłopca, a ja wejdem z dziewczyną.

I najpierw zawodząc grubym basem, a zaraz piskliwie i cienko, wyśpiewywał swawolnie wesołą piosenkę.

ZAKOCHANY MŁODZIAN I DZIEWCZYNA

ON

Gdybyś mnie chciała kochać, moja miła,
Gdybyś podała mi rączki —
Dałbym ci, dałbym — wierz mi — moja miła,
Piękne kokardki i wstążki.
I miłość bym ślubował, miła, na kolanach,
I piosnki na fujarce wygrywał co rana.
Bo oto jak dzwonek
Już śpiewa skowronek
gołąb gniazdko już mości —
Nad rzeczką już oto
Od kwiecica aż złoto —
Nie, żałuj mi swojej miłości!

ONA

Idź precz ode mnie, młodzieńcze zuchwały,
Powtarzam — precz! — czemu zwlekasz?
Moje ci usta nie będą kłamały —
Niczego się nie doczekasz!
Aniś dla mnie dość gładki, szkoda twej mitręgi,
Znajdę sobie innego, zabierz swoje wstęgi.
Bo cóż, że jak dzwonek
Już śpiewa skowronek
K gołąb gniazdko już mości —
I cóż, że tu oto
Od kwiecica aż złoto —
Gdy nie mam dla ciebie miłości!

ON

I ja poszukam innej, moja miła,
I znajdą — jak Bóg na niebie!
A tak jak ty mnie nie chcesz, moja miła,
I ja nie pragnę dziś ciebie,
Ileż kwiatków nazrywam, niech jeno uklęknę,
A wierz mi, że i inne tak samo piękne!
Gdy oto jak dzwonek
Już śpiewa skowronek
I gołąb gniazdko już mości —
Nad rzeczką gdy oto
Od kwiecica aż złoto —
Ja innej poszukam miłości!

ONA

O, nie uciekaj, zaczekaj, mój miły,
Nie szukaj innej dziewczyny —
Zanadto byłam pochopna, mój miły —
O, nie pamiętaj mej winy.
A jeśli tylko zechcesz, najmilszy mój chłopcze,
Wiedz, że się moje serce tym słowom nie oprze —

Tu już Robin nie mógł się powstrzymać i wybuchnął gromkim śmiechem, ale mnich nie przerwał piosenki, więc Robin przyłączył się zaraz i śpiewali albo — można powiedzieć — ryczeli chórem:

Bo oto jak dzwonek
Już śpiewa skowronek
I gołąb gniazdeczko już mości —
Nad rzeczką już oto
Od kwiecica aż złoto —
Nie znajdziesz prawdziwej miłości!

Tak to śpiewali razem. Tęgi Braciszek jak gdyby nie słyszał śmiechu Robina ani tego, że tamten przyłączył się do śpiewu, tylko z przymkniętymi oczami, zapatrzony przed siebie, kiwając do taktu głową, zawodził dzielnie do końca, aż obaj odśpiewali finał gromkim rykiem, że można by ich usłyszeć na milę wkoło. Ledwie jednak przebrzmiały ostatnie słowa piosenki, mnich porwał stalową misiurkę, nasadził ją na głowę i zrywając się na nogi zawołał wielkim głosem:

— Kto tu nas śledzi? Zbliź się, diabelskie nasienie, a posiekam cię na nie gorszy pasztet niż gospodyni mięso na niedzielę! — I wyciągnął spod habitu potężny miecz, równie mocny jak miecz Robina.

— Schowaj ten szpikulec, przyjacielu — powiedział Robin wstając; ze śmiechu policzki miał jeszcze mokre od łez. — Dwaj tacy śpiewacy jak my nie potrzebują się bić zaraz po piosence. — I

zeskoczył na dół, gdzie tamten stał. — Powiadam ci, przyjacielu, od tego śpiewania drapie mnie i gardło mam suche jak ściernisko w październiku. Nie została ci choć kropelka małmazji w tym garncu?

— Dalibóg — powiedział Braciszek posępnym głosem — śmiało pchasz się tam, gdzie reienie proszą. Ale jako prawy chrześcijanin nigdy nie odmawiam spragnionemu. Więc i ciebie do wypitki zapraszam — i wyciągnął garniec <to Robina.

Robin wziął go bez ceregieli, przechylił zadzierając głowę i głośnie “gul! gul! gul!” rozległo się przez niejedno mgnienie oka. Braciszek przyglądał mu się niespokojnie, i jak Robin się uraczył, wyrwał mu szybko garniec z ręki. Potrząsnął nim, obejrzał pod światło, z wyrzutem popatrzył na Robina i natychmiast podniósł garniec do ust. Odjął go dopiero opróżniony do dna.

— Czy znasz tutejsze strony, zacny i świątobliwy człeku? — zagadnął śmiejąc się Robin.

— Owszem, co nieco — odparł sucho tamten.

— A słyszałeś o takiej miejscowości zwanej Źródlanym Opactwem?

— Owszem, co nieco.

— Więc może słyszałeś i o jednym takim, co nosi miano Kusego Braciszka ze Źródlanego Opactwa?

— Owszem, co nieco.

— W takim razie, bratku miły, ojczyzna świątobliwy, czy jak cię tam zwać — powiedział Robin — chciałbym wiedzieć, czy tegoż Braciszka trzeba szukać po tej czy po drugiej stronie rzeki?

— A bo też każda rzeka ma tylko drugą stronę — powiedział mnich.

— Jakże to udowodnisz? — spytał Robin.

— A tak — powiedział mnich punktując swój wywód na palcach. — Tamta strona rzeki to druga strona, zgadzasz się?

— Oczywiście.

— Ale druga strona to tylko jedna strona, co nie?

— Nikt temu nie zaprzeczy — powiedział Robin.

— Zatem jeśli druga strona jest jedną stroną, to ta strona jest drugą stroną. Ale druga strona jest drugą stroną, przeto obie strony rzeki są drugą stroną. Ouod erat demonstrandum[3].

— Zgrabnie to wywiodłeś — rzekł Robin — ale nie wyjaśniłeś mi wcale, czy ów Kusy Braciszek jest po tej stronie rzeki, na której my stoimy, czy po tej stronie rzeki, na której my nie stoimy.

— To jest praktyczne pytanie — odparł mnich — do którego przemyślnie prawa logiki się nie odnoszą. Radzę ci rozstrzygnąć to z pomocą własnych pięciu zmysłów: wzroku, czucia i czego tam jeszcze.

— Chciałbym bardzo — powiedział Robin, patrząc z namysłem na postawnego mnicha — przedostać się przez bród i znaleźć koniecznie tego zacnego Braciszka.

— Zaiste — powiedział tamten bogobożnym tonem — chwalebne to pragnienie u tak młodego człowieka. Gdzieżbym miał ci przeszkodzić w tak świątobliwym zamiarze. Przyjacielu, rzeka jest dla wszystkich.

— Tak, wielebny ojczyzna — powiedział Robin — ale widzisz, że mam na sobie najładniejszy strój i rad bym go hie zamoczyć. Poznaje, żeś mocny i tęgą w barach, nie miałbyś serca przenieść mnie na tamtą stronę?

— O, na białą rączkę Naszej Pani Źródlanej! — wybuchnął mnich wściekły srodze — to ty mnie pytasz, ty cherlawy wyrostku, łachmyto, ty papużko nie doskubana, ty... ty... Jak mam cię nazwać? Ty mnie prosisz, mnie, świątobliwego Tucka, żebym cię przeniósł? A niechże cię... — Tu

urwał raptem, gniew powoli zniknął mu z twarzy i oczka znów zamrugały wesoło. — A dlaczego nie? — powiedział bogobojnym tonem. — Czy to święty Krzysztof nie przeniósł nieznajomego przez rzekę? A czyż ja, biedny grzesznik, miałbym się tego wstydzić? Chodź ze mną, nieznajomy człeku, a spełnię twe życzenie w pokornym duchu.

To rzekłszy wdrapał się na brzeg i zaprowadził Robina do płytkiego kamienistego brodu, całą drogę chichocząc, jakby się cieszył sam z jakiegoś dobrego żartu.

Nad brodem zakasał poły habitu, wsunął swój miecz pod pachę i nadstawił plecy Robinowi. Raptem wyprostował się.

— Przyszło mi na myśl — powiedział — że zamoczysz swój oręż. Daj, to wezmę go pod pachę razem ze swoim.

— Nie trzeba, wielebny ojcze — rzekł Robin — nie chcę cię obciążać niczym innym tylko sobą.

— Myślisz, że święty Krzysztof szukałby tak własnej wygody? — powiedział pokornie Braciszek. — Daj mi swój miecz, jak cię proszę, bo poniosę go jak pokutę za pychę własną.

Robin Hood na to bez dalszych ceregieli odpassał swój miecz i wręczył tamtemu braciszek wraz ze swoim wziął go pod pachę, a potem ponownie nadstawił lecy i wziął Robina na barana. Dzielnie wkroczył do wody i brodził z pluskiem przez płyciznę, aż coraz szersze kręgi rozchodziły się po gładkiej powierzchni. Dobrnął wreszcie na drugą stronę i Robin Hood lekko zeskoczył mu z karku.

— Piękne dzięki, wielebny ojcze — powiedział. — Naprawdę zacny i święty z ciebie człowiek. Bądź łaskaw oddać, mi miecz i bywaj, bo spieszo mi w drogę.

Tęgi mnich przekrzywił na to głowę i spoglądał tak na Robina dłuższy czas z diablo żartobliwym uśmieszkiem, wreszcie przymrużył szelmowsko prawe oko.

— Przykro mi, zacny młodzieńcze — powiedział grzecznie — nie wątpię, że pilno ci we własnych interesach, ale nie pamiętasz zupełnie o moich. Ciebie wołają ziemskie sprawy, mnie zaś duchowe, mój trud pobożny, rzecz można. Co więcej, moje interesy leżą po tamtej stronie rzeki. Z tego, że poszukujesz owego świątobliwego pustelnika, wnoszę, żeś jest zacnym młodzieńcem i żywisz szacunek dla sukni duchownej. Zamoczyłem się przechodząc na tę stronę i bardzo się boję, że gdybym miał znowu brodzić po wodzie, dostałbym łamania i takiego bólu w kościach, że przez niejeden dzień nie mógłbym spokojnie odprawiać nabożeństw. Skoro tak pokornie spełniłem twoją prośbę wiem, że ty mnie w zamian przeniesiesz z powrotem. Sam widzisz, jak to święty Godrick, ów patron pustelników, którego dzień dziś obchodzimy, dał mi do rąk aż dwa miecze, a tobie ani jednego. Daj się zatem przekonać, cny młodzieńcze, i przenieś mnie z powrotem.

Robin Hood zawahał się, zagryzając wargę.

— Ach, ty przebiegły mnichu — powiedział — a toś mnie wystrychnął na dudka. Powiem ci, że żaden z twoich konfratrów tak mnie jeszcze nie nabrał. A mogłem poznać po twojej minie, żeś wcale nie tak pobożny, jakiego udajesz.

— No, no — przerwał mu Braciszek — lepiej nie odzywaj się tak ordynarnie, bo jeszcze poczujesz, jak to mieczyk kole.

— Sza — powiedział Robin — nie mów tak, Braciszku. Ten, co przegra, ma zawsze prawo używać języka do woli. Oddaj mi mój miecz, obiecuję przenieść cię z powrotem natychmiast. Nie bój się, nie użyję go przeciwko tobie.

— Dobra, chodź no tu — powiedział mnich — nie boję się ciebie, bratku. Masz tu swój szpikulec. No i szykuj się raz dwa, bo mi pilno.

Robin odebrał swój miecz, przypasał go sobie, a potem schylił swój mocny kark i wziął Braciszka na plecy.

Dalibóg gorzej się z opasłym Braciszkiem namęczył niż Braciszek z nim. W dodatku nie znał

brodu, więc potykał się na kamienistym dnie, wpadał nogą w dziury, to znów mało się nie wywalił przez jakiś głaz, a z wysiłku i od tyłu pudów na plecach pot mu się lał po twarzy strumieniami. Tymczasem Braciszek dźgał go piętami w boki i przynaglał wyzywając paskudnie. Robin nic na to nie odpowiadał, tylko wymacawszy delikatnie klamrę od pasa, na którym wisiał miecz mnicha, zgrabnie rozluźniał palcami zapięcie. I tak się złożyło, że zanim dobrnął ze swoim ładunkiem do drugiego brzegu, mnich miał już pas rozpięty, choć nie wiedział o tym; więc gdy tylko Robin stanął na twardym gruncie, a Braciszek zeskoczył mu z pleców, Robin schwycił go za miecz, który znalazł się w jego rękach razem z pochwą i pasem, a mnich został bez broni.

— No i co — rzekł wesoło Robin dysząc ciężko i ocierając z czoła pot — mam cię, bratku. Tym razem ten sam święty, o którym przed chwilą wspomniałeś, dał mi do ręki dwa miecze, a tobie odebrał. No, jak mnie teraz nie przeniesiesz z powrotem, i to piorunem, przysięgam, że tak ci podziurawię skórę jak stary łachman.

Zacny Braciszek milczał chwilę, patrząc tylko na Robina z ponurą miną.

— Cóż, myślałem, że masz ciężki rozum — powiedział wreszcie — i nie spodziewałem się, żeś taki chytrus. Dalibóg, rozłożyłeś mnie na łopatki. Daj mi mój miecz, a obiecuję, że nie użyję go przeciwko tobie, chyba że we własnej obronie. Obiecuję też spełnić, co mi każesz, wziąć cię na plecy i ponieść.

Więc wesoły Robin zwrócił mu miecz, który mnich przypasał sobie, tym razem dobrze sprawdzając zapięcie, po czym raz jeszcze podwinąwszy habit wetknął poły za pas, wziął Robin Hooda na plecy, bez słowa wlaź do wody i brodził tak w milczeniu, a Robin zaśmiewał się siedząc mu na grzbiecie. Dobrnął wreszcie na najgłębszą wodę pośrodku brodu. Tu przystanął chwilę i nagle targnął mocno, podrzucając amionami i wysadzając ślicznie Robina na łeb iak wór z ziarnem.

Robin zwałił się do wody z potężnym pluskiem.

— Masz — powiedział świątobliwy człek, spokojnie zawracając do brzegu — niech ci to ostudzi zapalczywy łeb, daj Boże.

Tymczasem Robin, pluszcząc jak ryba, wygrzebał się jakoś. I stał całkiem ogłupiały, a woda ociekała zeń ślicznymi strużkami. Wreszcie wystukał wodę z uszu, wypluł z ust i przychodząc do siebie spostrzegł, że gruby Braciszek stoi na brzegu i zaśmiewa się. Wtedy Robin Hooda szła ogarnął.

— Stój, ty zboju — ryknął. — Zaraz zabiorę się do ciebie. A jeśli cię nie posiekam na kawałki, to niech mi ręka uschnie! — I rzucił się bryzgając do brzegu.

— Nie potrzebujesz się tak spieszyć — odparł mężny Braciszek. — Nie bój się, nie ucieknę. A jeśli nie zakrzykniesz wkrótce: “Biada mi!”, to niechaj więcej nie ujrzę słoneczka na niebie.

Robin znalazł się już na brzegu i zaczął bez dalszych ceregieli podwijać rękawy. Mnich również zakasał wygodnie habit odsłonił potężne ramię, sękatę od mięśni jak konar starego drzewa. Wtedy Robin zauważył, że Braciszek też ma kolczugę pod habitem.

— Pilnuj się! — zawołał Robin dobywając miecza.

— Dobra, dobra — odparł Braciszek, który czekał już z bronią w ręce.

Z miejsca natarli na siebie i zaczęła się zażarta bitwa. Skakali w prawo i w lewo, w przód i w tył, tędy i siędy. Miecze błyskały w słońcu, a szcęk ich rozbrzmiewał daleko. Nie był to rozrywkowy pojedynek na pałki, ale ponura i poważna walka, gdzie chodziło o życie. Zmagali się tak przez godzinę czy więcej, robiąc krótkie przerwy dla odsapnięcia, a wtenczas jeden na drugiego patrzył z podziwem i myślał, że pierwszy raz widzi tak twardego przeciwnika, i znowu rzucali się do walki z jeszcze większą zaciętością. Jednakże przez cały ten czas jeden drugiego nawet nie zadrasnął ani nie skaleczył do krwi. Wreszcie wesoły Robin zawołał: “Powstrzymaj się, przyjacielu” i obaj

opuścili miecze.

— Mam do ciebie prośbę, nim zaczniemy od nowa — rzekł Robin ocierając czoło z potu; zmagali się bowiem tak długo, aż Robin zaczął myśleć, że brzydko by było dać się posiekać albo samemu porąbać tak mężnego i dzielnego chłopca.

— Czego sobie życzysz? — spytał mnich.

— Tylko tyle — rzekł Robin. — Żebyś mi pozwolił trzy razy zagrać na rogu.

Braciszek zmarszczył brwi i spojrzał wnikliwie na Robina.

— Dalibóg, myślę, że to jakiś chytry podstęp — powiedział. — Tak czy owak wcale się ciebie nie boję i pozwolę ci to zrobić pod warunkiem, że i ty mi pozwolisz dmuchnąć trzy razy w ten maleńki gwizdek.

— Z miłą chęcią — odparł Robin. — No, to zaczynam — i podniósł do ust swój srebrny róg, na którym trzykrotnie odegrał czysty i wysoki sygnał.

Tymczasem Braciszek stał i pilnował bacznie, co z tego wyniknie, trzymając w palcach zgrabny srebrny gwizdek, jakiego rycerze używają do przywoływania z powrotem sokołów. Ów gwizdek nosił zawsze przy pasie wraz z różańcem.

Zaledwie ostatnie dźwięki rogu powróciły echem zza rzeki, czterech ubranych na zielono dryblasów wypadło pędem z zakrętu drogi, każdy z łukiem i strzałą już w pogotowiu.

— Ha! To tak, ty podstępny łotrze! — krzyknął mnich. — Więc pilnuj się teraz, bratku! — I natychmiast podniósł do ust gwizdek, który odezwał się przenikliwym świergotem. Zakotłowało się coś w krzakach przy drodze i z zarośli wypadły cztery zajadłe i kosmate brytany.

— Bierz go, Słodziutki! Bierz go, Warkaczu! Bierz go, Śliczny! Bierz go, Brysiu! — krzyknął Braciszek wskazując na Robina.

Ten mógł naprawdę dziękować Bogu, że akurat w pobliżu znalazło się drzewo, inaczej źle by się to dlań skończyło. W mgnieniu oka bowiem sfora go dopadła, zdążył tylko rzucić miecz i wskoczyć na drzewo, pod którym psy się zgromadziły, pilnując go jak kota na okapie. Ale Braciszek szybko je odwołał. — Bierzcie ich! — krzyknął wskazując naczterech dryblasów, którzy skamienieli z podziwu na drodze. Tak jak sokó>*pada na ofiarę, cała sfora pomknęła na nich, ale tamci, widząc rozjuszone psy, wszyscy prócz Szkarłatnego Willa jak na komendę naciągnęli łuki i wypuścili strzały.

Owóż stara ballada mówi, że stała się rzecz cudowna, albowiem psy uskoczyły lekko, zanim grot je dosięgnął, każdy kłapnął paszczą na świszczącą strzałę, złapał ją w locie i przegryzł na pół. I źle by się to skończyło dla całej dzielnej czwórki, gdyby Szkarłatny Will nie wyskoczył na spotkanie rozjuszonym psom.

— Cóż to znowu, Brysiu! — krzyknął srogo. — Leżeć, Śliczny! Leżeć, mospanie! Co to ma znaczyć?

Na dźwięk jego głosu psy się zaraz pohamowały i natychmiast zaczęły lizać go po rękach, i łaścić się do niego, tak jak im każe obyczaj, kiedy spotkają znajomego. Wtedy cała czwórka ruszyła naprzód, a psy obskakiwały radośnie Szkarłatnego Willa.

— A cóż to takiego! — krzyknął mężny Braciszek. — Co to znaczy? Czyś ty czarodziej, żeby takie wilki zamieniać w baranki! Ejże — zawołał, kiedy podeszli jeszcze bliżej. — Czy mnie oczy mylą? Co to znaczy, że widzę młodego Williama Gamwella w takiej kompanii?

— Nie, Tucku — powiedział młody człowiek podchodząc z całą czwórką do miejsca, gdzie Robin gramolił się z drzewa, doszedłszy do wniosku, że na razie niebezpieczeństwo minęło. — Nie nazywam się już William Gamwell, tylko Szkarłatny Will. A to mój dobry wuj, Robin Hood, z którym obecnie przebywam.

— Dalibóg, łaskawy panie — powiedział Braciszek z nieco zmieszaną miną, wyciągając

ogromne łąpsko do Robina — często słyŝałem twe imię w pieśni i w rozmowie, ale nie śniło mi się, że spotkam cię w walce. Błagam cię o przebaczenie i już się nie dziwię, że natrafiłem na tak męznego przeciwnika.

— Wierz mi, przewielebny ojczy — odezwał się Mały John — nie przestanę dziękować Bogu, że nasz dzielny przyjaciel, Szkarłatny Will, zna ciebie i twoje brytany. Powiadam ci serio, że serce mi w pięty uciekło, kiedy zobaczyłem, co się dzieje z moją strzałą, a te twoje psiska gnają prosto na mnie.

— Faktycznie masz za co dziękować, przyjacielu — powiedział ponuro Braciszek. — Ale łaskawy Willu, jak to się stało, że przebywasz obecnie w Sherwoodzie?

— Cóż to, Tucku, nie słyŝałeś o mojej pechowej zwadzie z rządcą? — zagadnął Szkarłatny Will.

— A owszem, ale nie wiedziałem, że ukrywasz się z tego powodu. Dalibóg, parszywe to czasy, kiedy dobrze urodzony człowiek musi się kryć dla takiego drobiazgu.

— Ale trwonimy czas — rzekł Robin — a ja muszę jeszcze odszukać tego Kusego Braciszka.

— Ależ, wuju, nie potrzebujesz go daleko szukać — powiedział Szkarłatny Will wskazując mnicha — bo przecież stoi przed tobą.

— Co? — zawołał Robin. — To tyś jest ten, którego z takim trudem szukałem i dla którego nabawiłem się tylu przygód, z kąpielą włącznie?

— A owszem — odparł ostrożnie mnich — niektórzy nazywają mnie Kusym Braciszkiem ze Źródlanej Doliny, inni zwą mnie żartobliwie Opatem ze Źródlanego Opactwa, a jeszcze inni mówią prosto: Braciszek Tuck.

— Ostatnie imię najlepiej mi się podoba — rzekł Robin — bo nie trzeba przy nim łamać sobie języka. Ale czegoś mi nie powiedział, że jesteś tym, kogo potrzebuję, tylko kazałeś mi szukać wiatru w polu?

— Dalibóg, wcale mnie o to nie zapytałeś, łaskawy panie — odparł dzielny Tuck. — Ale czego to potrzebujesz ode mnie?

— Późno się robi i nie możemy dłużej tu gadać — rzekł Robin. — Chodź, z nami do Sherwoodu, a po drodze wyłuszczę ci wszystko po kolei.

Więc nie zwlekając ni chwili ruszyli na powrót do Sherwoodu, a potężne brytany pociągnęły za nimi, ale dawno już noc zapadła, zanim wreszcie dotarli do obozowiska pod dębem.

A teraz posłuchajcie, bo opowiem wam dalej, jak Robin Hood z pomocą wesołego Braciszka Tucka ze Źródlanej Doliny zapewnił szczęście dwojgu młodych kochanków.

III. Robin Hood doprowadza do skutku ślub dwojga prawdziwych kochanków

I oto nadszedł ranek, w którym śliczna Helena miała być wydana za mąż, a wesoły Robin zaklął się, że Allan z Doliny, jak by się rzekło, zje półmisek nagotowany dla sir Stefana z Trentu. Obudził się Robin rześki i wesoły, obudzili się jego dziarscy towarzysze, a na koniec- obudził się Braciszek Tuck, przecierając zaspane oczy. I kiedy powietrze aż przelewało się od śpiewu najrozmaitszych ptaków radujących się społem w mglisty poranek, każdy obmył sobie twarz i ręce w pluszczącym potoku i tak zaczął się dzień.

— Słuchajcie — powiedział Robin, kiedy zrywając z postem najedli się wszyscy do syta — czas wyruszyć na wykonanie zadania, które nas dzisiaj czeka. Wybiorę sobie dwudziestu zuchów, bo mogą mi się bardzo przydać. A ty, Szkarłatny Willu, zostaniesz tu i do mojego powrotu obejmiesz dowództwo.

Potem przeglądając całą bandę, a każdy przeciskał się, aby na niego padł wybór, wywoływał po imieniu, kogo chciał, póki nie zebrał dwudziestu chwatów, samego kwiatu swojej drużyny. Prócz Małego Johna i Willa Stutely byli tam prawie wszyscy sławni chłopcy, o których wam już opowiadałem. I kiedy uradowani pobiegli w podskokach, aby się uzbroić w łuki, strzały i miecze.

Robin Hood zaszył się na chwilę w zarośla i tam wdział pstrokaty kaftan, jaki mógłby nosić wędrowny minstrel, i przewiesił przez ramię harfę, aby tym lepiej zagrać jego rolę.

Dalibóg, zrobił z siebie niebывałe widowisko. Trykoty miał zielone, ale kaftan w czerwone i żółte łaty, upstrzony i obwieszony wstęgami, wstążeczkami, węzełkami i strzępkami, które też były żółte i czerwone. Na głowie nosił wysoki kołpak z czerwonej skórki, z pysznym pawim piórem.

Cała banda wyłupiła na niego oczy, niejeden się śmiał, bo nigdy jeszcze nie widzieli wodza w tak fantastycznym przebraniu. Mały John obszedł go dokoła z poważną miną i skrupulatnie oglądał go przekrzywiając głowę. Zupełnie jak kogut na podwórzu, który krąży wokół jakiegoś intruza, choćby śpiącego kota czy czegoś, stąpa niepewnie, dziwiąc się i gdacząc do siebie, tak też Mały John krążył wokół Robina wygadując: “Ho, ho! A popatrz no tutaj! Coś takiego? Jakie to ładne, co, nie?” Wreszcie zatrzymał się przed Robinem.

— Jak Boga kocham — powiedział — a to frymuśny i ładny strój masz na sobie, wodzu. Cudacznie j szych fatalaszków nikt chyba nie widział od czasów świętego Wólphada, męczennika, który ujrzał takiego, co siedział na skale i malował sobie ogon na purpurowo i zielono.

— I mnie się zdaje — rzekł Robin podnosząc ramiona ispoglądając na siebie — że to nieco pstry i jaskrawy strój, wyglądam w nim jak konik polny, ale mimo wszystko ładny i całkiem mi w nim do twarzy, choć wkładam go tylko na ten jeden raz. Ale chwileczkę, Mały Johnie, masz tu dwa woreczki, wolę, żebyś je schował do swojej sakiewki. Sam źle bym się nimi opiekował pod tą błazeńską kapotą.

— Ej że, wodzu — rzekł Mały John biorąc woreczki i ważąc je na dłoni — brzęczy mi złotem.

— No to co — powiedział Robin. — To moje własne grosiwo i banda nic na tym nie traci. No, ruszajcie się, chłopcy — i odwrócił się szybko. — Przygotujcie się raz dwa. — I zebrawszy całą dwudziestkę w zwartą drużynę, wśród której znaleźli się Allan z Doliny i Braciszek Tuck, poprowadził ich przez leśne ostępy.

Szli tak długi czas, aż wydostali się z sherwoodzkich borów w dolinę rzeki Rother. Napotkali tu inne widoki niż w lesie; żywopłoty, szerokie łąny jęczmienia, pastwiska pnące się w górę aż pod samo niebo i całe, upstrzone stadami białych owiec, łąki, od których szła woń świeżo skoszonego siana leżącego w gładkich pokosach muskanych lotem śmigłych jerzyków; taki to krajobraz ujrzeli, jakże odmienny od puszczańskich zarośli i chaszczów, ale równie piękny. Robin wiódł ich naprzód, stąpając radośnie z wysuniętą piersią i głową odrzuconą do tyłu, chwytając w nozdrza zapachy, jakie łagodny wiatr przynosił z nad łąk.

— Zaiste — powiedział — nasz kochany świat tak samo jest piękny tutaj, jak i w leśnej ciszy. Kto go nazywa padołem łez? Ja myślę, że to tylko ciemność w naszych umysłach mrokiem okrywa świat. Bo—cóż mówi ta wesola piosenka, którą śpiewasz, Mały Johnie? Czy nie to?...

Gdy oczka zabłysną mej miłej, kochanej,
A czaru jej ustkom śmiech doda —
To dzień jest wesoły i szczęściem pijany,
Czy deszcz, czyli piękna pogoda.
Gdy piwko w szklanicach jak nektar lśni złoty,
Za nami już troski, za nami kłopoty!

— Nie — powiedział bogobojnie Braciszek Tuck — tobie tylko bezceństwa na myśli, nic więcej. A są lepsze lekarstwa na frasunek i niedolę niż piwa antałek i chabrowe oczęta, mianowicie post i kontemplacja. Popatrzcie na mnie, czy wyglądam na zrozpaczonego?

Na to wszyscy wokół wybuchnęli gromkim śmiechem, gdyż ubiegłego wieczoru Braciszek opróżnił dwa razy więcej garnców piwa niż ktokolwiek inny z całej bandy.

— Dalibóg — odezwał się Robin, kiedy śmiech mu na to pozwolił — powiedziałbym, że twoje smutki są prawie na miarę twojego dobrego wyglądu.

Szli tak naprzód, gadając, śpiewając, żartując i śmiejąc się, aż znaleźli się w pobliżu pewnego kościółka na ziemiach należących do bogatego klasztoru w Emmet. Tutaj właśnie miał się dziś odbyć ślub uroczej Heleny. Kościółek stał wśród falujących łąnów jęczmienia, naprzeciw niego po drugiej stronie drogi biegł kamienny mur. Z gościńca widać było za nim czubki młodych drzewek i krzaków, a sam mur tu i ówdzie był porośnięty gęsto kwitnącym powojem, który przesycił ciepłe powietrze słodkim zapachem lata. Od razu przeskoczyli mur, całą drużyną lądując w wysokiej i miękkiej trawie i płosząc stado owiec, które tam leżało w cieniu, a teraz rozpiechło się na wsze strony. Znaleźli pod murem wymarzony chłodny zakątek, któremu młode drzewka i krzaki dodawały cienia, gdzie rozsiedli się zadowoleni, że mogą odpocząć po rannej wędrówce.

— Jeden z was pójdzie na czaty — powiedział Robin — i da mi znać, gdy ktokolwiek zbliży się do kościoła. Wyznaczam młodego Dawida z Doncasteru. Włóż na mur, Dawidzie, zamaskuj się wśród powojów i stamtąd miej oko na wszystko.

Dawid wykonał polecenie, a reszta wyciągnęła się wygodnie na trawie, jedni gwarzyli sobie, a jedni drzemali. Nic nie mąciło ciszy prócz stłumionej pogwarki i nerwowych kroków Allana, który był tak roztrzęsiony, że nie mógł ustać spokojnie i chodził tam i z powrotem; w ciszę wkradało się jeszcze głębokie chrapanie Braciszka Tucka, który spał sobie smacznie, pochrapując tak, jakby ktoś bardzo wolno piłował miękkie drzewo. Robin leżał na wznak, zapatrzony w zielone listowie drzew, odbiegając myślami daleko. Minął tak długi czas. Na koniec Robin się odezwał:

— Dawidzie z Doncasteru, powiedz nam, co tam widzisz? A na to Dawid odparł:

— Widzę, jak szybują białe obłoki, i czuję, jak zawiewa wiatr, i trzy czarne kruki latają nad odłogiem. Ale więcej nic nie widzę, wodzu.

Więc znów zapadła cisza i mijał czas, aż Robin zaczął się niecierpliwić i zapytał ponownie:

— Dawidzie, powiedz mi, a co tam teraz widzisz? Dawid zaś odparł:

— Widzę w ruchu skrzydła wiatraków i trzy wysokie topole chwiejące się na niebie, a nad wzgórzem przelatuje stado kwiczołów. Ale więcej nic nie widzę, wodzu.

I znowu upłynął czas, aż wreszcie Robin raz jeszcze zapytał młodego Dawida, co słyszą za murem, a Dawid rzekł:

— Słyszę kukułkę i widzę, jak wiatr faluje jęczmień na polu. A teraz zza pagórka ukazał się stary mnich i zmierza do kościoła, dźwiga w rękach ogromny pęk kluczy. Oho, podchodzi do kościelnych wrót!

Robin poderwał się i potrząsnął za ramię Braciszka Tucka.

— Wstawaj no, świątobliwy człeku! — zawołał, na co Tuck z wielkim postękiwaniem podniósł się na nogi. — Hej, obudź się — rzekł Robin — bo pod drzwiami kościoła znalazł się twój konfrater. Idź, pogadaj z nim i dostań się do kościoła, żebyś był w stosownej chwili pod ręką. A potem Mały John, Will Stutely i ja dostaniemy się tam za tobą w pojedynkę.

Więc Braciszek Tuck przełaził przez mur, przeciął drogę i zbliżył się do kościoła gdzie stary mnich wciąż biedził się z wielkim kluczem, gdyż zamek był nieco zardzewiały, a on sam sędziwy i

słaby.

— Witaj, bracie — rzekł Tuck — niechże ci pomogę. Wziął od niego klucz, przekreślił i otworzył od razu.

— Kto jesteś, dobry bracie? — zapytał starzec świszczącym głosem. — Skąd przychodzisz i dokąd zmierzasz? — I mrugał uparcie na zażywnego Braciszka Tucka jak sowa na słońce.

— Tak oto odpowiem na twoje pytania, bracie — rzekł tamten. — Nazywam się Tuck i zmierzam nie dalej niż do tego miejsca, jeśli mi tylko pozwolisz pozostać tu, póki nie odbędzie się ten ślub. Przychodzę ze Źródlanej Doliny i prawdę mówiąc jestem takim sobie biednym pustelnikiem, rzec by można, bo mieszkam w celi obok źródła błogosławionego przez ową świętą Ethelradę, która sama cierpiała najstraszliwszą mękę, jaka kiedykolwiek spadła na niewiastę, bo wiedz, że język jej ucięto, i akurat tyle mogła mówić co zdechła kawka na ten przykład. Ale co się dzieje? Posłuchaj tylko. Owa błogosławiona niewiasta przyszła prosto do tego źródła... Tak to było, a jednak muszę wyznać, że ja tam wielkiego pożytku z tej krynicy nie miałem, bo zimna woda zawsze podrażnia mi wnętrze, dostaję kolek i basta.

— Ale ja — zaświstał stary brat piskliwym głosem — bardzo chcę wiedzieć, co się przydarzyło tej świątobliwej niewieście, gdy przyszła do błogosławionego źródła.

— No cóż, napiła się z krynicy i natychmiast odzyskała ów dar, który zdaniem złośliwych i nie tylko złośliwych wcale nie jest takim znowu niebiańskim darem; mowę oczywiście. Ale coś mi się widzi, że szykuje się tu dzisiaj wystawny ślub, więc jeśli

pozwolisz, rad bym odpocząć w chłodnej nawie i podziwiać to piękne widowisko.

— Bardzo cię proszę, bracie — rzekł staruszek wprowadzając go do środka.

Tymczasem Robin przebrany za harfiarza wraz z Małym Johnem i Willem Stutely podszedł do kościółka. Robin usiadł na ławie przed wrotami, ale Mały John, mający w swej pieczy dwa woreczki złota, i Will Stutely weszli obaj do wnętrza.

Robin siedział pod drzwiami rozglądając się na obie strony drogi, czy ktoś nie nadchodzi. Po pewnym czasie ujrzał sześciu konnych jadących statecznie i powoli, jak przystało, byli to bowiem dostojnicy kościelni. Kiedy kawalkada zbliżyła się nieco, Robin ich wszystkich rozpoznał. Na czele jechał Biskup Herefordu, wystrojony, aż było na co popatrzeć. Przywdział szaty z najbogatszego jedwabiu, a na szyję łańcuch z kutego złota. Tonsurę okrywał mu czarny aksamitny biret obsyty dokoła klejnotami, które błyskały w słońcu, a każdy kamień osadzony był w złocie. Miał jedwabne trykoty płomiennej barwy i pantofle z czarnego aksamitu, z zakręconymi noskami, z krzyżykiem wyszytym na podbiciu złotą nitką. Obok niego jechał Przeor klasztoru w Emmet na szykownym wierzchowcu. Był też bogato ubrany, ale nie tak strojnie jak tęgi Biskup. Za nimi podążali dwaj przedstawiciele kapituły zakonnej, a na koniec dwaj słudzy ze świty biskupiej, albowiem Jego Ekscelencja Książ Biskup Herefordu starał się dorównać wielkim baronom, co leżało w mocy osoby duchownej.

Kiedy Robin ujrzał nadjeżdżający orszak, błyszczący od klejnotów, jedwabi i srebrnych dzwoneczków na uprząży, spojrzał nań kwaśno i powiedział do siebie: “Ten Biskup za bardzo się stroi jak na duchownego. Ciekaw jestem, czy jego patron, jak mi się zdaje, święty Tomasz, miał taki pociąg do złotych łańcuchów, jedwabnych szmatek i pantofli z zakręconym noskiem. A to wszystko za pieniądze biednych dzierżawców, Bóg świadkiem, za ich krwawicę. Biskupie, Biskupie, twoja pycha może zostać ukarana, zanim się spostrzeżesz”.

Duchowni podjechali do kościoła, Biskup i Przeor rozbawieni żartami na temat jakichś dam, o których między sobą pogadywali w słowach bardziej przystających świeckim niż duchownym. Po czym zsiadli z koni i Biskup rozglądając się dokoła spostrzegł Robina stojącego we wrotach

kościółka.

— Hejże, człeku — zawołał rubasznym głosem — ktoś ty taki, żeś się powystrajał w pstrokate piórka?

— Jestem harfiarz rodem z północy — rzekł Robin — i takie cuda wyprawiam dźwiękiem swoich strun, że nikt inny w całej Anglii tego nie potrafi. Słowo daję, łaskawy Księżu Biskupie, niejeden rycerz i mieszczuch, świecki i duchowny tańczył, chcąc nie chcąc, tak jak mu zagrałem, najczęściej całkiem wbrew własnej woli. Taką siłę magiczną ma moja harfa. Otóż i dzisiaj, łaskawy Księżu Biskupie — gdybym — Daógl zagrać na ślubie, obiecuję sprawić, że śliczna panna młoda pokocra tego, kogo poślubi, miłością, która trwać będzie dotąd, dopóki ta para będzie żyć ze sobą.

— Ha, co ty mówisz?! — zawołał Biskup. — Traktujesz to na serio? — I spojrział przenikliwie w oczy Robina, który odpowiedział mu śmiałym wejrzeniem. — No, jeśli sprawisz, że ta panienska, która naprawdę rzuciła jakiś urok na mojego biednego kuzyna Stefana, że ta panienska tak pokocha tego, kogo poślubi, jak ty mówisz, to dam ci, czego tylko zapragniesz w godziwej mierze. Pozwól mi zakosztować twojej sztuki, bratku.

— Nie — rzekł Robin — moja muzyka nie zjawia się na życzenie nawet samych biskupów, tylko kiedy mnie się spodoba. Doprawdy nie zagram wcześniej, aż pokaże się panna i pan młody.

— A toś jest pyszałkowatym chamem, skoro się tak odzywasz do mojego majestatu — rzekł Biskup ze srogą miną. — No, ale muszę cię ścierpieć. Spójrz, Przeorze, oto nadjeżdża nasz kuzyn, lord Stefan, ze swoją oblubienicą.

Rzeczywiście z za zakrętu gościńca ukazała się reszta weselników na koniach. Na czele jechał wysoki chudzielec o rycerskiej postawie, od stóp do głów przyodziany w czarny jedwab, w aksamitno-czarnym kołpaku ze szkarłatnym otokiem. Robin spojrział i nie miał wątpliwości, że jest to lord Stefan, wskazywał na to zarówno rycerski sposób noszenia się, jak i siwizna na skroniach. Przy nim jechał krzepki saski kmicieć, ojciec Heleny, Edward z Deirwoldu; dalej dwa konie niosły lektykę, a w niej panienkę, którą musiała być Helena. Za lektyką jechała szóstka zbrojnych, słońce połyskiwało na ich stalowych hełmach, gdy z brzękiem nadjeżdżali zakurzoną drogą.

Orszak zatrzymał się przed kościółkiem, lord Stefan zeskoczył z konia, podszedł do lektyki i pomógł wysiąść Helenie. Wtedy Robin spojrział na nią i przestał się dziwić, jak się to stało, że tak dumny rycerz jak lord Stefan z Trentu zapragnął poślubić córkę zwykłego kmiecia, ani że nie podniósł się z tego powodu żaden krzyk, gdyż Helena była na j ślicznie j szą panną, jaką kiedykolwiek widział na oczy. Co prawda w tej chwili słaniała się blada jak cudowna biała lilia, której łodygę ściśnięto palcami. Ze zwieszoną głową i żalonym licem weszła do kościoła prowadzona pod rękę przez lorda Stefana.

— Dlaczego nie grasz, bratku? — rzekł Biskup spoglądając surowo na Robina.

— Dalibóg — odparł spokojnie Robin — zagram w lepszy sposób, niż wasza ekscelencja myśli. Ale jak przyjdzie właściwa pora. Biskup z ponurą miną popatrzył na Robina i powiedział sobie: “Niech tylko ślub się odbędzie, a każę wychłostać tego gagatka za bezczelność i parszywy język”.

Ale śliczna Helena i lord Stefan czekali już przed ołtarzem, a Biskup wyszedł w szatach pontyfikalnych i otworzył mszalik, Helena zaś rozglądała się w gorzkiej rozpaczycy jak jelonek, gdy widzi, że osaczają go charty. Wówczas Robin Hood, który przyglądał się wsparty o filar, podszedł trzepocząc wstążkami migoczącymi żółto i czerwono. Zrobił tylko trzy kroki i stanął rozdzielając parę narzeczonych.

— Niechże się przyjrzę tej paniencie — powiedział donośnym głosem. — Jakże to! Cóż my widzimy? A toż lilie na policzkach zamiast róż, co przystoją sympatycznej pannie młodej.

Niedobrana to para. Wyście tacy starzy, milordzie, a ona taka młoda, i myślicie brać ją za żonę? Powiadam wam, że tak być nie może, bo nie jesteście wcale jej ukochanym.

Na to wszyscy zbaranieli, nie wiedząc, gdzie spojrzeć, co myśleć i co powiedzieć, tak ich oszołomił ten postępek. Więc kiedy tak patrzyli na dziwnego minstrela, jakby ich ktoś zaklął w kamień. Robin podniósł do ust swój róg i zagrał po trzykroć tak głośno i czysto, że dźwięk jego rogu odbił się między stropem a posadzką jak głos trąb wzywających na Sąd Ostateczny. I natychmiast Mały John z Willem Stutely podbiegli w podskokach i stając z obu stron Robina szybko dobyli mieczy, a tymczasem potężny głos przetoczył się nad głowami zebranych: "Tutaj jestem, wodzu, gdy mnie wołasz! Był to bowiem Braciszek Tuck, który przyczał się wysoko na organach.

Podniósł się wielka zgiełk i wrzawa. Krzepki Edward parł naprzód rozwścieczony i byłby porwał swoją córkę, gdyby Mały John nie odepchnął go, zastępując mu drogę.

— Nie wtrącaj się, staruchu — powiedział. — Nie masz tu nic do gadania.

— Bić łotrów! — krzyknął lord Stefan szukając miecza, ale w dniu weselnym nie miał go przy boku.

Zbrojni dobyli mieczy i zdawało się, że krew zboczy posadzkę, ale raptem przy drzwiach podniósł się zgiełk i wrzawa, błysnęła stal i rozległ się szczeł oręża. Zbrojni cofnęli się, i nawa nadbiegło w podskokach osiemnastu dryblasów odzianych na zielono, z Allanem z Doliny na czele. Allan przyklęknął przed Robinem na jedno kolano i podał mu jego wierny cisowy łuk.

Wtedy odezwał się Edward z Deirwoldu huczącym z gniewu głosem:

— Tyżeś to, Allanie z Doliny, urządził cały ten bałagan w kościele?

— Nie — rzekł wesoły Robin — ja to urządziłem i nie zależy mi, kto się o tym dowie, bo nazywam się Robin Hood.

Na to imię cisza zaległa wokoło. Przeor i zakonnicy zbili się jak stadko przerażonych owiec, kiedy je zaleci woń wilka, a Biskup Herefordu odłożył mszalik i przeżegnał się gorliwie.

— Niech nas ręka boska broni przed tym złoczyńcą! — powiedział.

— Nie bójcie się — rzekł Robin — nie myślę robić wam krzywdy. Ale czeka tu prawdziwy narzeczony ślicznej Heleny i ona za niego wyjdzie albo niektórzy z was dostaną cięgi.

Na to odezwał się krzepki Edward donośnym i gniewnym głosem:

— A ja mówię: Nie! Jestem jej ojcem i ona nie wyjdzie za nikogo innego, tylko za lorda Stefana.

Cały ten czas, gdy wokół panowało zamieszanie, lord Stefan stał w dumnym i pogardliwym milczeniu.

— Nie, człowieku. — powiedział zimno — możesz zabrać sobie swoją córkę. Po tym, co tu zaszło, nie ożenię się z nią, choćbym miał dostać całą Anglię na dodatek. Otwarcie ci powiem, niemłody jestem, ale kochałem twoją córkę i byłbym, podniósł ją jak klejnot z chlewu, niestety nie wiedziałem, że jest rozmiłowana w innym. Panienko, jeśli wolisz nędznego minstrela niż wysoko urodzonego rycerza, to bierz go sobie. Uwłacza mi to, że znalazłem się wśród takiej zgrai, więc opuszczam was.

To rzekłszy odwrócił się i zbierając swoją świętę poszedł dumnie nawą do wyjścia. Wszyscy milczeli zmrozeni jego pogardą, tylko Braciszek Tuck wychylił się z chóru i zawołał do niego po drodze:

— Dzień dobry, milordzie. Sam wiesz, że stary pryk musi zawsze ustąpić młodemu.

Lord Stefan nic nie odpowiedział i nawet nie spojrzął na niego, tylko wyszedł z kościoła, jakby niczego nie słyszał, a jego świta za nim.

I zaraz Biskup Herefordu odezwał się z pośpiechem: — Ja też nie mam tu nic do roboty, więc

idę — i zrobił krok do wyjścia. Ale Robin Hood przytrzymał go za kołnierz.

— Nie spieszcie się, wasza ekscelencjo — rzekł — mam wam coś jeszcze do powiedzenia.

Biskupowi mina zrzędła, ale zatrzymał się posłusznie, bo wiedział, że musi. Wtedy Robin Hood obrócił się do krzepkiego Edwarda z Deirwoldu i powiedział:

— Udziel ojcowskiego błogosławieństwa mężowi swojej córki, a wszystko będzie dobrze. Mały Johnie, podaj mi obie sakiewki. Spójrz, kmieciu. Oto dwieście ślicznych złotych dukatów. Dasz błogosławieństwo, jak ci mówię, to dostaniesz je do ręki jako wiano twojej córki. Nie dasz błogosławieństwa, to córka i tak wyjdzie za mąż, ale nie powąchasz ni złamanego szeląga. Wybieraj.

Edward zmarszczył czoło i wbił wzrok w ziemię, zastanawiając się solennie, ale był człowiekiem przemyślnym, który zawsze woli uratować, co się da: więc wreszcie podniósł oczy i powiedział bynajmniej niewesołym tonem:

— Jeśli dziewczucha chce iść swoją drogą, niech idzie. Chciałem ją wykierować na wielką panią, a jeśli ona woli wykierować się na co innego, to od tej chwili przestaję mieć z nią do czynienia. Mimo to dam jej swoje błogosławieństwo, kiedy zostanie prawowicie poślubiona.

— To niemożliwe — odezwał się jeden z członków kapituły. — Zapowiedzi nie zostały należycie ogłoszone i nie widzę tu księdza, który dałby im ślub.

— Co wy gadacie? — ryknął Tuck z wyżyn chóru. — Księdza nie ma? A kto tu przed wami stoi? Człek nie mniej świątobliwy od was, świątobliwy na co dzień, zakonnik prawdziwy, żebyście o tym wiedzieli. A co do zapowiedzi, nie szukaj dziury w całym, bracie, bo sam je ogłoszę.

To rzekłszy spełnił, co mówił; a dawna ballada dodaje, że ogłosił zapowiedzi dziewięć razy, bo trzy mogło być za mało. Po czym natychmiast zszedł z chóru i zaraz dokonał ślubnej ceremonii; tak więc Allan i Helena zostali prawowicie poślubieni.

Wtedy Robin odliczył Edwardowi z Deirwoldu dwieście złotych dukatów, a ten z kolei udzielił młodemu swojego błogosławieństwa, chociaż nie całkiem ze szczerego serca. Krzepcy towarzysze otoczyli zaraz Allana ściskając mu dłoń, a on trzymając za rękę Helenę rozglądał się wokół odurzony szczęściem.

Na koniec wesoły Robin zwrócił się do Biskupa Herefordu, który przyglądał się wszystkiemu z ponurą miną.

— Przewielebny Księżę Biskupie — rzekł — przypominasz sobie może, że coś mi obiecałeś? Jeśli swoją grą sprawię, że ta śliczna panienka pokocha męża, miałeś mi dać wszystko, o co tylko poproszę w granicach zdrowego rozsądku. Ja swoje odegrałem, a ona kocha męża, czego by nie robiła, gdyby nie moje wstawiennictwo. Wypełnij więc swoją obietnicę. Masz na sobie coś, bez czego — moim zdaniem — obejdiesz się lepiej. Daj mi zatem z łaski swojej ten złoty łańcuch, który nosisz na szyi, jako ślubny podarunek dla pięknej panny młodej.

Biskup spurpurowiał i oczy mu zabłyśły gniewem. Spojrzał groźnie na Robina, ale zobaczył w jego twarzy coś, co kazało mu się powstrzymać. Powoli zdjął łańcuch z szyi i podał Robinowi, a Robin wziął go, założył Helenie, i łańcuch pięknie zamigotał na jej ramionach.

— W imieniu panny młodej dziękuję ci — rzekł wesoły Robin — za ten przystojny dar; doprawdy bardziej ci do twarzy bez łańcucha. A gdybyś kiedy przejeżdżał w pobliżu Sherwoodu, mam wielką nadzieję, że wyprawię na twoją cześć taką ucztę, jakiej nigdy w życiu nie zakosztowałeś.

— Niech mnie Pan Bóg strzeże — zakrzyknął gorąco Biskup, wiedział bowiem za dobrze, jakie to uczy wyprawia Robin swoim gościom w sherwoodzkim borze.

A Robin zebrał swoich ludzi i całą gromadą wraz z Allanem i jego młodą żoną pospieszyli ku borom. Po drodze Braciszek Tuck przedostał się do Robina i pociągnął go za rękaw.

— Prowadzisz, mój wodzu, wesołe życie — powiedział — a czy nie uważasz, że dla duchowego pożytku was wszystkich przydałby się jakiś dobry, krzepki kapelan, choćby ja, żeby zadbać o pobożne sprawy? Dalibóg, taki żywot dogadza mi niezmiernie.

Na to Robin Hood roześmiał się z całej duszy i poprosił go, żeby został z nimi i przyłączył się do bandy, jeśli tego sobie życzy.

A wieczorem odbyła się w borze taka uczta, jakiej hrabstwo Nottingham przedtem nie oglądało. Na tę ucztę ni ja, ni ty nie byliśmy zaproszeni, a wielka to doprawdy szkoda; aby więc nie było nam jeszcze bardziej przykro, zamilknę o tym.

Tak się kończy wesoła opowieść o Allanie z Doliny i o tym, jak Robin Hood z Braciszkiem Tuckiem wyświadczyli mu wielką przysługę. A teraz usłyszemy o historiach innych niż niedole sympatycznych kochanków, mianowicie o tym, jak Robin Hood wspomógł dzielnego rycerza, którego wszyscy opuścili w potrzebie. Słuchajcie więc, co będzie dalej.

Część piąta, która opowiada o tym, jak Robin Hood spotkał smętnego rycerza i zaprosił go do Sherwoodu, a także o tym, jak Biskup Herefordu okazał się bardziej wspaniałomyślny, niż miał na to ochotę. Będzie też mowa o tym, jak sir Ryszard z Lea spłacił na czas swój dług i przeorowi z Emmet, i Robin Hoodowi pospołu.

I. Robin Hood wspomaga smętnego rycerza

Minęła delikatna wiosna w swej świeżutkiej urodzie, srebrzyste ulewy i pogodne słońeczko, łąki zielone i wiosenne kwiaty. Minęło i lato z płowym słońcem, rozedrgane upały i gęste od listowia szaty leśne, długie zmierzchy i jasne noce, w które rechoczą żaby, a najrozmaitsze duszki hasają ponoć po pagórkach. Wszystko to minęło, a nadszedł czas jesieni, która przyniosła własne uciechy i radości; zebrano już bowiem plony i wesołe dożynkowe gromady wędrowały po całej okolicy, śpiewając za dnia na drogach, a układając się do snu pod żywopłotem czy w stogach siana. Jagody głogu czerwieniły się w krzaczastych zaroślach, tarnina szerniała wśród żywopłotów, ścierniska leżały szorstkie i nagie pod niebem, a zielone liście szybko rdzewiały na coraz brunatniejszy kolor. W tej wesołej jesiennej porze gromadzą się też całoroczne dostatki. Ciemne piwo dojrzewa w piwnicy, szynka i boczek wisi w wędzarni, a rajskie jabłuszka chowa się w słomę, aby je upiec zimą, kiedy północny wiatr naniesie śniegu pod samą strzechę, a ogień trzaska ciepło na kominie.

Tak mijała wówczas pora za porą, tak mija i dzisiaj, tak mijać będzie i kiedyś, a my przychodzimy i odchodzimy jak liście z drzewa, które opadają i pamięć o nich ginie niebawem.

Robin Hood zwęszył piękną pogodę i powiedział:

— Mamy dziś śliczny dzień, Mały Johnie, aż szkoda go przeproźnować. Wybierz sobie, kogo chcesz do kompanii i idź na wschód, a ja pójdę na zachód. Postarajmy się, aby każdy z nas sprowadził zamożnego gościa na wieczerzę pod naszym dębem zielonym.

— Dalibóg — zawołał Mały John klaszcząc w ręce z radości — to mi dopiero dogadza! Przeprowadzę ci gościa albo sam więcej nie wrócę.

Każdy wedle własnej woli dobrał sobie kompanię i rozeszli się w przeciwne strony lasu.

Otóż my nie możemy wędrować z nimi w obie drogi naraz, przyłączając się do ich wesołych poczynań; niechaj więc Mały John idzie swoją ścieżką, a my zakaszmy poły i nadążajmy za Robinem. Tu też jest chwacka kompania: Robin Hood, Szkarłatny Will, Allan z Doliny, Will Kędzierzawy, Muszka Młynarczyk i inni. Z dwudziestu czy więcej zuchów pozostało w lesie z Braciszkiem Tuckiem, aby przygotować na wieczór przyjęcie, lecz cała reszta wyruszyła albo z Robin Hoodem, albo z Małym Johnem.

Wędrowali naprzód, Robin szedł wedle własnej fantazji, a inni w ślad za nim. To przemierzyli polanę, gdzie stała chata i zagroda, to znów zanurzyli się w knieje. Minawszy piękny gród Mansfield, flanki, baszty i wieżyczki roześmiane w słońcu, wydostali się wreszcie z borów. Spieszyli dalej na przełaj, mijali wioski, gdzie gospodynie i wesołe dziewczęta zerkały przez okienka na dorodną gromadę chłopaków, dopóki nie zawędrowali aż za Alverton w hrabstwie Derby. Do tej pory nadeszło południe, ale nie natknęli się na nikogo, kogo warto by było zabrać w gości do Sherwoodu; więc gdy doszli wreszcie do kapliczki na skrzyżowaniu dróg, Robin nakazał postój, rósł tu bowiem wysoki żywopłot, pod którego osłoną mogli swobodnie obserwować obie drogi i zjeść południowy posiłek.

— Widzi mi się — rzekł wesoły Robin — że znajdziemy tu wygodną przystań, gdzie bogobojny ludek, taki jak my, może pożywić się w spokoju. No i zobaczymy, co też nam wpadnie do rąk, jeśli szczęście dopisze.

Dostali się przelazem na drugą stronę i usadowili się na miękkiej trawie za żywopłotem, przez który przesiewało się łagodne i ciepłe słońce. Potem każdy dobył z wiszącej u boku sakwy swoje zapasy, gdyż wesoła przechadzka, jaką właśnie odbyli, zaostrza apetyt, aż staje się tak dokuczliwy jak marcowy wiatr. Nikt więc nie strzepił gęby, tylko zachowywał ją na lepszy użytek, zajadając z werwą razowiec i mięso na zimno.

Przed nimi jeden z gościńców wspinał się na stromy pagórek i raptownie opadał w dół za grzbietem, biegnący przy nim żywopłot i kosmate trawy ostro odcinały się na niebie. Zza krawędzi wichrowatego pagórka wyglądały strzechy paru chałup wioski, która zbiegała w dolinę, wyzierał też wierzchołek wiatraka, na tle czystego błękitnego nieba skrzydła wznosiły się powoli i opadały za pagórek, poruszane ze skrzypieniem i mozołem przez niemrawy wiatr.

Skończywszy posiłek czatowali za żywopłotem, ale czas mijał, a żywa dusza nie pokazała się na drodze. W końcu ktoś wyłonił się zza pagórka i nadjeżdżał wolno kamiennym gościńcem ku kapliczce, gdzie Robin i jego banda czyhali w ukryciu. Był to krzepko zbudowany rycerz, ale jakiś smętny z wyglądu i z przygnębioną miną. Choć wytwornie i dostatnio odziany, nie miał ani złotego łańcucha, jaki zazwyczaj nosili ludzie jego stanu, ani żadnych klejnotów na sobie; a jednak nikt by go nie wziął za kogoś innego niż przedstawiciela dumnej i szlachetnej krwi. Głowę zwiesił na piersi, a ręce dyndały mu po bokach; i tak nadjeżdżał powoli, zatopiony w ponurych myślach, i nawet jego wierny koń, z lejcami opadającymi luźno, stąpał ze zwieszonym łbem, jak gdyby podzielał smutek swego pana.

— To dopiero skwaszony <gagatek — rzekł Robin Hood — wygląda na to, że wstał dziś z łóżka lewą nogą. Tak czy owak trzeba z nim pogadać, bo może trafi się jakaś okruszyna dla zgłodniałej kawki. Na moje oko strój ma bogaty, choć sam jakiś taki zgnębiony. Zaczekajcie tutaj, a ja się tym zajmę.

Wstał i zostawiając ich przyczał się za kapliczką, czekając na smętnego rycerza, a kiedy ten mijał go wolno, Robin wyskoczył zniemacka i przechwycił lejce.

— Stój, panie rycerzu — powiedział. — Zatrzymaj się chwilkę z łaski swojej, bo mam ci parę słów do powiedzenia.

— Ktoś ty taki, przyjacielu, że w podobny sposób zatrzymujesz podróżnych na gościńcu jego królewskiej mości? — zagadnął rycerz.

— Dalibóg — rzekł Robin — trudno odpowiedzieć na to pytanie. Jeden nazywa mnie łagodnym, drugi nazywa mnie okrutnym, ten znów nazywa mnie dobrym, uczciwym człekiem, a tamten nikczemnym zbójem. Doprawdy świat ma tyle oczu, ile ropucha cętek na sobie. Więc jakimi oczami spojrzysz na mnie, zależy tylko od ciebie. Nazywam się Robin Hood.

— Dalibóg, Robinie — rzekł rycerz, a uśmiezek zadrżał mu w kącikach warg — masz niezwykle pomysły. A jakimi spoglądam na ciebie oczami? Powiem, że najżyczliwszymi, bo słyszę o tobie wiele dobrego a mało złego. Czego sobie ode mnie życzysz?

— Gotów jestem przysiąc, panie rycerzu — rzekł Robin — że nauczyłeś się mądrości u naszego wieszca Swantholda, gdyż on powiada: “Piękne słowa tak samo łatwo rzec jak paskudne, a rodzi się z nich dobra wola zamiast bijatyki”. Otóż udowodnię ci prawdę tego powiedzenia, gdyż wyprawię ci najweselszą ucztę, jakiej w życiu zakosztowałaś, jeśli tylko pójdziesz ze mną do Sherwoodu.

— Jesteś naprawdę łaskawy — powiedział rycerz — ale obawiam się, że znajdziesz we mnie nieszczęśliwego i żalosego gościa. Najlepiej puść mnie, niechaj odjadę w spokoju.

— Nie — rzekł Robin. — Możesz <§djechać swoją drogą tylko pod jednym warunkiem. Zaraz ci powiem. Utrzymujemy, rzec można, oberżę w samej głębi Sherwoodu, ale tak daleko od gościńców i traktów, że rzadko kiedy goście w pobliże zawitają, więc ja i moi przyjaciele, gdy nam

już dokuczy własne towarzystwo, wyruszamy na poszukiwanie chętnych. Tak się ma rzecz cała, panie rycerzu, ale dodam jeszcze, że spodziewamy się po naszych gościach zapłacenia rachunku.

— Rozumiem, o co chodzi, przyjacielu— odparł posepnie rycerz — ale źle trafiłeś, bo nie mam pieniędzy przy sobie.

— Prawdali to? — rzekł Robin spoglądając przenikliwie na rycerza. — Nie pozostaje mi nic innego, tylko ci uwierzyć. Jednakże, panie rycerzu, wśród ludzi twego stanu nie brak takich, którym nie można ufać na słowo, choć tak utrzymują. Nie weźmiesz mi za złe, że wglądnę w to bliżej.

Przytrzymał konia za uzdę i zagwizdał przenikliwie na palcach. Natychmiast zza żywopłotu wyskoczyło czterdziestu leśnych ludzi, którzy nadbiegli i otoczyli kołem rycerza i Robina.

— Oto — rzekł Robin spoglądając na nich dumnie — niektórzy moi weseli towarzysze. Dzielą ze mną pospołu troski i radości, zyski i straty. Panie rycerzu, powiedz mi z łaski swojej, ile masz przy sobie pieniędzy?

Rycerz jakiś czas nie odezwał się ni słowem, tylko policzki z wolna mu purpurowiały, wreszcie spojrzał Robinowi prosto w oczy i powiedział:

— Sam nie wiem, dlaczego się wstydzę, bo to nie powinien być żaden wstyd. Ale będzie to prawda, przyjacielu, kiedy powiem, że mam w sakiewce dziesięć szylingów i to jest wszystek majątek, jaki sir Ryszard z Lea posiada na całym szerokim świecie.

Kiedy sir Ryszard zamilkł, zapadła cisza, aż wreszcie Robin powiedział:

— I dasz mi słowo rycerskie, że to jest wszystko, co masz przy duszy?

— Owszem — odparł sir Ryszard — daję ci słowo honoru, jako wierny rycerz, że to wszystkie pieniądze, jakie mam na świecie. Zresztą sam możesz sprawdzić, oto moja sakiewka — i wyciągnął ją do Robina.

— Schowaj to, sir Ryszardzie — rzekł Robin. — Ani myślę wątpić słowu tak szlachetnego rycerza. Pysznych staram się poniżyć, ale tych, co chodzą w smutku, wspomagam, jeśli mogę. Rozpogódź się, Ryszardzie, i chodź z nami do puszczy. Nawet ja mogę okazać ci się pomocny, bo wiesz zapewne, jak dobrego Athelstana uratował mały, ślepy kret, co wykopał dołek, na którym przewrócił się niedoszły królobójca.

— Doprawdy, przyjacielu — powiedział sir Ryszard — zdaje mi się, że na swój sposób dobrze mi życzysz. Wszakże moje troski są takie, że niepodobna, abyś mógł je ukoić. Ale pójdę z tobą dziś do Sherwoodu.

Obrócił konia i powędrowali razem ku borom. Robin szedł po jednej ręce rycerza, a Szkarłatny Will po drugiej, reszta drużyny nadążała za nimi. Po jakimś czasie Robin się odezwał.

— Panie rycerzu — rzekł — nie chcę ci się naprzykrzać, ale czy nie masz chęci powiedzieć mi, co cię tak gnębi?

— Doprawdy, Robinie — odparł rycerz — nie widzę powodu, żeby ci tego nie powiedzieć. Rzecz się ma tak: mój zamek i posiadłości oddane są w zastaw za dług, który jestem winien. Od dziś za trzy dni muszę zapłacić pieniądze albo stracę na zawsze wszystkie swoje dobra, gdyż wpadną w ręce klasztoru w Emmet, a co oni połączą, tego już nigdy nie oddadzą.

— Zupełnie nie rozumiem — wtrącił Robin — dlaczego ludzie twojego pokroju żyją na taką modłę, że całe ich bogactwo topnieje im jak śnieg na wiosennym słońcu.

— Krzywdzisz mnie, Robinie — rzekł rycerz. — Bo posłuchaj: mam syna zaledwie dwudziestoletniego, który wszakże zdobył już rycerskie ostrogi. Ubiegłego roku, w pewien fatalny dzień, odbywał się w Chester turniej, na który pospieszył mój syn, a wraz z nim ja i moja żona. Doprawdy były to chlubne dla nas chwile, gdyż syn wysadził z siodła każdego przeciwnika, z którym się potykał. Wreszcie zmierzył się z pewnym znamienitym rycerzem, sir Walterem z Lancasteru. I

choć syn był młodzieniaszkiem, utrzymał się w siodle, mimo że obie kopie poszły w drzazgi. Niestety tak się zdarzyło, że odłamek kopii trafił sir Waltera w oko i przeszył mu głęboko czaszkę, tak że biedak skonał, zanim giermek zdążył mu zdjąć przyłbicę. Otóż, Robinie, sir Walter miał możnych przyjaciół u dworu, przeto jego krewniacy tak podburzyli opinię przeciw mojemu synowi, że musiałem zapłacić okup, sześćset funtów w złocie, aby ratować go od więzienia. Nawet wtedy wszystko mogłoby wyjść na dobre, gdyby nie to, że przez różne kruczki i sekrety prawne zostałem ostrzyżony jak owca do gołej skóry. Doszło do tego, że zabrakło mi grosza i musiałem zastawić swoje posiadłości Przeorowi z Emmet, a ten korzystając z mojej pilnej potrzeby wymusił na mnie słone warunki. Chcę jednak, abyś zrozumiał, że żał mi tak posiadłości tylko ze względu na żonę.

— A gdzie się podziewa wasz syn? — zagadnął Róbin, który słuchał pilnie tego, co rycerz opowiadał.

— Jest w Palestynie — odparł sir Ryszard — wzorem dzielnych chrześcijan walczy o Grób Święty jako krzyżowiec. W Anglii nie było dla niego miejsca po śmierci sir Waltera, taką ściągnął na siebie nienawiść jego krewniaków z Lancasteru.

— Dalibóg, ciężki spotkał cię los — rzekł Robin wielce poruszony. — Ale powiedz mi, co się należy Przeorowi za twoje dobra?

— Ledwie czterysta funtów — odparł Ryszard. Robin palnął się ze złości po udzie.

— O, krwiopijcy! — zawołał. — Wziąć piękną posiadłość w zastaw za czterysta funtów! Ale co się z tobą stanie, jeśli stracisz swoje włości, sir Ryszardzie?

— To nie mój los trapi mnie w tym wypadku — powiedział rycerz — tylko mojej ukochanej pani. Gdybym stracił ziemię, będzie musiała udać się do jakichś krewnych i zostać u nich na łaskawym chlebie, a od tego pękłoby jej dumne serce. Ja zaś wyruszę za morze, do Palestyny, aby połączyć się z synem i walczyć o Grób Święty.

— Ale czy nie masz żadnego przyjaciela, żeby ci pomógł w okrutnej potrzebie? — odezwał się Szkarłatny Will.

— Ani widu, ani słyhu — odparł sir Ryszard. — Kiedif byłem zamożny, przyjaciele przechwalali się przy moim stole, jak to mnie kochają. Ale gdy dąb pada w lesie, horda świń ucieka, aby jej nie przygniotło. Tak też przyjaciele mnie opuścili, bo nie tylko jestem ubogi, ale mam na dodatek możnych wrogów.

Wtedy odezwał się Robin:

— Powiadasz, że nie masz przyjaciół, sir Ryszardzie. To nie przechwałki, lecz wielu w swoich kłopotach znalazło przyjaciela w Robin Hoodzie. Rozwesel się, panie rycerzu, mogę ci się jeszcze przydać.

Rycerz potrząsnął głową ze słabiutkim uśmiechem, ale mimo wszystko po słowach Robina cieplej mu się zrobiło na sercu, bo po prawdzie nawet iskierka nadziei zaraz rozświetla mrok jak świeczka choćby za dwa grosze.

Dzień mijał już na dobre, kiedy znaleźli się w pobliżu obozowego dębu. Już z daleka poznali po gromadzie ludzi, że Mały John wrócił z jakimiś gośćmi, ale kogóż to ujrzeni z bliska, jeśli nie samego Biskupa Herefordu. Zaczny Ksiądz Biskup zaplątał się w nie lada kabałę. Tam i z powrotem krążył pod dębem jak lis przychwycony w kojcu. Trzej dominikanie zbili się w przerażoną gromadkę niczym czarne owce w czas nawałnicy. Uwiązana do konarów stała szóstka koni, wśród nich szlachetny rumak w strojnym czapraku, wierzchowiec Księdza Biskupa, reszta zaś objuczona najrozmaitszymi pakunkami — na widok jednego Robinowi aż oczy zabłyśły, gdyż była to niezbyt duża szkatuła, ale dobrze okuta i ściśnięta żelaznymi obręczami.

Kiedy Biskup ujrzał Robina i jego towarzyszy wchodzących na polanę, zrobił ruch, jakby chciał

podbiec do nich, ale strażnik, który pilnował go i dominikanów, zagroził mu drogą pałką, więc jego ekscelencja musiał się powstrzymać, choć z marsmem na czole i sarkaniem.

— Zaczekaj, łaskawy Księżu Biskupie — zawołał Robin donośnym głosem, gdy ujrzał, co zaszło. — Już spieszę do ciebie co sił w nogach, bo ciebie właśnie rad bym zobaczyć bardziej niż kogokolwiek w wesołej Anglii.

To rzekłszy przyspieszył kroku i wprędce znalazł się przed obliczem rozsierdzonego Biskupa.

— Jakże to — zawołał Biskup podniesionym głosem do Robin Hooda — to w taki sposób ty i twoja banda traktuje tej miary dostojników -Kościoła co ja? Jedziemy sobie spokojnie gościńcem, ja i ci bracia zakonni, z naszymi jucznymi końmi, w eskorcie tuzina zbrojnych, a tu zjawia się ten dryblas, dwa metry wzrostu z okładem, ludzi ma za sobą osiemdziesięciu czy więcej i woła do mnie: “Stać”... Do mnie, Biskupa Herefordu, miarkujesz! Na co moja eskorta... szlag by trafił tych tchórzów... ucieka od razu. Ale popatrz no, nie dość, że mnie zatrzymał, to jeszcze mi zagroził, że Robin Hood obedrze mnie ze skóry jak zająca. Jakby tego jeszcze było za mało naurągał mi... “tłusty katabas”, “ludożerczy biskup”, “lichwiarskie gardło nienasycone” i czegoż to nie wygadywał, jakbym był zerem, włóczęgą czy kotlarzem. Na dodatek, kiedy tu przyszedłem, natknąłem się na potężnego grubasa, co udaje księdza. Klepnął mnie po plecach, Bóg świadkiem, jakbym był ostatnim ciurą.

— Pokaż mi się, do wszystkich diabłów! — zakrzyknął Braciszek Tuck przepychając się i wyskakując przed Biskupa. — Pokaż no mi się, powiadam! — i strzelił Biskupowi palcami pod nosem, aż tamten szarpnął się w tył, jakby weń piorun uderzył. — To ja udaję księdza?! Szalbiercą mnie nazywasz? Słuchaj no, Biskupie, daję słowo, że nie gorszy jestem od ciebie w nabożności i sam mógłbym zostać biskupem, gdybym się nie urodził pod płotem. A wykształcony jestem też nie gorzej od ciebie, choć nigdy nie mogłem opanować tej paskudnej łaciny, bo mi język pasuje tylko do krzepkiej angielskiej mowy. Ale zapewniam cię, że potrafię odmówić Pater noster i Ave Maria [4] z nie większą ilością lapsusów niż ty, tłusciuchu jeden!

Biskup nastroszył się na Braciszka jak rozwścieczony kocur, tymczasem nawet sir Ryszard śmiał się: tylko Robin zachowywał poważną minę.

— Nie wtrącaj się, Tuck — powiedział — nie powinieneś stawiać się w ten sposób jego wielbności. Przykro mi, ekscelencjo, że zostałeś tak niegrzecznie potraktowany przez moją bandę. Zapewniam cię szczerze, że mamy wielki szacunek dla sukni duchownej. Mały Johnie, wystąp natychmiast.

Na te słowa Mały John wystąpił z gromady, krzywiąc markotnie twarz, jak gdyby mówił: “Miej litość nade mną, wodzu”. Wtedy Robin Hood zwrócił się do Biskupa Herefordu i zapytał:

— Czy to ten człowiek tak butnie przemawiał do waszej wielbności?

— A tak, tenże sam — powiedział Biskup — zwykły łobuz, dalibóg.

— A czyś ty, Mały Johnie — zapytał Robin posępnym tonem — nazwał jego wielbność tłustym katabasem?

— Tak — odrzekł boleśnie Mały John.

— I ludożerczym biskupem?

— Tak — odrzekł jeszcze boleśniej Mały John.

— I lichwiarskim gardłem nienasyconym?

— Tak — odrzekł Mały John do tego stopnia bolesnym tonem, że mógłby wrzucić do łez Smoka z Wentley.

— Jakaż szkoda, że tak jest w istocie! — zawołał swawolny Robin zwracając się do Biskupa. — Bo przekonałem się, że Mały John zawsze prawdę mówi.

Huknął śmiech, a Biskupowi krew uderzyła do twarzy, aż zrobił¹ się purpurowy, ale nie

powiedział nic, tylko połknął słowa, choć go mało nie udusiły.

— Nie, nie, łaskawy Księżu Biskupie — powiedział Robin — jesteśmy szorstcy ludzie, ale w gruncie rzeczy nie tacy znowu źli, jak ty myślisz. Wśród nas włos ci z głowy nie spadnie. Wiem, że zirytowały cię nasze żarty, ale tu w puszczy jesteśmy wszyscy równi, nie ma wśród nas biskupów ni baronów, ni hrabiów, są tylko ludzie, więc musisz dzielić nasze życie, dopóki z nami poprzestajesz. Dalej, ruszajcie się, chłopcy, trzeba przygotować ucztę. Tymczasem pokażemy dostojnemu gościowi nasze puszczańskie rozrywki.

Jedni więc skoczyli szykować rożny i rozniecać ogniska, inni zaś pobiegli po pałki i łuki. Wówczas Robin przedstawił sir Ryszarda z Lea.

— Łaskawy Księżu Biskupie — powiedział — oto drugi gość, którego mamy dziś w naszym gronie. Pragnę, abyś mógł się z nim lepiej zapoznać, gdyż ja i, moi towarzysze dołożymy starań, by uczcić was pbu dzisiejszą biesiadą.

— Sir Ryszardzie — zaczął Biskup z wymówką w głosie — zdaje mi się, że jesteśmy towarzyszami niedoli w tej jaskini. — Już miał powiedzieć “zbójców”, ale ugryzł się w język i zerknął z ukosa na Robin Hooda.

— Śmiało, Biskupie — zaśmiał się Robin. — My z Sherwoodu cenimy swobodę słowa. “Jaskini zbójców”... chciałeś właśnie powiedzieć.

— Może coś takiego miałem na myśli, sir Ryszardzie — rzekł Biskup. — Ale to ci powiem, że widziałem przed chwilą, jak się śmiałeś z grubiańskich żartów tej hołoty. Bardziej by ci przystało, moim zdaniem, skarcić ich spojrzeniem, niż zachęcać jeszcze śmiechem.

— Nie chciałem zrobić wam przykrości — odparł sir Ryszard. — Ale dobry żart jest tynfa wart i mogę powiedzieć szczerze, że śmiałbym się, gdyby był we mnie samego wymierzony. .

Ale właśnie Robin przywołał kilku ze swojej bandy, którzy wymościłi ziemię mchem i okryli jelenimi skórami. Wtedy Robin Hood zaprosił swoich gości, by spoczęli; usiedli więc we trójkę, a niektórzy ze starszyny, jak Mały John, Szkarłatny Will, Allan z Doliny i inni, wyciągnęli się na murawie w pobliżu. Na dalekim końcu polany przyczepiono wieniec, do którego celowali łucznicy, a dali taki popis tego dnia, aż się serce radowało. Robin zaś tak niezwykle zabawiał rozmową Biskupa i rycerza, że pierwszy zapomniał o swojej złości, a drugi o swoich kłopotach, i obaj śmieli się głośno raz po raz.

Dziesięciu łuczników strzelało w trzech kolejkach i chociaż wieniec miał nie więcej niż pół łokcia szerokości i wisiał na dystansie stu dwudziestu metrów, tylko dwie strzały znalazły się poza wieniec; reszta tkwiła w środku.

— Jak Boga kocham, przyjacielu — powiedział Biskup do Robina — w życiu nie widziałem takiego popisu łucznictwa, jaki dali twoi ludzie. Ale tyle słyszałem o twoim kunszcie, nie mógłbyś nam go troszkę zademonstrować?

— Cóż — odparł Robin — trochę już zmierzcha i wszystko zaczyna migotać, no ale spróbuję, co potrafię.

Podniósł się, wyciągnął sztylet i wyciął nim leszczynowy pręt nie grubszy od kciuka. Po drodze go ostrugał i odmierzywszy sto pięćdziesiąt kroków zatknął pręt w ziemi i wrócił na dawne miejsce. Allan z Doliny podał mu. j ego krzepki cisowy łuk, na który Robin od razu nałożył cięciwę. Wyrzucił na ziemię zawartość kołczana i pieczołowicie przebierał strzały, aż wybrał taką, która mu najlepiej pasowała. Po czym założył ją na łuk i stanął w strzeleckiej postawie, a wokół wszystko się uciszyło, jak makiem posiał. A on napiął łuk, wyprężył ramię i w mgnieniu oka puścił dzwoniącą cięciwę. Strzała świsnęła tak hyżo, że nie sposób było nadażyć za nią wzrokiem, tylko wielki okrzyk podniósł się w chwili, gdy trafiła w cel. Will Kędzierzawy skoczył po nią i przyniósł trofeum — strzała tkwiła

w wroszczepionym przecie leszczynowym. Banda zaczęła tak wiwatować, aż reszta ludzi nadbiegła pod ognisk, dumni bowiem byli ze swojego wodza, że nikt mu nie dorówna w mistrzostwie.

Ale Robin usiadł już między swoimi gośćmi i nie dając im ni chwili czasu na pochwały, wezwał do zawodów najlepszych szermierzy na pałki. Siedzieli więc i przyglądali się pojedynkom, aż zapadł zmierzch i zawodnicy nie mogli już walczyć po ciemku.

Wtedy wystąpił Allan z Doliny, nastroił harfę, póki wszyscy się nie uciszeli, i swoim cudownym głosem śpiewał pieśni o miłości i o wojnie, o chwale i o smutku, a oczarowani słuchacze siedzieli bez ruchu. Śpiewał tak, aż przez gęstwiny liści zaczęło się przesiewać czyste światło srebrnej pełni księżycy.

Wreszcie nadeszli dwaj kamraci oznajmiając, że uczta gotowa. Robin wziął swoich gości za ręce i powiódł ich tam, gdzie leżały rozpostarte na trawie obrusy, a na nich dymiące półmiski, od których rozchodziły się smakowite wonie. Wokół płonęły pochodnie, powlekając wszystko czerwienią. Zasiadli do uczty ze zgiełkiem i wrzawą, mieszał się ze sobą śmiech, gadanina i szcęk półmisków. Biesiada nieprędko się skończyła, gdyż po jadle zaczęły żywo krążyć puchary z białym winem, i garnce z piwem. Wtedy Robin zawołał o ciszę, odczekał chwilę i zabrał głos.

— Chcę, żeby wszyscy posłuchali, bo mam dla was opowieść — zaczął i bez dalszych ceregieli opowiedział im o niedolach sir Ryszarda i majątku oddanym w zastaw. Roześmiana i zaczerwieniona z wesołości twarz Biskupa wprędce spoważniała, ze stropioną miną odłożył na bok róg z winem, znał bowiem historię sir Ryszarda i opadły go złe przeczucia. Robin zwrócił się do niego, gdy skończył.

— Powiedz mi, łaskawy Księżu Biskupie — rzekł — czy nie uważasz, że to brzydki postępek, zwłaszcza ze strony duchownego, który winien praktykować pokorę i miłosierdzie?

Biskup nie odpowiedział ni słowa, tylko spuścił markotnie oczy.

— Jesteś przecie najbogatszym Biskupem w całej Anglii — podjął Robin. — Nie mógłbyś pomóc bliźniemu w potrzebie?

Biskup jednak milczał uparcie. Wtedy Robin zwrócił się do Małego Jphna.

— Weź Willa Stutely i przyprowadźcie tu tę piątkę juczych koni.

Obaj udali się wypełnić rozkaz, a biesiadnicy przy najlepszym świetle zrobili miejsce dla koni, które przywiódł niebawem Mały John i Will Stutely.

— Kto ma spis towarów? — zagadnął Robin spozierając na dominikanów.

Odezwał się najmniejszy z nich drżącym głosem — staruszek o łagodnej, pomarszczonej twarzy.

— To ja... Ale błagam cię, nie rób mi krzywdy.

— Skądże — rzekł Robin. — Nie skrzywdziłem jeszcze niewinnego człowieka. Ale pokaż mi to, dobry ojciec.

Staruszek spełnił jego życzenie i podał mu tabliczkę, na której mieścił się rejestr najrozmaitszych pakunków na objuczonych koniach. Robin wręczył tabliczkę do odczytania Szkarłatnemu Willowi, który donośnym głosem, aby wszyscy mogli usłyszeć, zaczął:

— Trzy bele jedwabiu dla Quentina, bławatnika z Ancaster.

— Tego nie tkniemy — rzekł Robin — bo ów Quentin to uczciwy jegomość, dorobił się własną pracą.

Więc odłożono nie ruszony towar na bok.

— Jedna bela jedwabistego aksamitu dla Opactwa w Beaumont.

— A na cóż tym księżom jedwabisty aksamit? — zagadnął Robin. — W każdym razie, choć go wcale nie potrzebują, nie zabiorę im wszystkiego. Odmierzcie go na trzy błamy, jeden pójdzie na

biednych, jeden dla nas, a jeden dla Opactwa.

I znów się stało wedle rozkazu Robina.

— Dwa tuziny świec woskowych dla kaplicy świętego Tomasza.

— To święta własność — rzekł Robin — więc odłóżcie ją na drugą stronę. Nie daj Boże, byśmy mieli zabierać świętemu Tomaszowi to, co do niego należy.

I znów stosownie do polecenia Robina odłożono świece na drugą stronę wraz z nie tkniętymi belami jedwabiu uczciwego kupca Quentina. Tak przewertowano cały rejestr, sortując towary wedle opinii Robina. Niektóre pakunki odeszły na bok nie ruszone, wiele zaś otwarto i podzielono na trzy części — dla biednych, dla bandy i dla właścicieli. Cała murawa w świetle pochodni została zaścielona jedwabiem, aksamitem, złotogłowie, zastawiona skrzynkami wybornego wina w najdroższych gatunkach. I tak doszli do ostatniego wiersza w rejestrze...

— Szkatuła Księdza Biskupa Herefordu.

Na te słowa Biskup wzdrygnął się jak przeniknięty mrozem do szpiku kości. Postawiono szkatułę na ziemi.

— Łaskawy Księżu Biskupie, czy masz kluczyk od tej szkatułki? — zagadnął Robin.

Biskup potrząsnął głową.

— Idź, Szkarłatny Willu — rzekł Robin — ty jesteś tu najsilniejszy... przynieś miecz i rozetnij to pudło, jak potrafisz.

Szkarłatny Will wstał, zostawił ich na chwilę i wrócił zaraz dźwigając ogromny miecz, którym można było operować tylko oburącz. Po trzykroć wyrzwał w okutą żelazem szkatułę. Trzeci cios rozplątał ją i posypała się góra złota migoczącego czerwienią w blasku pochodni. Na jego widok pomruk przebiegł przez całą bandę. Jak szum wiatru wśród odległych drzew, ale nikt się nie wyrwał ani nie dotknął złota.

— Ty, ty i ty — rzekł Robin wskazując na Szkarłatnego Willa, Allana z Doliny i Małego Johna — przeliczcie to.

Sporo czasu zajął im solidny rachunek, zanim Szkarłatny Will obwieścił, że naliczył tysiąc pięćset złotych funtów ogółem. Ale wśród pieniędzy znaleźli kwit, który Will odczytał głośno, i wszyscy usłyszeli, że było to złoto za dzierżawy, grzywny i konfiskaty ‘ niektórych majątków należących do biskupstwa Herefordu.

— Łaskawy Księżu Biskupie — rzekł Robin Hood — nie obedrę cię ze skóry jak zająca, jak wyraził się Mały John, gdyż trzecią część tej fortuny zabierzesz sobie z powrotem. Jedną możesz z powodzeniem wydać na nas za gościnę, jaką urządziliśmy tobie i twojej świcie, gdyż jesteś wielce bogaty. A jedną przeznaczyłbyś lepiej na jałmużnę, słyszę bowiem, Biskupie, że masz twardą rękę dla swoich podwładnych i jesteś sknerą okrutnie łasym na zyski, które z większym pożytkiem i chlubą mógłbyś rozdać biednym, niż wydawać na własne przyjemności.

Biskup podniósł wzrok, ale słowa z siebie nie wykrztusił; był jednak wdzięczny, że nie przepadł mu cały majątek.

Wtedy Robin zwrócił się do sir Ryszarda z Lea i powiedział: — Kościół miał ochotę ogołocić cię, sir Ryszardzie, niechaj więc część nadwyżki z kościelnych dochodów służy ci pomocą. Weźmiesz te pięćset funtów odłożonych dla ludzi bardziej potrzebujących niż nasz Biskup i zapłacisz nimi swój dług Opactwu Emmet.

Sir Ryszard spoglądał na Robina, aż wszystkie światła i twarze zamglily mu się w oczach. Na koniec powiedział:

— Dziękuję ci, przyjacielu, z całego serca za to, co dla mnie czynisz. Ale nie myśl źle, jeśli nie przyjmę twojego daru bez skrupułów. Tak wszakże zrobię; wezmę pieniądze i spłacę swoje długi,

lecz za jeden dzień i rok .od tej chwili zwrócę je w całości albo tobie, albo Księdzu Biskupowi Herefordu. Daję na to moje słowo rycerskie. Czuję, że wolno mi zaciągnąć pożyczkę, gdyż w moim mniemaniu nikt nie jest tak zobowiązany do wyświadczenia mi pomocy jak jeden z najdosłojniejszych ludzi tego Kościoła, który zawarł ze mną tak krzywdzący interes.

— Dalibóg, panie rycerzu — rzekł Robin — nie rozumiem tych szlachetnych skrupułów, jakie się was zawsze czepiają. Niechaj jednak będzie wedle twojej woli. Ale za rok najlepiej odnieś te pieniądze mnie, bo może lepszy z nich zrobię użytek niż nasz Biskup.

Po czym odwrócił się do swoich ludzi wydając odpowiednie rozkazy. Odliczono pięćset funtów i zawiązano do skórzanego worka dla sir Ryszarda, reszta złota została podzielona: część powędrowała do skarbcza bandy, a część odłożono wraz z innymi rzeczami Biskupa.

Sir Ryszard powstał.

— Nie mogę dłużej z wami zostać, przyjaciele — powiedział — gdyż moja żona będzie niespokojna, że nie wracam do domu. Pozwólcie więc, że was pożegnam.

Wtedy Robin Hood i wszyscy jego weseli druhowie powstałi, a Robin powiedział:

— Nie możemy puścić cię samego, sir Ryszardzie.

— Wodzu — odezwał się na to Mały John — pozwól mi wybrać dwudziestu zuchów z naszej bandy. Uzbroimy się, jak należy, i posłużymy sir Ryszardowi jako wierna drużyna, zanim nie znajdzie sobie innych na nasze miejsce.

— Dobrze rzekłeś, Mały Johnie, i tak też będzie — powiedział Robin.

— Dajmy mu — odezwał się Szkarłatny Will — złoty łańcuch na szyję, jak przystoi człowiekowi jego rodu, i złote ostrogi do butów.

— Dobrze rzekłeś, Szkarłatny Willu, tak też się stanie — powiedział Robin.

— Dajmy mu — odezwał się Will Stutely — tę belę drogiego aksamitu i tamten zwój złotogłowiu, aby zawiózł swej szlachetnej żonie w podarunku od Robin Hooda i wszystkich jego wesółych towarzyszy.

Na to wszyscy zaklaskali w ręce z radości, a Robin powiedział:

— Dobrze rzekłeś, Willu Stutely, i tak też się stanie. Wtedy sir Ryszard z Lea potoczył oczyma dokoła i usiłował przemówić, lecz dławilo go wzruszenie; wreszcie odezwał się ochryłym, drżącym głosem.

— Zobaczycie, kochani przyjaciele, że sir Ryszard z Lea na zawsze zapamięta waszą dobroć. A jeśli kiedykolwiek będziecie w opałach czy w potrzebie, przyjeżdżajcie do mnie i mojej pani, a mury Zamku Lea prędzej zostaną skruszone do ostatka, nim wam krzywda się stanie. Ja... — urwał, bo nie mógł już mówić, i odwrócił się spiesźnie.

Ale właśnie wystąpił Mały John z dziewiętnastoma wybranymi ludźmi, gotowymi do drogi. Każdy miał na piersiach kolczugę, na głowie misiurkę, a u boku ciężki miecz. Stojąc szeregiem, prezentowali się wspaniale. Wtedy Robin podszedł i zarzucił sir Ryszardowi złoty łańcuch na szyję, a Szkarłatny Will przyklęknął i przypiął mu złote ostrogi. Mały John podprowadził mu rumaka i rycerz wspiął się na siodło. Chwilkę spoglądał z konia na Robina, a potem niespodzianie pochylił się i ucałował go w policzek. Cały las zadrżał od krzyku, kiedy rycerz i drużyna w blasku pochodni i błysku stali odmaszerowali przez polanę i tak znikli w zaroślach.

Wówczas odezwał się żalonym głosem Biskup Herefordu:

— I ja się podryndam, bratku, bo noc robi się późna. Ale Robin położył mu dłoń na ramieniu i powstrzymał go.

— Nie spiesz się tak, Księżę Biskupie — powiedział. — Od dziś za trzy dni sir Ryszard ma zapłacić dług Opactwu Emmet, do tej pory musisz się kontentować moim towarzystwem, żebyś

naszemu rycerzowi nie namącił biedy. Obiecuję ci wspaniałą rozrywkę, bo wiem, że przepadasz za polowaniem na jelenie. Pozbądź się płaszcza melancholii i popróbuj radosnego puszczańskiego życia przez trzy krzepkie dni. Gwarantuję, że żal ci będzie odjeżdżać, jak nadejdzie pora.

Tak więc Biskup ze swoją świtą zatrzymał się przez trzy dni w przymusowej gościnie, a tylu rozrywek zaznał jego wielebność w tym czasie, że spełniły się słowa Robina i rzeczywiście żal mu było wyjeżdżać z puszczy, gdy nadeszła pora.

Kiedy minął ostatni dzień, Robin wypuścił go na wolność i dał mu w asyście straż, aby reszta jego pakunków i tobołów nie wpadła w ręce przygodnym rabusiom.

Ale w powrotnej drodze Biskup poprzysiął, że Robin kiedyś jeszcze gorzko pożałuje tej chwili, gdy zatrzymał go w Sherwoodzie.

Teraz jednak pójdziemy śladem sir Ryszarda; słuchajcie więc, a zobaczycie, co się z nim stało, a także, jak spłacił swój dług Opactwu w Emmet, a we właściwej porze i Robin Hoodowi.

Zakurzony i spłowiały od słońca gościniec ciągnął się prościuteńko. Po obu jego stronach bieły rowy pełne wody, obrzeżone łożami, a w oddali wyrastały baszty Opactwa Emmet w otoczeniu smukłych topól. “

Groblą jechał jakiś rycerz z orszakiem dwudziestu zbrojnych. Odziany był w surową szarą suknię ściągniętą szerokim pasem, z którego zwisała mizerykordia i ciężki miecz. Chociaż sam był tak skromnie odziany, jechał na szlachetnym wierzchowcu, którego rząd mienił się od jedwabiu i srebrnych dzwoneczków.

Orszak wędrował tak groblą wśród podmokłych łąk, aż dotarł wreszcie do wielkiej bramy Opactwa Emmet. Rycerz skinął na któregoś ze swojej drużyny i kazał mu zastukać do budki furtiana rękojeścią miecza.

Klucznik drzemał na ławie w budce, ale ocknął się na stukanie, uchylił furtki i przykuśtykał pozdrawiając rycerza, podczas gdy oswojony szpak w wiklinowej klatce zaskrzeczał: *In coelo quiesl In coelo quieal*[5] — takich bowiem słów nauczył go biedny kulawy furtian, zgarbiony starością.

— Gdzie jest wasz Przeor? — spytał rycerz staruszka.

— Przy stole, łaskawy rycerzu, i oczekuje na twoje przybycie — rzekł furtian — boś ty jest sir Ryszard z Lea, jeśli si[^] nie mylę.

— Jestem sir Ryszard z Lea. I pójdę zobaczyć się z nim od razu — powiedział rycerz.

— A wasz koń? Nie trzeba odprowadzić go do stajni? — zagadnął furtian. — Na Boga, nigdy jeszcze nie widziałem tak szlachetnego rumaka i w tak wspaniałym rzędzie. — I poklepał konia po szyi.

— Nie — odparł sir Ryszard — nie dla mnie są tutejsze stajnie, więc ustąp mi z drogi, z łaski swojej.

To rzekłszy ruszył naprzód, zaraz brama się otworzyła i ukazał się brukowany dziedziniec Opactwa. Wjechali ze szczękiem zbroi i loskotem kopyt na kamieniach, płosząc drepczące w słońcu stado gołębi, które z trzepotem wzbilo się ku koronom okrągłych baszt.

* * *

Podczas gdy rycerz zmierzał groblą do Opactwa Emmet, w refektarzu Opactwa Emmet zanosilo się na wesołą biesiadę. Przez ostrołukowe okna wpadały smugi popołudniowego słońca, kładąc się na posadzce i na stole okrytym śnieżnobiałym obrusem, na którym zastawiono książęcą ucztę. Na honorowym miejscu siedział Przeor Vincent z Emmet, odziany w miękkie jedwabne szaty, na głowie miał czarną czapczkę z aksamitu, wyszywaną złotem, a na szyi ciężki złoty łańcuch z ogromnym medalionem. Na poręczy fotela tkwił jego ulubiony sokół, Opat bowiem gustował w szlachetnej sztuce polowania z sokołem. Po prawej jego ręce siedział Szeryf Nottinghamu w wystawnych purpurowych szatach bramowanych futrem, a po lewej — sławny doktor praw w ciemnym, spokojnym stroju. Poniżej zasiadł celerariusz i inni przełożeni klasztoru.

Krążyły żarty, buchał śmiech, weselono się w najlepsze. Do zwiędłej twarzy prawnika przylgnął pomarszczony uśmiezek, hołubił bowiem w sakiewce osiemdziesiąt złotych dukatów, które wyasygnował mu Przeor za udział w procesie między nim a sir Ryszardem z Lea. Światły mąż zażądał zapłaty z góry, gdyż nie miał nadzwyczajnego zaufania do świątobliwego Vincenta z Emmet.

- Ale czy jesteś pewien, wielebny Przeorze, że cały majątek bez bólu wpadnie ci w ręce? — zagadnął Szeryf Nottinghamu.

— Jeszcze jak — odparł Przeor Vincent cmokając ustami po tęgim łyku wina. — W tajemnicy

przed nim kazałem go śledzić pilnie i wiem doskonale, że nie ma ni grosza przy duszy na zapłacenie długu.

— Tak jest — powiedział prawnik skrzypiącym głosem — majątek jego zostanie bezwzględnie skonfiskowany, jeśli -dziś nie stawi się z wykupem. Jednakże musisz od niego uzyskać, wielebny Przeorze, zrzeczenie praw z odręcznym odpisem, gdyż inaczej nie uda ci się utrzymać majątku bez dalszych kłopotów.

— Mówiłeś mi już o tym — rzekł Przeor — ale wiem, że ten rycerz jest taki goły, że z przyjemnością odpisze mi ziemię za dwieście funtów żywą gotówką.

— Moim zdaniem to wstyd tak sponiewierać nieszczęsnego rycerza — odezwał się celerariusz. — Żal mi się robi na myśl, że najpiękniejsza majątność w hrabstwie Derby przejdzie z rąk właściciela za nędzne dwieście funtów. Dalibóg...

— Że co?! — przerwał mu Przeor rozdygotanym głosem, oczy mu płonęły, a policzki poczerwieniały z gniewu. — Ty śmiesz tak paplać do mnie? Na świętego Huberta, lepiej nie strzęp pyska, tylko dmuchaj na gorące, żebyś się nie sparzył.

— Panowie... — załagodził doktor praw. — Głowę daję, że ten rycerz zachowa się niktzemnie i nie zobaczymy go tu dzisiaj. Ale poszukamy innych środków, żeby przejąć jego majątek, więc nie ma obawy.

Ale jeszcze nie skończył, kiedy z dziedzińca nadleciał stukot kopyt i brzęk zbroi. Wówczas Przeor zawołał na siedzącego na szarym końcu braciszka, nakazując mu wyrzeć przez okno i zobaczyć, kto tam przyjechał, chociaż wiedział doskonale, że nie mógł być to nikt inny, tylko sir Ryszard.

Braciszek więc wstał od stołu, wyrzwał przez okno i oznajmił:

— Widzę na dole dwudziestu zbrojnych i jakiegoś rycerza, który właśnie zsiada z konia. Ma na sobie szarą opończę, jakoś tak lichy przyodziany, ale jego rumak aż kapie złotem, pierwszy raz widzę taką bogatą uprząż. Zsiadł z konia i idą tutaj, o, są już w hallu na dole.

— No i popatrzcie — odezwał się Przeor Vincent. — Macie rycerza z tak chudą sakiewką, że ledwie mu starcza riał kawałek chleba do gęby, i taki utrzymuje gromadę sługusów i stroi konia w bogatą uprząż, choć sam chodzi z gołym grzbietem. Czy nie powinno się takim ludziom dawać nauczki?

— Ale czy jesteś pewny — odezwał się z drzeniem cherlawy doktor — że ten rycerz nie zrobi nam krzywdy? Kiedy takim nadepnąć na odcisk, zdolni są do wszystkiego, a ten ma w dodatku bandę opryszków za sobą. A może lepiej odroczyć mu dług — przemawiał tym tonem, bo bał się narazić sir Ryszardowi.

— Nie ma się czego, bać — odparł Przeor spoglądając z góry na małego człowieczka. — Ten "rycerz jest łagodny i nie prędzej przyjdzie mu do głowy, żeby skrzywdzić staruszkę niż ciebie.

Ledwie Przeor skończył, drzwi w głębi refektarza otworzyły się na oścież i wszedł sir Ryszard ze splecionymi rękami i głową zwieszoną na piersi. Pokornie posuwał się przez salę, gdy jego drużyna zatrzymała się przy drzwiach. Kiedy zbliżył się przed fotel Przeora, przyklęknął na jedno kolano.

— Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece, wielebny Przeorze — odezwał się na powitanie. — Przychodzę dotrzymać terminu.

Na to Przeor zapytał w pierwszym słowie: --- Przyniosłeś mi moje pieniądze?

— Niestety! Nie mam nawet pensa przy duszy — odparł rycerz, a Przeorowi oczy zabłyśły.

— No, przebiegły z ciebie dłużnik, słowo daję — powiedział. A potem: — Imć Szeryfie, wasze zdrowie.

Ale rycerz wciąż klęczał na twardych kamieniach, więc Przeor obrócił się z powrotem do niego.

— Czego chcesz? — spytał ostro.

Na te słowa policzki rycerza powlekły się z wolna czerwienią, ale nie wstał z kolan.

— Błagam cię o łaskę — powiedział. — Tak jak liczysz na miłosierdzie niebios, bądź i ty dla mnie miłosierny. Nie obdzieraj mnie z moich włości i nie spychaj w nędzę prawego rycerza.

— Termin mija i majątek podlega konfiskacie — odezwał się doktor praw, któremu pokorna mowa rycerza dodała animuszu.

— A ty, prawniku — rzekł rycerz — nie pomożesz mi w ciężkiej chwili?

— Nie — odparł tamten — ja trzymam z Przeorem, który zapłacił mi honorarium szczerym złotem, więc mam zobowiązania.

— A wy nie ujmiecie się za mną, imć Szeryfie? — zapytał sir Ryszard.

— Dlaboga, to wcale nie mój interes — rzekł Szeryf Nottinghamu — ale zrobię, co mogę — i trącił Przeora kolanem pod stołem. — Nie umorzysz mu częściowo długu, wielebny Przeorze?

Na to Przeor uśmiechnął się ponuro.

— Zapłać mi trzysta funtów, sir Ryszardzie — powiedział — a przestanę dochodzić długu.

— Sam wiesz, wielebny Przeorze, że sto funtów mniej czy więcej w moim wypadku nie robi różnicy — powiedział sir Ryszard. — Ale czy nie udzieliłbyś mi jeszcze dwunastu miesięcy na spłacenie długu?

— Ani marnego dzionka — powiedział kategorycznie Przeor.

— I to wszystko, co chcesz dla mnie zrobić? — zapytał rycerz.

— Niech cię diabli wezmą, oszukańczy rycerzu! — wybuchnął gniewem Przeor. — Albo płacć dług, jak ci powiedziałem, albo zrzekaj się majątku i wynoś się z moich oczu.

Sir Ryszard zerwał się z klęczek.

— Sam jesteś oszust i kłamca! — zawołał tak surowym głosem, że doktor praw zadrżał ze strachu. — Ty, Przeorze, dobrze wiesz, że spełniałem swą rycerską powinność na wojnie i na turnieju; jak śmiesz nazywać mnie oszukańczym rycerzem? Czyś całkiem wyzuty z uprzejmości, że pozwalasz prawemu rycerzowi klęczeć przed sobą i gościa swojego nie zaprosisz nawet do stołu?

Prawnik wtrącił się drżącym głosem:

— Krzykiem nic się nie da załatwić w interesach, mówmy spokojnie. Wielebny Przeorze, ile chcesz zapłacić temu rycerzowi za zrzeczenie się majątku?

— Dałbym mu dwieście funtów — rzekł Przeor — ale śmiał pyskować do mnie, dostanie tylko sto i ani szeląga więcej.

— Choćbyś mi ofiarowywał tysiąc funtów, oszukańczy Przeorze — powiedział rycerz — nie dostałbyś ani piędzi mojej ziemi.

Odwrócił się do swojej drużyny stojącej przy drzwiach i skinął palcem, wołając: “Pozwól tutaj”; wystąpił na to najwyższy z nich i wręczył mu długi skórzany worek. Sir Ryszard rozwiązał go i chlusnął na stół migoczącą strugę złota.

— Miej na uwadze, wielebny Przeorze — powiedział — obiecałeś uwolnić mnie od długu za trzysta funtów. Ponad tę sumę nie dostaniesz ode mnie ni perisa.

To rzekłszy odliczył trzysta funtów i pchnął je przez stół do Przeora. Ale Przeorowi ręce opadły i głowa zwiśla na ramię, bo nie tylko utracił wszelką nadzieję na majątek, ale podarował rycerzowi sto funtów długu i niepotrzebnie zapłacił prawnikowi osiemdziesiąt dukatów. Zwrócił się do niego z pretensją.

— Oddaj mi z powrotem pieniądze, któreś wziął.

— Ani myślę — zapiszczał tamten — wziąłem tylko honorarium, więc ci go nie zwrócę. — I okrył się szczerze togą.

— No, wielbny Przeorze — rzekł sir Ryszard — dotrzymałem terminu i uiściłem wszelkie należności. Z nami kwita, więc opuszczam ten podły dom — odwrócił się na pięcie i poszedł.

Cały ten czas Szeryf gapił się z otwartą gębą na wysokiego wojaka, który stał jak wykuty z kamienia. Zachłysnął się wreszcie wołając:

— Reynold Zielonolistny!

Wysoki wojak, a był to Mały John we własnej osobie, odwrócił się szczerząc zęby do Szeryfa.

— Witaj, kumie — powiedział. — Zapewniam cię, miły Szeryfie, że słyszałem dziś twoją śliczną mówkę i nie omieszkam jej powtórzyć Robin Hoodowi. Więc bywaj zdrów tymczasem, do następnego spotkania w Sherwoodzie.

Szeryf, oszołomiony i blady jak śmierć, skurczył się w swoim krześle, a Mały John odwrócił się i za sir Ryszardem wyszedł z sali.

Sir Ryszard trafił na wesołą biesiadę, ale zostawił zgorzkniałe towarzystwo, któremu przestał służyć apetyt, choć książęce potrawy czekały na stole. Tylko uczony doktor nie stracił humoru, gdyż zdążył zagarnąć swoją zapłatę.

Ale właśnie minął rok i jeden dzień od uczyty w refektarzu i znowu nadeszła pełna jesień. Jednakże w ciągu tego roku majątek ziemski sir Ryszarda z Lea uległ wielkim przeobrażeniom; tam gdzie dawniej krzewiły się chwasty na ugorach, rozciągały się teraz złote ścierniska świadczące o bogatych plonach, jakie z pól zebrano. Zaniedbany zamek, któremu groziła ruina, też się przeistoczył, zaprowadzono w nim wzorowy porządek i ład.

Słońce opromieniało strzelnice i baszty, a wysoko w błękicie trzepotały kawki wokół połączanego kurka na wieżyczce zamkowej. W jasny poranek opuścił się ze szczękiem łańcuchów most zwodzony nad fosą, powoli otwarła się na oścież brama i z dziedzińca wyjechał błyskając stałą spory orszak zbrojnych z rycerzem na czele, od stóp do głów odzianym w łańcuszkową zbroję, która mieniła się bielą jak szron. Rycerz dzierżył kopię, na której trzepotała purpurowa chorągiewka. Oddział ten wyszedł z zamku prowadząc za sobą trzy juczne konie, obładowane pakunkami o najrozmaitszych kształtach.

Tak to zacny sir Ryszard z Lea jechał zwrócić Robin Hoodowi swój dług w ów jasny i radosny poranek. Pobrząkiwała uprząż, podzwaniały miecze, gdy równym krokiem podążali gościńcem. Maszerowali naprzód, aż droga zawiodła ich w pobliże Denby; ze szczytu pagórka ujrzeli za miastem chmurę proporczyków i chorągiewek igrających wesoło na wietrze. Sir Ryszard zagadnął najbliższego z orszaku.

— Co się tam święci koło Denby?

— Melduję posłusznie, wasza wysokość — odparł zbrojny -*· dziś odbywa się tam wesoły jarmark i zawody zapaśnicze, na które ściągnęła chmara luda, bo wyznaczono w nagrodę bukłak czerwonego wina, śliczny złoty pierścień i parę rękawic, przypadnie to wszystko najlepszemu zapaśnikowi.

— Dalibóg, warto by to zobaczyć — rzekł sir Ryszard, który gustował w męskich rozrywkach. — Krótki popas wcale nie zawadzi, popatrzymy trochę na zawody. Szkoda uciechy.

Skierował więc konia w stronę miasteczka i jarmarku, na którym niebawem się zjawili. Powitał ich zgiewk hucznej zabawy. Trzepotały proporce i chorągiewki, akrobaci pokazywali sztuczki na murawie, grała kapela kobziarzy, a chłopcy i dziewczęta tańczyli do upadłego. Ale największy tłum zgromadził się wokół ringu, gdzie odbywały się zapasy, tam też skierował się sir Ryszard ze swoją drużyną. -.

Kiedy sędziowie zobaczyli sir Ryszarda, przewodniczący zszedł z podium, i uściskawszy rękę rycerzowi zaprosił go, aby zasiadł z nimi do sędziowania zawodów. Sir Ryszard zsiadł więc z konia i udał się z nimi na ławę sędziowską.

Otóż dokazano już pięknych rzeczy tego ranka, gdyż niejaki Egbert, rodem ze Stoke w hrabstwie Stafford, z łatwością kładł na łopatki wszystkich swoich przeciwników; ale reprezentant Denby, sławny na całą okolicę William Blizna, czekał tylko sposobnej chwili; kiedy więc Egbert rozłożył rywali, krzepki William wskoczył na ring. Stoczyli zaciętą walkę i William powalił Egberta przy wielkim aplauzie i wiwatach widzów, którzy ściskali sobie ręce, gdyż całe Denby chlubiło się swoim zapaśnikiem.

Gdy pojawił się sir Ryszard, było już po wiwatach, tylko napsuszony William przechadzał się tam i z powrotem po ringu, wyzywając śmiazków.

— Chodźcie tu w pojedynkę, kupą chodźcie! — wołał. — William Blizna wyzywa każdego. Skoro zaden z hrabstwa Denby nie staje ze mną do walki, chodźcie wy z Nottinghamu, Staffordu czy Yorku, ilu was tam jest, a wszystkich do kupy unurzam jak świnie nosem w błocie, inaczej przestańcie mnie zwać zapaśnikiem, jakem dzielny William.

Zawtórował mu gromki śmiech, ale ktoś zakrzyknął jeszcze głośniej:

— Skoro się tak przechwalasz, oto idzie jeden z Nottinghamu popróbować się z tobą, bratku.

Wysoki młodzieniec z pałką w garści przepchał się przez tłum i lekko dał susa przez sznury ringu. Nie miał tej wagi co krzepki William, ale był wyższy, szerszy w barach i mocno zbudowany. Sir Ryszard spojrział na niego bacznie i zwracając się do jednego z sędziów zagadnął:

— Znacie wy tego młodzieńca? Zdaje mi się, że gdzieś go widziałem.

— Nie — odparł sędzia — jest mi całkiem obcy.

Tymczasem młodzieniec bez słowa odłożył pałkę, ściągnął kaftan, rozdział się i stanął obnażony; wyglądał pięknie w swej nagości, gdyż toczony muskuły migały mu gładko pod skórą jak wartka woda.

Obaj splunęli w ręce, plasnęli nimi o kolana i przykucnęli wpatrzeni w siebie, czatując na sposobną chwilę do ataku. Raptem zwarli się jak błyskawica i wiwaty uderzyły w niebo, gdyż Williamowi udał się lepszy chwyt. Chwilę mocowali się, walcząc i zmagając się, aż krzepki William zastosował swą najbardziej chytrą sztuczkę, aby przeciwnika zbić z nóg,*ale tamten uprzedził ją jeszcze zwinniej i sztuczka poszła na marne. Znienacka przeciwnik wyzwolił się szybkim szarpnięciem i unikiem, a Blizna sam znalazł się w kleszczach, od których mu żebra trzeszczały. Jakiś czas mocowali się w miejscu, ciężko dysząc, cali świecący od potu, który strumyczkami spływał im po twarzach. Ale przeciwnik ścisnął Williama tak twardą obręczą i tak wziął go w kleszcze, że Williamowi mięśnie zwiotczały, i z jego piersi dobył się krótki szloch. Wtedy młodzieniec wyteżył wszystkie siły, podbił mu nogi, przerzucił go przez biodro i krzepki William zwałił się z przejmującym łomotem i legł martwym bykiem.

Na cześć obcego nie podniósł się zaden okrzyk, tylko gniewny pomruk odezwał się wśród tłumy, tak łatwo bowiem wygrał zawody. Jeden z sędziów, krewniak Williama Blizny, zerwał się z rozdygotanymi ustami i złowrogim spojrzeniem.

— Jeśliś go zadusił, źle będzie z tobą, bądź tego pewny, bratku — zawołał.

Ale obcy odparł śmiało:

— Mieliśmy obaj równe szansę. Żadne prawo mnie nie dotyka, nawet jeśli zginął, gdyż stało się to uczciwie na zapaśniczym ringu.

— To się jeszcze okaże — odparł sędzia spoglądając spode łba na młodzieńca, podczas gdy gniewny pomruk znowu przebiegł tłumem: albowiem, jak już powiedziałem, całe Denby chlubiło się

swoim Williamem Blizną. Wtedy odezwał się uspokajająco sir Ryszard.

— Ten młodzieniec ma rację — orzekł. — Jeśli przeciwnik umrze, to umrze jako zapaśnik na ringu, gdzie próbował swej szansy i został całkiem- ucziwie pokonany.

Tymczasem trzej ludzie podźwignęli powalonego Williama i okazało się, że nie jest martwy, tylko paskudnie zaszokowany od ciężkiego upadku. Wówczas wstał główny sędzia i powiedział:

— Młody człowieku, nagroda przechodzi słusznie w twoje ręce. Oto złoty pierścień, oto rękawice, a tam stoi bukłak wina, rób z tym, co tylko chcesz.

Na to młodzieniec, który zdążył się już przyodziać i podnieść pałkę, skłonił się bez słowa, przyjął pierścień i rękawice, sygnet wsunął na mały palec, a rękawice wetknął za pas, po czym odwrócił się, lekkim susem przeskoczył liny, przedostał się przez tłum i przepadł.

— Ciekaw jestem, kto to mógł być — powiedział sędzia zwracając się do sir Ryszarda — wyglądał na krzepkiego Sasa, czerstwe policzki i jasna czupryna. Ten nasz William to też nie ułomek, nie widziałem dotąd, żeby go ktoś położył na obie łopatki, co prawda Blizna nie mierzył się jeszcze z tak wielkimi zapaśnikami jak Tomasz z Kornwalii, Diccon z Yorku i młody Dawid z Doncasteru. Nie uważasz, że krzepko trzyma się na ringu, sir Ryszardzie?

— Owszem, a jednak ten młody powalił go sprawnie i z cudowną łatwością. Bardzo ciekaw, kto to może być — powiedział sir Ryszard z zastanowieniem w głosie.

Jakiś czas rycerz gwarzył z zebranymi, wreszcie wstał i zaczął zbierać się do drogi, zwołał swoich ludzi, podciągnął popręgi u siodła i dosiadł konia.

Tymczasem nieznaną młodzieniec przedostał się przez tłum, ale kiedy przechodził, dobiegały go zewsząd gniewne pomruki: “Patrzcie no na kogucika”, “Widzicie, jaki napuszony!”, “Słowo daję, że podstępem powalił naszego Williama!” “A pewno, nie widzieliście, że’ wysmarował sobie ręce lepem?” “Warto by mu oskubać piórka!” Obcy nie zwracał na to wszystko uwagi, tylko nosił się dumnie, puszczając docinki mimo uszu. Wolnym krokiem przemierzył murawę i zatrzymał się u wejścia do namiotu, w którym odbywały się tańce, aby przyjrzeć się zabawie. Kiedy tak stał, zniecka trafił go boleśnie w ramię kamień; odwracając się ujrzał, że spora gromada gniewnych ludzi przyciągnęła za nim od ringu. Kiedy się do nich obrócił, tłumek urządził mu kocią muzykę, aż z tancbudy wypadła chmara luda zobaczyć, co się święci. Wreszcie wysoki kowal, tęgi i barczysty, wystąpił z tłumu kołyszając ciężką maczugą.

— Będiesz nam tu przychodził, ty oszuście, do naszego ślicznego miasta Denby i używał nieszczemnych, oszukańczych sztuczek, żeby pokonać ucziwego chłopaka? — zaryczał basem jak rozjuszony byk. — A masz za to!

I zniecka wypuścił cios maczugą, który mógłby wołu zwalić z nó’g. Ale tamten sparował go zwinnie i odpowiedział tak strasliwym ciosem, że kowal z jękiem rymnął na ziemię jak rażony piorunem. Na widok upadku swojego prowodyra tłum znów zawrzał gniewem, lecz obcy oparł się plecami o budę, kołyszając swą strasliwą pałką, którą dał chwackiemu kowalowi taką nauczkę, że nikt nie ośmielił się znaleźć w zasięgu jego ciosów, tylko cofali się stłoczeni jak sfora psów przed osaczonym niedźwiedziem. Ale jakaś tchórzliwa ręka cisnęła z tyłu ostry kamień, który trafił obcego w czoło, aż ten się zachwiał i krew trysnęła z rany zalewając mu twarz i kaftan. Widząc go oszołomionego nieszczemnym pociskiem, tłum rzucił się na niego, powalił na ziemię i zaczął tratować.

Otóż źle by się to skończyło dla biedaka, może i postradaniem młodego życia, gdyby sir Ryszard nie znalazł się na jarmarku; zniecka bowiem podniosły się krzyki, stal zabłysła w powietrzu, posypały się ciosy zadawane płazem i sir Ryszard zaczął się przedzierać koniem przez ciżbę. Tłum widząc zakutego w stal rycerza i zbrojnych rozplynał się jak śnieg na ciepłym ogniu, zostawiając na ziemi okrwawionego i sponiewieranego młodzieńca.

Spostrzegłszy, że został uwolniony, młodzieniec wstał i ocierając z twarzy krew podniósł oczy.
— Sir Ryszardzie z Lea — odezwał się — być może uratowałeś mi dziś życie.

— A skąd mnie znasz tak dobrze? — zagadnął rycerz. — Ktoś ty taki? Zdaje mi się, że gdzieś widziałem twą twarz, młodzieńcze.

— Ano widziałeś — odparł tamten — zwał mnie Dawid z Doncasteru.

— Ha! — zawołał sir Ryszard. — To dziw, że cię nie poznałem, ale broda tak ci urosła, Dawidzie, no i przez te dwanaście miesięcy ogromnie zmężniałeś. Chodź do namiotu i obmyj twarz z krwi. A ty, Ralf, przynieś mu zaraz czysty kaftan. Bardzo ci współczuję, Dawidzie, ale cieszę się z drugiej strony, że miałem okazję choć po części spłacić dług wdzięczności wobec twego dobrego wodza, Robin Hooda, bo kiepsko by z tobą było, gdybym się w czas nie zjawił, młodzieńcze.

To rzekłszy zaprowadził Dawida do namiotu, gdzie ten obmył zakrwawioną twarz i przywdział czysty kaftan.

Tymczasem ci, co stali najbliżej, rozpuścili pogłoskę, że to zjawił się sam wielki Dawid z Doncasteru, najlepszy zapaśnik w środkowej Anglii, który nie dalej jak zeszłej wiosny powalił krzepkiego Adama z Lincólnu na ringu w Selby, w hrabstwie York, i zdobył pas mistrzowski. Kiedy więc Dawid w towarzystwie sir Ryszarda wyszedł z namiotu z obmytą twarzą i w świeżym kaftanie, z tłumu nie odezwały się żadne pogrózki, tylko wszyscy pchali się, by zobaczyć młodego zawodnika, dumni, że jeden z największych zapaśników Albionu zechciał stanąć na ringu podczas jarmarku w Denby. Tak bowiem zmienny jest tłum. A wówczas sir Ryszard zawołał donośnym głosem:

— Przyjaciele, oto jest Dawid z Doncasteru. Nie poczytujcie więc sobie za hańbę, że-was zawodnik z Denby został powalony przez takiego zapaśnika. Dawid nie żywi do was urazy o to, co zaszło, ale niechaj stanie się to dla was przestrogą w waszym odnoszeniu się do obcych. Gdybyście go zamordowali, marny byłby wasz los, gdyż Robin Hood splądrowałby wasze miasto jak pustułka gołębie gniazdo. Odkupiłem od Dawida bukłak wina i oddaję go w wasze ręce, raczcie się do woli. Ale odtąd nie napadajcie na człowieka za to, że jest chłopem na schwał.

Na to wszyscy zakrzyknęli, drąc się z całych sił, ale w gruncie rzeczy bardziej pamiętając o winie niż o uwagach rycerza. Wtedy sir Ryszard z Dawidem i swoim orszakiem u boku zawrócił opuszczając jarmark.

Ale w wiele dni potem, kiedy świadkowie tego pojedynku zapaśników uginali się już -pod ciężarem wieku, mieli zwyczaj potrząsać głową, gdy ktoś wspomniał o jakimś dzielnym zwarcu, i powiadać: "Tak, tak, ale trzeba było widzieć,, jak wielki Dawid z Doncasteru powalił krzepkiego Williama Bliznę na jarmarku w Denby".

* * *

Robin Hood stał na polanie z Małym Johnem i w otoczeniu prawie wszystkich swoich krzepkich towarzyszy oczekiwał na przyjazd sir Ryszarda. Wreszcie odbłysek stali przeniknął przez rdzawe listowie i z zarośli wyjechał na polanę sir Ryszard na czele swoich ludzi. Skierował się prosto do Robin Hooda i zeskakując z konia wziął go w objęcia.

— Ale, ale — odezwał się Robin po chwili, trzymając rycerza na odległość ręki i oglądając go od stóp do głów — coś mi się zdaje, że weselszy z was ptaszek niż ostatnim razem.

— Tak, dzięki tobie, Robinie — powiedział rycerz kładąc mu dłoń na ramieniu. — Gdyby nie ty, o tej porze wałęsałbym się w biedzie na wygnaniu. Ale dotrzymuję słowa, Robinie, i przywożę pożyczone od ciebie pieniądze, które pomnożyłem w czwórnasób i znowu stałem się bogaty. Wraz z pieniędzmi przywiozłem tobie i twoim dzielnym ludziom mały podarek od mojej pani i od siebie. — Obracając się do swojego orszaku zawołał: — Podprowadźcie konie w jukach!

Ale Robin ich powstrzymał.

— Nie, sir Ryszardzie — powiedział — nie miej mi za złe, że krzyżuję twoje zamiary, ale my z Sherwoodu nie załatwiamy interesów, dopóki człek nie zje i nie popije sobie — wziął sir Ryszarda za rękę i zaprowadził na ławę pod dębem, a inni przywódcy bandy rozsiedli się dokoła. Po czym Robin powiedział: — Jak to się stało, że widzę młodego Dawida z Doncasteru wraz z tobą i twoimi ludźmi, panie rycerzu?

Rycerz opowiedział mu o swoim popasie w Denby, o zajściu na jarmarku i o tym, jak krucho było z młodym Dawidem; skończył swoją opowieść i rzekł: — To mnie właśnie zatrzymało w drodze, Robinie, inaczej byłbym tu już godzinę temu.

Robin na to wyciągnął rękę i gorąco uściskał dłoń rycerza, mówiąc drżącym głosem:

— Nie wiem, jak ci się za to odwdzięczę, sir Ryszardzie, bo powiadam ci, że wolałbym, aby mi odrąbano prawą rękę, niżby Dawida miało spotkać takie nieszczęście, jakie o mały włos nie spadło na młodego Dawida z Doncasteru na tym jarmarku w Denby.

Gwarzyli tak, aż po jakimś czasie oznajmiono, że uczta czeka gotowa, więc wszyscy wstali udając się na biesiadę. A kiedy podr jedli sobie i popili, rycerz rozkazał swoim ludziom przyprowadzić konie w jukach, co też się stało. Jeden ze świty przyniósł rycerzowi szkatułę, którą ten otworzył, wyjął z niej mieszek i odli^ł czył pięćset funtów, sumę, którą niegdyś dostał od Robina.

— Sir Ryszardzie — powiedział Robin — zrobisz nam wszystkim przyjemność, jeśli zatrzymasz te pieniądze jako podarunek od nas z Sherwoodu. Prawda, chłopcy?

Na co wszyscy zakrzyknęli: “Tak jest” potężnym głosem.

— Dziękuję wam najgoręcej — powiedział z przekonaniem rycerz — ale nie weźcie mi za złe, że nie mogę przyjąć tych pieniędzy. Z chęcią pożyczyłem je od was, ale niepodobna, abym wziął je w podarunku.

Robin Hood nic już więcej nie mówił, tylko oddał pieniądze Małemu Johnowi, aby je odłożył do skarbca, posiadał bowiem dosyć przezorności i wiedział, że nic tak nie psuje krwi, jak siłą wmuszone dary.

Z polecenia sir Ryszarda otwarto na murawie pakunki i na ich widok gruchnął potężny okrzyk, aż echo poniosło się lasem, gdyż było tam dwieście łuków z najszlachetniejszego cisu hiszpańskiego, wypolerowanych do wspaniałego połysku, każdy inkrustowany srebrem w fantazyjne wzory bez szkody dla wytrzymałości. Ponadto dwieście kołczanów ze skóry, przyozdobionych złotym haftem, a w każdym po dwadzieścia strzał o polerowanych grotach, które świeciły jak srebro, o bełtach z pawich piór i drzewcu srebrem nabijanym.

Sir Ryszard wręczył każdemu po łuku i kołczanie, ale Robinowi podarował na j misternie j złotem inkrustowany mocny łuk i złotem nabijane strzały w kołczanie.

Więc znów rozległ się radosny okrzyk w podzięcie za piękny dar i wszyscy poprzysięgli sobie w duchu, że zginą za sir Ryszarda i jego panią, jeśli zajdzie potrzeba.

Sir Ryszard musiał już jechać, na co Robin Hood zwołał całą bandę i każdy wziął do ręki pochodnię, aby oświetlić rycerzowi drogę przez las. Odprowadzili go na skraj Sherwoodu, rycerz ucałował Robina w oba policzki i odjechał na dobre.

Tak to Robin Hood pomógł szlachetnemu rycerzowi wydostać się z paskudnych tarapatów, które inaczej mogłyby złamać mu życie.

A teraz słuchajcie, bo dowiecie się z kolei o innych wesołych przygodach, które spotkały Robin Hooda i Małego Johna, jak to jeden przemienił się w żebraka, a drugi w bosego mnicha, i co obaj na tym skorzystali.

Część szósta, która mówi o tym, jak Robin Hood i Mały John zamienili się jeden w żebraka, a drugi w wędrownego mnicha i poszli szukać przygód; a także o tym, jak Mały John modlił się w pewnej intencji, a Robin wygrzmocił czterech żebraków i okpił kupca zbożowego

I. Mały John zamienia się w bosonogiego mnicha

Minęła sroga zima i zawitała wiosna. Bór nie obrósł jeszcze gęstym listowiem, tylko świeżutkie listeczki delikatną mgiełką okrywały drzewa. Za borami łąki jaśniały zielenią, a pola ciemnym aksamitem, gdyż pokrywała je gęsta, miękka ruń. Parobcy pokrzykiwali w słońcu idąc za pługiem, a w świeżo odwalonych rdzawych bruzdach chmary ptaków polowały na tłuste robaki. Cała szeroka, wilgotna ziemia uśmiechała się w ciepłym blasku, a każdy zielony pagóreczek klaskał w ręce z uciechy.

Na jeleniej skórze rozpostartej pod puszczańskim dębem siedział Robin Hood, wygrzewając się w słońcu jak stary pies łowczy. Rękami oplótł kolana i przyglądał się leniwie, jak Mały John splata cięciwę z długich włókien konopnych, raz po raz zwilżając dłonie i tocząc sznur na udzie. Nie opodal siedział Allan z Doliny dopasowując nową strunę do harfy.

— Zdaje mi się — odezwał się wreszcie Robin — że wolę wałęsać się po tym lesie na wiosnę niż być królem całej wesołej Anglii. Jakiż to pałac na szerokim świecie jest tak piękny jak nasz cudowny bór o tej porze i jakiż to król ma taki apetyt na słowicze jajka i minogi jak ja na soczystą dziczyznę i musujące piwo? Swanthold prawdę rzecze, gdy powiada: “Lepsza skibka chleba i zadowolenie aniżeli miód i gorycz w sercu”.

— Ano — rzekł Mały John nacierając splecioną cięciwę woskiem pszczelim — nasze życie przypada mi całkiem do gustu. Mówisz o wiosnie, ale mnie się zdaje, «e nawet zima ma swoje radości. Spędziliśmy obaj, wodzu, tej zimy niejeden wesoły dzionek pod “Błękitnym Dzikim”. Przypominasz sobie ten wieczór, który we czwórkę z Willem Stutely i Braciszkiem Tuckiem spędziliśmy w tejże gospodzie z dwoma żebrakami i wędrownym mnichem?

— A tak — odparł śmiejąc się Robin — to tego wieczoru Will Stutely koniecznie chciał ukraść całusa krzepkiej oberżystce i tak się postarał, aż wylała mu kufel piwa na łeb.

— O właśnie — zawtórował mu śmiechem Mały John. — Zdaje mi się, że wędrowny mnich śpiewał wtedy niezłą piosenkę. Hej, Tuck, ty masz dobry słuch, nie przypominasz sobie melodii?

— Kiedyś ją niezłe pamiętałem — odparł Tuck. — Chwileczkę... — i postukał się palcem w czoło, nucąc pod nosem, przerywając i odszukując w pamięci melodię. Wreszcie złożył ją całą, odchrząknął i zaśpiewał wesoło:

W kwitnącym sadzie rudzik swoją piosnkę
Śpiewa — aż słońce się śmieje,
To znów z gałązki skacze na gałązkę,
Bo serce z radości szaleje —

Bo maj w wiosny kwiecie
I miło na świecie,
I wszędzie się znajdzie ziarenko.
Gdy gaśnie czar lata,
W świat rudzik odlata
I w cieniu stodoły
Zasypia — wesoły,

Bo choć śnieg i wichura — jemu ciepło i miękko.

Podobnie płynie i żywot braciszka

-Ku chwale kufła i brzucha —

Bo i gospościa nie szczędzi kieliszka,

I śmiechu dorodna dziewucha.

Więc w drodze — niebożę —

Tak śpiewa, jak może,

By ludziom wyjednać zbawienie,

A kiedy na świecie

Śnieżycą wiatr miecie,

Braciszek nasz ninie

Przy ciepłym kominie

Nad dymiącym talerzem kiwa głową i drzemie.

Tak śpiewał Braciszek Tuck bogatym i głębokim głosem, kolebiąc głową do taktu, a kiedy skończył, wszyscy klaskali w dłonie, zanosząc się śmiechem, gdyż piosenka pasowała do niego jak ulał.

— Dalibóg, niegorsza to śpiewka — powiedział Mały John — i gdybym nie był puszczańskim wojakiem z Sherwoodu, zostałbym prędzej wędrownym mnichem niż kimkolwiek innym w świecie.

— Tak, to niczego sobie śpiewka — powiedział Robin Hood — ale zdawdło mi się, że ci dwaj chwaccy żebracy opowiadali swawolniej sze gadki i wiedli weselsze życie. Nie pamiętasz, co ten czarnobrody dryblas opowiadał, jak mu się żebrało na jarmarku w York?

— Owszem, ale co mnich opowiadał o dożynkach w hrabstwie Kent? — odparł Mały John. — Twierdzę, że weselej mu się żyło niż tamtym obu.

— Właśnie, w imię honoru duchowieństwa — wtrącił Braciszek Tuck — zgadzam się z tym, co mówi mój zacny kum, Mały John.

— A ja obstagę przy swoim — rzekł Robin.

— Ale jak się zapatrujesz na wesołą przygodę w ten śliczny dzionek, Mały Johnie? Weź habit mnisi z naszego kufra osobliwych strojów i wdziej go na grzbiet, a ja zatrzymam pierwszego napotkanego żebraka i zamienię się z nim ubraniem. A potem powalęsarny się w ten piękny dzień po okolicach i zobaczymy, co nam się przydarzy.

— Całkiem mi to odpowiada — orzekł Mały John — więc jazda do dzieła.

I poszli z Braciszkiem Tuckiem do składu, gdzie ten mu wybrał habit franciszkanina. Kiedy stamtąd wyszli, powitał ich ryk śmiechu, gdyż banda nigdy nie widziała Małego Johna w takim przebraniu, a na dodatek habit był za kusy i Mały John świecił gołymi łydkami, ale ręce miał założone na piersi w luźnych rękawach i oczy spuszczone ku ziemi, i przepasał się sznurem różańców. — Te, te! — zawołał Braciszek Tuck szturchając go łokciem — nie spuszczań tak oczu, tylko podnieś je śmiało, bo inaczej każdy cię pozna, że oszukujesz, i żadna dziewczyna nie uśmiechnie się do ciebie ani żadna gospodyni nie da ci kromki, jak okolica długa i szeroka.

Na to wszyscy znów wybuchnęli śmiechem, klnąc się, że takiego mnicha na schwał jak Mały John jeszcze Anglia nie wi-działa.

A on wziął do ręki swoją długą i twardą pałkę, na której końcu zwisał pękaty skórzany garnuszek, jaki pielgrzymi nosili przy swoich kosturach, ale bulgotało w nim coś bardziej przypominającego dobrą małmazję niż zimną źródlaną wodę, w którą zaopatrują się pobożni pątnicy.

Robin powstał, też wziął w garść swoją pałkę i wsunął do sakiewki dziesięć złotych dukatów; rad nie rad musiał kupić za nie od jakiegoś włóczęgi przyrodziwę, gdyż w komorze bandy brakowało żebraczych łachmanów.

Po tych przygotowaniach wyruszyli obaj w drogę, krocząc szparko w mglistych oparach poranka. Pospieszali leśnym szlakiem do gościńca, a potem gościńcem aż do rozdroża, gdzie rozchodził się jeden trakt do Blyth, a drugi do Gainsborough. Tutaj przystanęli.

— Ty bierz drogę do Gainsborough, a ja wezmę do Blyth — rzekł wesoły Robin. — Więc szczęśliwej podróży, wielebny ojcze, i obyś nie musiał na serio klepać różańca, zanim się znów spotkamy.

— Z Bogiem, zacny a niedoszły żebraku — odpowiedział Mały John — i obyś nie musiał przypadkiem żebrać o litość, zanim cię znowu zobaczę.

I obaj ruszyli dziarsko, każdy w swoją stronę, aż rozdzielił ich zielony pagórek i stracili siebie z oczu.

Mały John wędrował pogwizdując sobie, gdyż gościniec był pusty jak wymieciony. W kwitnących żywopłotach małe ptaszki ćwierkały wesoło, a wokół zielone pagórki płynęły pod niebo i nad ich grzbietami żeglowały leniwie białe, wiosenne obłoki. Górą i doliną szedł Mały John pod świeży wiatr, który dał mu w twarz i rozwiewał z trzepotem poły habitu, aż dotarł do rozdroża, gdzie odgałęział się gościniec do Tuxfordu. Tutaj spotkał trzy śliczne dziewczuszki, a każda niosła koszyk jaj na targ.

— Dokąd to, ślicznotki? — zagadnął zagrządzając im drogę wyciągniętą pałką.

Zbiły się w gromadkę, trąciły jedna drugą, aż wreszcie któraś zdobyła się na odwagę i powiedziała:

— Idziemy na targ do Tuxfordu, wielebny ojcze, sprzedać jajka.

— Masz ci los! — zawołał Mały John przyglądając się im z ukosa. — Dalibóg, co za szkoda, żeby takie śliczne dziewczęta musiały dźwigać jaja na targ. Wiedźcie, że gdybym ja miał władzę nad tym światem, wy wszystkie trzy chodziłybyście w najcudniejszych jedwabiach, jeździły na siwych konikach z paziami u boku i jadły tylko poziomki z bitą śmietaną, bo takie życie pasowałoby do waszej urody.

Dziewczęta zarumieniły się, wdzięcząc i spuszczać oczy. Jedna powiedziała: „Ojej”, druga: „Żarty z nas sobie stroi”, trzecia: „To ci dopiero zakonnik!”, ale cały czas zerkały na Małego Johna ukradkiem.

— No, no — powiedział gładko Mały John — zakonnik czy nie zakonnik, znam się na ładnych dziewczętach, a jeśli tu kto powie, że wasza trójka nie jest najurodziwsza w całym hrabstwie Nottingham, to zęby mu powybijam tą pałką, aż udławi się nimi, kłamca jeden! Słyszycie, no?!

Na to wszystkie dziewczęta „Ojej!” znów zawołały.

— Wiecie co — powiedział Mały John — nie mogę znieść, żeby takie delikatne panienki nosiły koszyki po gościńcach. Pozwólcie, że sam je poniosę, a niech która z was, jeśli zechce, weźmie ode mnie mój kostur.

— Ale jakże poniesiecie trzy koszyki naraz? — odezwała się jedna z dziewcząt.

— A bo to sztuka — powiedział Mały John — zaraz wam pokażę. Składam dzięki świętemu Wilfredowi, że obdarzył mnie niezgorszym sprytem. Popatrzcie, ślicznotki. Biorę ten duży koszyk, tak. Rączkę przewiążuję różańcem, tak. Różaniec przerzucam przez głowę i tym sposobem mam już koszyk na plecach.

Mały John zrobił, co mówił, a potem wręczył jednej z dziewcząt swoją pałkę, pozostałe dwa koszyki wziął w obie ręce i ruszył w stronę Tuxfordu, maszerując wesoło w towarzystwie

różesnianych panienek, które wzięły go w środek, a jedna szła przodem niosąc kostur. Każdy, kogo spotkali po drodze, zatrzymywał się i spozierał za nimi ze śmiechem, gdyż nikt jeszcze nie oglądał tak zabawnego widoku — wysoki, postawny franciszkanin w przykusym habicie, obładowany jajkami, wędruje sobie drogą z trzema ślicznotkami. Mały John nic sobie z tego nie robił, a kiedy podróżni stroili sobie z niego żarty, odpowiadał również żartobliwie, docinkiem na docinek.

Tak to zmierzali do Tuxfordu, gwarząc i chichocząc, aż znaleźli się w pobliżu miasteczka. Tutaj Mały John przystanął i postawił na ziemi koszyki, gdyż wcale się nie kwapił do odwiedzenia miasteczka, żeby tam przypadkiem nie spotkać jakichś ludzi Szeryfa.

— Niestety, moje kochaneczki — powiedział — muszę się z wami rozstać. Wcale mi to było nie po drodze, ale rad jestem, że was podprowadziłem. No, zanim się rozstaniemy, musimy wypić za naszą słodką przyjaźń — co mówiąc odwiązał przytroczony do pałki skórzany garnuszek, odszpuntował go, przetaił szyjkę rękawem i wręczył bukłaczek panience, która nosiła mu kostur. Dziewczęta wypity po kolei, a Mały John wysączył trunek do reszty, że nawet kropelki więcej nie dałoby się wycisnąć. A potem, życząc im pomyślności, każdą słodko, ucałował i poszedł. Ale dziewczęta stały patrząc za nim, gdy odchodził pogwizdując sobie. “Co za szkoda — powiedziała jedna — że taki krzepki, dziarski chłopak trafił do zakonu”.

“Dalibóg — powiedział sobie Mały John — nieźle mi się powiodło, święty Dunstanie, miej mnie w swej pieczy, oby tak dalej”.

Gdy przemaszerował jakiś czas, zaczęło mu przy upale dokuczać pragnienie. Potrząsnął bukłaczkiem przy uchu, ale nic nie zabulgotało. Przytknął go do ust i zadarł głowę, ale nie wysączyła się ani kropelka. “Mały Johnie! Mały Johnie — powiedział do siebie ze smutkiem, potrząsając głową — kobiety cię zrujniają, jeśli nie będziesz na siebie uważał”.

Dostał się wreszcie na grzbiet pagórka, skąd ujrzał strzechę śliczniutkiej oberży, która zacisznie przycupnęła w dolinie, dokąd stromo zbiegała droga. Na ten widok coś w nim zawołało: “Przynoszę ci radość, przyjacielu, spełnienie marzeń, słodki odpoczynek przy kwarcie ciemnego piwa”. Ruszył rączo w dolinę i niebawem znalazł się przy małej oberży, którą zdobił szyld z wymalowaną głową jelenia. Przed zajazdem kokoszka z kurczętami grzebała w kurzu, wróble plotkowały świergocząc pod okapem, tak swojsko i przyjemnie było wokół, aż w Małym Johnie serce się radowało. Uwiązane przy słupku stały dwa krzepkie kuce; szerokie i wyściełane miękko siodła, przystosowane do najwygodniejszej podróży, świadczyły o zamożności właścicieli. Przed drzwiami na ławie siedziało trzech wesołych kompanów: kotlarz, przekupień i żebrak, popijając w słońcu krzepkie piwo.

— Pozdrawiam was serdecznie, druhowie mili — powiedział Mały John podchodząc do nich.

— I my cię pozdrawiamy, ojcze wielebny — odparł wesoły żebrak szczerząc zęby. — Ale popatrz no się, habit masz za kusy. Uciałbyś lepiej kawałek od góry i dosztukował u dołu, a byłby Wtedy w sam raz. Ale chodź, siadaj z nami i popróbuj trochę piwka, jeśli ci śluby zakonne nie zabraniają.

— Skądże — odparł, z uśmieszkiem Mały John — święty Dunstan dał \mi pod tym względem nieograniczoną dyspensę — i zagłębił rękę w sakiewkę, sięgając po pieniądze.

— Dalibóg — rzekł kotlarz — twój wygląd dowodzi, świątobliwy braciszku, że dobry święty Dunstan mądrze uczynił, gdyż bez tej dyspensy jego wyznawca musiałby bardzo często odprawiać pokutę. Nie, odczep się od swojej sakiewki, bracie, bo ja stawiam tę kolejkę. Hej, gospodarzu, kwartę piwa!

Garniec trafił zaraz do ręki Małego Johna, który najpierw zdmuchnął nieco pianę, przytknął usta i przechylał garniec coraz wyżej dnem do góry, aż wymierzył go prosto w niebo i musiał zamknąć

oczy, by go słońce nie raziło. Wysączył go co do kropli, odstawił pustą kwartę i westchnął sobie głęboko, wodząc po tamtych wilgotnymi oczami i poważnie kiwając głową.

— Hej, gospodarzu! — zawołał przekupień. — Jeszcze jeden garniec dla tego chwata! Prawdziwy to dla nas honor, że mamy tu takiego, co jednym haustem opróżnia kwartę.

Gwarzyli tak ze sobą wesoło, aż po jakimś czasie Mały John zapytał:

— Czyje to te dwa kuce, co tam stoją?

— Dwóch sług bożych jak i ty, braciszku — odparł żebrak. —

Dogadzają sobie nieźle w gospodzie, właśnie wywęszyłem zapach kurcząt w rosole. Gospodyni powiada, że obaj są ze Źródlanego Opactwa, w hrabstwie York, i jadą w interesach do Lincolnu. — Dobrali się obaj — zachichotał kotlarz — bo jeden chudy jak-wrzeciono, a drugi tłusty jak baryłka z sadłem.

— Jak o sadle mowa — dorzucił przekupień — to i ty nie wyglądasz na niedokarmionego, pobożny braciszku.

— No nie — odparł Mały John — po mnie tylko widać, jak święty Dunstan dba o tych, którzy służą mu o garści prażonego grochu i kropelce zimnej wody.

Tamci ryknęli śmiechem.

— Dalibóg, to cud prawdziwy — potwierdził żebrak. — Przysięgnę na wszystko, sądząc po wprawie, z jaką golnałeś sobie tamten cały garniec, że nie kosztowałaś zimnej wody od ładnych paru miesięcy. A czy ten twój święty Dunstan nie nauczył cię z jednej czy drugiej niezłej piosenki?

— No, jeśli o to chodzi — uśmiechnął się szelmowsko Mały John — może mi tam pomógł poznać jedną czy drugą melodyjkę.

— A to daj nam posłuchać, jak cię wyszkolił — powiedział kotlarz.

Mały John odchrząknął, poskarżył się trochę, że go drapie w gardle, po czym zaśpiewał tak:

Dokąd, dokąd, dziewczuszko, tak uciekasz co ranka?

Czekaj, czekaj, dziewczuszko, na czułego kochanka,

A zerwiemy róży kwiat,

Bo wesoło szumi wiatr

I roznosi różane zapa-a-chy!...

Otóż wszystko jakby się sprzysięgło, żeby Mały John nigdy nie dokończył swoich piosenek, gdyż ledwie odśpiewał pierwszą zwrotkę, otworzyły się drzwi gospody i wyszli dwaj zakonnicy ze Źródlanego Opactwa, a za nimi oberżysta rozplywając się w uniżoności. Kiedy obaj zobaczyli, kto to śpiewał, i spostrzegli na nim strój franciszkanina, stanęli jak wryci, tłusty marszcząc brwi zrobił okrutnie srogą minę, a chudy skrzywił się jak środa na piątek. A gdy Mały John zaczerpnął tchu, aby zacząć nową zwrotkę, tłusciuch ryknął potężnym głosem, który potoczył się jak grzmot z małego obłoczka.

— A ty zbereźniku jeden, czy to odpowiednie dla zakonnika miejsce, żeby popijać i wyśpiewywać nieczne piosenki?

— Trudno — odparł Mały John — skoro nie mogę popijać i śpiewać, jak wasza wielebność, w tak pięknym miejscu jak Źródlane Opactwo, to muszę pić i śpiewać, gdzie się da.

— Obić by cię za to! — krzyknął szorstkim głosem chudy mnich. — Obić by cię za to, że znieważasz suknię zakonną swoim językiem i zachowaniem.

— Dobra, spróbuj! — zawołał Mały John. — O zniewadze mówisz? Mnie się zdaje, że dla waszego zakonu większa to zniewaga wyciskać z biednych wieśniaków ciężko zarobiony grosz. A

może się myłę, bracie?

Kotlarz, przekupień i żebrak tręcili się łokciami i wyszczerzyli zęby, a obaj mnisi spojrzeli spode łba na Małego Johna, ale nie mieli jak mu się odciąć, więc zawrócili do swoich koni. Mały John niespodzianie zerwał się z ławy i podbiegł do braci ze Źródlanego Opactwa, którzy akurat dosiadali kucyków.

— Pozwólcie mi potrzymać wodze — rzekł. — Doprawdy, wasze słowa skruszyły moje grzeszne serce, nie zostanę więc ni chwili w tej jaskini zła, tylko pójdę dalej z wami. Żadna niecna pokusa nie dopadnie mnie w tak świątobliwym towarzystwie.

— Nie, bratku — odparł szorstko chudy mnich, który poznał się, że Mały John żarty z nich sobie stroi — nie zależy nam na twoim towarzystwie, więc odczep się.

— Przykro mi, niestety — odpowiedział Mały John — że pogardzacie mną i moim towarzystwem, ale opuścić was nie mogę, gdyż serce tak-we mnie wezbrało, że chcąc nie chcąc muszę z wami pójść przez miłość dla waszej świątobliwej kompanii.

Na tę gadkę trzech kamraci na ławie skrzywili się szelmowsko, aż im zęby świeciły, i nawet gospodarz nie powstrzymał uśmiechu. Mnisi zaś spojrzeli po sobie ze zdumionymi minami i nie wiedzieli, co zrobić. Byli tacy pyszni, aż niedobrze im się robiło ze wstydu na myśl, że pokażą się na gościńcu z żebrzącym braciszkiem w przykusym habicie, ale nie mogli zostawić Małego Johna wbrew jego woli, gdyż zdawali sobie sprawę, że mógłby im w mgnieniu oka pogruchotać kości, gdyby mu przysła ochota. Odezwał się wreszcie tłusty mnich, ale już znacznie łagodniejszym tonem.

— Widzisz, dobry bracie — powiedział — będziemy jechać prędko, a ty byś zadyszał się na śmierć, żeby nam dotrzymać tempa.

— Doprawdy jestem ci wdzięczny, że się o mnie troszczysz — odparł Mały John. — Ale nic się nie bój, bracie. Mięśnie mam krzepkie i mogę gnać jak zając stąd do Gainsborough.

Z ławy doleciał śmiech, a chudy mnich nie wytrzymał dłużej i zaklął gniewem.

— Niech cię piorun strzeli, ty zbereźniku! — krzyknął. — Nie wstyd ci hańbić sukni duchownej? Zostań sobie z tymi wieprzkami, ty opoju. Nie dla ciebie nasze towarzystwo.

— Baczcie wy tam! — zawołał Mały John. — Słyszałeś, gospodarzu, nie dla ciebie towarzystwo tych świątobliwych osób, wracaj do swojej oberży. O, niechaj moi przewielebni konfratry tylko szepną słówko, a spiorę cię na kwaśne jabłko tą pałą!

Kamraci na ławie zanieśli się chichotem, a gospodarz aż spurpurowiał od powstrzymywanego śmiechu, ale opanował się, gdyż nie chciał ściągnąć na siebie niełaski mnichów ze Źródlanego Opactwa przez niewczesną wesołość. Obaj zakonnicy widząc, że nic nie poradzą, dosiedli kucyków, szturchnęli je piętami i ruszyli w stronę Lincolnu.

— Muszę was opuścić, drodzy przyjaciele — zawołał Mały John wpychając się pomiędzy dwa kuce — więc zostańcie z Bogiem. Nasza trójka rusza w drogę — co mówiąc zarzucił pałkę na ramię i pomaszerował dotrzymując kroku konikom.

Zakonnicy spiorunowali go wzrokiem, gdy Mały John wepchnął się pomiędzy nich, a potem odsunęli się od niego jak najdalej; ostatecznie Mały John stąpał sobie środkiem drogi, a oni jechali po obu stronach samym skrajem. Kotlarz, przekupień i żebrak z garncami w ręce wybiegli w podskokach aż na gościniec i spoglądali za nimi ze śmiechem.

Mnisi, dopóki jeszcze byli ria widoku, wolno prowadzili kuce, nie chcąc pogarszać sprawy widomą ucieczką od Małego Johna; wyobrażali sobie, co powie na to ludek, gdy usłyszy, że dwaj zakonnicy ze Źródlanego Opactwa czmychnęli przed wędrownym braciszkiem jak diabeł przed świętym Dunstanem, gdy święty uwolnił mu nos z rozżarzonych cęgów. Kiedy jednak minęli pagórek i gospoda znikła im z oczu, odezwał się tłusty do chudzielca:

— Bracie Ambroży, może by tak podciąć koniki?

— A pewno, kumie — wtrącił Mały John — dzionek mija, a my wleczeni się noga za nogą. Jeśli zbyt nie wytrzesiesz sobie kałduha, to jazda!

Mnisi nic na to nie odrzekli, tylko znów spiorunowali Małego Johna złowrogim okiem, cmoknęli na konie i pognali kłusem. Galopowali tak z milę i więcej, a Mały John pomykał między nimi lekko jak jeleń, bez śladu wyczerpania. Wreszcie tłuścioch z jękiem ściągnął wodze, bo tak się wytrząsł, że miał już dość.

— Niestety — powiedział Mały John bez cienia zadyszki — martwiłem się paskudnie, że przez ten kłus wytrzesiesz sobie biedne brzuszysko.

Grubas bez słowa zagryzł wargę i gapił się przed siebie. Odtąd wędrowali spokojnie, Mały John stapał środkiem drogi wesoło pogwizdując, a mnisi w grobowym milczeniu jechali po bokach.

Niebawem spotkali trzech minstrelów w szkarłatnym odzieniu, którzy wybałuszyli oczy na widok franciszkanina w przykusym habicie, idącego środkiem, i dwóch mnichów z pochylonymi ze wstydu głowami, jadących na kucach wystrojonych w bogate czapaki. Kiedy zbliżali się do minstrelów, Mały John zamachał pałką jak mistrz ceremonii swoją laską.

— Z drogi! — zawołał donośnym głosem. — Z drogi! Z drogi! Bo idzie nasza trójka!

Jakżeż się minstrele zanieśli śmiechem i jakżeż wydziwiali! Gruby mnich zatrząsł się jak w iebrze, a chudzielec schował twarz, mało jej w grzywie końskiej nie utopił.

Z kolei spotkali krzepkiego mieszczucha z żoną i dwoma urodziwymi córkami, wystrojonych w odświętne ubrania, bo wracali właśnie z odwiedzin u krewnych na wsi. Mały John pozdrowił ich z powagą.

— Dzień dobry, zacni państwo. To idzie nasza trójka.

Mieszczki wytrzeszczyły oczy, gdyż niewiasty wolniej chwytają żarty od mężczyzn, ale wesoły mieszczuch zaniósł się śmiechem, aż mu się trzęsły tłuste boki, policzki poczerwieniały i łzy stanęły w oczach.

Za trzecim razem spotkali dwóch szlachetnych rycerzy w bogatych zbrojach, z sokołami na ręku, w towarzystwie dwóch pięknych dam w jedwabiach i aksamitach, cała kawalkada na rasowych rumakach. Ci usunęli się z drogi, patrząc z podziwem, jak Mały John i dwaj mnisi zbliżają się gościńcem. Tym Mały John pokłonił się z szacunkiem.

— Pozdrawiam was, lordowie i damy — powiedział. — Ale to idzie nasza trójka.

Zaśmieli się wszyscy, a jedna ze ślicznych dam zawołała:

— Jaka to trójka, wesoły przyjacielu?

Mały John obejrzał się, gdyż już się minęli, i zawołał przez ramię:

— Duży Jasio, chudy Jasio i gruby Jasio-baryła.

Tłusty mnich zajęczał i zdawało się, że ze wstydu zwali się z siodła; chudy nie drgnął nawet, tylko spozierał przed siebie z ponurą i kamienną twarzą.

Gościńiec skręcił akurat za wysoki żywoplot, a o sto kroków dalej krzyżowała się z nim inna droga. Kiedy zbliżyli się do rozstaju i zostawili tamtych daleko za sobą, chudy mnich raptownie ściągnął wodze.

— Słuchaj no, bratku — odezwał się drżącym z wściekłości głosem — obrzydło nam twoje wredne towarzystwo i mamy dosyć twoich kpin. Idź w swoją stronę i rozstań się z nami bez awantur.

— Masz ci los! — zawołał Mały John. — Myślałem, że dobraliśmy się w korcu maku, a ty się pieklisz ni stąd, ni zowąd. Szczerze mówiąc, mam was już po dziurki od nosa, choć żał mi was opuścić. Wiem, że będzie wam mnie brakowało, kiedy tylko stęsknicie się za mną, szepnijcie słowo do wiatru, a on już mnie powiadomi. Ale widzicie, biedaczyna jestem, a wy bogacze. Błagam was,

dajcie mi ze dwa grosze na kawałek chleba z serem w najbliższej gospodzie.

— Nie mamy, bratku, pieniędzy — odparł szorstko chudy mnich. — Jedziemy, bracie Tomaszu.

Ale Mały John schwycił oba kucyki za uzdę.

— Naprawdę nie macie przy sobie nic a nic? — zapytał. — Zaklinam was, bracia, przez miłosierdzie, dajcie mi choć na kruszynę chleba.

— Mówię ci, bratku, że nie mamy pieniędzy — zagrzmiał grubas.

— Nie macie, z ręką na sercu? — zagadnął Mały John.

— Ani szeląga — powiedział kwaśno chudy mnich.

— Ani grosika — huknął grubas.

— To się nie godzi — rzekł Mały John. — Za nic nie zostawię was bez grosza przy duszy. Zaraz zsiadajcie z koni, klękniemy tu na rozstaju i pomodlimy się do świętego Dunstana, aby nam zesłał trochę pieniędzy na dalszą podróż.

— Co ty gadasz, diabelskie nasienie! — zakrzyknął chudy mnich zgrzytając z wściekłości zębami. — Żądasz, żebym ja, celerariusz ze Źródlanego Opactwa, zsiadł z konia i klęknął na brudnej drodze! I modlił się do jednego z tych nędznych saskich świętych?

— O, ręka mnie świerzbi, żeby ci łeb rozwalić, że się tak wyrażasz o świętym Dunstanie! — zawołał Mały John. — Zmykaj z konia, bo stracę cierpliwość i zapomnę jeszcze, że mam do czynienia z osobami duchownymi — co mówiąc, ze świstem wywinął pałką młynka.

Obaj mnisi zbledli jak płótno. Zaraz znaleźli się na ziemi, jakby ich zmiotło z koni.

— A teraz, bracia, na kolana i modlić się — powiedział Mały John, kładąc każdemu ciężką łapę na ramieniu i zmuszając ich, by wraz z nim uklękli. Po czym wielkim głosem zaczął błagać świętego Dunstana o pieniądze. Jakiś czas odprawiał modły, a potem kazał mnichom pomacać sakiewki, czy święty im czegoś nie zesłał; obaj sięgnęli wolno do sakiewek, ale każdy wyciągnął pustą garść.

— Ha! — zawołał Mały John. — Czyż wasze modły tak mało warte? To zaczynamy jeszcze raz — i od razu zaczął wzywać świętego Dunstana, mniej więcej tymi słowami: — O łaskawy święty Dunstanie! Ześlij zaraz trochę pieniędzy tym biedakom, a to grubas zmarnieje i zmieni się w chudzielca, a chudzielec zmarnieje do reszty, bo nie ma się już w co zmienić, zanim obaj dotrą do Lincolnu. Ale ześlij im tylko po dziesięć szylingów na głowę, żeby ich nie rozpierała duma. A co więcej zeslesz, zsyłaj dla mnie.

— No, zobaczymy — powiedział wstając z kolan — ile Kto dostał. — Sięgnął do swojej sakiewki i wydobył cztery złote dukaty. — A jak wam się powiodło, bracia? — zagadnął.

Obaj znowu sięgnęli do sakiewek i znowu wyciągnęli puste garście.

— Nic nie macie? — powiedział Mały John. — Niemożliwe.

Gwarantuję, że coś tam musi być, tylko zaplątało się w szwy sakiewek, więc przeoczyliście. Pozwólcie, że zobaczą.

Podszedł najpierw do chudego mnicha, zapuścił rękę do jego sakwy i wydostał skórzany worek, w którym naliczył sto dziesięć funtów w złocie.

— Wiedziałem, że przeoczyłeś w jakimś zakamarku swojej sakwy te pieniądze, które zesłał ci święty Dunstan, chwała mu — rzekł Mały John. — A teraz zobaczymy, czy i ty się nie obłowiłeś, bracie. — Zapuścił rękę do sakwy grubasa i wydobył podobny worek, w którym naliczył siedemdziesiąt funtów. — A widzisz — powiedział — wiedziałem, że dobry święty zesłał ci drobną zapomogę, którą ty też przeoczyłeś.

Odliczywszy każdemu po dziesięć szylingów, wsypał resztę do swojej sakwy mówiąc:

— Daliście mi święte słowo, że nie macie pieniędzy. Wierzę wam jako duchownym, że nie cofniecie raz danego słowa. Zatem święty Dunstan zesłał to wam w odpowiedzi na moje modły. Ale

ja się modliłem o dziesięć szylingów dla każdego z was, a cała nadwyżka prawnie do mnie należy, więc ją biorę. Żegnam was, bracia, i życzę przyjemnej podróży — co rzekłszy odwrócił się i poszedł sobie.

Mnisi spojrzeli jeden na drugiego i z żałosnymi minami, powoli i smętnie dosiedli kucyków i pojechali w grobowym milczeniu.

A Mały John skierował swe kroki do Sherwoodu i w marszu gwizdał sobie wesoło.

Teraz zaś zobaczymy, co się przydarzyło Robin Hoodowi podczas żebraczej eskapady.

II. Robin Hood zamienia się w żebraka

Pożegnawszy się z Małym Johnem na rozstaju, Robin Hood wędrował wesoło w ciepłym słoneczku. Raz po raz podskakiwał i podśpiewywał ciesząc się cudną wiosną, brykając jak żrebak świeżo wypuszczony na trawę. To znów szedł z zadartą głową, długo śledząc białe, puszyste obłoki, które przeciągały powoli po ciemnoniebieskim niebie; to znów przystawał, aby nasycić się rozbudzonym wokół życiem, żywopłoty rozkwitały delikatnie, a na łąkach sypała się świeżutka trawa; czasem zamierał w bezruchu, zasłuchany w śpiew ptaszków w zaroślach, albo przysłuchiwał się śmiałemu pianiu koguta, który wyzywał z nieba deszcz; śmiał się z tego, gdyż łatwo go było pobudzić do wesołości. Wędrował tak dzielnie, zawsze skory przystanąć i pogwarzyć z dziewczętami napotykanymi po drodze. Minął już ranek, a Robin nie natrafił na żadnego żebraka, z którym mógłby zamienić się ubraniem. “Jeśli się zaraz nie odwróci mój pechowy los — powiedział sobie — to na darmo stracę cały dzień, bo i tak już prawie połowę zmarnowałem. Wprawdzie była to przyjemna przechadzka, lecz nie zakosztowałem wcale żebraczej doli”.

Niebawem zaczął mu dokuczać głód i zamiast myśleć o wiośnie, kwiatkach i ptaszkach, przerzucił się z czułością na duszone kapłony, małmazję, pszenny chleb i temu podobne frykasy. “Ech, gdybym tak mógł zawołać: «Stoliczku nakryj się!» — powiedział sobie — to wiem, czego bym zażądał po kolei”. I zaczął wyliczać na palcach swoje życzenia. “Najpierw pyszny pasztecik ze skowronków, byle nie suchy, pamiętaj, tylko dobrze podlewany tłuszczem. Potem kurczę na gorąco, garniowane ślicznie gołębimi jajeczkami, pokrajanymi pieczołowicie w plasterki, cały półmisek. Do tego pszenny chleb, zgrabny bocheneczek, jeszcze ciepły, z połyskliwą jak kasztan skórką koloru włosów mojej ukochanej Marianny; skórka ma być chrupka i krucha jak tafelki mrozu na bruzdach w zimowy poranek. To wystarczy jako dania podstawowe, a nie zapomnij o trzech pękatach garncach, w jednym ma być małmazja, w drugim kanaryjskie wino, a trzeci napełniony po brzegi moim ulubionym białym winkiem”. Tak sobie marzył, a ślinka mu leciała na widok tej zmyślonej uczy.

Burcząc pod nosem wyłonił się zza okrytego świeżymi listkami żywopłotu na zakręcie gościńca i ujrzał przed sobą krzepkiego jegomościa, który przysiadł na belce przełazu i z nudów fikał nogami. Chwacki szelma był cały poobwieszany, najrozmaitsze sakwy i woreczki, z tuzin ich albo i więcej, dyndały wokół niego z rozdziawionymi gębami jak stado zgłodniałych gawronów. Kapotę miał ściągniętą w pasie, całą w kolorowych łątach. Nosił na głowie wysoki skórzany kołpak, a na kolanach jego spoczywał pokaźny sękacz, nie gorszy od pałki Robina. Takiego wesołka próżno by szukać wśród żebraków w całym hrabstwie Nottingham, tak mu bowiem szare oczka świeciły i mrugały z wesela, a czarne kudły kręciły się w małych loczkach na głowie.

— Witaj bratku — zawołał zbliżywszy się do niego Robin — co tu porabiasz w ten wesoły dzionek, kiedy kwiatki na świat boży wyglądają?

Tamten zrobił szelmowskie oko i zaśpiewał wesołym głosem:

Siedzę sobie na przełazie,
Podśpiewuję raz po razie,

Kiedy tak czekam na moją milutką —
Słońce grzeje opętańczo
Złote listki w wietrze tańczą,
A ma ptaszyna ćwierka, że jest już bliźniutko.

— Tak to i ze mną, mój byczku, tylko że moje babsko się nie zjawia.

— Całkiem przyjemna piosenka — powiedział Robin — żebym był w .nastroju, tobym ‘jej jeszcze posłuchał, ale mam do ciebie dwie sprawy poważnej natury. Więc nadstaw ucha, z łaski swojej.

Żebzak przechylił łepetynę jak szelmowska papuga.

— Kiepski ze mnie garnuszek do wylewania ciężkich trosk, przyjacielu — powiedział. — A jeśli mnie oczy nie mylą, to nie masz ich tak wiele w zapasie.

— Powiem ci najpierw — rzekł Robin — co rni kamieniem leży na sercu: gdzie tu dostać coś do jedzenia i picia?

— Co ty powiesz? — zdumiał się żebrak. — Ja tam nie martwię się z tego powodu. Jem, kiedy się da, a jak się nie da, to gryzę sucharki. Tak samo, kiedy nie mogę piwem przepłukać gardziółka, to płuczę sobie kropelką wody. Siedziałem właśnie, kiedyś ty przyszedł, i zastanawiałem się nad postem, czy warto go przerwać, czy nie warto. Lubię potężnie się wygłodzić przed jedzeniem, bo wtedy suchy chleb smakuje mi nie gorzej niż naszemu królowi Henrysowi tłusty pasztet z rodzynkami. W tej chwili głód mi nieźle doskwiera, ale myślę, że niedługo dojrzeje mi umiarkowany apetycik.

— A niech cię lichy — zaśmiał się Robin — masz osobliwy jęzorek. Ale nie chowasz tam nic prócz sucharków? Takie wypchane sakwy i torby nie wyglądają mi na tak chudą strawę.

— No, może się i znajdą jakieś zimne zakąski — odparł chytrze żebrak.

— A do picia nic nie masz prócz zimnej wody? — zagadnął Robin.

— Niczego ani kropelki — odparł żebrak. — Za tamtą kępą drzew jest tak słodziutka gospódka, o jakiej ci się nawet nie śniło. Ale ja tam nie uczęszczam, bo źle się ze mną obchodzą. Pewnego razu, kiedy obiadował tam zacny Przeor z Emmet, gospodyni wystawiła za okno tort z pieczonymi jabłuszkami w cukrze, żeby przestygły, a ja je zobaczyłem i bojąc się, że ktoś ten torcik zgubił, poszedłem z nim odszukać właściciela. Od tej pory bardzo niesympatycznie się do mnie odnoszą, ale uczciwość każe mi przyznać, że takiego piwa jak u nich nigdzie więcej nie posmakowałem.

Robin roześmiał się w głos.

— Dalibóg, skrzywdzili cię za twoją uprzejmość — powiedział. — Ale powiedz mi bez bujdy, co masz w swoich sakwach?

— Ano — rzekł żebrak zacierając do toreb — widzę niezgorszy kawałek pasztetu z gołębia, owinięty w liść kapusty, żeby tłuszcz nie wyciekł. A tu mi się pokazuje śliczny plasterek pieczeni i pajdeczka pszennego chleba. A tu trafiam na cztery placuszki owsiane i kęs szynki wędzonej. Ojej, nie do wiary! Jawi mi się sześć jajek, które zawędrowały tu przypadkiem z jakiegoś kurnika. Surowe, ale gdyby je podsmażyć na węglach i polać masełkiem, które też tu widzę...

— Dość, przyjacielu! — zawołał Robin podnosząc rękę. — Mój biedny brzuch aż piszczy z radości na takie słodkie zapowiedzi. Jeśli mnie poczęstujesz, to smalę zaraz do tej twojej gospódki i wracam z bukłakiem piwa dla nas obu.

— Przyjacielu, starczy słów — powiedział żebrak zeskakując z żerdzi. — Ugoszczę cię, czym tylko mogę, i podziękuję świętemu Cedrykowi, że mi cię zesłał. Tylko błagam cię, kochasiu, przynieś przynajmniej ze trzy kwarty piwa, jedną dla siebie, a dwie dla mnie, bo zdaje mi się, że mogę pić tak

zachłannie jak piaski rzeki .piją słoną wodę, taki jestem spragniony.

Robin czym prędzej pospieszył do gospody, a żebrak skoczył za żywoplot i pod zieloniutką lipą rozłożył ucztę na murawie i z wprawą zdobytą długim doświadczeniem usmażył jajecznicę na wiązce chrustu. Niebawem powrócił Robin z niezgorszym bukłakiem piwa, który złożył na trawie. A zobaczywszy tak pięknie zastawioną ucztę, pogłaskał się po brzuchu, bo trudno było o cudownie j szy widok dla jego wygłodniałych oczu.

— Przyjacielu — powiedział żebrak — niech zobaczę, co waży ten bukłaczek.

— A proszę — odparł Robin — pociągnij sobie, kochasiu, a ja tymczasem zobaczę, czy ten pasztecik z gołębia świeży, czy nie bardzo.

I jeden przypiął się do bukłaka, a drugi do pasztetu, jakiś czas nic nie było słyhać tylko mlaskanie języka i bulgot piwa w gardle.

Wreszcie Robin odsunął resztki strawy i odetchnął z głębokim zadowoleniem, gdyż poczuł się jak nowo narodzony.

— No, bracie — powiedział wyciągając się wygodnie i opierając na łokciu — zwracam się do ciebie z drugą poważną sprawą, o której niedawno wspomniałem.

— Co?! — obruszył się żebrak. — Nie będziesz chyba gadał o poważnych sprawach przy takim piwku, że buzi dać!

— Nie bój się — roześmiał się Robin — nie oderwę cię od “bukłaka, przyjacielu. Pij sobie, kiedy będę gadał. Widzisz, chodzi o to, że nabrałem upodobania do twojego rzemiosła i rad bym sam pokosztować żebraczego życia.

— Wcale się nie dziwię — wtrącił żebrak — że pociąga cię mój fach, brachu, ale co innego “mieć chęć”, a co innego “spełnić chęci”. Powiadam ci, przyjacielu, że trzeba długo praktykować, zanim człek się wykształci choćby na “szczura”, a co dopiero na “szemranego” czy “bzika”. Mówię ci, bratku, że jesteś za stary, żeby się do tego brać, bo może cię to kosztować całe lata, zanim się otrzaskasz.

— Całkiem możliwe — rzekł Robin — przypomina mi się, co mówi bजारz Swanthold: “Jasio Szewczyk kiepski piecze chleb, a Tom Piekarczyk kiepskie buty szyje”. Mimo to mam ochotę zakosztować żebraczego życia, łachów mi tylko potrzeba, a okażę się nie gorszy od innych.

— Powiadam ci, bratku — rzekł tamten — choćbyś się przyodział tak szemranie jak dobry święty Wynten, patron naszego cechu, nie będzie z ciebie żaden żebrak. Dalibóg, pierwszy wesoly włóczęga, jakiego spotkasz po drodze, zrobi z ciebie mamałygę, że wściubiasz nos w nie swoje zajęcie.

— Wszystko jedno, popróbuję — powiedział Robin. — I widzi mi się, że z tobą pomieniam się na ubranie, bo masz ładną kapotę, rzecz można strojną. Zamienię się z tobą i dam ci jeszcze dwa złote dukaty żywą gotówką. Wziąłem ze sobą pałkę, bo myślałem, że trzeba będzie któregoś z twoich kamratów zdzielić po łebku, żeby go do tego przekochać, ale takiej nabrałem do ciebie sympatii za ucztę, którą mnie uraczyłeś, że nie podniosę na ciebie nawet małego palca, więc nie potrzebujesz bać się ni trochę.

Żebrak wysłuchał tego, wsparty pięściami o uda, a kiedy Robin skończył, przekrzywił na bok głowę i wypchał policzek językiem.

— No, na co czekasz? — odezwał się wreszcie. — No, podnieś na mnie palec, kurczę pieczone! Czyś ty z byka spadł, chłopie? Nazywam się Riccon Leszczyna z Łamignatów w hrabstwie Krzemienna Góra za Pioruńską Rzeką. Wiedz, szelmo, że lepszym od ciebie nabijałem guza i zaraz bym ci rozkwasił makówkę, gdyby nie to piwo, co mi postawiłeś. Nie dostaniesz nawet łatki z mojej kapoty, choćby cię to miało uratować przed szubienicą.

— Słuchaj, bratku — powiedział Robin — żal mi twej szlachetnej łepetyny, ale powiem ci otwarcie, że gdyby nie ta uczta, to tak bym cię urządził, że pożegnałbyś się na długo z łazikowaniem. Zamknij gębę na kłódkę, bo pożałujesz!

— Biada ci, chłystku, bo się doigrałeś! — krzyknął żebrak zrywając się z pałką w garści. — Łap za swoją pałę i broń się, bratku, bo nie tylko że cię stłukę, ale zabiorę pieniądze i nie zostawię ci złamanego pensa na grudkę gęsiego szmalcu, żebyś nie miał czym guzów posmarować. Broń się, mówię.

Robin podskoczył zwawo i chwycił w garść swoją pałkę.

— Pokaż, co potrafisz, i zabierz mi pieniądze — powiedział. — Obiecuję ci oddać wszystko co do szeląga, jeśli choć raz mnie dosięgniesz — zakreślił młynka pałką, aż zaświszczało.

Wtedy żebrak zamachnął się i śmignął pałą, ale Robin odbił potężne uderzenie. Tamten zadał trzy dalsze ciosy, lecz nie udało mu się nawet musnąć Robina. Krzepki Robin czekał tylko na sposobną chwilę i zanim dałoby się policzyć do trzech, pałka Riccona pofrunęła za żywopłot, a on sam leżał na ziemi jak sflaczała torba po frykasach.

— No co? — zaśmiał się Robin — Zabierasz mi garderobę czy pieniądze, kochasiu?

Ale tamten milczał jak grób. Robin widząc, iż żebrak został ogłuszony ciosem, tak dobrze mu się dostało, roześmiał się, pobiegł po bukłak z piwem i chlusnął żebrakowi na głowę, a trochę wlał mu do gardła, aż tamten otworzył oczy i potoczył błędnym wzrokiem, jakby zdumiony, skąd się znalazł na ziemi.

Robin spostrzegłszy, że żebrakowi przejaśniło się trochę w skołatanym łbie, powiedział:

— No, miły bratku, zamieniasz ze mną ubranie, czy mam cię jeszcze raz stuknąć? Tu są dwa złote dukaty, jeśli mi oddasz po dobrej woli wszystkie łachy, torby, czapkę i resztę. A jak nie chcesz po dobrej woli, to boję się, że będę zmuszony... — i obejrzał uważnie swoją pałkę.

Riccon usiadł i potarł guz na czole.

— Niech to lichy weźmie! — zawołał. — Myślałem, że wymłócę cię pięknie, bratku. Nie wiem, co to jest, ale jakoś nawarzyłem sobie piwa. Jak trzeba, oddam ci ubranie, ale najpierw musisz mi dać najuczciwsze słowo honoru, że nie zabierzesz mi nic prócz odzienia.

— Daję ci słowo honoru — powiedział Robin myśląc, że gość chce uratować parę zaoszczędzonych pensów.

Wówczas żebrak wydobył kozik, odpruł nim podszewkę kapoty i wy dostał stamtąd ‘dziesięć lśniących złotem funtów, które położył ‘ przy sobie na trawie, mrugając szelmowsko do Robina.

— No, teraz zabieraj z Bogiem moją przyodziewę — powiedział. — Mogłeś mieć ją za zwykłą zamianę, szeląga by cię to nie kosztowało, a co dopiero dwa złote dukaty.

— Dalibóg, kuty jesteś na cztery nogi — zaśmiał się Robin — i powiem ci szczerze, gdybym wiedział, że masz przy sobie tyle złota, nie uszedłbyś z nim, bo daję głowę, żeś go się uczciwie nie dorobił.

Ściągnęli zaraz z siebie swoje ubrania i przebrali się obaj; z Robin Hooda zrobił się tak zawadiacki żebrak, jakiego tylko można spotkać w letni dzionek. A krzepki Riccon z Łamignatów brykał, podskakiwał i tańczył z radości, że dostało mu się tak piękne ubranie z zielonego sukna.

— Alem się ustroił w pawie piórka! — zawołał. — Doprawdy, moja ukochana Molly Grochowa nie pozna mnie w tym stroju. Możesz zatrzymać sobie resztę wyżerki, przyjacielu, bo zamierzam korzystać z życia i szaleć, dopóki mi starczy pieniędzy i pięknego ubrania.

Obrócił się na pięcie, przeskoczył przełaz i przepadł, ale z za żywopłotu dobiegło Robina jego oddalające się śpiewanie:

Bo Polly mu rada i Moliy hop-hop!
Gdy żebrak się zjawi w gospodzie,
Bo Dick wie i Jack wie, że fajny zeń chłop,
Więc wypić na kredyt jest godzien,
Hej Willy, hej Billy,
Nie czekaj ni chwili,
Niech piwo się leje po brzeg,
Bo żebrak to właśnie nasz człek.

Robin słuchał, aż piosenka zamilkła w oddali, a potem też przedostał się na gościniec, ale poszedł w przeciwnym kierunku. Droga prowadziła łagodnym pagórkiem i Robin nią podążył, obwieszony dyndającymi torbami. Długi czas wędrował przed siebie nie napotykając żadnych przygód. Szedł sam, wzbijając za każdym krokiem obłoczki kurzu, a na gościńcu nie pokazywała się żywa dusza; nastało bowiem samo południe, najspokojniejsza prócz zmierzchu pora dnia.

Robin, mając do własnego użytku cały gościniec, szedł sobie wesoło pogwizdując, a torby i sakwy podrygiwały mu u pasa. Dotarł wreszcie do miejsca, gdzie zbaczająca od drogi ścieżyna zbiegała łagodnym stokiem do strumyka w wądołę, a potem wspinała się na pagórek aż do wiatraka w otoczeniu drzew chwiejących się na wietrze. Robinowi spodobał się ten zakątek i przez czysty kaprys skręcił w ścieżynę i zaczął schodzić słonecznym stokiem po łące. Tak znalazł się w parowie i nim się obejrzał, natknął się na czterech chwatów, którzy wygodnie ucztowali na murawie.

Była to czwórka wesołych żebraków, każdy miał na piersi zawieszoną tabliczkę. Na jednej pisało: “Ślepy od urodzenia”, na drugiej: “Głuchy od urodzenia”, na trzeciej: “Niemowa”, a na czwartej: “Wspomóżcie kulawego”. Ale choć tyle nieszczęść dźwigali na tabliczkach, cała czwórka biesiadowała sobie w najlepsze, jak gdyby żona Kaina nigdy nie zajrzała do dzbana, w którym siedziały uwięzione niedole, i nie wypuściła ich jak chmary much, żeby nas prześladowały.

Głuchy od urodzenia pierwszy usłyszał Robina, gdyż powiedział: “Uwaga, bracia, ktoś tu nadchodzi”. A ślepy pierwszy go zobaczył, bo powiedział: “To uczciwy chłop, bracia, jeden z naszych”. Wtedy niemowa zawołał doń gromko: “Witaj, bracie. Siadaj z nami, póki jeszcze zostało trochę wyżerki i kropla małmazji w dzbanku”. Na to kulawy, który odłożył na bok sztuczną i wyciągnął podkurczoną nogę wygodnie na trawie, żeby sobie wypoczęła, zrobił miejsce Robinowi. “Cieszymy się na twój widok, bracie” — powiedział wyciągając flaszkę z małmazją.

— Dalibóg — odezwał się Robin ze śmiechem, ważąc w dłoni flaszkę — to tylko zwykła przyzwoitość wymaga, żebyście cieszyli się na mój widok, skoro widzicie, że ślepemu przywracam wzrok, niemowie język, głuchemu słuch, a kulawemu taką krzepką nogę. Piję za waszą pomyślność, bracia, bo po cóż mam pić za wasze zdrowie, kiedy widzę, że każdy z was zdrów i czerstwy jak rydz.

Cała czwórka wyszczerzyła zęby, a ślepy od urodzenia, który był ich hersztem, najtęższy i najprawdziwszy szelma, dzielił Robina po plecach, zaklinając się, że morowy z niego błazen.

— Skąd idziesz, brachu? — zagadnął go niemowa.

— A prosto z Sherwoodu, gdzie przespałem całą noc — odparł Robin.

— Co ty powiesz? — odezwał się głuchy. — Za wszystkie pieniądze, jakie niesiemy we czwórkę do Lincolnu, nie spałbym w Sherwoodzie ani jedną noc. Gdyby Robin Hood w swoich borach przychwycił kóregoś z naszych, toby mu poobcinał uszy, jak mi się zdaje.

— I mnie się tak zdaje — zaśmiał się Robin. — Ale o jakich to pieniądzach wspominasz?

— Nasz król, Pietrek z Yorku — odezwał się kulawy — wysłał nas z tymi pieniędzmi do Lincolnu, żeby...

— Stój, bracie Siekaczu — przerwał mu ślepy — nie podejrzewam naszego kamrata, ale pamiętaj, że my go nie znamy. Ktoś ty jest, brachu? “Śmiałek”, “ćwik”, “szczur”, “szemrany” czy “bzik”?

Robin spojrział na nich z rozdziawioną gębą.

— No... — wykrztusił — zdaje mi się, że jestem śmiałek, przynajmniej staram się być. Ale doprawdy nie wiem, co ma znaczyć ten cały żargon, bracie. Byłoby znacznie przyjemniej, moim zdaniem, gdyby nam niemowa, który ma piękny głos, zaśpiewał piosenkę.

Na te słowa zapadła grobowa cisza, dopiero po chwili odezwał się znów. ślepy:

— E, kpisz sobie, że nie znasz naszej mowy. Odpowiedz mi na to: “Czyś ty kiedy kołtonowi dźwignął dychy z przyciosa, jak kimoł?”[6]

— Do licha! — rozgniewał się Robin. — Jeśli żarty ze mnie stroicie tym całym szwargotem, to ja się z wami policzę, mówię wam. Mam wielką ochotę stuknąć was po łbie i nie zastanawiałbym się, gdyby nie to, że poczęstowaliście mnie wybornym trunkiem. Pokaż tu, bracie, dzban, bo małmazją stygnie.

Ale po jego słowach tamci zerwali się na nogi chwytając swoje pałki, a ślepy porwał z ziemi ciężki sękacz. Robin nie wiedział, o co ta cała awantura, ale widząc, że robi się z nim krucho, też zerwał się na nogi chwytając swoją wierną pałkę, wsparł się plecami o drzewo i stanął w pogotowiu.

— Co u diabła! — zawołał wywijając pałką młynka. — Nie wstyd wam, byki krasę-, napadać w czterech na jednego? Spróbujcie zbliżyć się, łajdaki, a tak wam pokiereszuję łepety, że rodzona matka was nie pozna! Czyście powariowali? Nie zrobiłem wam nic złego.

— Łżesz! — wrzasnął ślepy od urodzenia, najtęższy z nich zabijaka, herszt całej czwórki. — Łżesz! Wkradłeś się, żeby nas szpiegować. Ale twoje uszy za dużo słyszały, żebyś uszedł stąd cało, przysłała na ciebie kryska, bo wyciągniesz dzisiaj kopyta! Dalej, bracia, kupą! Na niego!

Świszcząc sękaczem natarł na Robina jak rozsierdzony byk na czerwoną płachtę. Ale Robin był gotów na każdą niespodziankę.

“Triak! Trak!” — wymierzył dwa błyskawiczne ciosy i w mgnieniu oka żebrak runął, katulując się na łeb na szyję po trawie.

Tamci odskoczyli jak oparzeni i zatrzymali się o kilka kroków, patrząc spode łba na Robina.

— Chodźcie no, szumowiny! — zawołał wesoło Robin. — Dla każdego coś miłego. No, którego mam teraz poczęstować?

Żebracy milczeli uparcie, patrzyli tylko na niego jak wilcy na swego pogromcę, jakby go chcieli pożreć z kośćcami; nie kwapili się wszak podejść bliżej do niego i jego straszliwej pałki. Robin widząc, że się tak ociągają, natarł na nich zniemacka, bijąc w skoku na prawo i lewo. Niemowa rymnął na ziemię i pałka mu z rąk poleciała. Tamci nurkując przed ciosem rozpierzchli się w przeciwne strony i wzięli nogi za pas uciekając, gdzie pieprz rośnie. Robin ze śmiechem patrzył za nimi, widząc tak chyżego biegacza, bo kulawy gnał jak chart; żaden nie zatrzymał się ani nie spojrzął za siebie, gdyż każdemu dźwięczał w uszach świst Robinowej pałki.

Robin spojrział na dwóch krzepkich łotrów powalonych na ziemię. “Te łapserdaki — powiedział sobie — wspominały coś o jakichś pieniądzech, że je niosą do Lincolnu. Zdaje mi się, że trzeba ich szukać przy tym ślepy od urodzenia, który ma bardziej bystry wzrok niż niejeden zawodowy myśliwy w hrabstwie Nottingham czy York. Szkoda by było, żeby uczciwe pieniądze zostały w kieszeni takich łotrzyków”. Co mówiąc pochylił się nad opasłym szelmą i zaczął przetrząsać jego łachmany; niebawem namacał na jego ciele skórzaną sakiewkę przywiązaną pod

lataną kapotą. Zdarł ją z niego i wążac na dłoni pomyślał, że jest ciężka nielicho. “Cudnie by się składało — powiedział sobie — gdyby to było złoto, a nie miedziaki”. Usiadł na trawie i zajrzał do jednej kieszonki. Znalazł w niej cztery rulony owinięte w wyprawioną owczą skórę, rozwinął jeden z nich i wybałuszył oczy, rozdziawiając gębę, jakby jej już więcej nie miał zamknąć, bo coś zobaczył jak nie pięćdziesiąt funtów w szczerym złocie! Zajrzał do innych kieszonek i w każdej znalazł to samo; po pięćdziesiąt złotych funtów świeżo bitą monetą. “Często słyszałem — powiedział — że Cech Żebraków jest niezmiernie bogaty, ale nie śniło mi się, że wysyłają takie sumy do swojego skarbcza. Biorę to ze sobą, lepiej niech skorzystają z tego złota biedacy i moi chłopcy, niż miałyby się na nim tuczyć te łotry”. Zawinał pieniądze z powrotem w owczą skórę, włożył je do sakiewki i wsadził mieszek za pazuchę. A potem uniósł dzban z małmazją i zwrócił się do dwóch zemdlonych żebraków: “Wasze zdrowie, mili przyjaciele, dziękuję wam serdecznie za łaskawy podarunek i życzę wszystkiego dobrego”. Wziął pałkę i poszedł sobie wesoło w dalszą drogę.

Ale kiedy obaj dzieleni po łbie żebracy ocknęli się i usiedli, <i drudzy dwaj przemogli strach i wrócili, rozżalili się nad swoją niedolą jak cztery ropuchy na suszę, bo dwóch miało rozbite łepetyny, małmazją im przepadła i zostali bez grosza przy duszy. A skarbiec Cechu Żebraków w oberży “Pod Żebzaczą Wiechą”, nie opodal Lincolnu, stał się o dwieście funtów uboższy, do czego by nigdy nie doszło, gdyby Robin Hood nie spotkał ślepego od urodzenia, głucheego od urodzenia, niemowy i kulawego niedaleko gościńca od Blyth.

Robin zaś po wydostaniu się z parowu maszerował sobie, wesoło wyśpiewując, a taki był z niego krzepki żebrak, rozradowany, świeży i czysty, że każda napotkana dziewczuszka wcale się go nie bała i przekomarzała się z nim i nawet psy, które zwykle warczą na żebraków, obwąchiwały go, przyjaźnie merdając ogonem, bo psy po zapachu poznają uczciwego człowieka, a Robin był człkiem uczciwym — na swój sposób.

Wędrował tak przed siebie, aż doszedł do przydrożnego krzyża nie opodal Ollertonu, a że był trochę zmęczony, usiadł na porośniętej trawą skarpie przy krzyżu, żeby odpocząć. “Właściwie pora już wracać do Sherwoodu — powiedział sobie. — Ale bardzo bym się cieszył, gdyby mi się trafiła jeszcze jedna wesoła przygoda, zanim znajdę się znów ze swoją dzielną bandą”. Śledził więc drogę w obie strony, czy ktoś nie nadchodzi, wreszcie zamajaczył mu w oddali jakiś jeździec na koniu. Robin zaśmiał się, gdy zobaczył go z bliska, gdyż osobliwa to była figura. Chudy i zwiędły człowieczek, gdy na niego popatrzeć, licho wie, ile miał lat, trzydzieści czy sześćdziesiąt, taki był wysuszony na kość. Szkapą była równie chuderława jak on, oboje wyglądali jak wyprażeni w Piecu Matki Kletki, gdzie ludziska tak wysychają na wióry, że śmierć im już nigdy nie grozi. Biedne szkapisko nosiło łeb przy ziemi, a grzywę miało tak potarganą, jakby w niej myszy gniazda zakładały; grzbiet sterczał ostro niczym świeżo odwalona skiba, a żebra rysowały się przez skórę jak obręcze na baryłce z pięcioletnim piwem. Szkapą dryndała się drogą, a jeździec podrygiwał na siodle, aż mu się głowa na cienkiej szyi telepała. Robin śmiał się z tego widoku, aż mu łzy w oczach stanęły, bo na dodatek jeździec, jakby chciał jeszcze komiczniej wyglądać, zamiast butów miał na nogach chodaki z grubą na pół dłoni drewnianą podeszwą, nabijaną wielkimi ćwiekami.

Ale choć Robin śmiał się, wiedział, że podróżny to bogaty handlarz zboża z Worksop, który nieraz już skupował wszystkie ziarno w okolicy i trzymał je dotąd, aż wyśrubował głodowe ceny, tak żerując na ubogich ludziach, za co go wszyscy wokół nienawidzili, kto go tylko trochę znał.

Oho, złodziejska papugo! — powiedział sobie Robin, kiedy zobaczył, kto to najeżdża. To ty, co! Rad bym cię oskubać do gołej skóry. Ale tyś taki chłytro, że bardzo wątpię, czy tak blisko Sherwoodu znajdzie się przy tobie coś z twoich parszywych zysków. W każdym razie zobaczymy, co się da zrobić. Jak powiada nasz Swanthold: “Chcesz coś mieć, to spróbuj, Ned”.

Niebawem kupiec zrównał się z krzyżem, pod którym siedział Robin, a wtedy ten wyskoczył na drogę w łachmanach, z torbami dyndającymi u pasa, i schwycił konia za uzdę, wołając do jeźdźca, żeby się zatrzymał.

— Coś ty za jeden, bratku, że śmiesz zatrzymywać tak ludzi na królewskim gościńcu? — odezwał się chudzielec cierpkim tonem.

— Zlituj się nad biednym żebrakiem — powiedział Robin. — Daj mi choć na kawałek chleba.

— A niech cię diabli wezmą! — warknął tamten. — Dla takich opryszków jak ty w więzieniu jest miejsce, powinniście dyndać na szubienicy, a nie wałęsać się po drogach.

— Sza — powiedział Robin — co ty wygadujesz! Przecież jesteśmy braćmi, człeku. Czy obaj nie wyłudząmy od ubogich ludzi ostatniego grosza? Czy obaj nie tuczemy się cudzą krzywdą? Czyż obaj nigdy nie przykładamy palca do uczciwej pracy? Czy który z nas pomacał kiedykolwiek przyzwoicie zarobiony szeląg? A niech cię! Jesteśmy braćmi, powiadam, tylko że tyś bogaty, a ja biedny, więc proszę cię jeszcze raz, daj mi pensa z łaski swojej.

— Jak śmiesz tak do mnie pyskować, gagatku? — zawołał rozwścieczony kupiec. — Każę cię porządnie wychłostać, niech cię tylko zobaczę w jakimś mieście pod strażą prawa. A pensa na oczy nie zobaczysz, bo przysięgam ci, że nie mam w sakiewce ni miedziaka. Niechby mnie sam Robin Hood przychwycił, to nic by przy mnie nie znalazł, choćby mnie obszukał od stóp do głów. O, nie jestem w ciemę bity, żeby podróżować z pełną sakiewką w pobliżu Sherwoodu, kiedy ten zbój hula po lasach.

Robin Hood rozejrzał się dokoła, jakby chcąc sprawdzić, czy nikt nie dosłyszy, a potem wspiał się na palce i szepnął kupcowi na ucho:

— Myślisz, że naprawdę jestem żebrakiem, jak się wydaje? Przyjrzyj mi się, nawet smużki brudu nie ma na moich rękach, na twarzy czy na ciele. Widziałeś kiedy takiego żebraka? Mówię ci, że jestem taki sam uczciwy człowiek jak ty. Spójrz, przyjacielu... — Wydobył z zanadrza sakiewkę z pieniędzmi i pokazał oszołomionym oczom spekulanta błyszczące sztuki złota. — Przyjacielu, te łachmany mają tylko ukryć zanego i bogatego człowieka przed okiem Robin Hooda.

— Schowaj to, chłopcze, natychmiast — zawołał tamten z pośpiechem. — Czyś ty zgłupiał? Myślisz, że żebracze łachmany osłonią cię przed Robin Hoodem? Jeśli cię złapie, obedrze cię do naga, bo on tak samo nienawidzi krzepkiego żebraka jak tłustego księdza czy ludzi mojego pokroju.

— Czyż to prawda? — powiedział Robin. — Gdybym o tym wiedział, nie pokazałbym się chyba w tych okolicach w takim stroju. Ale muszę spieszyc dalej, bo to dla mnie bardzo pilna droga. A dokąd ty zmierzasz, przyjacielu?

— Jadę do Grantham — odparł kupiec — ale na noc zatrzymam się w Newarku, jeśli tam zdążę.

— To i ja spieszę do Newarku, obu nam po drodze — rzekł wesoły Robin. — Co dwóch uczciwych ludzi, to nie jeden, we dwójkę zawsze bezpieczniej, kiedy takie Robin Hoody grasują po drogach, więc pomaszeryj z tobą, jeśli nie pogardzisz moim towarzystwem.

— Skądże, skoro jesteś uczciwy człek i taki bogaty — odparł spekulant — wcale mi nie wadzi twoje towarzystwo. Ale, dalibóg, nie mam dużej sympatii do żebraków.

— No to w drogę — rzekł Robin — bo dzionek dogasa i ciemno się robi, zanim dostaniemy się do Newarku.

Ruszyli więc naprzód, szkapa pocwałowała, a Robin biegł dusząc się niemal ze śmiechu, bo bał się parsknąć mu w nos, żeby w kupcu nie wzbudzić podejrzeń. Wydostali się tak aż na pagórek na samym skraju Sherwoodu. Podjazd był stromy, więc chudzielec zwolnił chcąc oszczędzić szkapy, bo czekała go jeszcze długa droga. A potem obrócił się na siodle i odezwał do Robina pierwszy raz, odkąd odjechali spod krzyża.

— Najbardziej niebezpieczny kawałek, przyjacielu — powiedział — bo tu jesteśmy najbliżej tego nikczemnego zbója, Robin Hooda, i jego siedliska. Za pagórkami jesteśmy znów na równinie, w przyzwoitej okolicy, gdzie nic nam już nie grozi.

— Strasznie żałuję — powiedział Robin — że mam przy sobie tyle pieniędzy, wolałbym nic nie mieć tak jak ty, bo paskudnie się boję, że Robin Hood obedrze mnie dziś co do grosza.

Tamten spojrział na niego i mrugnął chytrze.

— Powiadam ci, przyjacielu — rzekł — że mam przy sobie prawie tyle co ty, ale tak to schowałem, że żaden łotrzyk z Sherwoodu nigdy tego nie znajdzie.

— Żartujesz — powiedział Robin. — Jak można ukryć przy sobie całych dwieście funtów?

— Wiesz co, ponieważ z ciebie taki uczciwy człek i znacznie młodszy ode mnie, powiem ci coś, czego jeszcze nikomu na świecie nie powiedziałem, niech ci to posłuży jako nauka, żebyś nigdy więcej nie robił takiego głupstwa i nie ufał, że żebraczy łachman ochroni cię przed Robin Hoodem. Widzisz te chodaki na moich nogach?

— Takie ogromne — zaśmiał się Robin — że każdy by je zobaczył, nawet Piotruś Piecuch, któremu zawsze tak się mgiło przed oczami, że nigdy nie wiedział kiedy, czas iść do roboty.

— Daj spokój, przyjacielu — powiedział spekulant — to nie są żarty. Drewniane spody tych chodaków wyglądają na podeszwy, a tymczasem są to śliczniutki szkatułki. Za podkreśleniem drugiego ćwieka, licząc od dużego palca, cały nosek chodaka podnosi się jak wieko, a pod spodem leży sobie pięćdziesiąt złotych funtów w każdym bucie, owiniętych we włosień, żeby przypadkiem nie zabrzęcały i nie zdradziły schowka.

Kiedy mu kupiec to wyznał Robin wybuchnął ogromnym śmiechem i chwytając za wodze zatrzymał markotną szkapę.

— Stój, przyjacielu — wykrztusił zanosząc się chichotem. — Och, ty przebiegły, stary lisie... Takiego chytrusa w życiu nie widziałem!... W podeszwach chodaków, powiada!... Jeśli jeszcze raz dam się nabrać na czyjś biedny wygląd, to ogólcie mi łepetynę i pomalujcie na niebiesko! Kupiec zbożowy, kawaler na chabcie, agent majątkowy, a chytrus, jakiego świat nie widział!... — I trząsał się cały ze śmiechu.

Spekulant gapił się na niego z gębą rozdziawioną ze zdumienia.

— Czyś ty oszalał? — rzekł. — Co ty wygadujesz? Tak głośno i w takim miejscu? Jedźmy, stańmy najpierw zdrowi i cali w Newarku, a wtedy będziesz się śmiał.

— Nie — odparł Robin, który popłakał się ze śmiechu — rozmyśliłem się i nie idę dalej, bo mam tu w pobliżu dobrych przyjaciół. Ty sobie jedź, jeśli chcesz, dziubdziusiu kochany, ale na bosaka, bo chodaki musisz niestety zostawić. Ściągaj je, przyjacielu, bo mówię ci, że dostałem na nie wielkiej chrapki.

Kupiec zbożowy zbladł na te słowa jak chusta.

— Ktoś ty taki, że tak mówisz? — wyjąkał. Wesoły Robin roześmiał się znów i odparł:

— Ludziska nazywają mnie Robin Hoodem. Lepiej więc nie odmawiaj mi, luby przyjacielu, i oddaj mi chodaki, a spiesz się, radzę ci, bo przed nocą nie zdążysz do Newarku.

Na dźwięk imienia Robin Hooda handlarz zboża tak się zatrząsał ze strachu, aż musiał ucześcić się grzywy swojego konia, żeby nie spaść z siodła. Natychmiast też, bez żadnego gadania, rozwiązał chodaki i zrzucił je z nóg na ziemię. Robin nie puszczając cugli pochylił się i podniósł buty, a potem powiedział:

— Drogi przyjacielu, mam zwyczaj zapraszać swoich klientów na poczęstunek do Sherwoodu. Ciebie nie zaproszę, bo odbyłem z tobą miłą podróż i powiadam ci, że w Sherwoodzie nie brak takich, którzy nie obeszliby się z tobą tak uprzejmie jak ja. Imię spekulanta zbożowego pozostawia

brzydki smak na języku wszystkich uczciwych ludzi. Posłuchaj mojej głupiej rady i nie pokazuj się w pobliżu Sherwoodu, bo jeszcze któregoś dnia spotka cię niespodzianka i namacasz strzałę pod zębem. No, to życzę ci pomyślności — i klepnął szkapę, która ruszyła z kopyta, unosząc jeźdźca mokrego ze strachu, z całą twarzą usianą kropelkami potu. Odtąd kupiec zbożowy trzymał się od sherwoodzkich borów z daleka jak od ognia.

Robin stał patrząc za nim, a kiedy tamten zniknął mu z oczu, odwrócił się ze śmiechem i zapuścił w las, niosąc w ręce chodaki.

* * *

Tej nocy w uroczym Sherwoodzie czerwone ognie buzowały rzucając zwiewny odblask na drzewa i krzaki, a cała banda rozłożyła się w krąg, aby posłuchać opowiadania Robin Hooda i Małego Johna o ich przygodach. Najpierw zaczął Mały John i opowiedział o spotkaniu z trzema dziewczętami, słuchacze wtórowali mu gromkim śmiechem, bo umiał przezabawnie przedstawiać swoje wyczyny. Potem Robin mówił o spotkaniu z krzepkim żebrakiem i co się dalej wydarzyło za żywopłotem pod lipą. Z kolei Mały John opowiedział o wesołych kompanach przed gospodą, a Robin o przygodzie z czterema żebrakami, pokazując pieniądze, które im zabrał. Na koniec Mały John opowiedział, jak się modlił do świętego Dunstana z dwoma mnichami, i pokazał złoto, które mu święty zesłał z nieba. Robin nie pozostał mu dłużny i popisał się opowieścią o kupcu zbożowym, którego spotkał przy krzyżu nie opodal Ollertonu, i wyciągnął chodaki odebrane chudemu liczykrupie. Wszyscy słuchali z uwagą, a bór raz po raz rozbrzmiewał śmiechem. Kiedy opowieści się skończyły, zabrał głos Braciszek Tuck.

— Zabawiłeś się przyjemnie, wodzu — powiedział — ale nadal upieram się przy swoim, że weselszy z dwóch jest żywot bosego mnicha.

— A ja zgadzam się z naszym wodzem — odezwał się Will Stutely — uważam, że lepiej się zabawił, bo trafiły mu się dwa piękne spotkania na pałki.

Jedni trzymali za Robinem, a jedni za Małym Johnem. Co do mnie, to myślę... Ale lepiej osądźcie sami, po której stronie trzymacie.

A jak już to sobie rozstrzygnięcie, to zobaczymy, jak wesoły Robin pojechał do sławnego miasta Londynu i popisywał się strzelaniem z łuku przed królową Eleonorą, i dowiemy się, co się z nim potem działo. Słuchajcie więc, co będzie dalej.

Część siódma, która opowiada o tym, jak królowa Eleonora zaprosiła Robin Hooda na swój dwór w sławnym mieście Londynie i jak Robin przybył na żądanie, a potem król Henryk ścigał Robina po całym kraju, ale go nie złapał

I. Robin Hood i trzech jego towarzysze strzelają z łuku przed królową Eleonorą na Polach Finsbury

W upalnym popołudniowym słońcu lata zakurzony gościniec ciągnął się białą wstęgą, a drzewa stały w bezruchu przy drodze. Rozgrzane powietrze drżało nad łąkami, pod kamiennym mostkiem w przezroczystej wodzie spokojnego strumienia ryby-tkwiły nieruchomo nad żółtym żwirem dna, w sitowiu migotały od słońca skrzydełka znieruchomiałej na trzcinie ważki.

Gościńcem cwałował młodzieniec na mlecznobiałym rumaku, ludek oglądał się za nim na drodze, bo tak urodziwego i wytwornie odzianego chłopaka nie widywano dotąd w hrabstwie Nottingham. Nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat, a śliczny był jak panienka. Płowa czupryna falowała mu na wietrze, migotały klejnoty i sztylecik podzwaniał u siodła, kiedy kłusował, cały w jedwabiach i aksamitach. Tak to jechał paż królowej, młody Ryszard Partington, ze sławnego miasta Londynu do hrabstwa Nottingham. szukać Robin Hooda w sherwoodzkich borach z rozkazu jej majestatu.

Kurz i upał dokuczał na gościńcu, a paż zrobił już tego dnia ładny kawałek drogi z miasta Leicester, ze dwadzieścia mil z okładem; ucieszył się przeto młody Partington na widok stojącej w cieniu drzew oberży, przed którą zwisał szyld z wizerunkiem błękitnego dzika. Ściągnął cugle i zawołał o garniec reńskiego wina, bo miejscowe piwsko uważał za dość ordynarny trunek. Na ławie przed oberżą, w przyjemnym cieniu rozłożystego dębu siedziało przy kuflach pięciu chwatów, którzy gapili się potężnie na pięknego i strojnego chłopaka. Dwaj najteżsi odziani byli w zielone sukno, a przy każdym spoczywała ciężka pałka oparta o sękaty pień dębu.

Oberżysta wyniósł na tacy garniec z winem i kielich ze szkła — i podał siedzącemu na koniu paziowi. Młody Partington nalał sobie złocistego wina i wznosząc kielich zawołał: “Za zdrowie i pomyślność mojej pani, szlachetnej królowej Eleonory. I obym spełnił jej życzenie, a zarazem cel mojej podróży, i odnalazł pewnego dzielnego szlachcica imieniem Robin Hood”.

Wszyscy wytrzeszczyli oczy, ale zaraz dwaj w ubraniach z zielonego sukna zaczęli szeptać między sobą. Po chwili jeden z nich, którego Partington uważał za najpotężniejszego wzrostem osiłka, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć, odezwał się w te słowa:

— Czego potrzebujesz od Robin Hooda, waszmość paziu? I czego sobie od niego życzy nasza królowa Eleonora? Pytam nie przez próżną ciekawość, tylko z tej przyczyny, że znam co nieco tego dzielnego szlachcica.

— Skoro znasz go trochę, zacny człeku — powiedział młody Partington — to wyświadczysz jemu wielką przysługę i sprawisz wielką przyjemność naszej królowej, jeśli pomożesz mi go odszukać.

Wtedy odezwał się drugi z nich, bardzo przystojny, z ogorzałą twarzą i kędzierzawymi włosami kasztanowego koloru:

— Uczciwie ci z oczu patrzy, mój paziu, a królowa Eleonora jest łaskawa i szczerą dla całej dzielnej szlachty. Myślę, że ja i mój przyjaciel możemy bezpiecznie zaprowadzić cię do Robin Hooda, bo wiemy, gdzie go można znaleźć. Ale mówię ci otwarcie, że za żadne skarby nie dopuścimy, aby mu włos spadł z głowy.

— Bądźcie spokojni, żadnej krzywdy ze sobą nie przynoszę — odparł Ryszard Partington. —

Mam dla niego łaskawe przesłanie od naszej królowej. Zatem jeśli wiecie, gdzie go można znaleźć, bardzo was proszę, zaprowadźcie mnie do niego.

Tamci znowu spojrzeli po sobie i wysoki powiedział: “Chyba można zaryzykować, Will”, na co tamten skinął głową. Po czym obaj wstali i dryblas rzekł:

— Myślmy, że jesteś szczerzy, mój paziu, i nie masz żadnych złych zamiarów, zaprowadzimy cię przeto do Robin Hooda, jak sobie tego życzysz.

Partington zapłacił za wino i od razu wyruszył z nimi w drogę.

W chłodnym cieniu pod rozłożystym dębem plamki słońca migały na murawie, a Robin Hood i jego towarzysze wyciągnęli się na miękkiej trawie słuchając, jak Allan z Doliny śpiewa i gra na swojej słodko brzmiącej harfie. Słuchali w ciszy, gdyż głos młodego Allana sprawiał im największą w świecie radość, ale oto zmącił nastrój niespodziany odgłos kopyt i niebawem Mały John i Will Stutely wynurzyli się z lasu na polanę, a między nimi młody Ryszard Partington na mlecznobiałym koniu. Zbliżali się we trójkę, a cała banda wytrzeszczyła oczy na widok pazia, bo pierwszy raz zjawiał się ktoś tak bogato ubrany w jedwabie i aksamity, złoto i klejnoty. Robin Hood powstał i wyszedł im na powitanie, a Partington zeskoczył z konia i pokłonił mu się, zamiatając ziemię szkarłatnym, kołpakiem.

— Witajże! — zawołał Robin. — Witaj, piękny młodzieńcze. I powiedz ny, z łaski swojej, co sprowadza tak szlachetnego i wytwornego gościa do naszego ubożego Sherwoodu?

— Jeśli się nie mylę — powiedział młody Partington — tyś jest sławny Robin Hood, a to twoja dzielna banda wyjętych spod prawa szlachciców. Przynoszę ci pozdrowienia od jej majestatu, królowej Eleonory. Wiele słyszała o tobie i twoich czynach i rada by cię poznać osobiście. Kazała mi przeto powiadomić cię, że jeśli przyjedziesz zaraz do Londynu, uczyni wszystko, co w jej mocy, aby zagwarantować ci bezpieczeństwo i spokojny powrót do sherwoodzkich borów. Za cztery dni na Połach Finsbury nasz dobry król Henryk urządza wielki konkurs strzelecki z udziałem najświetniejszych łuczników wesołej Anglii. Królowa rada by ujrzeć ciebie aa tych zawodach, wie bowiem, że jeśli się stawisz, to ani chybi zdobędziesz pierwszą nagrodę. Pozdrowia cię przeto i w dowód wielkiej łaskawości przesyła ci ten oto złoty pierścień z serdecznego paluszka, który przekazuję w twoje ręce.

Robin Hood skłonił głowę i przyjmując pierścień pocałował go wiernopoddańczo, a potem wsunął na mały palec.

— Prędzej postradam życie niż ten pierścień — powiedział — prędzej dłoń mi utną, zanim się z nim rozstanę. Szlachetny panie paziu, spełnię życzenie królowej i udam się z tobą do Londynu, ale zanim ruszymy w drogę, ugoszczę cię u nas w puszczy, czym tylko chata bogata.

— Nic z tego — odparł paż — nie mamy czasu do stracenia, więc szykuj się waść do drogi. A gdybyś chciał wziąć ze sobą kogoś ze swoich ludzi, królowa kazała mi powiedzieć, że powita ich z równą łaskawością.

— Tak, masz rację — rzekł Robin — rzeczywiście czas nagli, więc zaraz zbieram się do drogi. Wezmę ze sobą tylko trzech moich ludzi, a mianowicie: Małego Johna, który jest moją prawą ręką, Szkarłatnego Willa, mego kuzyna, i Allana z Doliny, mojego minstrela. Idźcie, chłopcy, przygotujcie się raz dwa do drogi i pospieszajmy, ile sił w nogach. A tobie, Willu Stutely, powierzam dowództwo nad bandą na czas mojej nieobecności.

Mały John, Szkarłatny Will i Allan z Doliny pobiegli w podskokach przebrać się, pełni radości, a tymczasem Robin też przygotował się do podróży. Niebawem pojawili się we czwórkę i aż miło było na nich popatrzeć, gdyż Robin był od stóp do głów ubrany na błękitno, Mały John i Will w

przednie zielone sukno, Allan z Doliny zaś przyodziął się w szkarłat od kołpaka po pantofle z zawijanymi noskami. Pod nakryciem głowy każdy miał wypolerowaną stalową misiurkę nitowaną złotem, a pod kaltanem kolczugę misterną i cienką jak z wełny, ale tak mocną, że nie przeszłyby jej żadna strzała. Młody Partington widząc, że wszyscy są gotowi, dosiadł konia, tamci uścisnęli ręce towarzyszom i cała piątka ruszyła w drogę.

Pierwszą noc popasali w Melton Mowbray, w hrabstwie Leicester, drugą w Kettering, w hrabstwie Northampton, następną w mieście Bedford, a wreszcie w Saint Albans, w hrabstwie Hertford. Miejscowość tę opuścili tuż po północy i spiesząc o łagodnym świtaniu letniego dnia, kiedy rosa migocze na łąkach i lekkie mgiełki wiszą w parowach, kiedy ptaki śpiewają najśłodziej i par jęczyny na żywopłotach mienia się czarodziejskim srebrem — znaleźli się wreszcie pod murami sławnego miasta Londynu, gdy jeszcze świeży brzask złocił się na wschodzie.

Królowa Eleonora siedziała w swej komnacie, do której przez otwarte okna wlewało się złociste słońce. Wokół niej stały dworki gwarząc szeptem między sobą, a ona siedziała rozmarzona w łagodnym powiewie, który przynosił szczodry zapach czerwonych róż kwitnących w wielkim ogrodzie pod murem. Niebawem stawił się przed nią któryś z dworzan donosząc, że jej paź, Ryszard Partington, wraz z czterema dzielnymi szlachcicami oczekują posłuchania na dole. Królowa wstała uradowana i kazała ich od razu do siebie prosić.

Tak to Robin Hood, Mały John, Szkarłatny Will i Allan z Doliny stanęli przed obliczem królowej w jej własnej komnacie. Robin Hood uklęknął krzyżując na piersiach ramiona i powiedział z prostotą:

— Robin Hood jestem. Życzyłaś sobie mnie zobaczyć i oto spełniam twoje życzenie. Oddaję ci się jako wierny sługa i jestem na twoje rozkazy do ostatniej kropli krwi.

Dobra królowa Eleonora przyjęła to z miłym uśmiechem, prosząc, aby powstał; prosiła ich wszystkich usiąść i odpocząć po długiej podróży. Podano gościom wyśmienite potrawy i szlachetne wina, a jej własni paziowie usługiwali im przy posiłku. Kiedy pokrzepili się do woli, zaczęła wypytywać o ich wesołe przygody. Opowiedzieli jej wszystkie swoje wyczyny, a wśród nich i historię o Biskupie Herefordu, i sir Ryszardzie z Lea, jak to Biskup spędził trzy dni w sherwoodzkim borze. Królowa i dworki zanosily się ze śmiechu, wyobrażając sobie, jak zażywny Biskup wiódł puszczańskie życie i uganiał po polowaniach wraz z Robinem i całą bandą. Kiedy już opowiedzieli wszystko, co im tylko przyszło do głowy, królowa poprosiła Allana o piosenkę, gdyż jego minstrelska sława dotarła nawet na dwór królewski w Londynie. Allan od razu wziął harfę do ręki i nie dając się więcej prosić przebiegł lekko palcami po strunach, aż zabrzmiały słodko, i zaśpiewał tak:

Miła rzeko, rzeko miła,
Strugą płyniesz w dal błękitną,
Obok gajów osikowych,
Obok łąk, gdzie lilie kwitną.

Z szumem pluszczesz po kamieniach,
Kwiat przybrzeżny falą muskasz
Lub całujesz się z jaskółką,
Od tchnień wiatru złotołuska.

Byстрыm nurtem unoszony,

Z prądem płynąłbym wciąż dalej,
Od trosk wolny i od bólu
Na twej łyskającej fali.

Tak zbolące, serce, miła,
Szuka w sercu twym przystani —
Bo me szczęście w tej miłości
I cios żaden mnie nie zrani.

A kiedy Allan śpiewał, skupiły się na nim wszystkie oczy i żaden szmer nie naruszył koncertu; nawet jak skończył, jakiś czas panowała cisza. Tak minęły im godziny, aż zaczęła się zbliżać pora otwarcia wielkich mistrzostw łuczniczych na Polach Finsbury.

Wspaniały widok przedstawiała sławne Pola Finsbury w jasny, słoneczny dzień dorodnego lata. Na krańcu łąki stały namioty łuczników, gdyż królewscy strzelcy byli podzieleni na drużyny po osiemdziesięciu chłopca z kapitanem na czele; każda drużyna miała swój namiot w kolorowe pasy, nad którym powiewała chorągiew o barwach, jakie nosił kapitan. Na soczystej murawie namiotów było dziesięć, nad środkowym trzepotała żółta chorągiew Tepusa, sławnego opiekuna królewskiego łuku; na sąsiednim po prawej błękitny proporczyk Gilberta Białończki, a po lewej — krwista chorągiewka krzepkiego młodego Cliftona z hrabstwa Buckingham. Siedmiu innych kapitanów drużyn też miało głośnie nazwiska, choćby Egbert z Kentu czy William z Southamptonu, ale ci najpierw wymienieni byli najślawniejsi. Gwar i śmiech dolatywały z namiotów, między którymi roilo się od giermków jak od mrówek. Jedni uwijali się z miodem i piwem, inni ze zwojami cięciw i naręczami strzał. Po obu stronach stadionu wznosiły się wysokie trybuny, z których północna miała pośrodku królewską lożę z kolorowym baldachimem i obiciem, przystrojoną jedwabnymi proporczykami, które migotały czerwienią, błękitem, zielenią i bielą. Król i królowa jeszcze nie przybyli, ale trybuny zapełniało morze ludzi, głowa nad głową, aż w oczach się kręciło od patrzenia. O sto sześćdziesiąt jardów stało dziesięć pięknych tarcz, do których miały strzelać poszczególne drużyny, każda z tarcz oznaczona kolorem ich chorągiewki. Wszystko więc było gotowe i czekano tylko na pojawienie się króla z królową.

Wreszcie zabrzmiały fanfary i na murawę wyjechało sześciu trębaczy, z ich srebrnych trąbek zwisały proporczyki bogato wyszywane srebrną i złotą nicią. Za nimi ukazał się krzepki król Henryk na jabłkowym ogierze, a przy nim królowa na mlecznobiałym rumaku. Towarzyszyła im w dwóch szeregach straż przyboczna, słońce migotało na ich wypucowanych halabardach. Z tyłu wielką gromadą tłoczył się dwór, aż cała murawa ożyła jaskrawymi kolorami, jedwabiem i aksamitem, powiewały pióra, świeciło złoto, rozsiewały wokół blask klejnoty i zdobne miecze — przewspaniały widok w cudny letni dzień.

Tłum powstał z miejsc i wznosił potężny okrzyk, który zahuczał jak sztorm u brzegów Kornwalii, gdzie ciemne fale rozbijają się o skały w ogromnej kipieli. Wśród rozpętanej na trybunach burzy, powiewających chusteczek i szalów, król i królowa podjechali, zsiadli z koni, po szerokich stopniach weszli do loży i zajęli miejsca na dwóch tronach ustrojonych szkarłatnym jedwabiem i złotogłowiem.

Kiedy się uciszyło, zagrała trąbka i zaraz z namiotów wyszli w ordynku łucznicy. Było ich ośmiuset, tak mężny zastęp, że lepszego próżno by szukać na całym szerokim świecie. Podeszli w szyku i stanęli przed trybuną, na której zasiadała para królewska. Król Henryk z wielką dumą

zlustrował ich szeregi, gdyż serce w nim rosło na widok tak dzielnych zastępów. Potem skinął na swojego herolda, każąc mu ogłosić reguły zawodów. Sir Hugh wystąpił na skraj podium i czystym, donośnym głosem, aby go słyszano na krańcach stadionu, obwieścił, co następuje:

Każda drużyna ma swoją tarczę, każdy zawodnik pośle do celu siedem strzał, z osiemdziesięciu zawodników każdej drużyny trzech najlepszych przejdzie do drugiej tury konkursu. Z kolei każdy pośle po trzy strzały i najlepszy z nich stanie do trzeciej tury. Znowu każdy będzie miał po trzy strzały, za najcelniejszy przypadnie rjierwsza nagroda, za mniej celne kolejno druga i trzecia. Reszta zawodników biorących udział w ostatniej turze otrzyma za swoje wyniki po osiemdziesiąt srebrnych pensów. Na pierwszą nagrodę złoży się pięćdziesiąt złotych funtów, róg myśliwski ze srebra, inkrustowany złotem, oraz kołczan z dziesięcioma strzałami o grotach ze złota i bełtach z piór białego łabędzia. Drugą nagrodę stanowi wolny odstrzał stu najtęższych jeleni w królewskich borach Dallen Lea. Trzecią zaś dwie beczki wybornego reńskiego wina.

Kiedy herold to obwieścił, wszyscy zawodnicy wznieśli okrzyk machając łukami. A potem każda drużyna zrobiła w tył zwrot i odmaszerowała w szyku na swoje miejsce.

I oto zaczęły się zawody, najpierw kapitanowie posłali strzały, ustępując miejsca swoim ludziom, którzy kolejno składali się z łuku. Ogółem oddano pięć tysięcy sześćset strzałów, a tak celnych, że wszystkie tarcze wyglądały z daleka jak ogromne jeże. Ta pierwsza tura konkursu zajęła dużo czasu, po jej zakończeniu sędziowie podeszli do tarcz, sprawdzili wyniki i obwołali trzech najlepszych strzelców z każdej drużyny. Podniosła się wielka wrzawa, gdyż wśród widzów każdy miał swojego faworyta i jego imię wykrzykiwał najgłośniej. Niebawem ustawiono nowe tarcze i cisza zaległa na trybunach, gdy łucznicy zajęli swoje stanowiska.

Tym razem wszystko poszło znacznie szybciej, gdyż tylko dziewięć strzał wypadło na każdą drużynę. Ani jedna nie rozminęła się z celem, a w tarczy należącej do drużyny Gilberta Białorączki aż pięć grotów tkwiło w środkowym białym kółku, z czego trzy wystrzelone przez Gilberta. Znowu wystąpili sędziowie i po obejrzeniu tarcz ogłosili imiona najlepszego łuczника z każdej drużyny. Wśród nich prym dierzył Gilbert Białorączka, na dziesięć oddanych przez niego strzałów sześć trafiło w środek tarczy, lecz deptali mu po piętach krzepki Tepus i młody Clifton, ale i inni mieli piękne szansę na drugie czy trzecie miejsce.

Wśród ryku tłumu wyborowa dziesiątka udała się do namiotów odetchnąć chwilę i zmienić cięciwy, gdyż w ostatniej turze nic nie mogło zawieść, żadna ręka drgnąć ani żadne oko zamglić się z przemęczenia.

Gdy na trybunach panował głęboki gwar i szum rozmów, jakby wiatr przechodził po lesie, królowa Eleonora zwróciła się do króla z zapytaniem:

— Czy uważasz, że ta wybrana dziesiątka to najznakomitsi łucznicy w całej wesołej Anglii?

— Ależ oczywiście — powiedział roześmiany król, który był bardzo zadowolony z zawodów. — I powiem ci, że są to najznakomitsi łucznicy nie tylko w Anglii, ale na całym szerokim świecie.

— A co byś powiedział — rzekła królowa Eleonora — gdybym znalazła trzech łuczników, którzy dorównują najlepszej trójce twoich strzelców?

— Powiedziałbym, że dokonałaś tego, czego ja nie potrafiłem — zaśmiał się król — bo mówię ci, że na całym świecie nie ma takich trzech łuczników, którzy by mogli się równać z Tepusem, Gilbertem i Cliftonem z hrabstwa Buckingham.

— A ja znam takich — powiedziała królowa Eleonora — i nawet widziałam ich niedawno. Nie bałabym się przeciwstawić ich jakiej tylko zechcesz trójce z twoich ośmiuset łuczników. Co więcej, gotowam to zrobić zaraz, na poczekaniu. Ale pod jednym warunkiem, że zagwarantujesz nietykalność osobistą każdemu, kto wystąpi w moim imieniu.

Król wybuchnął długim i serdecznym śmiechem.

— Dalibóg, bierzesz się do dziwnych spraw jak na królową — powiedział. — Jeśli mi pokażesz tych trzech swoich faworytów, to przyrzekam solennie zagwarantować im nietykalność osobistą na czterdzieści dni; niech się obracają, gdzie chcą, a przez ten czas włos im z głowy nie spadnie. Co więcej, jeśli potrafią pokonać moich łuczników, to wezmą sobie nagrody odpowiednie do celności strzałów. Ale skoro tak się __ zapaliłaś do tej zabawy, to nie masz przypadkiem ochoty na zakład?

— Ależ doprawdy ja się na tym nie znam — zaśmiała się królowa Eleonora — widzę, że ty masz na coś takiego ochotę, więc nie chcę psuć ci przyjemności. Co postawisz na swoich zawodników?

Ubawiony król znowu się roześmiał, bo przepadał za dobrym żartem i wśród chichotu odpowiedział:

— Założę się z tobą o dziesięć beczek reńskiego wina, dziesięć baryłek dubeltowego piwa i dwieście łuków z hiszpańskiego cisu z kołczanami na dodatek.

Wszyscy wokół uśmiechnęli się z tak zabawnej stawki, którą król proponował królowej, ale ona spokojnie skinęła głową.

— Przyjmuję zakład — powiedziała — bo mam gdzie ulokować te wszystkie rzeczy, które wymienileś. No, kto weźmie moją stronę w tym zakładzie? — i rozejrzała się wokół, ale nikt się nie odzywał i nie kwapił ryzykować stawki po stronie królowej przeciwko takim łucznikom jak Tepus i Gilbert, i Clifton. Więc królowa znowu się odezwała: — No, kto się za mnie założy? Może wy, Biskupie Herefordu?

— Nie — odzegał się Biskup — suknia duchowna nie pozwala mi się do tego mieszać. A ponadto takich łuczników jak strzelcy jego królewskiej mości nie ma na całym świecie. Na darmo tylko straciłbym pieniądze.

— Zdaje mi się, że większą rolę gra u was troska o złoto niż o suknię duchowną — odparła z uśmiechem królowa. Zebrani zachichotali, gdyż było powszechnie wiadomo, jaki Biskup jest łasy na pieniądze. A królowa zwróciła się do stojącego w pobliżu rycerza, który zwał się sir Robert Lee. — A ty mi nie pomożesz? — powiedziała. — Stać cię chyba na takie ryzyko dla dobra damy?

— Uczynię to, aby sprawić przyjemność rnojej królowej — powiedział sir Robert Lee — ale za nikogo innego na świecie nie postawiłbym nawet miedziaka, gdyż nikt nie może się mierzyć z Tepusem, Gilbertem i Cliftonem.

Królowa Eleonora zwróciła się na to do króla, powiadając: — Obejdę się bez takiej pomocy, jaką mi proponuje sir Robert. Przeciwno twoim beczkom wina, piwa i cisowym łukom stawiam ten wysadzany klejnotami pas, który mam na sobie. Na pewno więcej jest wart od twojej stawki.

— Przyjmuję zakład — powiedział król. — Posyłaj zaraz po swoich faworytów. Ale oto już wychodzą łucznicy, dajmy im strzelać, a zwycięzców gotów jestem wystawić przeciwko całemu światu.

— Zgoda — powiedziała królowa. Skinęła na młodego Ryszarda Partingtona i szepnęła mu coś na ucho. Paź skłonił się i poszedł zaraz przez stadion na drugą stronę trybun, gdzie zniknął w tłumie. Cała świta zaczęła szeptać między sobą, zastanawiając się, co to wszystko znaczy i jakich to trzech ludzi królowa ma zamiar wystawić przeciwko sławnym łucznikom z gwardii królewskiej.

Ale właśnie dziesięciu zawodników wyszło na stanowiska i nad ogromnym tłumem zapadła cisza jak makiem posiał. Mierzyli wolno i z uwagą w takiej ciszy, że słyhać było każdą strzałę trafiającą w tarczę. Gdy ostatnia z nich utkwiała w celu, podniosła się wielka wrzawa, a wyniki godne były takiego aplauzu. Jeszcze raz Gilbert ulokował trzy strzały w białym kółku. Tepus był drugi,

mając dwie strzały w białym i jedną w czarnym kółku, ale krzepki Clifton stracił trzecie miejsce na rzecz Huberta z Suffolku; wprowadzie obaj trafili dwa razy w biały krążek, lecz Hubert miał jedno trafienie w czarny, a- Clifton dopiero w czwarte z kolei kółko.

Wszyscy łucznicy z drużyny Gilberta do ochrypnięcia wiwatowali z radości, podrzucając w górę kołpaki i ściskając sobie ręce. Wśród tego zamieszania i wrzawy pięciu ludzi zmierzało przez murawę w stronę łoża królewskiej. Prowadził ich Ryszard Partington, którego znano niemal powszechnie, ale pozostałych nikt zupełnie nie znał. Jeden był odziany na błękitno, dwaj na zielono, a ostatni na szkarłatne. Ten niósł trzy krzepkie cisowe łuki, dwa wymyślnie inkrustowane srebrem, a jeden złotem. Kiedy ta piątka przecinała stadion, nadbiegł goniec i zawezwał Gilberta, Tepusa i Huberta przed króla. Od razu się uciszyło, gdy wszyscy zobaczyli, że szykuje się jakaś niemiła niespodzianka; ludzie wstawali z miejsc, wyciągając szyje, żeby ujrzeć, co się święci.

Kiedy Partington i tamci znaleźli się przed łożem królewską, czterej nieznajomi przyklękli i kołpakami pokłonili się królowej. Król Henryk wychylił się i przypatrzył im się bacznie, ale Biskup Herefordu ujrawszy ich twarze szarpnął się, jakby go osa ucięła. Już otwierał usta, ale podnosząc oczy spostrzegł, że królowa przygląda mu się z uśmiechem, więc nic nie powiedział, tylko zagryzł wargę i poczerwieniał jak burak.

Królowa wychyliła się z łoża i odezwała dźwięcznym głosem:

— Waszmość Locksley — powiedziała — zawarłam z królem zakład, że ty i twoi dwaj ludzie potraficie pokonać każdą trójkę strzelców, jaką on przeciwko wam wystawi. Postarasz się to dla mnie zrobić?

— Jako żywo — odparł Robin Hood, do niego bowiem się zwracała — zrobię, co tylko w mojej mocy, a jeśli cię zawiodę, to przysięgam, że nigdy więcej nie tknę łuku.

A Mały John, który w komnacie królowej był nieco speszony, gdy poczuł pod stopami murawę stadionu, odzyskał tupet i odezwał się śmiało:

— Błogosławię twoje śliczne liczko, pani. Pokaż mi takiego, co nie chciałby dla ciebie wyskoczyć ze skóry, a ja mu... nic nie powiem, tylko miazga zostanie z jego łajdackiej łepetyny.

— Cicho!... — syknął do niego Robin Hood, ale dobra królowa Eleonora roześmiała się w głos, w czym zawtórowała jej ubawiona łoża.

Tylko Biskup Herefordu nie zdradził wesołości, ani też król, który zwrócił się do królowej i zapytał:

— Kogoś ty nam tu sprowadziła?

Biskup nie mógł już zdzierżyć i wtrącił się czym prędzej.

— Wasza królewska mość — powiedział — ten ubrany na błękitno to rozbójnik ze Środkowej Anglii, zwany Robin Hoodem. Ten dryblas to łotrzyk, który zwie się Mały John. Ten drugi w zielonym to wykolejony paniczyk, znany jako Szkarłatny Will. A ten ostatni to Allan z Doliny, minstrel i kawał łobuza.

Usłyszawszy to król naśrożył brwi i zwrócił się do królowej.

— Czy to prawda? — zapytał surowo.

— Owszem — odparła z uśmiechem. — Biskup mówił prawdę. Powinien nawet dobrze ich znać, bo przez trzy dni hasał z Robin Hoodem po polowaniach w sherwoodzkich borach. Nie spodziewałam się, że zacny Biskup tak skwapliwie zdradzi przyjaciół. Ale nie zapomnij, że zagwarantowałeś im bezpieczeństwo na przeciąg czterdziestu dni.

— Słowa dotrzymam — powiedział król zgrubiałym głosem, który zdradzał gniew w sercu — ale po czterdziestu dniach ten banita lepiej niech się pilnuje, bo może nie wszystko pójdzie mu tak gładko, jak by tego chciał. — Po czym zwrócił się do swoich łuczników, którzy stali nie opodal tych

z Sherwoodu, przysłuchując się ze zdumieniem całemu zajściu. Powiedział do nich: — Gilbercie i ty, Tepusie, i ty, Hubercie, zobowiązałem się, że wy zmierzycie się z tymi trzema. Jeśli pokonacie tych łotrzyków, napełnię wam kołpaki srebrem po brzegi, jeśli przegracie, stracie pięknie zdobyte nagrody, przejdą one w ręce waszych przeciwników. Pokażcie, na co was stać, chłopcy, a zwycięstwa w tym konkursie nie pożałujecie do końca życia. Idźcie się przygotować i zaraz stawajcie do walki.

Trzej królewscy łucznicy obrócili się na pięcie i poszli do swoich namiotów, a Robin i jego kompani udali się na stanowiska, z których mieli strzelać. Założyli na łuki cięciwy i przygotowali się do walki, wybierając z kołczanów najgładsze i najlepiej opierzone strzały.

Ale po powrocie do swoich namiotów trzej królewscy łucznicy opowiedzieli przyjaciołom, co zaszło, i że ci czterej nieznajomi to sam sławny Robin Hood z trzema ze swojej bandy, dalibóg, Mały John, Szkarłatny Will i Allan z Doliny. Wieść o tym rozniosła się po namiotach, bo każdy łucznik słyszał o tych wielkich zawadiakach, a stamtąd przedostała się na trybuny, i w końcu wszyscy powstawali wyciągając szyje, aby zobaczyć tych sławnych rozbójników.

Ustawiono sześć nowych tarcz, jedną dla każdego zawodnika, po czym Gilbert, Tepus i Hubert wyszli zaraz ze swoich namiotów na stadion. Robin Hood z Gilbertem Białorączką losowali monetą, która strona zaczyna, i los padł na drużynę Gilberta. Gilbert zawołał na Huberta z Suffolku, wysuwając go na początek.

Hubert ustawił się na stanowisku, zapierając się mocno o ziemię, i założył zgrabną, smukłą strzałę. Chuchnął na palce i powoli, uważnie naciągnął cięciwę. Trafił pięknie w biały środek tarczy, złożył się jeszcze raz i znowu trafił w to samo białe kółko, ale trzecia strzała wymknęła mu się i utkwiała w czarnym krążku, wprawdzie tylko o grubość palca od środka tarczy. Rozległy się wiwaty, gdyż był to najlepszy wynik, jakim Hubert popisał się tego dnia.

Robin roześmiał się wesoło i powiedział:

— Będziesz musiał nieźle się napocić, żeby poprawić ten wynik, Will, bo teraz twoja kolej. Trzymaj się, chłopie, i nie zrób wstydu Sherwoodowi.

Szkarłatny Will zajął stanowisko, ale przez nadmierną ostrożność popsuł już pierwszą strzałę, gdyż trafił nawet nie w czarny, tylko w drugi krążek od środka. Robin zagryzł wargi.

— Chłopaku, chłopaku — powiedział — nie trzymaj tak długo cięciwy! Ileż razy ci powtarzałem, co mówi Swanthold: „Kto się stara nie uронić kropelki, ten garnek wylewa”!

Szkarłatny Will wziął to sobie do serca i od razu pięknie trafił w środek tarczy; jeszcze raz strzelił i jeszcze raz popadł w białe kółko; mimo to przegrał z Hubertem, który popisał się lepszym wynikiem. Widzowie zaklaskali w ręce z radości, że krzepki Hubert zwyciężył przybłądę.

Król odezwał się z przekazem do królowej:

— Jeśli twoi łucznicy dalej tak będą strzelać, to łącno przegrasz zakład, miłościwa pani.

Ale królowa Eleonora uśmiechnęła się, gdyż spodziewała się czegoś lepszego po Robin Hoodzie i Małym Johnie.

Z kolei do konkursu stanął Tepus. Ten też za bardzo się przykładał i popełnił ten sam błąd co Szkarłatny Will. Pierwszą strzałę ulokował w białym kółku, ale następna chybiła i palnęła w czarne; na koniec dopisało mu wyjątkowe szczęście, bo trafił w sam środek tarczy oznaczony czarnym punkcikiem.

— Prześliczny strzał, takiego jeszcze dziś nie oglądaliśmy — pochwalił Robin — ale wszystko jedno, przyjacielu Tepusie, przepadłeś, jak mi się zdaje. Mały Johnie, teraz twoja kolej.

Mały John ustawił się na polecenie i szybko posłał trzy strzały. Nie opuszczał nawet łuku, tylko zakładał jedną po drugiej, ale wszystkie trzy trafiły w środek tarczy w przyzwoitej odległości od

czarnego krążka. Choć był to najpiękniejszy pokaz łucznictwa, tym razem nikt nie wiwatował, gdyż londyński tłumek wcale się nie cieszył, że krzepki Tepus uległ jakiemuś tam z prowincji, choćby tak sławnemu jak Mały John.

Na stanowisku stanął mężny Gilbert Białożyczka i z największą uwagą mierzył do celu. I znowu, po raz trzeci tego dnia, umieścił trzy strzały w białym środku tarczy.

— Brawo, Gilbert! — zawołał Robin Hood klepiąc go w plecy. — Przysięgam, że jesteś jednym z najlepszych łuczników, jakich widziałem na oczy. Powinieneś być wolnym strzelcem i wesołym myśliwym, tak jak my, bo puszcza lepiej do ciebie pasuje niż kocie łby na londyńskim bruku — co mówiąc ustawił się na stanowisku i wyciągnął z kołczana smukłą strzałę, którą obracał w palcach, zanim założył cięciwę.

— Mój święty Hubercie — wymamrotał król pod wąsem — jeśli choć trochę podbijesz temu łotrzykowi łokieć, żeby tylko trafił w drugi krążek, dam ci sto sześćdziesiąt woskowych świec grubych na trzy palce dla twojej kaplicy nie opodal Matching.

Ale możliwe, że tego dnia święty Hubert miał w uszach pakuły, bo jakoś nie dosłyszał modlitwy królewskiej.

Dobrawszy sobie do gustu trzy strzały, wesoły Robin pilnie oglądał cięciwę, zanim złożył się z łuku.

— Tak — powiedział do Gilberta, który stał w pobliżu, aby przyjrzeć się jego strzelaniu — powinieneś złożyć nam wizytę w wesołym Sherwoodzie. — Naciągnął cięciwę do ucha. — W Londynie — wypuścił strzałę — nie ma do czego strzelać prócz gawronów i gołębi, a tam możesz pomacać po żebrach najszlachetniejsze w Anglii jelenie. — Tak sobie strzelił w trakcie rozmowy, a jednak grot utkwiał ledwie o pół cala od samego środka tarczy.

— Na Boga! — zawołał Gilbert. — Czy w tobie diabeł siedzi, że udają ci się takie sztuczki!

— No, nie jest chyba ze mną aż tak źle — zaśmiał się Robin. Wziął nową strzałę i założył cięciwę. Strzelił i znowu trafił tuż koło środka. A za trzecim razem ulokował strzałę w samym środku tarczy, prosto pomiędzy dwiema poprzednimi, tak, że ich pióra zmieszały się ze sobą i z daleka przypominały jedną grubą strzałę.

Głęboki pomruk przebiegł przez cały ogromny tłum, gdyż takiego łucznictwa Londyn nigdy nie oglądał i nigdy już nie zobaczy, gdy przeminą dni Robin Hooda. Wszyscy ujrzeni, że królewscy łucznicy zostali uczciwie pokonani i mężny Gilbert z rozmachem klasnął w dłoń Robin Hooda, przyznając, że szkoda marzyć, aby kiedyś dorównał takim strzelcom jak Robin Hood czy Mały John. Ale król, pełen gniewu, nie mógł się z tym pogodzić, chociaż w głębi duszy wiedział, że jego ludzie nie mają co się mierzyć z tamtymi.

— Nie! — krzyknął zaciskając palce na poręczy tronu. — Gilbert nie jest jeszcze pokonany! Czyż nie trafił trzy razy w środek tarczy? Wprawdzie ja przegrałem zakład, ale on nie stracił jeszcze pierwszej nagrody. Będą strzelać dalej i dalej, dopóki nie okaże się, kto lepszy, on czy ten łotr Robin Hood. Sir Hugh, idź i każ im strzelać kolejkę za kolejką, aż jeden albo drugi przegra.

Sir Hugh widząc, że król jest rozsierdzony, nie powiedział ni słowa, tylko poszedł natychmiast spełnić jego polecenie. Stanął przed Robin Hoodem i Gilbertem i zawiadomił ich, czego król się domaga.

— Z całą przyjemnością — powiedział wesoły Robin — będę strzelał do białego ranka, aby tylko dogodzić mojemu miłoścowi władcy i królowej. Stawaj, Gilbert, i strzelaj, chłopie.

Zatem Gilbert jeszcze raz ustawił się przed tarczą, ale mu się nie powiodło, gdyż niespodziewany powiew wiatru zniósł nieco strzałę, która o włos rozminęła się z białym krążkiem.

— Leżysz, Gilbert — zaśmiał się Robin i natychmiast wypuścił strzałę, która ponownie utkwiała w

białym środku tarczy.

Król zerwał się z miejsca i nie powiedział ni słowa, tylko potoczył wkoło złowrogim okiem i niechby na czyjejś twarzy zobaczył uśmiech czy wesołość, ten miałby się z pyszna. A potem wraz z królową i dworem opuścili stadion, ale gniew kipiał mu w sercu.

Po jego odejściu strzelcy królewscy tłumem otoczyli Robina, Małego Johna, Willa i Allana, aby choć zerknąć na tych sławnych chwatów, zresztą wielu widzów też się cisnęło z tym samym zamiarem. Całą czwórkę, z którą rozmawiał Gilbert, otoczył niebawem zwarty krąg gapiów.

— Słowo daję — powiedział Mały John do Szkarłatnego Willa — można by pomyśleć, że ci biedacy nigdy nie widzieli, jak wyglądają prawdziwi myśliwi, albo że stanowimy dla nich niezwykle widowisko, jak Olbrzym z Cumberlandu czy Walijski Karzeł, cośmy go oglądali miesiąc temu na jarmarku w Norwich.

Niebawem wystąpili trzej sędziowie, którzy mieli rozdać nagrody, i najstarszy z nich zwracając się do Robin Hooda powiedział:

— Zgodnie z umową należy ci się słusznie pierwsza nagroda, więc oto daję ci srebrny róg myśliwski, oto kołczan z dziesięcioma złotymi strzałami, oto sakiewka i pięćdziesiąt funtów w złocie — wymieniając te rzeczy, po kolei wręczał je Robinowi, po czym zwrócił się do Małego Johna. — A tobie przypadła w udziale druga nagroda — powiedział — sto najszlachetniejszych jeleni, które hasają po Dallen Lea. Wolno ci je ustrzelić, kiedy zechcesz. — Na koniec zwrócił się do krzepkiego Huberta: — A ty nie uległeś swojemu przeciwnikowi i nie dałeś sobie odebrać zdobytej nagrody, wygrałeś sprawiedliwie dwie beczki wybornego reńskiego wina. Będą ci dostarczone, kiedy zechcesz.

Następnie wywołał pozostałą siódemkę królewskich łuczników, którzy strzelali w ostatniej turze, i wręczył każdemu po osiemdziesiąt srebrnych pensów.

Po rozdaniu nagród zabrał głos Robin.

— Zatrzymuję srebrny róg — powiedział — jako zaszczytną pamiątkę z tych zawodów, ale ty, Gilbercie, jesteś najlepszym ze wszystkich królewskich łuczników i w twoje ręce przekazuję tę sakiewkę ze złotem. Bierz ją, chłopie, powinna być z dziesięć razy większa, bo z ciebie prawy szlachcic, chłop na schwał. A każdemu z was, którzyście strzelali w ostatniej dziesiątce, ofiaruję po jednej z tych złotych strzał. Trzymajcie je zawsze przy sobie, abyście mogli opowiedzieć swoim wnukom, jeśli was nimi Pan Bóg pobłogosławi, że takich łuczników jak wy niewielu było na całym świecie.

Na to wszyscy wydali gromki okrzyk, gdyż przyjemnie im było, że Robin tak się o nich wyraża.

Wtedy odezwał się Mały John.

— Tepusie, zacny przyjacielu — powiedział — nie trzeba mi tych jeleni z Dallen Lea, o których przed chwilą wspomniał ów zażywny sędzia, bo właściwie mamy ich aż nadto u siebie w puszczy. Pięćdziesiąt sztuk oddaję dla twojej własnej przyjemności, a po pięć dla zabawy każdej drużynie.

Wywołało to jeszcze jeden gromki okrzyk, poleciały na wiwat kołpaki i zaklinano się, że Robin Hood i jego towarzysze to dopiero morowi chłopcy.

Kiedy tak wiwatowali, podszedł do Robina wysoki, otyły jegomość ze straży królewskiej i pociągnął go za rękaw.

— Łaskawy panie — rzekł — mam wam coś do powiedzenia na ucho. Głupio mi, Bóg świadkiem, powtarzać coś takiego, ale kręcił się tu taki jeden pajacyk, młody paż, Ryszard Partington, który daremnie szukał cię w tłumie i nie mogąc cię znaleźć powiedział mi, że ma dla ciebie wiadomość od pewnej znanej ci damy. Prosił, abym ci to powtórzył w sekrecie, słowo w słowo, posłuchaj... Chwileczkę, niemożliwe, żebym zapomniał... Już mam, posłuchaj: “Lew ryczy.

Ratuj głowę”.

— Ach tak? — wzdrygnął się Robin, orientując się od razu, że to królowa ostrzega go przed gniewem królewskim. — Dziękuję ci, bracie, bo wyświadczyłeś mi większą przysługę, niż się domyślasz.

Przywołał swoich trzech towarzyszy i powiedział im na osobności, że lepiej zmykać, bo w pobliżu Londynu robi się gorąco. Nie zwlekając ni chwili zaczęli przepychać się przez tłum, aż wydostali się z ciżby. I czym prędzej oddalili się z miasta na północ.

Tak skończyły się sławne zawody łucznicze w obecności królowej Eleonory. A teraz usłyszymy, jak niegodziwie postąpił król Henryk mimo swojej obietnicy, że przez czterdzieści dni Robin Hoodowi włos z głowy nie spadnie.

II. Pościg za Robin Hoodem

Robin Hood i jego towarzysze opuścili więc stadion na Polach Finsbury i nie zwlekając ruszyli w drogę do domu. Całe szczęście, że tak postąpili, bo nie uszli więcej niż trzy czy cztery mile, kiedy sześciu ludzi ze straży królewskiej wypadło na stadion, z którego tłum się jeszcze nie rozszedł, aby ich pochwycić i wtrącić do więzienia. Doprawdy król bardzo brzydko postąpił, łamiąc przyrzeczenie, ale była to przede wszystkim sprawka Biskupa Herefordu.

Oto jak do tego doszło:

Po zawodach król udał się od razu do swojej komnaty, a towarzyszył mu Biskup Herefordu i sir Robert Lee, lecz król nie odzywał się do nich w ogóle, tylko siedział gryząc wargę, gdyż gorycz mu serce zalewała. W końcu Biskup Herefordu przemówił cichym i smętnym głosem:

— Przykro pomyśleć, miłościwy panie, że temu łotrzykowi i przestępcy tak łatwo pozwoli się umknąć. Niech tylko dostanie się do Sherwoodu zdrów i cały, a może sobie gwizdać na króla i królewskie wojsko.

Na te słowa król podniósł oczy i spojrzał ponuro na Biskupa.

— Tak powiadasz? — rzekł. — A ja ci pokażę we właściwym czasie, że grubo się mylisz. Niech tylko upłynie termin, czterdzieści dni, a dostanę tego rozbójnika w swoje ręce, złapię go, choćbym miał cały Sherwood wyrwać z korzeniami. Myślisz, że pierwszy lepszy łotr, bez przyjaciół i pieniędzy, będzie się naigrawał z praw króla Anglii?

Biskup odezwał się łagodnym, aksamitnym głosem:

— Wybacz mi śmiałość, miłościwy panie, i wierz mi, że tylko dobro Anglii i życzenia waszej królewskiej mości mam na względzie. Ale co z tego przyjdzie, choćby mój miłościwy król wytrzebił Sherwood do ostatniego drzewa? Czy Robin Hood nie znajdzie innej kryjówki? Cannock Chase jest niedaleko od Sherwoodu, a z Cannock Chase dwa kroki od wielkiej kniei Ardeny. A ileż to innych lasów w Nottinghamie i Derby, Lincolnie i Yorku; prędzej wasza królewska mość mysz pochwyci w sianie niż Robin Hooda. Nie, miłościwy panie, kiedy Robin raz dostanie się do lasów, to szukaj wiatru w polu. Żadne prawo go nie doścignie.

Król ze złością zabębnił palcami o stół.

— Czego ty ode mnie wymagasz, Biskupie? — powiedział. — Nie słyszałeś, że dałem królowej słowo honoru? Twoje gadanie psu na buty się zdało.

— Gdzieżbym śmiał — powiedział przebiegły Biskup — wskazywać wyjście tak przezornej osobie jak wasza królewska mość. Ale gdybym ja był królem Anglii, spojrzałbym na tę sprawę w taki sposób: dałem swojej królowej przyrzeczenie, powiedzmy, że przez czterdzieści dni

najsprytniejszy łotr w całej Anglii będzie sobie zażywał swobody. Tymczasem — masz ci los — ten rozbójnik wpada mi w ręce. Czy będę się wtedy głupio trzymał tak nieopatrnie danego przyrzeczenia? Przypuśćmy, że obiecuję królowej spełnić jej prośbę, a ona na to prosi mnie, żebym się zabił, czy mam zaraz zamknąć oczy i rzucić się ślepo na swój miecz? Tak bym to sobie tłumaczył. Co więcej, powiedziałbym sobie tak: kobieta nie zna się wcale na wielkich zagadnieniach państwowych, wiem również, że kobieta ma zawsze skłonność do kaprysów, zerwie stokrotnie przy drodze i ledwie kwiatek straci zapach, zaraz ją wyrzuci. Więc choć ten rozbójnik przypadł jej do gustu, kaprys minie i prędko o nim zapomni. Tymczasem ja trzymam w garści największego złoczyńcę w całej Anglii, czy mam otworzyć rękę i pozwolić mu wymknąć się między palcami? Tak bym sobie powiedział, miłościwy panie, gdybym ja był królem Anglii.

W ten sposób mówił Biskup, aż król uległ jego podłym podszeptom. Zwrócił się do sir Roberta Lee i kazał mu wysłać sześciu ludzi ze straży, aby wsadzili do więzienia Robin Hooda i jego trzech kamratów.

Sir Robert Lee był prawym i szlachetnym rycerzem, serce go zabolowało, że król łamie obietnicę, jednakże zamilczał, zdając sobie sprawę, do jakiego stopnia król uwziął się na Robin Hooda. Natomiast nie wysłał strażników od razu, tylko najpierw udał się do królowej, opowiedział jej wszystko, co zaszło, i prosił, aby dała znać Robinowi o grożącym niebezpieczeństwie. Nie uczynił tego dla dobra Robin Hooda, tylko aby za wszelką cenę ratować honor swojego króla. Dlatego właśnie nie doszło do schwytania Robin Hooda, i strażnicy, którzy niebawem zjawili się na stadionie, musieli wrócić z pustymi rękami.

* * *

Mijało już popołudnie, kiedy Robin Hood, Mały John, Will i Allan wyruszyli w drogę powrotną, maszerując wesoło w ukośnych, złocistych promieniach, które z każdą chwilą nasycaly się czerwienią, gdy słońce coraz niżej chyliło się na niebie. Wydłużające się cienie stopiły się wreszcie z szarością łagodnego zmierzchu. Zakurzony gościniec bielił się wśród ciemnych żywopłotów, a czterej ludzie podążali nim jak zjawy, wyraźnie rozchodziło się plaskanie ich stóp, a głosy ich czysto dźwięczały w ciszy. Wielki krąg księżyca wypłynął na niebo, kiedy ujrzeli przed sobą migające światełka miasteczka Barnet, które leżało o jakieś dziesięć czy dwanaście mil od Londynu. Szli brukowanymi uliczkami, mijając przytulne domki o spadzistych dachach, w łagodnym świetle księżyca siedzieli na progach mieszczanie i rzemieślnicy wśród swoich bliskich. Na końcu osiedla pojawiła się mała oberża tonąca w różach i powojach. Robin Hood przystanął, gdyż ten miły zakątek przypadł mu do gustu.

— Zatrzymamy się tu na nocleg — powiedział — umknęliśmy już dość daleko przed gniewem królewskim, do Londynu stąd ładny kawałek. Zresztą da się tu przekąsić coś smacznego, jeśli się nie, myślę. Co wy na to, chłopcy?

— Ja na to jak na lato — powiedział Mały John. — Właźmy, szkoda czasu.

— Ja się nie sprzeciwiam, wuju — odezwał się Szkarłatny Will — ale wolałbym, żebyśmy przed noclegiem odsądzili się jeszcze dalej. Skoro sądzisz, że najlepiej tu zanocować, no to zgoda, chodźmy.

Weszli więc do gospody i kazali się uraczyć, czym tylko chata bogata. Przygotowano im zaraz niezły posiłek i dwie pękate butelki starego, słodkiego wina do przepłukania gardła. Do stołu podawała tak pulchna i hoża dziewczoja, że Mały John, który był zawsze łasy na dziewczęta, choćby miał pod nosem pieczyście i wino, podparł się pod boki i nie spuszczał z niej oczu, mrugając czule, kiedy tylko na niego spojrzała. Jakże zaczęła się przed nim wdzięczyć, śmiać się szczebiotliwie, zerkać zalotnie, pokazując śliczne dołeczki w buzi; ten już miał zawsze szczęście do kobiet.

— Wolnego, Mały Johnie, wolnego — powiedział Robin — daj spokój dziewczynie, a bierz się za wiktuały, bo jeszcze umrzesz z głodu. Zalecanki cacanki najlepsze po jedzeniu, mądre powiedzonko, warto go posłuchać.

— Mądre, tylko nie dla mnie — odparł śmiało Mały John. — Kto się będzie oglądał za jedzeniem i piciem przy takiej ślicznej dziewczynie, zamiast podziwiać jej wdzięki i chwalić niebiosą, że ją nimi obdarzyły? Chodź tu, kacuszko moja urocza, i nalej mi wina, żebym mógł wypić twoje zdrowie, i niechaj ci święty Withold ześle, co Bóg da, lorda czy rycerza za rrięża. Słowo daję, choćby mi inna muskat nalewała, wolałbym zwykłą wodę, byle z twojego dzbanka!

Kompani gruchnęli śmiechem, a zapłoniona dziewczyna spuściła oczy myśląc, że tak sympatycznego chłopca jeszcze nie widziała.

Wesoło mijają im uczta, a ludzi z takim apetytem, jaki we czwórkę okazywali, oberża jeszcze nie gościła. Skończyli wreszcie zajadać, choć zdawało się, że nigdy się nie nasyca, i z lubością kontentowali się winem. Błogą sjęstę niespodzianie przerwał im gospodarz, który zjawił się zawiadamiając, że ktoś czeka na dworze, jakiś młody szlachcic, Ryszard Partington, dworzani królowej, który chce się natychmiast porozumieć z tym, co nosi błękitny strój. Robin wstał szybko, przeprosił gospodarza, żeby nie szedł za nim, i zniknął za drzwiami, zostawiając towarzyszy, którzy spojierali po sobie zaciekawieni, co się święci.

Wyszedłszy przed oberżę Robin ujrzał młodego Ryszarda Partingtona na koniu. Czekał na niego w białym świetle księżyca.

— Jakie wieści waszmość przynosisz? — zagadnął Robin. — Ufam, że nie święci się nic złego.

— W rzeczy samej — odparł młody Partington — jest gorzej niż źle. Ten wredny Biskup Herefordu paskudnie podbechtął króla przeciwko tobie. Mieli cię aresztować już na stadionie, ale spóźnili się, więc król postawił wszystkie swoje zastępy na nogi, więcej niż tysiąc zbrojnych, i wysyła ich w pogoń właśnie tym gościńcem do Sherwoodu, mają przychwycić cię po drodze albo nie dopuścić, żebyś znów przedostał się do lasów. Dowództwo nad wszystkimi ludźmi powierzył Biskupowi, a ty już wiesz, czego się możesz po nim spodziewać — krótkiego rozgrzeszenia i długiego stryczka. Dwa oddziały konnych gnają już niedaleko, więc lepiej zmykaj natychmiast, bo jeśli będziesz mitrężył, to prześpisz tę noc w zimnym lochu. O tym właśnie kazała mi cię zawiadomić królowa.

— Ryszardzie Partingtonie — rzekł Robin — to już drugi raz ratujesz mi życie, niechże tylko nadarzy mi się sposobność, a przekonasz się, że Robin Hood o takich rzeczach nigdy nie zapomina. A co do tego Biskupa, gdy go tylko jeszcze raz przyłapię w pobliżu Sherwoodu, to marny jego los. Możesz powiedzieć naszej dobrej królowej, że zaraz się stąd ulatniam, a oberżystę zbujam, że udajemy się do Saint Albans. Tymczasem, jak tylko wydostaniemy się na gościniec, ja pójdę na przelaj w jedną stronę, a moi ludzie w drugą, tak że jeśli ktoś wpadnie w ręce królewskie, inni mogą szczęśliwie uciec. Pójdziemy krętymi drogami, więc mam nadzieję, że bezpiecznie dostaniemy się do Sherwoodu. No, to żegnaj mi, paziu.

— Żegnaj mi, mężny wodzu — powiedział młody Partington — < obyś dotarł szczęśliwie do swojej kryjówki.

Uścisnęli sobie ręce i paż pomknął z powrotem do Londynu, a Robin wszedł do oberży. Spozrzegł, że towarzysze oczekują go w milczeniu, a gospodarz kręci się w pobliżu, ciekawy widać, jaki interes mógł mieć do niego paż.

— Wynosimy się, chłopcy! — zawołał Robin. — Nie ma co tu siedzieć, bo zaraz spadną nam na kark tacy, co by się paskudnie z nami obeszli, gdybyśmy dostali się im w ręce. Ruszamy więc dalej w drogę, na noc zatrzymamy się nie prędzej aż w Saint Albans.

Wyjął sakiewkę, zapłacił gospodarzowi rachunek i zaraz opuścił oberżę. Kiedy znaleźli się na gościńcu za granicami miasteczka, Róbin przystanął i powiadomił ich, z czym przyjechał młody Partington, dodając, że poś&g może się pojawić lada chwila. Potem powiedział im, że tutaj powinni się rozdzielić; niechaj oni trzej zmierzą na wschód, a on pójdzie na zachód, niech z daleka omijają trakty i gościńce, tylko krętymi ścieżkami można będzie dostać się do Sherwoodu.

— Więc bądźcie przebiegli — powiedział Robin Hood — i strzeżcie się traktów prowadzących ku północy, aż zrobicie szmat drogi na wschód. Niech was prowadzi Szkarłatny Will, bo jest kuty na cztery nogi.

Na pożegnanie pocałował się z nimi w policzki i tak się rozstali.

Niedługo potem z dwudziestu jeźdźców królewskich przy galopowało pod gospodę w miasteczku Barnet. Zeskoczyli z koni i szybko otoczyli oberżę, a dowódca z czterema ludźmi wszedł do środka, gdzie niedawno bawił Robin ze swymi towarzyszami. Okazało się, że ptaszki znowu im czmychnęły, a król po raz drugi został wywiedziony w pole.

— A domyślałem się, że to łobuzy — powiedział gospodarz, gdy usłyszał, kogo zbrojni szukają. — Ale ten ich herszt w błękitnym stroju mówił, że udadzą się prosto do Saint Albans. Więc jeśli się pospieszycie, może uda wam się przychwycić ich jeszcze na gościńcu.

Dowódca jak najserdeczniej podziękował gospodarzowi za tę wiadomość, skrzyknął swoich ludzi, wskoczyli na siodła i pogalopowali do Saint Albans, co koń wyskoczy.

Po skręceniu z gościńca w pobliżu Barnet, Mały John, Szkarłatny Will i Allan z Doliny szli bez ustanku na wschód, dopóki tylko ich nogi niosły, aż dotarli do Chelmsfordu w hrabstwie Essex. Tam skręcili na północ, przemierzili Cambridge i hrabstwo Lincoln, dopóki nie osiągnęli zacnego miasta Gainsborough. Dopiero stamtąd zawrócili łukiem na zachód i południe, docierając wreszcie do północnych granic sherwoodzkich borów; przez cały ten czas nie natknęli się na ani jedną drużynę królewską. Wędrowali tak osiem dni, zanim bezpiecznie dotarli do kniei; kiedy jednak znaleźli się w obozie na polanie, okazało się, że Robin jeszcze nie wrócił.

Robinowi bowiem nie dopisało takie szczęście jak jego towarzyszom, o czym właśnie usłyszycie.

Porzuciwszy wielki północny gościniec Robin kierował się uparcie na zachód aż do ślicznego Woodstocku w hrabstwie Oxford. Stamtąd poszedł na północ i zrobił kawał drogi do samego Dudley w hrabstwie Stafford. Zajęło mu to siedem dni, zanim tam zawędrował, i pomyślał sobie, że dość już iść na północ. Skręcił więc na wschód i omijając uczęszczane gościńce przemykał się ścieżkami w kierunku na Litchfield i Ashby de la Zouch, które leżały na drodze do Sherwoodu, aż dotarł do miejscowości zwanej Stanton. Teraz dopiero serce w nim się głośno śmiało, bo myślał, że niebezpieczeństwo zostawił za sobą i niebawem znów wciągnie w nozdrza żywiczny zapach puszczy. Ale nie trzeba mówić hop, zanim się nie przeskoczy, o czym Robin miał się właśnie przekonać. Gdyż tak oto było...

Kiedy królewscy ludzie dopadli Saint Albans i przekonali się, że wywiedziono ich w pole, a Robin ze swoimi kamratami zniknął, jakby się zapadł pod ziemię — wówczas stracili głowę i nie wiedzieli, co robić. Niebawem przygalopował nowy oddział, a zaraz po nim drugi, aż oświetlone księżycem uliczki zaroily się od zbrojnych. Między północą a świtem przybył do miasteczka jeszcze jeden zastęp z Biskupem Herefordu na czele. Kiedy Biskup usłyszał, że Robin Hood znowu wymknął się z pułapki, nie zwlekał ni chwili, tylko skrzyknawszy swoje wojsko pospieszył na północ, zostawiając rozkazy dla wszystkich oddziałów, które przybędą do Saint Albans, aby bezzwłocznie nadażały za nim. Czwartego dnia wieczorem dotarł do Nottinghamu i natychmiast podzielił swoje wojsko na drużyny po sześciu czy siedmiu ludzi, rozesał je po całej okolicy, obstawiając wszystkie

drogi i dróżki do Sherwoodu na wschód, zachód i południe. Szeryf Nottinghamu także wezwał pod broń swoich ludzi i przyłączył się do Biskupa w przeświadczeniu, że nadarza mu się najlepsza szansa odplacenia Robin Hoodowi z nawiązką. Szkarłatny Will, Mały John i Allan z Doliny w ostatniej chwili ominęli obławę od wschodu, gdyż już następnego dnia drogi, którymi przedostali się do Sherwoodu, zostały obstawione przez wojsko i gdyby choć trochę marudzili, niechybnie wpadliby w ręce Biskupa.

Ale Robin nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia; więc opuściwszy Stanton kroczył sobie pogwizdując wesoło, beztroski jak szczygieł. Aż przeciął mu drogę rozlewający się płytko strumyk, który szemrał i migotał płynąc wartko po złocistym żwirze. Robin był spragniony, więc przykleknął nad strumieniem, złożył dłonie w kubeczek i zaczął pić. Po obu stronach drogi ciągnęły się gęste zarośla, rosły tu krzaki i młode drzewa, śpiew ptasząt cieszył Robina, przywodząc mu na myśl Sherwood, i zdawało mu się, że całe życie minęło, odkąd ostatni raz poczuł zapach lasu. Ale raptem — kiedy tak pił pochylony — coś świsnęło mu koło ucha i z pluskiem rozcięło wodę, wbijając się w żwir. W mgnieniu oka Robin zerwał się na nogi, jednym susem przesadził strumień i nurknął w zarośla, nie oglądając się nawet, gdyż wiedział doskonale, że to szara strzała tak zjadliwie świsnęła mu koło ucha i że najmniejsza chwila zwłoki oznacza śmierć. Już w czasie skoku w zarośla zagrzechotało wśród gałęzi sześć goniących go strzał, a jedna przebiła mu kaftan i przeszła bok, gdyby nie mocna kolczuga, którą miał pod spodem. W szalonym galopie dopadli strumienia królewscy żołnierze. Zeskoczyli z koni i natychmiast rzucili się w zarośla w ślad za Robinem. Ale Robin lepiej od nich znał teren, tu się przeczołgał, tam pochylił, ówdzie przeskoczył pędem jedną czy drugą polankę i wprędce odsadził się od nich daleko, wychodząc wreszcie na nową drogę o jakieś osiemdziesiąt kroków od tamtej, z której uciekł. Zatrzymał się chwilę, nasłuchując odległych okrzyków siedmiu żołnierzy, którzy buszowali po zaroślach jak sfora psów, gdy zgubią trop zwierzyny. Mocniej ściągnął pas i pobiegł chyżo drogą, która prowadziła na wschód do Sherwoodu.

Ale nie zrobił nawet ćwierć wiorsty, kiedy ze szczytu pagórka ujrzał pod sobą w dolinie nową drużynę królewskich żołnierzy, która rozsiadła się w cieniu przy drodze. Nie zwlekał ni chwili, tylko — widząc, że go nie dostrzegli — zawrócił i pognął z powrotem tą samą drogą. Wolał zaryzykować i umknąć tym, którzy jeszcze grzebali się w zaroślach, niż pchać się prosto w ręce tych w dolinie.

Sadził co sił w nogach i zdążył szczęśliwie minąć zarośla, zanim tamtych siedmiu wypadło na drogę. Gdy go dostrzegli, podnieśli wielki okrzyk jak myśliwi na widok wypłoszonego jelenia, ale Robin był już wtedy od nich dalej niż ćwierć mili i połykał przestrzeń jak chart. Ani na chwilę nie zwalniał tempa, gnał mila za milą, aż dopadł w pobliżu Mackworthu za rzeką Derwent, nie opodal miasta Derby. Widząc, że umknął przed bezpośrednim niebezpieczeństwem, tu dopiero zwolnił bieg i wreszcie usiadł w wysokiej trawie pod żywopłotem, gdzie znalazł chłodny cień, aby złapać oddech i odpocząć. “Jak Boga kocham, Robinie — powiedział sobie — jeszcze nigdy nie byłeś o tak cieniutki włos od śmierci. Trzeba powiedzieć serio, że ta podstępna strzała musnęła cię piórem po uchu. A teraz masz piekielny apetyt po tym biegu, chciałoby się coś wypić i zjeść. Pomódlmy się do świętego Dunstana, niech mi ześle czym prędzej trochę mięsa i piwa”.

Wydawało się, że święty Dunstan chętnie wysłuchał jego próśb, gdyż oto pojawił się na drodze pewien szewc, niejaki Quince z Derby, który wracał do domu z pieczonym kapłonem w sakwie i flachą piwa, obdarowany przez farmera, któremu przypadły do gustu nowe buty. Zaczny Quince był uczciwym człowiekiem, ale miał bardzo ciężki pomyślunek i nic innego nie chodziło mu po głowie tylko: “Trzy szylingi, sześć i pół pensa za twoje buciki, Quince... Trzy szylingi, sześć i pół pensa za twoje buciki...” — i tak mu się to tłukło po łepetynie jak ziarnko grochu po pustej kwarcie.

— Witaj, przyjacielu — zawołał Robin spod żywopłotu, kiedy tamten się przybliżał — dokąd

tak wesoło spieszysz w śliczny dzionek?

Słyszając, że ktoś go woła, szewc przystanął, a zobaczywszy, że nieznajomy jest dostatnio ubrany, odpowiedział z szacunkiem:

— Pozdrawiam was, łaskawy panie. Idę z Kirk Langly, sprzedałem tam buty, żeby pan wiedział, i dostałem za nie trzy szylingi, sześć i pół pensa, śliczniejsze pieniążki trudno zobaczyć, a i zarobione uczciwie, żeby pan wiedział. Ale jeśli wolno zapytać, mój strojny bracie, co ty tam robisz pod tym żywopłotem?

— A widzisz — powiedział swawolny Robin — siedzę tu i czatuję na złote ptaszki, żeby im soli posypać na ogon. Ale, dalibóg, nie trafił mi się jeszcze żaden ptaszek coś wart prócz ciebie.

Szewc ze zdumienia wybałuszył oczy i gębę rozdziawił jak wrota.

— Masz ci los — zawołał — coś takiego! Jeszcze nigdy nie widziałem tych złotych ptaszków. Naprawdę łowisz je po żywopłotach, kumie? Powiedz mi łaskawie, a dużo ich jest? Rad bym sam któregoś złapać.

— A pewno, że dużo — odparł Robin — tak pełno ich tutaj jak śledzi w morzu.

— Coś takiego! — zawołał szewc pogrążony w szczerym zdumieniu. — I naprawdę, żeby je schwytać, sypiesz im sól na ogon?

— Tak — odparł Robin — ale to taka niezwykła sól, żebyś wiedział. Aby ją mieć, trzeba najpierw wygotować kwartę promieni księżyca na drewnianym półmisku, a i wtedy ledwie szczyptę dostaniesz. Ale powiedz mi, moja bystra główko, co tam masz w tej sakwie i w gąsiorku?

Szewc przyglądał się im chwilę i dopiero, jak mu złote ptaszki z głowy wywietrzały, przypomniał sobie o sakwie i o gąsiorku.

— A, co w nich mam? — obudził się wreszcie. — W jednym wyborne piwo marcowe, a w drugim tłustego kapłona. Słowo daję, Quince, mój szewczyku, czeka cię dziś uczta nie lada.

— A nie miałbyś ochoty odsprzedać mi tego? — zagadnął Robin. — Ślinka mi cieknie. Dam ci ten wesoły strój błękitny, który mam na sobie, i dziesięć szylingów na dodatek za twoje ubranie, skórzany fartuch, piwo i kapłona. Co ty na to, mój zuchu?

— E, żartujesz sobie — powiedział szewc — masz śliczne ubranie z pięknego materiału i chcesz je zmienić na takie połatanie łachy?

— Żarty mi nie w głowie — powiedział Robin. — No już, zdejmuj kaftan, a zaraz się przekonasz, bo mówię ci, że całkiem mi się podoba twoje odzienie. I zobaczysz jeszcze, że grzecznie cię potraktuję, bo zaraz wezmę się do tych przysmaków, które masz przy sobie, a i ciebie do kompanii zaproszę.

Z tymi słowy Robin począł ściągać przez głowę swój kaftan, a szewc widząc, że tamten traktuje rzecz serio, też zaczął pozbywać się swojego ubrania, gdyż strój Robina bardzo mu wpadł w oko. Zamienili się więc odzieniem i Robin wręczył uczciwemu rzemieślnikowi dziesięć nowiutkich, błyszczących szylingów.

— Niejednym w życiu bywałem, ale pierwszy raz zostaję przyzwoitym szewcem — powiedział wesoły Robin. — No, przyjacielu, bierzmy się do jedzenia, bo mam szaloną chrapkę na tłusty kąsek tego wyśmienitego kapłona.

Zasiedli więc i zaczęli zajadać z takim apetytem, że niebawem z kapłona została tylko garstka do cna ogryzionych kości. Robin z błogą satysfakcją wyciągnął się na trawie.

— Coś mi się zdaje, Quince — powiedział — że skacze ci po głowie jedna czy druga piosenka jak żrebak po łące. Proszę cię, zaśpiewaj mi coś.

— Kiepsciutkie, kiepsciutkie te moje piosenki — rzekł szewc — ale jakie by -nie były, zaśpiewam ci z chęcią. — Zwilżył gardło łykiem piwa i zaczął śpiewać tak:

Ze wszystkich uciech, które cenię,
Hej, śpiewaj, moja panno!
Jedną mą duszę wprawia w drzenie —
To ten dzwoniący dzban — o!
Inne uciechy precz odrzucam,
Hej, śpiewaj, moja panno!
Prócz tej, co...

Krzepki szewc nie dokończył, gdyż zniemacka osaczyło ich sześciu jeźdźców, dopadli zanego rzemieślnika i tak brutalnie porwali go za oszewkę, że omal nie zwlekli z niego odzienia.

— Ha! — ryknął dowódca wielkim z radości głosem. — Przyłapaliśmy cię wreszcie, ty łotrze w błękitnym kaftanie, co? Chwała świętemu Hubertowi! Zarobiliśmy osiemdziesiąt funtów, bo tyle obiecał Biskup Herefordu tej drużynie, która przyprowadzi cię przed jego oblicze. Ech ty, przebiegły szelmo! Będiesz nam tu niewiniątko udawał! Znamy cię, stary lisie. Ale jazda z nami, zaraz ci kitę obetną.

Biedny szewc rozglądał się okrągłymi oczami, patrząc na nich jak cielę na malowane wrota, i usta rozdziawił, jakby zapomniał języka w gębie. Robin też gapił się ze zdumienia, tak jakby szewc postąpił na jego miejscu.

— A niech mnie licho weźmie! — zawołał Robin. — Gdzież to ja jestem, tu czy na ziemi bezpieczeństwa? Co znaczy ten cały harmider, szlachetni i mili panowie? Przecież to przyjemny i uczciwy jegomość.

— Uczciwy jegomość, ty błaznie? — parsknął jeden z żołnierzy. — Ten łotr? Toż to sam Robin Hood, mówię ci.

Na te słowa szewc do reszty zbaraniał, bo miał już taką sieczkę w biednej łepetynie, że wszystko mu się pomieszało i rozsądek zaćmił mu się na dobre. W dodatku, kiedy patrzył na Robin Hooda i widział, jak bardzo tamten mu jego samego przypomina, począł wątpić i myśleć, że może rzeczywiście sam jest wielkim rozbójnikiem. Zaczął więc bąkać, dziwując się:

— To na serio ja jestem kimś takim?... Do tej pory myślałem... Ależ nie, Quince, ty się mylisz... A wszakże... Jestem czy nie jestem?... Nie, doprawdy muszę być Robin Hoodem! Ale słowo daję, nigdy nie myślałem, że z uczciwego rzemieślnika zmienię się w tak wielką postać.

— Biada! — zawołał Robin Hood. — Widzicie, coście narobili! To przez waszą brutalność temu biedaczkowi w głowie się poplątało. Przecież to ja jestem Quince, szewc z miasta Derby.

— Doprawdy? — powiedział Quince. — W takim razie rzeczywiście nie mogę być nikim innym tylko Robin Hoodem. Bierzcie mnie, wy. Ale niech wam powiem, że przydybaliście na j męźniejszego człowieka puszczy.

— Będiesz nam tu strugał wariata? — odezwał się dowódca. — Hej, Giles, bierz powróż i zwiąż z tyłu ręce temu łotrzykowi. Gwarantuję, że nauczymy go rozumu, kiedy tylko sprowadzimy go przed naszego zanego Biskupa w mieście Tutbury.

Związali szewczykowi ręce na plecach i powiedli na postronku, tak jak gospodarz wiedzie cielaka z targu. Robin stał patrząc za nimi, a kiedy znikli mu z oczu, śmiał się, aż mu łzy ciekły po policzkach; wiedział bowiem, że poczciwemu chłopakowi nic się nie stanie, i wyobrażał sobie minę Biskupa, kiedy przyprowadzą mu zanego Quince'a jako Robin Hooda. A potem znowu ruszył na wschód i podążył szparko w kierunku hrabstwa Nottingham i sherwoodzkich borów.

Ale Robin Hood przeliczył się ze swoimi siłami. Miał za sobą długą i uciążliwą drogę z

Londynu, w ciągu siedmiu dni przewędrował sto czterdzieści mil z okładem. Zamierzał iść bez ustanku, dopóki nie dotrze do Sherwoodu, ale zanim zrobił dziesięć mil, poczuł, że siły w nim kruszeją jak podmyty prądem brzeg. Usiadł, by wypocząć, ale zdawał sobie sprawę, że daleko dziś nie ujdzie, bo nogi ciążyły mu ołowiem. Znowu się podniósł i powłókł dalej, lecz po paru wiorstach chętnie się poddał na widok karczmy, którą właśnie napotkał na drodze. Wszedł do środka i wołając na karczmarza zażądał noclegu, choć słońce zaledwie się skłaniało nad horyzontem. W oberży były tylko trzy gościnne pokoje i do najobskurniej szego z nich karczmarz zaprowadził Robin Hooda, ale Robin mało dbał o wygląd pomieszczenia, bo tej nocy mógłby się nawet przespać na posłaniu z tłuczonego kamienia. Nie bawiąc się w ceregiele, rozebrał się, wyciągnął na łóżku i ledwie poczuł pod głową poduszkę, już spał.

Zaledwie Robin udał się na spoczynek, wielka i czarna chmura wyłoniła się zza wzgórz na zachodzie. Połykała niebo rosnąc i rosnąc jak góra mroku. W jej kłębach raz po raz jawiły się posępne krwawe błyski i wnet rozległ się krótki, złowrogi pomruk zbliżającego się grzmotu. Wtedy dopadli karczmy czterej mieszczanie z Nottinghamu, gdyż był to jedyny zajazd na przestrzeni pięciu mil, a wcale nie mieli ochoty, aby przychwyciła ich grożąca nawałnica. Zostawiając kucyki stajennemu, weszli do najlepszego pomieszczenia w karczmie, gdzie podłoga była wyścielona świeżym, tatarakiem, i kazali sobie podać same frykasy. Podjadłszy solidnie, poprosili karczmarza, aby im wskazał na noc pokoje, gdyż byli znużeni uciążliwą drogą z Dronfield. Udając się na nocleg gderali, że każe im spać po dwóch w jednym łóżku, ale wprędce wszystkie ich rozterki ukoił cichy sen.

Ale oto nadleciał pierwszy wściekły poryw wichru, załomotały drzwi i okiennice, gnał kłęby kurzu i liści, pachniał zbliżającą się ulewą. Jak gdyby wichur przyniósł ze sobą gościa, gdyż drzwi otworzyły się raptownie i wpadł do karczmy mnich z Opactwa w Emmet. Był to jakiś klasztorny dostojnik, o czym świadczył wytworny i wymuskany habit oraz zdobny i bogaty różaniec. Przywołał karczmarza i kazał mu najpierw dobrze nakarmić i ulokować w stajni swego muła, a potem podać na stół najlepsze w gospodzie specjały. Niebawem znalazła się przed nim pachnąca micha flaków z tłusciutkimi pulpetami i nieliczy gąsiorek małmazji, święty mąż zabrał się do tego dzielnie i z takim zapałem, że wkrótce na dnie miski zostało tylko troszeczkę tłuszczu, tyle że nawet biedna mysz by się nie pokrzepiła i padła z głodu.

Tymczasem rozpętała się burza. Znow nadleciała wichura, a z nią ciężkie krople deszczu, które niebawem zamieniły się w siekącą ulewę, bębniąc w okna tysiącami palców. Rozszalały się świetliste błyskawice i suchy trzask piorunów oddalający się z łoskotem i dudnieniem, jak gdyby święty Swithin przetaczał wielkie kadzie z wodą po wyboistym niebie. Dziewczęta piszczały, a rozochoceni kompani w szynku przygarniali je do siebie, aby je ukoić czule.

Wreszcie świątobliwy zakonnik kazał karczmarzowi prowadzić się na nocleg. Kiedy usłyszał, że ma spać z szewcem, mało nie zzieleniał z oburzenia, ale nie było wyboru i musiał nocować tam albo nigdzie. Wziął więc świecę i poszedł burcząc, jak odległy już grzmot. Gdy znalazł się w pokoju, podniósł świecę nad Robinem i obejrzał go od stóp do głów, wtedy humor mu się nieco poprawił, gdyż zamiast ordynarnego, brudnego i brodatego gościa ujrzał świeżego i czystego chłopaka jak marzenie. Rozebrał się więc i wpakował do łóżka, gdzie Robin, burcząc i pomrukując przez sen, zrobił mu miejsce. Robin rzeczywiście musiał spać jak suseł, gdyż inaczej nie spoczywałby tak spokojnie z kimś takim jak ów mnich. A i zakonnik, gdyby wiedział, kto to taki, wołałby prędzej spać ze żmiją niż z podobnym towarzyszem.

Noc minęła im dość wygodnie, ale o pierwszym brzasku Robin otworzył oczy i obrócił głowę na poduszce. Jakże się zdumiał i wybałuszył gały, gdyż tuż przy nim leżał jakiś wystrzyżony i

wygolony gość, niechybnie duchowny. Robin uszczyptał się mocno, ale przekonał się, że nie śni, i usiadł na łóżku, tamten w najlepsze drzemał sobie błogo jak na bezpiecznym łonie rodzinnego opactwa. “Zastanawiam się — powiedział sobie Robin — skąd się toto wzięło w nocy w moim łóżku”. Wstał po cichutku, żeby nie obudzić tamtego, i rozglądając się po pokoju przywahał na ławie pod ścianą złożone szaty mnicha. Przyjrzał się im z ukosa, a potem popatrzył na śpiącego i zmrużył oko. “Zacny bracie Jak-cię-tam-zwać — powiedział — ponieważ tak bezceremonialnie skorzystałeś z mego łoża, to ja w zamian skorzystam z twego stroju”. I nie zwlekając wdział habit, ale zostawił łaskawie szewskie łachy na jego miejscu. Wszedł sobie na świeżutki poranek, a stajenny, który już się krzątał w obejściu, wytrzeszczył na niego oczy jak na raroga, bo któż to widział, żeby jaki mnich z Emmet wstawał o świcie. Jednakże stajenny nie nadmienił nic na ten temat, tylko zapytał Robina, czy ma mu wyprowadzić jego muła ze stajni.

— Tak, mój synu — odparł Robin, choć nie miał pojęcia o mule — i dawaj go szybko, bo już się spóźniłem i muszę drałować czym prędzej.

Stajenny zaraz wyprowadził muła, którego Robin dosiadł i odjechał w wyśmienitym humorze.

A mnich, kiedy się obudził, zobaczył, że wpadł jak śliwka w kompot. Zniknęły jego wytworne szaty, zniknęła sakiewka, a z nią dziesięć złotych funtów, i nic nie zostało prócz połatanych łachów i skórzanego fartucha. Pieklił się i klął, całkiem nie jak duchowny, ale że przekleństwa na nic się nie zdały i karczmarz nie mógł mu pomóc, a w dodatku mnich musiał się koniecznie dostać z samego rana w pilnej sprawie do Opactwa w Emmet, rad nierad musiał albo ubrać się w łachy po szewcu, albo wędrować na golasa. Odział się więc i nadal piekąc się i przysięgając zemstę wszystkim szewcom w całym hrabstwie Derby, ruszył w drogę piechotą, ale parszywy los wcale się od niego nie odczepił, gdyż nie uszedł daleko, kiedy wpadł w ręce królewskich żołnierzy, którzy powlekli go do Tutbury przed oblicze Biskupa Herefordu. Na próżno zaklinał się, że jest duchownym, i pokazywał ogoloną głowę; nic nie pomogło, żołnierze nawet słuchać nie chcieli, bo uparli się, że musi być Robin Hoodem.

Tymczasem Robin jechał sobie zadowolony, mijając po drodze jedną i drugą drużynę królewskich żołnierzy, aż serce mu zaczęło skakać z radości, że Sherwood już jest niedaleko. Poganiał muła ciągle na wschód, aż na ciernistej dróżce natknął się niespodziewanie na szlachetnego rycerza. Robin raptownie ściągnął wodze i zeskoczył z muła na ziemię.

— Chwalić Boga, że cię spotykam, sir Ryszardzie z Lea — zawołał — bo właśnie twą szlachetną twarz chciałbym dziś ujrzeć nade wszystko!

Opowiedział, co mu się przydarzyło, i że nareszcie czuje się bezpieczny, będąc znów tak blisko Sherwoodu. Sir Ryszard wysłuchał i ze smutkiem potrząsnął głową.

— Jesteś w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż dotychczas, Robinie — powiedział — znajduje się przed tobą cały kordon żołnierzy Szeryfa, obstawili wszystkie drogi i nikogo nie przepuszczają bez szczegółowego badania. Sam się o tym przekonałem mijając ich tylko co. Dostałeś się pomiędzy dwa kordony, przed sobą masz żołnierzy Szeryfa, a za sobą żołnierzy królewskich i szkoda marzyć, żebyś mógł się przedostać w jedną czy drugą stronę, gdyż do tej pory dowiedzą się już o twoim przebraniu i będą tylko czatować, abyś wpadł im w ręce. Mój zamek jest do twojej dyspozycji, ale żadna z tego pociecha, gdyż nie da się go utrzymać przeciwko takim siłom, jakie zgromadzili teraz w Nottinghamie Szeryf z Biskupem.

Powiedziawszy to sir Ryszard zamyślił się z pochylonym czołem, a Robin poczuł się jak zaszczuty lis, który słysząc, że psy go zaraz dopadną, spostrzega zatkaną ziemią norę i nie ma gdzie się skryć. Ale oto sir Ryszard odezwał się ponownie.:

— Jedną rzecz możesz zrobić, Robinie, i tylko tę jedną. Wracaj do Londynu i zdaj się na łaskę

naszej dobrej królowej Eleonory. Ruszaj ze mną zaraz do mojego zamku. Zdejmij to ubranie i przyodziej się w strój mojej służby. A ja wybiorę się do Londynu ze swoim orszakiem, w którym ty się ukryjesz, i w ten sposób dam ci możliwość zobaczenia się z królową. Jedyna dla ciebie nadzieja to dostać się ‘do Sherwoodu, bo tam nikt cię nie dosięgnie, a inaczej nie dostaniesz się do Sherwoodu, tylko tą drogą.

Więc Robin udał się z sir Ryszardem z Lea i posłuchał go, gdyż wiedział, że rycerz mądrze rnu radzi, i upatrywał w tym jedyny dla siebie ratunek.

Królowa Eleonora przechadzała się po pałacowym ogrodzie wśród słodko kwitnących róż, towarzyszyło jej sześć dworek, które szczebiotały wesoło. Raptem na murze pojawił się jakiś mężczyzna i balansując chwilę, lekko zeskoczył na trawnik. Ukazał się tak zniecka, że wszystkie dworki podniosły pisk, ale on podbiegł do królowej i klęknął u jej stóp, a wtedy zobaczyła, że był to Robin Hood.

— Cóż to ma znaczyć, Robinie! — zawołała królowa. — Ośmielasz się zaglądać lwu w samą paszczę? Mój ty Boże, biedaku! Przepadłeś z kretesem, jeśli król cię tu znajdzie. Czy ty nie wiesz, że szuka cię po całym kraju?

— Tak — powiedział Robin — świetnie wiem, że mnie ściga, i dlatego tu przybywam. Z wiarą, że nie może mnie spotkać żadna krzywda, skoro król poręczył moje bezpieczeństwo swoim słowem przed wami, miłościwa pani. Znam też twoją dobroć i szlachetne serce, o pani, więc składam swoje życie w twoje miłościwe ręce.

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć, Robinie — rzekła królowa — i że w ten sposób czynisz mi wymówkę, do czego masz pełne prawo, gdyż uświadamiam sobie, że nie zachowałam się wobec ciebie tak, jak należało. Doskonale zdaję sobie sprawę, że musiałeś się znaleźć w okrutnych opałach, aby uciekać przed jednym niebezpieczeństwem, rzucając się tak śmiało w drugie. Raz jeszcze obiecuję ci swą pomoc i zrobię wszystko, co w mojej mocy, abyś mógł bezpiecznie powrócić do Sherwoodu. Zaczekaj tu na mnie, póki nie wrócę.

Po czym zostawiła Robina w różanym ogrodzie i długi czas nie było jej widać z powrotem. Kiedy ukazała się wreszcie, towarzyszył jej sir Robert Lee. Policzki miała rozognione i oczy błyszczące jak po bardzo żaźartej sprzeczce. Sir Robert podszedł wprost do Robin Hooda i odezwał się zimnym, surowym głosem:

— Nasz miłościwy pan powściągnął swój gniew przeciwko tobie, człeku, i ponownie przyobiecał, że odjedziesz w pokoju. Dał jeszcze drugą obietnicę, że za trzy dni wyruszysz pod opieką jednego z jego paziów, który zadba o to, aby nikt cię nie zatrzymał w drodze. Dziękuj swojemu patronowi, że masz tak dobrego przyjaciela to naszej miłościwej pani, gdyby nie jej wstawiennictwo i żarliwa perswazja, pożegnałbyś się z życiem, mogę ci to powiedzieć. Obyś z tych śmiertelnych tarapatów, przez które przeszedłeś, wyciągnął dwie nauczki. Po pierwsze, wejdz na uczciwą drogę. Po drugie, nie bądź taki śmiały w swoich poczynaniach. Ci, co działają w czeluściach nocy, tak jak ty, mogą uchować się do czasu, ale w końcu noga im się powinie. Wetknąłeś głowę rozwścieczonemu lwu w paszczę, a jednak uratowałeś się jakimś cudem. Więcej tego nie próbuj — odwrócił się zostawiając Robina i poszedł.

Po trzech dniach pobytu Robina w Londynie na dworze królowej zjawił się najstarszy paź królewski, Edward Cunningham, i zabierając Robina wyruszył z nim na północ w powrotną drogę do Sherwoodu. Od czasu do czasu spotykali drużyny królewskie wracające do Londynu, ale żadna ich nie zatrzymała, tak więc dotarli wreszcie do cudnych, szumiących borów.

Na tym kończą się wesołe przygody, jakie spotkały Robin Hooda, gdy wybrał się na sławne

zawody łucznicze w mieście Londynie. A teraz usłyszemy o tym, jak Biskup Herefordu i Szeryf Nottinghamu jeszcze raz pokusili się innym sposobem pojmać Robin Hooda. Dowiemy się również, jak wesoły król Ryszard Lwie Serce odwiedził Robin Hooda w głębi puszczy.

Część ósma, która opowiada o tym jak doszło do sławnej walki między Robin Hoodem a Cudakiem z Gisbourne w sherwoodzkim borze; jak Mały John ratując trzech ludzi wpadł w ręce Szeryfa; a także o tym, jak ktoś Ryszard Lwie Serce przybył do hrabstwa Nottingham i odwiedził Robin Hooda w puszczy Sherwoodu

I. Robin Hood i Cudak z Gisbourne

Sporo wody upłynęło od wielkich zawodów łuczniczych, a przez ten czas Robin przynajmniej po części stosował się do rady sir Roberta Lee — pilnował się w swoich poczynaniach. Chociaż nie kwapił się jakoś na uczciwą drogę, jak to ludzie na ogół rozumieją, to jednak strzegł się, aby nie zapędzać się za daleko od Sherwoodu i mieć zawsze kryjówkę pod ręką.

Wielkie zmiany zaszły w owym czasie, gdyż król Henryk umarł i król Ryszard przywdział po nim koronę, którą tak pięknie nosił w niejednej ciężkiej próbie i niejednej podniecającej przygodzie, których miał nie mniej od Robin Hooda. Ale wielkie te zmiany nie dosięgnęły puszczańskiej głuszy, w której Robin i jego kamraci żyli sobie wesoło jak zawsze, urządząc łowy, uczty i zawody; mało ich obchodziły perypetie dalekiego świata.

Zaświtał pogodny letni dzień i wrzawa rozświergotanych ptaków obudziła ze snu Robina, powiercił się na posłaniu, ocknął i przetarł oczy. Zaraz wstał też Mały John i reszta wesołej bandy. Najpierw pokrzepili się do syta, a potem każdy ruszył do swoich zajęć i nastąpiła zwykła codzienna krzątania.

Robin Hood i Mały John szli leśną ścieżką wśród rozmigotanych powiewem liści, przez które przesiewało się słońce.

— Słowo daję — powiedział Robin — czuję, jak mi krew krąży w żyłach, taki śliczny dzionek. Co na to powiesz, gdybyśmy tak poszukali przygody, każdy na swoją rękę?

— W tę mi graj — powiedział Mały John. — Nieraz już nam się poszczęściło w taki sposób. Mamy tu dwie ścieżki, ty ruszaj w prawo, a ja w lewo, i śpieszmy się, kto pierwszy wkopie się po same uszy w wesołą awanturę.

— Odpowiada mi twój pomysł — rzekł Robin — więc rozejdziemy się tutaj. Ale słuchaj, bracie, uważaj na siebie, bo za wszystkie skarby świata nie chcę, żeby ci się coś złego stało.

— Dobra, dobra — powiedział Mały John — cóż to za mowa! Zdaje mi się, że to ty wpadasz zawsze w najgorsze opały, nie ja.

Robin Hood roześmiał się.

— Dalibóg, Mały Jormie — powiedział — ty nie zważasz na nic, tylko pchasz się na oślep i jakoś tym sposobem wychodzisz cało z każdej awantury. No, ale zobaczymy, kto dziś lepiej wyjdzie.

Podali sobie ręce i rozeszli się każdy w swoją stronę, wprędce niknąc sobie z oczu za drzewami. Ścieżka zaprowadziła Robina na rozpościerającą się szeroko leśną drogę. Konary drzew spletały się nad nią gęstym i migocącym listowiem, które rozżłacało się, im bliżej słońca; ziemia była tu miękka i wilgotna w panującym cieniu. W tym przyjemnym zakątku spotkała Robin Hooda najgroźniejsza ze wszystkich przygód. Kiedy szedł sobie niefrasobliwie słuchając ptaków, natknął się niespodzianie na jakiegoś człowieka, który siedział na omszałych korzeniach pod rozłożystym dębem. Robin Hood widząc, że nieznajomy go nie dostrzegł, zatrzymał się i stał bez ruchu, przyglądając się tamtemu długi czas. Ale było czemu się przyglądać, gdyż pierwszy raz Robin spotkał kogoś takiego jak ta maskara siedząca pod drzewem. Człek ten był od stóp do głów odziany w końską skórę pokrytą włosiem, twarz miał osłoniętą kapturem ze sterczącymi jak u królika uszami, włochaty kaftan i włochaty, obcisłe spodnie. Przy boku nosił ciężki miecz i ostry sztylet, na plecach

kończąc pełen smukłych strzał. Mocny cisowy łuk stał przy nim, oparty o drzewo.

— Czołem, przyjacielu — zawołał Robin wychodząc z ukrycia — coś ty za jeden? I cóżże ty nosisz na sobie? Słowo daję, pierwszy raz coś takiego widzę na oczy. Gdybym nagrzeszył albo coś paskudnego miał na sumieniu, przestraszyłbym się ciebie myśląc, że przynosisz mi natychmiastowe wezwanie od samego Belzebuba. Tamten nic nie odpowiedział, tylko zsunął kaptur z głowy ukazując nasrożone brwi, krogulczy nos i dzikie, niespokojne czarne oczy, co przywiodło Robinowi na myśl sokoła. Ale coś takiego kryło się w jego rysach, w wąskich okrutnych ustach i nieustępliwym, złowrogim spojrzeniu, że na widok tej twarzy mrowie przechodziło po grzbiecie.

— A ty kto> łajdaku? — odezwał się chrapliwym głosem.

— Cyt, cyt — powiedział wesoły Robin — nie odzywaj się tak cierpko, bratku. Czyś się z rana nakarmił pokrzywami w occie, żeś taki zjadliwy?

— Jak ci mój język nie dogadza — powiedział wściekle tamten — to zmykaj stąd, żebym ci lepiej nie dogodził, bo ja się nie patyczkuje.

— Ale dogadza, dogadza jak najbardziej, mój ty kochaniutki — powiedział Robin przysiadając przed nim w kucki na trawie. — Powiem ci więcej, masz taki dowcipny i figlarny język, że rzadko się słyszy.

Tamten bez słowa wlepił w Robina oczy zajadłe i złowrogie jak u wściekłego psa, zanim się rzuci człowiekowi do gardła. Robin odpowiedział spojrzeniem niewinnym jak u baranka, bez cienia uśmiešku w oczach czy w kącikach warg. Siedzieli tak, wybałuszając na siebie oczy, aż tamten odezwał się znienacka:

— Jak się nazywasz,, bratku?

— No, dzięki Bogu, żeś się odezwał — powiedział Robin — bo już się bałem, że na mój widok odebrało ci mowę. Co do mojego imienia, nazywam, się tak lub owak, ale zdaje mi się, że tobie prędzej wypada się przedstawić, bo znacznie rzadszy z ciebie gość w tych stronach. Powiedz mi z łaski swojej, kochasiu, dlaczego się wystroiłeś w takie śliczne ubranko, co tak ładnie na tobie leży?

Tamten parsknął grubym śmiechem.

— O, na gnaty demona Odyna — powiedział — aleś ty śmiały w pysku, pierwszy raz takiego widzę. Sam nie wiem, dlaczego z miejsca nie wyrznię cię w łeb, bo ledwie dwa dni temu wyprułem flaki z jednego gościa za Nottinghamem, choć nawet w połowie nie napyskował tyle co ty. Noszę to ubranie, głupku, żeby mi ciepło było, w dodatku wcale ono nie gorsze od pancerza, taką skórę niełatwo mieczem przebijesz. A swojego imienia nie potrzebuję ukrywać, bo mi na tym nie zależy. Zwę się Cudak z Gisbourne i pewno o mnie słyszałeś. Pochodzę z lasów w hrabstwie Hereford, na ziemiach Biskupa tegoż imienia. Jestem ścigany przez prawo i żyję z rozboju, kogo i jak łupię, nie pora o tym mówić. Nie tak dawno Biskup zawezwał mnie do siebie i powiedział, że jak zrobię jedną rzecz na życzenie Szeryfa Nottinghamu, to on postara się dla mnie o amnestię i da mi dwieście funtów żywą gotówką. Ma się rozumieć, podyrdałem zaraz do Nottinghamu i znalazłem mojego słodziutkiego Szeryfa. No i jak myślisz, czego chciał ode mnie? Ano, dalibóg, żebym wytropił tu w Sherwoodzie niejakiego Robin Hooda, też ściganego przez prawo, i ukręcił mu łeb albo wziął go żywcem. Zupełnie jakby nie mieli tu nikogo, kto by dał sobie radę z tym śmiałkiem, więc posłali po mnie aż do Herefordu, taki kawał świata, bo znasz stare przysłowie: "Na zbója naślij zbója". A zabić tego gościa to dla mnie fraszka, bo rodzzonego brata bym zarznął za sto, a co dopiero za dwieście funtów. Robin słuchał tego wszystkiego i z każdym słowem wzbierało w nim obrzydzenie. Wiedział dosyć o tym Cudaku z Gisbourne i o jego krwawych i morderczych występkach w Herefordzie, o których głośno było w całym kraju. I chociaż mierziła go sama obecność tego łotra, zachowywał zimną krew, bo miał w tym swój cel.

— Rzeczywiście słyszałem o twoich szlachetnikich uczynkach — powiedział. — Zdaje mi się, że Robin Hood wprost marzy, aby się z tobą spotkać.

Na to Cudak z Gisbourne znowu zarechotał.

— Śmiać się chce — powiedział — kiedy się pomyśli, jak się spotkają taki Robin Hood z takim Cudakiem z Gisbourne, jeden dzielny zbój z drugim dzielnym zbojem. Tylko że tym razem źle się to skończy dla Robin Hooda, bo tegoż dnia, kiedy zobaczy Cudaka z Gisbourne, pożegna się z życiem.

— Ale moja ty łagodna, wesoła duszyczko — powiedział Robin — nie przychodzi ci na myśl, że ten Robin Hood może być od ciebie mocniejszy? Całkiem dobrze go znam i powiadają, że to jeden z największych osiłków w całej okolicy.

— Niech sobie będzie — powiedział Cudak z Gisbourne — ale mówię ci, bratku, że ten wasz chlew to jeszcze nie szeroki świat. Głowę daję, że ja jestem od niego lepszy. Jaki tam z niego rozbójnik, śmiechu warte! Toż powiadają, że przez całe życie niczyjej krwi nie rozlał prócz jednego razu na samym początku, zanim skrył się w lasach. Niektórzy mówią, że to wielki łucznik. Dalibóg, gotóyt jestem bez żadnej obawy stanąć naprzeciw niego z łukiem w ręku i stać przez okrągłutki rok.

— A rzeczywiście niektórzy nazywają go wielkim łucznikiem — powiedział Robin Hood — ale Nottingham słynie ze znakomitych strzelców, mamy dryg do łuku. Nawet ja, chociaż daleko mi do mistrzowskiej wprawy, nie bałbym się spróbować z tobą w strzelaniu do celu.

Cudak z Gisbourne spojrział na Robina zdumionymi oczami i zarechotał, aże echo poniosło się lasem.

— No, śmiało się do mnie odzywasz — powiedział. — Podoba mi się taka hardość, bo mało kto dotąd się ośmielił tak do mnie zagadać. Zawieś wieniec na sęku, a postrzelam sobie z tobą, chłopaku.

— E tam — powiedział Robin — u nas tylko niemowlęta strzelają do wieńca. Przygotuję ci lepszy cel, specjalnie po naszemu.

Podszedł do leszczynowego zagajnika i wyciął gałązkę najwyżej dwa razy grubszą od kciuka. Obdarł ją z kory, zastrugał i wbił w ziemię przed wielkim dębem. Odmierzył osiemdziesiąt kroków i znalazł się akurat obok drzewa, pod którym tamten siedział.

— Masz tam — powiedział — taki cel, do jakiego strzelają u nas w Nottinghamie. Pokaż mi, jak rozszczepiasz tę gałązkę na dwoje, jeśli jesteś łucznikiem.

Cudak z Gisbourne zerwał się na nogi.

— Idź do licha! — krzyknął. — Sam diabeł w to by nie pocelował.

— Może by pocelował, a może i nie pocelował — powiedział wesoły Robin — ale tego nigdy się nie dowiemy, dopóki ty nie strzelisz.

Cudak z Gisbourne z nasrożonymi brwiami spojrział na Robina, ale że ten dalej zachowywał niewinną minę, zbój pohamował się i naciągnął swój łuk w milczeniu. Posłał dwie strzały, ale ani razu nie trafił w gałązkę, pierwsza śmignęła o włos od celu, a druga o dobrą piędź co najmniej. Robin zaśmiewał się do rozpuku.

— No, teraz widzę, że sam diabeł nie może w to pocelować — powiedział. — Jeśli tak samo radzisz sobie z mieczem jak z łukiem, miły bratku, to nigdy nie pokonasz Robin Hooda.

Cudak z Gisbourne zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

— Masz wesoły język, ty łotrzyku — powiedział — ale za , dużo sobie nie pozwalaj, bo jeszcze ci go obetnę.

Robin Hood napiął łuk i wycelował bez słowa, choć w środku kipiał ze złości i obrzydzenia. Strzelił dwukrotnie, pierwszy raz trafił o cal od gałązki, a drugi w sam środek, rozszczepiając ją na dwoje. I zanim tamten zdążył otworzyć usta, Robin cisnął swój łuk na ziemię.

— Masz, ty podły zbój! — krzyknął wściekłym głosem. — Niech cię to nauczy, że nie masz zielonego pojęcia o męskim sporcie. I żegnaj się ze słońcem, bo dosyć już cierpliwa ziemia nosiła takiego plugawca, ty dzika bestio! Koniec z tobą, jak mi Bóg miły... Jam jest Robin Hood — i błysnął dobytym mieczem w słońcu.

Przez chwilę Cudak z Gisbourne gapił się, jakby postradał zmysły, ale jego zdumienie rychło przemieniło się w dziki gniew.

— Toś ty Robin Hood zaiste? — krzyknął. — Zadowolony jestem, że cię spotykam, ty biedna wywłoko! Zrób zawczasu rachunek sumienia, bo nie zdążysz, kiedy się z tobą załatwię — i również dobył miecza.

Nastąpiła tak zażarta walka, jakiej Sherwood nigdy nie oglądał, gdyż obaj przeciwnicy wiedzieli, że jeden musi zginąć i że w tym pojedynku nie będzie pardonu. Ścierali się ze sobą, aż zgnetli soczystą trawę wokół i zryli ziemię obcasami. Niejeden raz miecz Robina trafił ostrzem w miękkie ciało i niebawem krew zaczęła rosić czerwienią pole walki, ale ani jedna kropla nie pochodziła z żył Robina. Raptem Cudak z Gisbourne pchnął mieczem wściekle i groźnie, Robin odskoczył zwinnie, ale zaczął obcasem O korzeń i zwałił się ciężko na wznak. “Matko święta, ratuj!” — wymamrotał, kiedy tamten doskoczył do niego wściekle błyskając zębami. Zbój potwornie dźgnął w niego mieczem, ale Robin gołą ręką pochwycił ostrze i choć przecięło mu dłoń, zdołał je odepchnąć. I żelazo zaryło się głęboko w ziemię; zanim mógłby spaść drugi cios, Robin zerwał się na nogi ze swoim wiernym mieczem w garści. Czarna rozpacz ogarnęła Cudaka z Gisbourne, rozejrzał się dziko jak zraniony sokół. Robin widząc, że tamtego opuszczają siły, doskoczył błyskawicznie, zamachnął się na odlew i wyrzwał poniżej rękojeści. Potężny cios wytrącił zbójowi miecz, Cudak z Gisbourne zachwiał się od impetu i zanim się opamiętał, ostrze Robina przeszło go kilkakrotnie. Okręcił się w kółko, wyrzucił w górę ręce i z przeraźliwym, dzikim krzykiem runął twarzą na murawę. Robin Hood otarł swój miecz, wsunął do pochwy i podszedł tam, gdzie leżał Cudak z Gisbourne. Stojąc nad nim ze skrzyżowanymi ramionami, mówił sam do siebie. “Oto pierwszy człowiek, którego zabiłem, od czasu gdy od mojej strzały padł królewski leśniczy w gorących dniach mej młodości. Ze tamtemu odebrałem życie, nieraz gorzko żałuję po dziś dzień, ale z tego tutaj jestem równie zadowolony, jakbym zabił dzika, który pustoszy śliczne okolice. Szeryf Nottinghamu nasłał na mnie takiego jak ten, przebiorę się w jego odzienie i pójdę odszukać Szeryfa, może uda mi się zapłacić mu za to i załatwić z nim porachunki”.

To rzekłszy Robin ściągnął z zabitego włosiaste odzienie i ubrał się w te skóry zbroczone krwią. Przypasał sobie miecz i sztylet, a swój miecz i dba łuki wziął do ręki, po czym naciągnął kaptur z końskiej skóry głęboko na oczy, tak że nikt by go nie poznał, i wyruszył z lasu na wschód, w kierunku miasta Nottingham. Gdy przechodził polnymi drogami, wszystko kryło się przed nim w popłochu, mężczyźni, niewiasty i dzieci, gdyż imię Cudaka z Gisbourne i jego występki siały tak szeroki postrach.

A teraz zobaczymy, co się w tym samym czasie działo z Małym Johnem.

Szedł on sobie leśnymi ścieżkami, aż znalazł się na skraju borów, gdzie rozpościerały się na przemian łąny jęczmienia, pszenicy czy zielone łąki roześmiane w słońcu. Dostał się na gościniec i napotkał przy drodze chatynkę pod strzechą. Stała wśród karłowatych dzikich jabłoni, rosły przed nią kwiaty. Mały John zatrzymał się nagle, gdyż dobiegł go jakby czyjś żalospny płacz. Nasłuchiwał chwilę i zorientował się, że to w chacie ktoś rozpacza. Skierował się tam, pchnął niskie drzwi i wszedł do środka. Ujrzał siwiuteńką staruszkę, która siedziała przed wygasłym kominem, kiwając się monotonicznie i płacząc gorzko.

Mały John miał serce czułe na nieszczęścia bliźnich, podszedł więc do staruszki i głaszcząc ją

po ramieniu zaczął ją pocieszać i prosić, żeby powiedziała mu, co ją gnębi, bo może potrafi jej dopomóc w biedzie. Staruszka uparcie potrząsała głową, ale dobre słowa ukoili ją nieco, więc wreszcie wyjawiała całą swoją zgryzotę. Zabrali jej trzech synów, chłopców pięknych i smukłych aż miło, zabrali, żeby ich zaraz powiesić. Głód im doskwierał, więc najstar* szy wczoraj w nocy poszedł do lasu i przy księżycu upolował łanię. A gajowi królewscy spostrzegli ślad krwi na trawie i tym tropem ‘ przysli dp ich chaty, i znaleźli w spizarni dziczyznę. A obaj młodszy nie chcieli zdradzić brata, więc gajowi zabrali wszystkich trzech, choć najstarszy zaklinał się, że tylko on jest winien. A jak odchodzili, to słyszała, co gajowi mówili między sobą, że Szeryf ma już dość trzebienia zwierzyny, które ostatnio tak się rozpanoszyło, i poprzysiągł, że ukróci kłusownictwo i kogo pierwszego na tym przyłapie, powiesi na najbliższym drzewie. I mówili, że zabiorą ich do gospody “Pod Królewską Koroną”, gdzie Szeryf dziś się zatrzymał, bo czeka tam na kogoś, kogo wysłał do Sherwoodu na ‘ poszukiwanie Robin Hooda.

Mały John słuchał i od czasu do czasu smutno kiwał głową.

— Mój ty Boże — powiedział, kiedy staruszka skończyła opowiadać — to rzeczywiście paskudna sprawa. Któż to taki wybrał się do Sherwoodu i po licha szuka Robin Hooda? No, ale mniejsza z tym. Szkoda tylko, że nie ma tu Robina, bo mógłby nam coś mądrego poradzić. Wszystko jedno, nie ma już czasu posyłać po niego, jeśli chcemy uratować życie twoim trzem synom. Powiedz mi, czy nie masz jakiegoś odzienia pod ręką? Muszę się pozbyć tego zielonego stroju i przebrać się koniecznie. Dalibóg, gdyby mnie w nim nasz mężny Szeryf przyłapał, niechybnie zadyndałbym szybciej od twoich synów, wiedz o tym, matko.

Staruszka powiedziała mu, że ma w domu trochę ubrania po mężu, który odumarł ją zaledwie przed dwoma laty. Przyniosła mu je zaraz i Mały John przebrał się, zrzucając swój zielony strój. Z nie grempowanej wełny zrobił sobie perukę i przyprawił sztuczną brodę, wdział ogromny, wysoki kapelusz po starym wieśniaku, wziął swoją pałkę do jednej ręki, a łuk do drugiej i co sił w nogach pomaszerował tam, gdzie Szeryf zatrzymał się na popas.

O milę z kawałkiem za Nottinghamem i blisko już południowych rubieży Sherwoodu stała przytulna gospoda nosząca szyld “Królewskiej Korony”. W ten pogodny dzionek panował tu gwar i rwetes nie lada, gdyż w gospodzie zatrzymał się Szeryf ze zbrojnym oddziałem, aby oczekiwać tu na powrót z puszczy Cudaka z Gisbourne. Z kuchni, gdzie uwijano się jak w ukropie, dolatywał szcęk rondli, a z piwnic stukot młotków — odbijano beczkę za beczką z winem i piwem. Szeryf siedział w gospodzie racząc się frykasami, a jego żołnierze chlali piwsko na ławie przed oberżą albo leżeli w cieniu rozłożystych dębów, gwarząc, żartując i śmiejąc się. Słysząc było smagnięcia ogonów i tupot kopyt stojących wokół koni. Do tej gospody gajowi przygnali trzech synów staruszki wdowy. Mieli wspólny powróż na szyjach i spętane na plecach ręce. Wprowadzono ich do środka, gdzie Szeryf siedział przy uczcie. Dygocząc stanęli przed nim, a on spoglądał na nich z okrutnie srogą miną.

— To wy — zagrzmiał gniewem — trzebiliście królewską zwierzynę, kłusować wam się zachciało? O, nie będę się z wami cackał. Powieszę was trzech jak rolnik kruki na postrach całemu ptactwu na polach. Dosyć już nażerowały się na naszym pięknym hrabstwie takie łotry jak wy. Długie lata patrzyłem przez palce, ale raz na zawsze wytępię teraz kłusownictwo, i od was zacznę.

Jeden z biedaków chciał otworzyć usta, ale Szeryf ryknął nań, żeby milczał, i kazał gajowym odprowadzić ich, aż skończy ucztę i wtedy się nimi zajmie. Wyprowadzono trzech biednych młodzieńców przed gospodę, gdzie ze zwieszonymi głowami i rozpaczą w sercu stali pod drzwiami, dopóki po jakimś czasie nie ukazał się w nich Szeryf. Skrzyknął swoich ludzi i powiedział:

— Ci trzej łotrzykowie zostaną natychmiast powieszoni, ale nie tutaj, żeby nie przynieśli nieszczęścia tej zacnej gospodzie. Zaprowadzimy ich, gdzie tamto pasmo lasu, bo mam szczerą

ochotę powiesić ich na drzewach samego Sherwoodu, żeby pokazać tym rozbójnikom z boru, co ich czeka, gdy mi wpadną w ręce, jak tylko szczęście dopisze.

To rzekłszy dosiadł konia, a za nim jego żołnierze, i całą kawalkadą wyruszyli w stronę owego pasma lasu. Pośrodku szli gajowi strzegąc trzech biednych skazańców. Kiedy wreszcie przybyli na miejsce, wszystkim trzem założono stryczki na szyje, a końce powrozów zostały przerzucone przez gruby konar ogromnego dębu. Trzej młodzieńcy padli na kolana i głośno błagali Szeryfa o litość, ale Szeryf Nottinghamu zaśmiał się pogardliwie.

— Szkoda, że nie ma tu księdza, toby was wypowiadał — powiedział. — A tak, trudna rada, musicie powędrować z pełnym workiem grzechów na grzbiecie i zdać się na świętego Piotra, że was wpuści do raju jak trzech przekupniów do bram miasta.

Tymczasem, kiedy się to wszystko działo, jakiś starzec nadszedł i stanął w pobliżu, przyglądając się wsparty na kosturze. Miał całkiem siwe i kędzierzawe włosy i brodę, a na plecach cisowy łuk, z pewnością za mocny, żeby mógł go naciągnąć. Przed wydaniem rozkazu swoim żołnierzom, żeby zaczynali egzekucję, Szeryf rozglądał się i wzrok jego padł na osobliwego starca. Skinął na niego, mówiąc:

— Chodźcie tu, ojcze, mam wam coś do powiedzenia.

Więc Mały John, on to był bowiem, zbliżył się, a Szeryf spojrzawszy na niego pomyślał, że ta twarz dziwnie mu kogoś przypomina.

— Ejże — powiedział — zdaje mi się, że skądś was znam. Jakże się nazywacie, ojcze?

— Wasza miłość — odparł Mały John zmienionym starczym głosem — nazywam się Giles Kulawiec, do usług waszej wysokości.

— Giles Kulawiec, Giles Kulawiec — mamrotał Szeryf szukając w pamięci takiego imienia. — Nie przypominam sobie — powiedział w końcu — ale to bez znaczenia. Nie masz ochoty zarobić sześciu pensów w ten pogodny dzionek?

— Dlaczego nie — powiedział Mały John — na pieniądzech mi nie zbywa, dobre i sześć pensów, jeśli da się zarobić uczciwym sposobem. Czegóż wasza miłość życzy sobie?

— A posłuchaj — powiedział Szeryf. — Ci trzej jak nikt inny aż proszą się o stryczek. Jeśli ich wciągniesz na gałąź, dam ci po dwa pensy od łebka. Nie w smak mi, żeby moi żołnierze zamieniali się w oprawców. No co, spróbujesz?

— Doprawdy — powiedział starczym głosem Mały John — nigdy czegoś takiego nie robiłem. Ale sześć pensów piechotą nie chodzi, dlaczego nie miałbym zarobić. Tylko wasza miłość, czy ci łotrzykowie wypowiadali się przed śmiercią?

— A skądże — zaśmiał się Szeryf. — Chcesz, to ich wypowiadaj, jeśli masz ochotę. Tylko żwawo, proszę cię, bo chciałbym rychło wrócić do gospody.

Więc Mały John podszedł do drżących skazańców i przytknąwszy twarz do policzka pierwszego z nich, tak jakby go słuchał, szepnął mu cichutko do ucha: “Jak przetnę ci więzy, stój spokojnie, bracie, dopiero jak zobaczysz, że zdejmuję perukę i sztuczną brodę, zrzucaj stryczek i wiesz do lasu”. Zgrabnie rozciął postronek, a młodzieniec nic nie dał poznać po sobie i stał spokojnie, jakby wciąż miał związane ręce. Po czym Mały John podszedł do drugiego, szepnął mu to samo i też rozciął więzy. Z trzecim postąpił podobnie, a wykonał to tak chytrze, że Szeryf, który rechocząc siedział na koniu, nie połapał się, co się dzieje, tak jak i jego żołnierze. Wtedy Mały John obrócił się do Szeryfa.

— Czy wasza miłość pozwoli, że przysposobię swój łuk? — powiedział. — Rad bym wyprawić tych gagatków prędzej na tamten świat, a kiedy już zadyndają, posłać każdemu strzałę w bok.

— A proszę cię bardzo — powiedział Szeryf — tylko żwawo, jak ci już mówiłem.

Mały John oparł łuk o podbicie stopy i tak zręcznie założył cięciwę, że wszyscy się zdumieli, skąd w tym starcu taka siła. Następnie wyjął z kołczana gładką strzałę i umieścił na cięciwie, rozglądając się dokoła, czy ma wolną drogę za plecami, i raptem zdarł wełniane kłaki z głowy i twarzy, wołając potężnym głosem: “W nogi!” W mgnieniu oka trzej młodzieńcy zrzucili z szyi stryczki i pomknęli przez wygon w stronę lasu niczym strzała z łuku wypuszczona. Mały John też gnał ku zaroślom jak chart, a Szeryf i jego żołnierze gapili się za nim całkiem oniemiałi z zaskoczenia. Ale nie umknął daleko, kiedy Szeryf się otrząsnął.

— Za nim! — Bryknął wniebogłosy. Dopiero teraz poznał, z kim to rozmawiał przed chwilą, i dziwił się, że tak dał się oszukać.

Mały John usłyszał słowa Szeryfa i widząc, że nie zdąży uciec do lasu, bo go przedtem dopadną, zatrzymał się i obrócił gwałtownie z łukiem gotowym do strzału.

— Stać! — krzyknął dziko. — Kto zrobi choć krok albo dotknie palcem cięciwy, tego trupem położę!

Na tę groźbę żołnierze zamarli jak glazy, bo wiedzieli, że Mały John nie rzuca słów na wiatr i nieposłuszeństwo życiem przypląca. Na próżno Szeryf darł się na nich, wyzywał od tchórzów i przynaglał do rzucenia się kupą; nie poruszyli się nawet o cal, tylko stali i patrzyli, jak Mały John powoli wycofuje się do lasu, nie spuszczając z nich oka. Szeryf widząc, jak wróg wymyka mu się między palcami, dostał białej gorączki, otumaniał do szczytu i sam nie wiedział, co robi. Raptownie spał konia, dźgnął go ostrogami, zakrzyknął gromko i stając w strzemionach pognął na Małego Johna jak wichura. Mały John napiął swój śmiertcionośny łuk i przyciągnął szaropiórą strzałę do ucha. Ale biadaż mu! Zanim zdążył wypuścić strzałę, dobry łuk, który mu tak długo służył, pękł w jego rękach i nieszkodliwa strzała upadła mu pod stopy. Widząc, co się stało, żołnierze zakrzyknęli i w ślad za swoim wodzem ruszyli galopem na Małego Johna. Ale Szeryf znacznie ich wyprzedził i doścignął Małego Johna, zanim tamten dopadł zarośli. Zrównał się z nim, wychylił w siodle i potężnie ciał mieczem. Mały John nurknął, miecz przekręcił się Szeryfowi w ręce, ale płazem trafił uciekającego w głowę i zwałił go bez czucia na ziemię.

Żołnierze dopadli Małego Johna i przekonali się, że nie wyzionął ducha.

— A to bardzo się cieszę — powiedział Szeryf — że nie zabiłem w pośpiechu tego gagatka! Wolałbym stracić pięćset funtów niż dać mu tak umrzeć zamiast na szubienicy, jak na podłego zbrojnego przystało. Idź, William, przynieś trochę wody z tamtego źródła i chluśnij mu na łeb.

Żołnierz wykonał polecenie i wnet Mały John otworzył oczy i rozglądał się, całkiem zamroczony i oszołomiony ciosem. Związali mu ręce na plecach, podnieśli i wsadzili na konia twarzą do ogona, stopy spętali mu pod końskim brzuchem. Tak zawiedli go do gospody “Pod Królewską Koroną”, śmiejąc się i radując przez całą drogę. Ale tymczasem trzej synowie staruszki wdowy zdołali uciec szczęśliwie i skryć się w puszczy.

Po raz wtóry Szeryf Nottinghamu zasiadł w gospodzie. Serce w nim się radowało, bo wreszcie dokonał tego, do czego dążył przez całe lata — wziął do niewoli Małego Johna. Powiedział sobie: “Jutro o tej porze ten łotr zawisnie na szubienicy przed główną bramą Nottinghamu i w ten sposób skończę z nim swoje długie porachunki”. To rzekłszy pociągnął sobie głęboki łyk kanaryjskiego wina. Ale trunek jakby go oświecił, gdyż Szeryf potrząsnął głową i szybko odstawił kielich. “Za żadne skarby — mruknął — nie chciałbym, żeby mi się ten łotrzyk jakimś cudem wymknął. A niech no jego wódz poradzi sobie z tym plugawym Cuflakiem z Gisbourne, to lichy wie, co jeszcze wymyśli, bo to najbardziej szczywany łotr, jakiego ziemia nosi, ten cały Robin Hood. Chyba lepiej nie czekać do jutra, tylko od razu powiesić gagatka”..

Z pośpiechem odsunął krzesło, wyszedł przed gospodę i skrzyknął swoich żołnierzy.

— Nie będę zwlekał z powieszeniem tego łotra — powiedział Szeryf — im prędzej, tym lepiej. Niech zawisnie na tym samym dębie, tu gdzie uratował od stryczka tych trzech młodych łajdaków, na przekór sprawiedliwości, z której zakpił sobie tak śmiało. Więc natychmiast szykujcie się do drogi.

Zatem na powrót wsadzili Małego Johna na konia, twarzą do ogona, jeden powiódł wierzchowca za uzdę, inni otoczyli go i pojechali w kierunku dębu, na którym niedawno chcieli wieszać kłusowników. Z brzękiem i szczękiem pospieszyli drogą i niebawem znaleźli się na miejscu.

Raptem jeden z żołnierzy odezwał się do Szeryfa.

— Wasza miłość — zawołał — ktoś zbliża się do nas! Czy to nie Cudak z Gisbourne, którego nasłałeś na Robin Hooda, żeby go przydybał w lesie?

Szeryf osłonił ręką oczy i wyteżył wzrok.

— Ależ to on, z całą pewnością — powiedział. — O Boże, spraw, żeby mu się udało zabić herszta, tak jak my zabijemy właśnie drugiego zbrojaka!

Słyszając to Mały John podniósł oczy i natychmiast serce w nim zamarło, albowiem przybysz miał nie tylko pokrwawione odzienie, ale i róg myśliwski Robina przy sobie, jego łuk i miecz.

— Jak tam? — zawołał Szeryf, kiedy Robin Hood w stroju Cudaka z Gisbourne zbliżył się do nich. — Jak ci się powiodło? Ależ, człeku, całe odzienie masz we krwi!

— Nie podoba się, to możecie zamknąć oczy — powiedział Robin, naśladowując chrapliwy głos Cudaka z Gisbourne. — Wiecie, czyja to krew? Najnikczemniejszego zbrojaka, jaki grasował po lasach, którego dziś zabiłem, choć i mnie się dostało w walce.

Wtedy odezwał się Mały John, po raz pierwszy od chwili, gdy wpadł w ręce Szeryfa.

— O ty podły, krwiożerczy łotrze! Znam cię, Cudaku z Gisbourne, któż by o tobie nie słyszał, kto by cię nie przeklinał za twoje nikczemne postęпки, za gwałty i rozboje? To taka ręka zadała śmierć najszlachetniejszemu sercu, jakie biło w ludzkiej piersi? Zaiste, takie narzędzie jak ty pasuje - do tego tchórza, Szeryfa Nottinghamu. Więc cieszę się, że ginę, i nie obchodzi mnie, jak zginę, bo nie dbam o życie! — Tak mówił Mały John, a słone łzy spływały po jego ogorzałych policzkach.

Natomiast Szeryf Nottinghamu klasnął w ręce z radości.

— No, Cudaku z Gisbourne — zawołał — jeśli to prawda, co mówisz, czeka cię największa wygrana, jaka trafiła ci się w życiu.

— Nie kłamie, powiedziałem ci szczerą prawdę — rzekł Robin głosem Cudaka z Gisbourne. — Spójrz, czy to nie miecz Robin Hooda, a czy to nie jego cisowy łuk, a czy to nie jego róg myśliwski? Myślisz, że dałby to Cudakowi z Gisbourne w podarunku?

Wówczas Szeryf głośno zaśmiał się z radości.

— Co za szczęśliwy dzień! — zawołał. — Sam herszt zabity, a jego najbliższy kompan w moich rękach! Proś, czego tylko chcesz, Cudaku z Gisbourne, a będzie twoje!

— Zatem taka będzie moja prośba — powiedział Robin. — Zabiłem herszta, niechaj zabiję i kompana. Oddaj życie tego ga-gatka w moje ręce, wielmożny Szeryfie.

— To głupota, człowieku! — zawołał Szeryf. — Mogłeś dostać tyle złota, ile wynosi rycerski okup, gdybyś tylko poprosił. Niechętnie rezygnuję z tego jeńca, ale dałem obietnicę, więc bierz go.

— Z całego serca dziękuję ci za dar — zawołał Robin. — Postawcie tego gagatka pod tamtym drzewem, a ja wam pokażę, jak się u nas szlachtuje wieprzaki!

Na te słowa niektórzy żołnierze Szeryfa wzdrygnęli się z odrazą; wprawdzie nic ich nie obchodziło, czy Mały John zostanie powieszony, czy nie, ale wstręt ich ogarniał, że ma się go zarznąć na zimno. Jednakże Szeryf huknął na nich i kazał im ustawić skazańca pod drzewem, tak jak tamten sobie życzył.

Kiedy się tym zajmowali, Robin ukradkiem założył cięciwę na oba łuki, swój i Cudaka z

Gisbourne, ale nikt na to nie zwrócił uwagi. A gdy tamci ustawili Małego Johna pod drzewem, wyciągnął zza pasa ostry sztylet Cudaka z Gisbourne.

— Cofnijcie się! Do tyłu! Do tyłu! — zawołał. — Co się tak pchacie, żeby mi zepsuć przyjemność, żłoby niewychowane? Do tyłu, mówię! Dalej!

Cofnęli się całą gromadą, tak jak chciał, a wielu z nich odwróciło twarze, żeby nie patrzeć na to, co się miało stać.

— Chodź! — zakrzyknął Mały John. — Oto moja pierś. Niech ta sama ręka, która zamordowała mojego ukochanego wodza, zadźga i mnie! Znam cię, Cudaku z Gisbourne!

— Uspokój się, Mały Johnie! — syknął Robin. — Dwa razy powtórzyłeś, że mnie znasz, a nie znasz mnie wcale. Nie poznajesz mnie pod tą kosmatą skórą? Masz pod nogami mój łuk, strzały i miecz mój. Chwytaj je, gdy ci przetnę więzy. Nuże! Łap za broń.

Przeciął mu pęta i Mały John w gnieniu oka skoczył porywając łuk, strzały i miecz. W tejże chwili Robin Hood zrzucił kaptur z końskiej skóry, odsłaniając twarz, i napiął łuk Cudaka z zabójczą strzałą o grocie jak harpun.

— Ani kroku! — krzyknął srogo. — Położę trupem pierwszego, kto dotknie palcem cięciwy! Zabiłem zbója, któregoś na mnie nasłał, Szeryfie. Uważaj, żeby nie przyszła twoja kolej.

Widząc, że Mały John zdążył się już uzbroić, przycisnął do ust swój róg i zatrąbił głośno i przenikliwie po trzykroć.

Kiedy Szeryf Nottinghamu ujrzał, czyja to twarz kryła się pod kapturem Cudaka z Gisbourne, i dźwięk rogu zabrzmiał mu w uszach, zdawało mu się, że wybiła ostatnia jego godzina. “Robin Hood!” — ryknął wniebogłosy, błyskawicznie obrócił konia i pomknął, aż się zakurzyło. Żołnierze widząc, że ich dowódca czmycha przed śmiercią co koń wyskoczy, pomyśleli, że nie ma na co czekać, i bodąc konie ostrogami rzucili się za nim do ucieczki. Wprawdzie Szeryf Nottinghamu gnał jak wiatr, ale nie umknął przed dalekosiężną strzałą. Mały John wypuścił ją z brzękiem cięciwy i głośnym okrzykiem. I kiedy Szeryf wpadł galopem w bramy miasta Nottinghamu, poniżej jego pleców tkwiła szaropióra strzała. Wyglądał jak oskubany wróbel z jednym piórkiem w ogonie. Przez cały miesiąc biedny Szeryf na niczym nie mógł siadać tylko na puchowych poduszkach, najbardziej miękkich, jakie dało się znaleźć.

Tak to Szeryf z dwoma dziesiątkami żołnierzy uciekł przed Robin Hoodem i Małym Johnem. Tylko chmurę kurzu daleko na drodze zobaczyli Will Stutely i jego dzielni druhowie, gdy nadbiegli z lasu Robinowi na pomoc.

Zawrócili więc do kniei, gdzie odnaleźli trzech synów staruszki wdowy, którzy przypadli do Małego Johna, całując go po rękach. Ich swoboda jednak musiała się skończyć, obiecali więc, że powiadomią tylko matkę o swojej szczęśliwej ucieczce i na noc wrócą pod zielonolistny dąb, aby przystać do bandy.

Tak kończą się najdzielniejsze z przygód Robin Hooda i Małego Johna.” Z kolei usłyszymy o tym, jak mężny król Ryszard Lwie Serce odwiedził Robina w głębi puszczy.

Niecałe dwa miesiące upłynęły od owych wstrząsających przygód, które Robin Hood przeżył z Małym Johnem, kiedy w całym hrabstwie Nottinghamu zawrzało, gdyż Ryszard Lwie Serce wyruszył na objazd swojego królestwa i wszyscy się spodziewali, że po drodze zawita do Nottinghamu. Posłańcy kursowali nieustannie między Szeryfem a królem, aż ustalono wreszcie datę, kiedy jego królewska mość przybędzie w gościnę do swojego namiestnika w Nottinghamu.

Dopiero wtedy zapanował harmider nie lada; bieganina, a krzątania, a stukot młotów, a gwar w całym mieście. Nad ulicami wznoszono łuki triumfalne, pod którymi król miał przejeżdżać, przystrajano je w jedwabne sztandary i różnobarwne chorągiewki. A i w ratuszu robota wrzała, najlepsi stolarze wznosili ozdobny tron dla króla i Szeryfa w wielkiej sali, gdzie miała się odbyć wspaniała uczta na cześć monarchy i dostojników dworu.

Ludziom już się zdawało, że dzień królewskiego przyjazdu nigdy nie nadejdzie, ale nadszedł we właściwej porze.

W jasnym słońcu brukowane ulice zaroily się od tłumów. Mieszczanie i wieśniacy ściśnięci jak śledzie w beczce, tarasowali przejście, które z wielkim trudem poszerzali halabardnicy odpychając napierającą cizbę.

— Uważaj, kogo pchasz! — krzyknął ogromny, gruby mnich do halabardnika. — Będziesz mi dawał kuksańca, mospanku? Na Matkę Boską Źródlaną, jeśli nie będziesz mnie traktował z większym poważaniem, to łeb ci rozwalę, łobuzie, choćbyś miał za poplecznika samego Szeryfa.

Śmiech zahuczał wśród wysokich chłopaków w zielonych strojach, którzy stali zmieszani z tłumem, ale jeden, który widać im przewodził, szturchnął łokciem zażywnego braciszka.

— Uspokój się, Tuck — powiedział — nie obiecywałeś mi, zanim się tu znalazłeś, że będziesz trzymał język za zębami?

— A owszem — burknął tamten — ale nie myślałem, że taki gbur będzie mi deptał po odciskach, jakby to były zwykłe żołądździe w lesie.

Ale raptem cała zwada ucichła, gdyż nadleciał ulicą czysty dźwięk fanfar. Zrobił się jeszcze większy ścisk, cały tłum zafalował, ludziska wyciągali szyje. I oto ukazał się wspaniały orszak, błyszczący w słońcu, a wiwaty przebiegły tłumem jak pożar po suchej trawie.

Przodem jechało dwudziestu ośmiu heroldów w aksamitach złotem wyszywanych. Nad ich głowami powiewały śnieżnobiałe kity z piór, melodyjnie wygrywali na długich srebrnych trąbkach, z których zwisały aksamitne proporce ozdobione królewskim herbem Anglii. Za nimi podążało konno dwójkami stu szlachetnych rycerzy w pełnej zbroi, tylko z odsłoniętą głową. Dzierżyli długie kopie, na których trzepotały wielobarwne proporczyki, naj rozmaiciej wyszywane. Przy boku każdego rycerza stapał giermek, odziany w jedwab i aksamit, niosąc ozdobiony smukłymi piórami hełm swego pana. Nottingham nie oglądał wspanialszego widoku, nad tych stu szlachetnych rycerzy, których zbroje rzucały w słońcu oślepiające błyski, gdy jechali tak na ogromnych bojowych rumakach ze szczękiem oręża i podzwanianiem ozdobnych łańcuchów. Za nimi ukazali się baronowie i arystokracja środkowej Anglii, w szatach z jedwabiu złotem przetykanych, mieniły się złote łańcuchy i pasy wysadzone klejnotami. I znowu pojawił się wielki orszak zbrojnych, zamigotały włócznie i halabardy, a wśród nich dwaj konni jadący ramię w ramię. Jednym z nich był Szeryf Nottinghamu w uroczyście stroju. Drugi, wyższy od niego o głowę, miał na sobie wytworną, ale skromną szatę i ciężki łańcuch na piersi. Płowe jego włosy i broda mieniły się jak złote nitki, a w oczach jaśniał błękit wiosennego nieba. Jadąc kłaniał się na prawo i na lewo, a przejazd jego witała potężna

wrzawa; był to bowiem król Ryszard.

Raptem ktoś ryknął tak głośno, że zagłuszył zgiełk i wiwaty: “Niech cię niebo i wszyscy święci błogosławią, nasz miłościwy królu Ryszardzie! A także Matka Boska Źródłana niech cię błogosławi!” Król Ryszard spojrział w kierunku, z którego zabrzmiał ów głos, i zobaczył grubego, potężnego mnicha, który zaparł się na rozkraczonych’ nogach i odpychał tłum plecami.

— Na mą duszę, Szeryfie — powiedział śmiejąc się król — udał ci się kler w Nottinghamie, takich dryblasów w habicie jeszcze nie widziałem. Gdyby nawet niebo było głuche, myślę, że , mimo wszystko błogosławieństwa spłynęłyby na mnie, bo taki chwyt jak huknie, to i kamienny posąg świętego Piotra nadstawi ucha. Przydałaby mi się cała drużyna takich zuchów.

Szeryf nic na to nie odpowiedział, tylko zbladł śmiertelnie i wsparł się o kulbakę, żeby nie spaść z konia; poznał bowiem Braciszka Tucka, który wznosił ów okrzyk, a ponadto ujrzał w tłumie twarze Robin Hooda i Małego Johna, i Szkarłatnego Willa, i Willa Stutely, i Allana z Doliny, i wielu z bandy.

— Co się stało? — zaniepokoił się król. — Chory jesteś, Szeryfie, że tak pobladłeś?

— Nie, miłościwy panie — odparł Szeryf. — To nic, schwycił mnie tylko raptowny ból, zaraz mi przejdzie.

Powiedział tak, ponieważ wstyd mu było przyznać się przed królem, że Robin Hood kpi sobie z niego, Szeryfa, i tak mało się boi, że ośmielił się zapaść pod same wrota Nottinghamu.

Tak to wjeżdżał król do miasta Nottinghamu w owo pogodne popołudnie wczesnej jesieni; a Robin Hood i jego wesoła drużyna radowała się więcej niż wszyscy, widząc, że król ich przybywa z takim majestatem.

Nadszedł już późny wieczór, wielka uczta w ratuszu minęła i ochoczo raczono się winem. Tysiąc woskowych świec migotało wzdłuż stołu, za którym siedzieli lordowie, magnaci, rycerze i baronowie. Na tronie pod złotym baldachimem siedział król Ryszard mając przy sobie Szeryfa Nottinghamu. Król zwrócił się do niego ze śmiechem.

— Sporo się nasłuchałem o wyczynach pewnych infamistów[7] z tych stron, niejakiego Robin Hooda i jego bandy, którzy znaleźli sobie kryjówkę w sherwoodzkich borach. Nie mógłbyś mi coś o nich powiedzieć, mój Szeryfie? Fama głosi, że nieraz miałeś, z nimi do czynienia.

Na te słowa Szeryf Nottinghamu spochmurniał i zasepił się, a obecny na sali Biskup Herefordu zagryzł usta.

— Niewiele mogę powiedzieć waszej królewskiej mości — rzekł Szeryf — o wyczynach tych łobuzów, z wyjątkiem tego, że są to najbezczelniejsi przestępcy w całym kraju.

Wówczas odezwał się młody sir Henryk z Lea, wielki ulubieniec króla, pod którego rozkazami walczył w Palestynie.

— Racz posłuchać, miłościwy panie — powiedział. — Kiedy byłem w Palestynie, nieraz otrzymywałem wiadomości od mojego ojca, który najczęściej donosił mi właśnie o Robin Hoodzie. Jeśli zyczysz sobie, królu, to opowiem jedną z przygód tego infamisa.

Król przystał na to z uciechą, i rycerz opowiedział o tym, jak Robin Hood wspomógł sir Ryszarda z Lea pieniędzmi, które pożyczył od Biskupa Herefordu. Raz za razem król i obecni przy stole zanosili się śmiechem, a biedny Biskup czerwienił się z irytacji jak burak, bo cierpiał bardzo nad tym wspomnieniem. Ucieszna opowieść ubawiła Króla, co widząc inni zaczęli mnożyć historyjki o Robinie i jego wesołych kamratach.

— Na rękojeść mojego miecza — powiedział mężny król Ryszard — o takim swawolnym

awanturniku nigdy jeszcze nie słyszałem. Dalibóg, muszę wziąć tę sprawę w swoje ręce i zrobić to, czego ty nie potrafiłeś, Szeryfie, mianowicie wyrugować go z lasu z całą bandą.

Późną nocą król siedział w swoim apartamencie, który przygotowano mu na czas gościny w Nottinghamie. Towarzyszył mu młody sir Henryk z Lea i dwaj inni rycerze oraz trzech baronowie z hrabstwa Nottingham, ale królowi wciąż dokuczała myśl o Robin Hoodzie.

— Doprawdy — powiedział — dałbym sto funtów, żeby spotkać tego hultaja, Robin Hooda, i popatrzeć trochę, co on tam wyprawia w Sherwoodzie.

Na to odezwał się ze śmiechem sir Hubert z Bingham.

— Jeśli dokucza waszej królewskiej mości takie pragnienie, to nietrudno je zaspokoić. O ile masz ochotę stracić sto funtów, miłościwy panie, to podejmę się urządzić ci nie tylko spotkanie z Robinem, ale i ucztę z nim w Sherwoodzie.

— Dalibóg, sir Hubercie — powiedział król — to mi się podoba. Ale w jaki sposób urządzisz mi spotkanie z Robin Hoodem?

— A w taki — odparł sir Hubert. — Niech wasza królewska mość przywdzieje habit dominikanina i schowa w zanadrze sakiewkę z zawartością stu funtów, a i my wszyscy przeberzemy się w szaty zakonne, będzie z nas siedmiu dominikanów. Z rana wybierzemy się w podróż do miasta Mansfield, a niechybnie spotkamy Robin Hooda, który nas ugości, nim dzionek minie.

— Podoba mi się twój plan, sir Hubercie — powiedział rozweselony król. — Wypróbujemy go i przekonamy się jutro, co jest wart.

Kiedy więc Szeryf wczesnym rankiem odwiedził suwerena, aby złożyć swe uszanowanie, król powiedział mu, o czym nocą rozmawiali i na jaką wesołą przygodę zdecydowali wybrać się z samego rana. Na wieść o tym Szeryf palnął się pięścią w czoło.

— Jezus, Marial — zawołał. — Skąd ten nieszczęsny pomyśl o miłościwy królu mój i panie, ty nie wiesz, co robisz! Chcesz się z nim spotkać? Przecież ten złoczyńca nie szanuje ni króla, ni praw królewskich.

— Słyszałem, że od chwili skazania go na infamię Robin Hood nikomu nie odebrał życia, tylko temu nikkzennikowi, Cudakowi z Gisbourne, za co wszyscy uczciwi ludzie powinni być mu wdzięczni. Czyżby mnie okłamano?

— Nie, miłościwy panie, to prawda — powiedział Szeryf — Jednakowoż...

— W takim razie — przerwał mu król — czym mi może grozić spotkanie z nim, skoro nie wyrządziłem mu żadnej ‘ krzywdy? Doprawdy nie ma czego się bać. A może ty miałbyś ochotę wybrać się z nami, mój Szeryfie?

— A broń Boże! — odzęgnął się z pośpiechem Szeryf.

Ale właśnie przyniesione; siedem dominikańskich habitów, król i jego towarzysze poprzebierali się, monarcha schował w zanadrze sakiewkę, która zawierała sto złotych funtów, po czym wyszli na dwór i wsiedli na muły, które im pod drzwiami doprowadzono. Król kazał Szeryfowi zachować ich wyprawę w tajemnicy i wyruszyli w drogę. Wśród śmiechu i żartów jechali ku borom, mijając nagie połacie zżętych pól i coraz gęstsze zagajniki, aż zanurzyli się w mroczną głąb lasu. Podróżowali borem mila za milą, nie spotykając żywej duszy, aż droga zawiodła ich w pobliże Opactwa Newstead.

—i Na świętego Marcina — powiedział król — szkoda, że brak mi głowy, zapomniałem o najważniejszym. Zrobiliśmy taki kawał drogi, a nie wzięliśmy ze sobą nic do picia. Dałbym pięćdziesiąt funtów za każdy trunek, tak mi zaschło w gardle.

Ledwo król to wypowiedział, gdy z zarośli wyskoczył na drogę wysoki, płowowłosy człowiek o wesołych niebieskich oczach.

— Dalibóg, wielebny ojciec — powiedział chwytając królewskiego muła za uzdę — byłoby nie po chrześcijańsku odmówić, gdy ktoś proponuje tak korzystny interes. Posiadamy tu niedaleko miłą gospodę i za pięćdziesiąt funtów gotowi jesteśmy nie tylko przepłukać ci gardziółko, ale i uraczyć cię takimi frykasami, jakich w życiu nie kosztowałeś.

To rzekłszy gwizdnął przeraźliwie na palcach. W odpowiedzi zakotłowały się krzaki i z zarośli wypadło na drogę sześćdziesięciu barczystych chwatów odzianych na zielono.

— Co to znaczy? — powiedział król. — Ktoś ty taki, łotrze jeden? Nie masz szacunku dla duchownych?

— Ani ździebelka — odparł wesoły Robin Hood, on to był bowiem — bo też w bogatym mnichu tyle pobożności, co kot napłakał. A nazywam się Robin Hood, chyba już o mnie słyszałeś.

— Niech cię лихо weźmie — zawołał król Ryszard. — Jesteś śmiały, występny i prawa nie uszanujesz, jak mi nieraz o tobie mówiono. Proszę cię, pozwól nam odjechać spokojnie w swoją drogę.

— Nie ma mowy — powiedział Robin — niegrzecznie by to było z naszej strony puścić was w drogę na głodniaka. Nie wątpię, że masz wypchaną kabzę, by zapłacić rachunek w naszej gospodzie, skoro ofiarowujesz krocie za marny łyk wina. Pokaż mi swą sakiewkę, wielebny ojciec, żebym przypadkiem nie musiał ściągać z ciebie garderoby i sam jej poszukać.

— Nie waż się użyć przemocy — skarcił go król. — Masz tu moją sakiewkę, ale swój e-bezprawne ręce trzymaj z dala od naszej osoby.

— Cóż to za dumne słowa? — powiedział wesoły Robin. — Czyś to król Anglii, że się tak do mnie odzywasz? Hej j, Will, masz sakiewkę i zobacz, co w niej jest.

Szkarłatny Will wziął mieszek i przeliczył pieniądze. Robin polecił mu odłożyć dla nich pięćdziesiąt funtów, a resztę wsypać z powrotem. Po czym zwrócił sakiewkę królowi.

— Masz, bracie — powiedział — zabieraj tę połowę swojego złota i dziękuj świętemu Marcinowi, na którego się już zaklinałeś, żeś wpadł w ręce takich szlachetnych zbójów, jak widzisz, co choćby mogli, nie obdarli cię do naga. Ale czegoś taki zakapturzony? Nie odsłonisz się? Rad bym ujrzeć twe oblicze.

— Nie — odsunął się król — nie mogę zdjąć kaptura, bo ślubowaliśmy, każdy z nas siedmiu, że nie odsłonimy twarzy przez dwadzieścia cztery godziny.

— A to nie będę wam przeszkadzał w dotrzymaniu ślubów — powiedział Robin.

Zawołał siedmiu swoich kamratów i polecił im wziąć każdego muła za uzdę; skierowali się w głąb lasu i po jakimś czasie wyszli na polanę pod puszczańskim dębem.

Mały John na czele sześćdziesięciu ludzi też wybrał się tego ranka na czaty przy drogach, żeby sprowadzić do obozu bogatego gościa, jeśli mu szczęście dopisze, bo niejedyn podróżnik z wypchaną kiesą mógł się nawinąć przy takim święcie, jakie panowało w hrabstwie Nottingham. Ale choć Małego Johna i tylu innych nie było w obozie, Braciszek Tuck i z czterdziestu chwatów siedziało Czy wylegiwało się pod drzewem i kiedy ukazał się Robin z gośćmi, skoczyli mu na spotkanie.

— Na mą duszę — powiedział wesoły król Ryszard, gdy zsiadł z muła i rozejrzał się wokół — masz przy sobie w rzeczy samej piękny zastęp, Robinie, chłopaków na schwał. Widzi mi się, że sam król Ryszard cieszyłby się z takiej straży przybocznej.

— To jeszcze nie cała moja drużyna — powiedział z dumą Robin — bo sześćdziesięciu ludzi jest na wyprawie wraz z moim zastępcą, Małym Johnem. A co do króla Ryszarda, to powiadam ci, wielebny ojciec, każdy z nas, tak jak tu jesteśmy, przelałby za niego krew jak wodę. Wy, duchowni, nie potraficie właściwie zrozumieć naszego króla, ale my ze szlachty kochamy go wiernie za jego mężne czyny, które są tak podobne do naszych.

Ale oto wyłonił się Braciszek Tuck i narobił -szumu.

— Dzieńdoberek, braciszki — powiedział. — Jakże miło mi powitać paru konfratrów w tej jaskini zbójców. Dalibóg, myślę, że krucho by było z tą zbójczą hałastrą, gdyby nie modły świątobliwego Tucka, którzy orze jak może, żeby im się dobrze działo — i mrużąc szelmowsko oko... wetknął język w policzek.

— A cóż to za postrzelony ksiądz? — powiedział król surowym głosem, chociaż uśmiechał się pod kapturem.

Braciszek Tuck potoczył w krąg wzrokiem po swoich owieczkach.

— Słuchajcie no wy — rzekł — niech mi żaden więcej nie powie, że nie jestem cierpliwym człowiekiem. Ten łobuz w habicie wyzywa mnie od postrzelonych księży, a ja mu nie daję po łbie. Nazywam się Braciszek Tuck, chłystku... Świątobliwy Braciszek Tuck.

— Basta, Tuck — rzekł Robin — dosyć powiedziałeś. Proszę cię, przestań gadać i przynieś nam wina. Wielebni Ojcowie umierają z pragnienia, a tak sownie nam zapłacili, że trzeba ich godnie uraczyć.

Braciszka diabli brali, że nie pozwolono mu się wygadać, mimo to poszedł natychmiast spełnić polecenie Robina i niebawem pojawił się ogromny dzban, z którego nalano wina wszystkim gościom i Robin Hoodowi. Robin uniósł w górę puchar.

-r Chwileczkę! — zawołał. — Zaczekajcie na mój toast. Za sławę rycerską dobrego króla Ryszarda i na pohybel wszystkim wrogom.

Na co wszyscy wypili zdrowie królewskie, nawet i sam król.

— Widzi mi się, bratku — powiedział — że wypieś sobie samemu na pohybel.

— Nic podobnego — rzekł wesoły Robin — bo powiadam ci, że my z Sherwoodu jesteśmy bardziej wierni naszemu panu i królowi niż cały wasz kler. Za królewską pomyślność oddalibyśmy życie, a wam wszystko jedno, kto rządzi, bylebyście mogli wylegiwać się w swoich opactwach i klasztorach.

Król zaśmiał się z tego i powiedział:

— Być może pomyślność Ryszarda bardziej rni leży na sercu, niż ci się, bratku, wydaje. Ale dość z tym. Zapłaciliśmy nieźle za naszą gościnę, więc nie mógłbyś nam dostarczyć rozrywki? Nieraz słyszałem, że wy tu cudownie strzelacie z łuków. Nie popisalibyście się przed nami?

— Z wielką chęcią — powiedział Robin — nie szczędzimy naszym gościom popisów. Jak powiada bazarz Swanthold: „Tylko zatwardziałe serce nie da szpakowi w klatce smakołyków”, a wyście dla nas takie szpaki w klatce. Hej, chłopcy! Zawieście wieniec na końcu polany.

Kiedy tamci skoczyli wykonać rozkaz, Braciszek Tuck zwrócił się do jednego z przebranych za mnichów rycerzy.

— Słyszysz naszego wodza? — powiedział z łobuzerskim mrugnięciem. — Kiedy trafi mu się jakieś powiedzonko, od razu obarcza nim tego bazarza Swantholda, którego wystraszał licho wie skąd; w rezultacie biedaczyna dźwiga na plecach cały śmietnik z dowciparni naszego wodza. — Tak powiedział Braciszek Tuck, gdyż czuł się dotknięty, że mu Robin nie dał się wygadać, ale mówił cicho, aby go Robin nie słyszał.

Tymczasem cel, do którego miano strzelać, został przygotowany i zawieszony w odległości stu dwudziestu kroków. Był to wieniec spleciony z liści i kwiatów, miał dwie piędzi szerokości. Zawieszono go na sęku, na grubym pniu drzewa.

— No, piękny cel, chłopcy — powiedział Robin. — Macie po trzy strzały, ale niech tylko jedna nie trafi, to każdy partacz dostanie pięścią od Szkarłatnego Willa niezłego kuksańca.

— Słyszycie go! — zawołał Braciszek Tuck. — Ależ, wodzu, twój kuzynek pięści ma jak młot.

Szafujesz jego kuksańcami, jakby to były czule pieścizki. Gwarantuję, że sam nie spudłujesz ni razu, inaczej nie byłbyś taki skory.

Pierwszy strzelał Dawid z Doncasteru i pocelował trzykrotnie w środek wieńca.

— Brawo, Dawid! — zawołał Robin. — Udało ci się, a dostałbyś, bratku, w ucho...

Z kolei strzelał Muszka Młynarczyk, który też wpakował wszystkie strzały w obręb wieńca. Po nim wystąpił kotlarz, Wat Maczuga, ale biadaż mu! Raz spudłował, strzała utkwiała w pniu o dwa palce od wieńca.

— Chodź tu, bratku — powiedział Szkarłatny Will swoim łagodnym, miękkim głosem. — Coś ci się ode mnie należy, płacę na miejscu.

Wat podszedł i stanął przed Szkarłatnym Willem, a skrzywił się i oczy zacisnął, jakby już mu w uszach zadzwoniło od ciosu. Szkarłatny Will podwinął rękaw, okręcił się na palcach dla lepszego zamachu i z całych sił wymierzył Kotlarzowi policzek, aż klasnęło. Wat poleciał na łeb na szyję, jak pajac na jarmarku strącony pałką przez sprytnego gracza, i zwałił się na trawę. A kiedy usiadł rozcierając ucho i nieustannie mrugając powiekami, takie mu gwiazdy tańczyły w oczach, cała banda ryczała z uciechy, aż echo szło po lesie. A król Ryszard zaśmiewał się do łez. Tak strzelali jeden po drugim, temu się udawało, a tamten znów zarabiał kuksańca, od którego zawsze walił się na ziemię. Wreszcie na samym końcu Robin stanął do zawodów i zrobiło się cicho, jak makiem posiał. Pierwszą strzałą odłupał drzazgę z sęka, na którym wisiał wieniec, drugą posłał o cal od tamtej. „Na wszystkie świętości — mruknął do siebie król Ryszard. — Oddałbym tysiąc funtów, żeby mieć takiego strzelca w swojej drużynie!” I oto Robin napiął łuk po jaz trzeci, ale biadaż mu! Strzała miała zwichrowane pióra, zniosło ją na bok i wbiła się w pień o cal za obrębem wieńca.

Podniósł się niesamowity ryk, ci, co siedzieli na ziemi, zaczęli tarzać się po trawie, pękając ze śmiechu, bo nigdy nie widzieli, żeby ich wódz tak spudłował, ale Robin ze złością cisnął łuk o ziemię.

— Szlag by trafił! — krzyknął. — Piórko było zwichrowane, wyczułem to, kiedy tylko wypuściłem cięciwę z palców. Dajcie mi porządną strzałę, to podejmę się gałązkę rozszczepić na dwoje.

Słowa te dostarczyły bandzie jeszcze większej uciechy.

— Nie, kochany wuju — powiedział Szkarłatny Will swoim aksamitnym, słodkim głosem — miałeś piękną szansę i nie udało ci się, pudło to pudło. Klnę się, że strzała była nie gorsza od wszystkich innych, jakie dziś poszły do celu. Chodź tu, wujaszku, należy ci się coś ode mnie i rad bym ci zapłacić.

— Idź, idź, wodzu — ryknął Braciszek Tuck — a ja cię pobłogosławię. Szafowałeś tak rozrzutnie pieścizkami Szkarłatego Willa, szkoda by było, gdybyś ich sam nie zakosztował.

— Nie ma mowy — powiedział wesoły Robin. — Jestem tu królem, a żaden poddany nie śmie podnieść ręki na swego władcę. Ale nawet nasz wielki król Ryszard może bez wstydu ukorzyć się przed papieżem i nawet za pokutę dostać od niego klapsa. Przeto ja ukorzę się przed tym świątobliwym mnichem, po którym znać dostojęństwo, i niech on mi wymierzy karę — co rzekłszy zwrócił się do króla. — Bądź łaskaw, ojczy, zgodzisz się wziąć tę sprawę w swoje wielebne ręce?

— Z całą przyjemnością — powiedział wstając wesoły król Ryszard. — Należy ci się ode mnie za to, żeś mnie zubożył o pięćdziesiąt funtów. Chłopcy, zróbcie no dla niego miejsce na murawie.

— Jeśli zwalisz mnie z nóg — powiedział Robin — to oddam ci z dobrej woli te pięćdziesiąt funtów. Ale powiadam ci, ojczy, jeśli nie powalisz mnie na obie łopatki, to za twoje przechwałki obedrę cię do ostatniego szeląga.

— Zgoda — powiedział król — mam ochotę zaryzykować.

Podwinął rękaw pokazując takie mięśnie, że cała banda wybałuszyła oczy. Ale Robin zaparł się w szerokim rozkroku i czekał z uśmiechem na ustach. Król balansował chwilkę, wziął rozmach i wypuścił cios, który spadł na Robina jak piorun. Robin zwałił się na łeb na szyję, od takiego ciosu i mur z kamienia by runął. Jakżeż banda zarykiwała się ze śmiechu, aż ich boki bolały, bo takiego kuksańca w życiu nie oglądali. A Robin usiadł i rozglądał się dokoła, jakby przed chwilą spadł z nieba i wylądował w jakimś nie znanym sobie miejscu. Po jakimś czasie, gapiąc się wciąż na roześmianą bandę, podniósł rękę i opuszkami palców delikatnie obmacał sobie ucho.

— Szkarłatny Willu — jęknął — odlicz dla tego gagatka pięćdziesiąt funtów. Obrzydły mi jego pieniądze, tak jak i on sam. Niech go zaraza weźmie razem z jego kuksańcami! Żałuję, że tobie nie dałem się trzepnąć, bo ten mnie tak zamalował, że chyba do końca życia ogłuchnę na jedno ucho.

Wśród chichotów całej bandy Szkarłatny Will odliczył pięćdziesiąt funtów i król zagarnął je z powrotem do sakiewki.

— Dziękuję ci ślicznie, bratku — powiedział — a jeśli jeszcze kiedy zapragniesz dostać w ucho, lepiej niż dostałeś, to zgłoś się do mnie, a dogodzę ci za darmo.

Tak powiedział wesoły król, ledwie zaś skończył, jakiś gwar dobiegł na polanę i z zarośli wypadł Mały John z sześćdziesięcioma ludźmi, a wraz z nim ukazał się sir Ryszard z Lea. Biegiem spieszyli przez polanę i już z daleka sir Ryszard zawołał do Robina:

— Spiesz się, drogi przyjacielu, zbieraj swoją bandę i uchodź ze mną! Król Ryszard dziś rano wyruszył z miasta Nottinghamu i zamierza przydybać cię w puszczy. Nie wiem, z jaką siłą nadciąga, bo tylko pogłoski do mnie dotarły, ale nie wątpię, że są prawdziwe. Więc zbieraj swoich ludzi i chroń się czym prędzej do mojego zamku, bo tam możesz w ukryciu przeczekać niebezpieczeństwo. A to co za jedni?

— Wyobraź sobie — powiedział wesoły Robin wstając z murawy — to nasi szlachetni goście, których zaprosiliśmy do siebie, spotkaliśmy ich na gościńcu nie opodal Opactwa Newstead. Jak się nazywają, nie mam pojęcia, ale mam za to pojęcie o ciężkiej łapie tego krzepkiego gagatka. Dalibóg, przez tę sympatyczną znajomość straciłem słuch w jednym uchu i pięćdziesiąt funtów na dodatek!

Sir Ryszard spojrział przenikliwie na postawnego mnicha, który prostując swą potężną postać wytrzymał twarde spojrzenie rycerza. Raptem sir Ryszard zbladł potwornie, gdyż poznał, kogo ma przed sobą. Szybko zeskoczył z konia i padł mnichowi do nóg. Król widząc, że rycerz go rozpoznał, zrzucił kaptur z głowy i cała banda ujrzawszy jego twarz, i też go poznali, gdyż wszyscy co do jednego witali go w tłumie podczas jego wjazdu do Nottinghamu. Padli na kolana i mowę im odebrało. A król powiódł po nich srogim wzrokiem, aż wreszcie spojrzenie jego zatrzymało się znowu na sir Ryszardzie z Lea.

— Co to znaczy, sir Ryszardzie? — powiedział surowym tonem. — Jak śmiesz osłaniać tych ludzi przede mną? Jak śmiesz dawać im schronienie w swoim rycerskim zamku? Czy chcesz zrobić z niego kryjówkę dla najślawniejszych infamistów w Anglii?

Sir Ryszard z Lea podniósł wzrok i spojrzawszy w królewskie oblicze.

— Za nic w świecie — powiedział — nie chciałbym się narazić na gniew waszej królewskiej mości, Jednakże wolę ci się narazić, miłościwy panie, niż dopuścić, aby stała się krzywda Rabinowi i jego bandzie. Albowiem im zawdzięczam życie, honor, wszystko. Jakżebym mógł opuścić go w potrzebie?

Gdy to mówił, jeden z mnichów podszedł i uklęknął obok niego, zrzucił z głowy kaptur ukazując swą twarz. Był to młody sir Henryk z Lea, ścisnął ojca za rękę i tak odezwał się do króla:

— Klęczy przed tobą ten, który dobrze ci służył, królu Ryszardzie, i nie wahał się, jak wiesz, osłonić w Palestynie przed śmiercią. A jednak biorę stronę mojego ukochanego ojca i oświadczam,

że i ja dobr.owolnie dałbym schronienie temu szlachetnemu infarnisowi, Robin Hoodowi, choćbym miał ściągnąć na siebie twój gniew, gdyż cześć mojego ojca jest mi równie droga jak moja własna.

Król Ryszard spoglądał na klęczących rycerzy, to na jednego, to na drugiego, aż wreszcie rozchmurzył się i w kącikach jego ust zdrzął uśmiech.

— Dalibóg, sir Ryszardzie — powiedział do starego rycerza — nie brak ci odwagi, ale nie biorę za złe twojego tupetu. A i twój syn odziedziczył po swoim rodzicu odwagę nie tylko słowa, ale i czynu, bo jak powiada, osłonił mnie pewnego razu przed śmiercią, A zatem przebaczyłbym ci ze względu na niego, choćbyś o wiele więcej przewinił, niż przewiniłeś w istocie. Powstańcie, powstańcie wszyscy, nie spotka was dziś ode mnie żadna krzywda, gdyż szkoda by było mieć radość i wesele, które z nami zostaną.

Wtedy wszyscy podnieśli się z klęczek, a król skinął na Robin Hooda, by podszedł do niego.

— Jak tam twoje ucho? — zagadnął. — Ogłuchłeś naprawdę czy tylko na moje słowa?

— Prędeż śmierć mnie ogłuszy, zanim ogłuchnę na twoje słowa, miłościwy panie — odparł Robin, — A co do tego ciosu, którym wasza królewska mość mnie powalił, powiedziałbym, że choć przytrafiło mi się sporo grzeszków, to odpokutowałem wszystko za jednym zamachem.

— Tak myślisz? — powiedział król, a w jego głosie zabrzmiał surowy nieco ton. — Więc ci powiadam, że gdyby nie te trzy rzeczy, a mianowicie moje miłosierdzie, moja sympatia dla mężnego człowieka i wierność wobec mnie, jaką otwarcie wyznałeś, to coś innego niż moja pięść mogło cię powalić trupem. Nie wyrażaj się lekceważąco o swoich grzechach, dobry Robinie. Ale głowa do góry! Więcej nie grozi ci niebezpieczeństwo, gdyż niniejszym udzielam amnestii tobie i całej twojej bandzie. Tylko że doprawdy nie mogę pozwolić wam grasować po lesie, tak jak dotąd 'było. Wezmę' cię więc za słowo, boś P9wiedział, że chciałbyś mi służyć, zatem pojedziesz ze mną do Londynu. Zabierzemy do kompanii tego gagatka, Małego Johna, jak też twojego kuzyna, Szkarłatnego Willa, i twojego minstrela, Allana z Doliny. A jeśli chodzi o resztę twojej bandy, to spiszemy ich nazwiska i wciągniemy ich w rejestr królewskich leśniczych, bo chyba mądrzej zmienić wyjętych spod prawa kłusowników w szanujących prawo opiekunów naszej zwierzyny w Sherwoodzie. No, ale szykujcie ucztę. Rad bym zapoznać się z waszym, puszczańskim życiem.

Zatem Robin polecił przygotować wspaniałą biesiadę. Natychmiast rozniecono wielkie ogniska i zaczęto piec na rożnie frykasy, których smakowita woń rozchodziła się wokoło, Tymczasem król poprosił Robina o przywołanie Allana z Doliny, którego śpiewu chciałby posłuchać. Dano więc znać Allanowi," który zjawił się niebawem ze swoją harfą.

— Dalibóg — powiedział król Ryszard — jeśli twój śpiew dorównuje twej urodzie, to musi być całkiem piękny. Proszę cię, zaśpiewaj piosenkę i pozwól nam uraczyć się twoją sztuką.

Allan delikatnie przebiegł palcami po strunach, wszyscy się uciszili, a on zaśpiewał tak:

O, gdzieżeś była, moja córko,
Gdzieżeś to była — mów,
Moja córeczko?
Byłam, matusiu, tam nad rzeką,
Gdzie szarą strugą wody cieką
Pod ołowianą nieb powieką —
I ostry świszczę wiatr.

Cóżeś widziała, moja córko,
Cóżeś-widziała — mów,

Moja córeczko?
Łódkę widziałam — to ci powiem —
Gdzie szeleszczące drży sitowie,
Gdzie wody plusk jak przy połowie —
I ostry świszczę wiatr.

Kto płynął łodzią, moja córko,
Któż to nią płynął — mów,
Moja córeczko?
O, był w niej ktoś ubrany biało,
W źrenicach światło mu jaśniało
Jak ogień gwiazd pod nieb powałą —
I ostry świszczął wiatr.

Cóż ci powiedział, moja córko,
Co ci powiedział — mów,
Moja córeczko?
Nic nie powiedział, lecz bez słowa
- Trzykroć mnie w usta ucałował,
O, cóż za rozkosz niewymowna!
A wkoło świszczął wiatr.

Czemuś tak zziębła, moja córko,
Czemuś zbielała — mów,
Moja córeczko?
Nie rzekła słowa ani ćwierci,
Głowa opadła jej na piersi,
Z oczu wyjrzało widmo śmierci —
A w koło świszczął wiatr.

Wszyscy słuchali w milczeniu, a kiedy pieśń się skończyła, król Ryszard westchnął w głębi piersi.

— Na mą duszę, Allanie — powiedział — masz tak cudowny głos, że słuchając go poczułem się dziwnie wzruszony, Ale cóż to za smętna piosenka w ustach mężnego szlachcica? Wolałbym usłyszeć pieśń miłosną czy wojenną niż takie jakieś śpiewne żale.. Co więcej, nie zrozumiałem tego. Co znaczą słowa twojej ballady?

— Nie wiem, miłościwy panie — powiedział Allan potrząsając głową — nieraz śpiewam coś, czego sam wyraźnie nie pojmuję.

— Niech ci będzie — powiedział król. — Tylko jedno ci powiem, Allanie, powinieneś zmienić swój repertuar, tak jak mówiłem, niech to będą pieśni o miłości czy o wojnie. J3o doprawdy masz cudowniejszy głos niż Blondel[8], a zdawało mi się, że nie słyszałem lepszego odeń minstrela.

Ale oto zawiadomiono ich, że uczta czeka gotowa. Zatem Robin Hood powiódł króla Ryszarda i jego towarzyszy na puszystą murawę, gdzie rozpostarto lniane obrusy pięknie zastawione. Król Ryszard zasiadł, najadł się i napił do syta, a gdy się ukontentował, zaklął się szczerze, że nigdy w życiu nie wyprawiono mu tak wyśmienitej biesiady.

Przespał tę noc w Sherwoodzie na posłaniu z wonnych zielonych liści, a wczesnym rankiem wyruszył z borów do miasta Nottinghamu, zabierając ze sobą Robin Hooda wraz z całą jego bandą. Możecie sobie wyobrazić, cóż to była za sensacja w zacyjnym grodzie, kiedy wszyscy ci sławni awanturnicy przemaszzerowali ulicami. A Szeryf nie wiedział, co rzecz i gdzie ma oczy podziać, kiedy ujrzał Robin Hooda w takich łaskach ii króla; z bezsilnej złości gorycz mu serce zaląła. Następnego dnia król opuszczał miasto Nottingham. Zatem Robin Hood i Mały John, i Szkarłatny Will, i Allan z Doliny uścisnęli ręce swoim druhom z bandy, ucałowali każdego w oba policzki, zaklinając się, że często będą przyjeżdżać do Sherwoodu i do nich w odwiedziny. A potem dosiedli koni i odjechali w orszaku królewskim.

Tak kończą się Wesołe Przygody Robin Hooda, albowiem nieprędko spełniła się jego obietnica i wiele lat upłynęło, zanim znowu ujrzał Sherwood.

Mały John przebywał rok czy dwa na dworze królewskim i powrócił do hrabstwa Nottingham, gdzie wiódł stateczne życie, choć zamieszkał w pobliżu Sherwoodu, i gdzie zdobył sobie wielką sławę jako mistrz Anglii w walce na pałki. Szkarłatny Will po jakimś czasie wrócił do rodzinnego domu, skąd niegdyś musiał uciekać, gdy nieszczęsnym trafem zabił rządcę. Reszta bandy bez zarzutu spełniała obowiązki królewskich leśniczych. Tylko Robin Hood i Allan z Doliny nieprędko powrócili do Sherwoodu z takich oto względów:

Robin dzięki swej wielkiej sławie strzeleckiej stał się ulubieńcem króla i rychło awansował na dowódcę wszystkich królewskich łuczników. A król widząc jego wierność i oddanie mianował go Lordem Huntingdonu; Robin więc wyruszał z królem na wyprawy wojenne i spadło na niego tyle zajęć, że nie miał okazji wybrać się do Sherwoodu nawet na jeden dzień. Allan z Doliny wraz ze swoją żoną, cudną Heleną, towarzyszył wiernie Robin Hoodowi, dzieląc z nim dole i niedole jego życia.

Zatem wszystko ma swój koniec, ale nie taki pomyślny, jaki przypadł w udziale Robin Hoodowi i jego mężnej bandzie ze sławnych borów Sherwoodu.

Epilog, który opowiada o tym, jak Robin Hood powrócił do Sherwoodu i jak wysłano sir Williama Dale, aby Robina pojmał; będzie również mowa o tym, jak Robin Hood zginął przez zdradziecki podstęp swojej kuzynki, przeorczy klasztoru w Kirklees

A teraz, drogi przyjacielu, ty, który przeżywałeś ze mną wesołe te awantury, nie będę cię namawiał, abys mi dalej towarzyszył, tylko pożegnaj cię mówiąc “bądź zdrow”, jeśli tak sobie życzysz;-albowiem to, co dalej nastąpi, mówić będzie o ruinie i świadczyć o tym, że minionych uciech i radości nie da się wskrzesić. Nie będę się nad tym rozwodził, tylko na j zwięźlej opowiem, jak ów mężny człowiek, Robin Hood, zginął tak, jak żył, nie na dworze królewskim jako Lord Huntingdonu, tylko z łukiem w ręku jako prawy leśny strzelec, który umiłował swą zieloną knieję.

Król Ryszard padł w bitwie, ginąc tak, jak na króla o lwim sereu przystało, o czym sami niechybnie wiecie. Więc po jakimś czasie Lord Huntingdonu albo — mówmy po staremu — Robin Hood, nie mając co robić za granicą, powrócił do wesołej Anglii. Allan z Doliny i jego żona, cudna Helena, porzucili obce strony wraz z nim, ponieważ oni oboje od chwili opuszczenia Sherwoodu trosz. czy li się o wszystkie potrzeby Robina.

Kiedy dopłynęli do brzegów Anglii, była wiosna. Drzewa się zieleńiły i ptaszęta śpiewały radośnie, tak jak niegdyś w pięknym Sherwoodzie, gdy Robin z beztroskim sercem przemierzał lekką stopą wspaniałe bory. Tyle było wokół uroku i wesela, że nawiedziło Robina wspomnienie puszczańskiego życia i ogarnęła go ogromna tęsknota, aby ujrzeć znowu leśną krainę. Więc udał się niezwłocznie do króla Jana z prośbą o pozwolenie na krótki wyjazd do Nottinghamu. Król wyraził swoją zgodę pod warunkiem, że Robin nie zatrzyma się w Sherwoodzie dłużej niż trzy dni. Zatem nie zwlekając ni chwili Robin Hood i Allan z Doliny wyruszyli do hrabstwa Nottingham i sherwoodzkich borów. Na nocleg zatrzymali się w mieście Nottinghamie, jednakże nie poszli złożyć Szeryfowi swego uszanowania, gdyż jego wysokość zachował w sercu wiele gorzkich uraz do Robin Hooda, które wcale nie zmniejszyły się przez to, że Robin osiągnął znaczenie w świecie. Następnego dnia o wczesnej porze dosiedli koni i pojechali ku borom, Gdy podążali drogą, Robinowi zdawało się, że zna tu każdy patyk i każdy kamień. Oto ścieżka, którą nieraz chadzał z Małym Johnem w łagodne wieczory, oto.druga, teraz prawie zarośnięta głógiem, którą spieszył niegdyś wraz z gromadką towarzyszy, gdy wybrali się na poszukiwanie pewnego Kusego Braciszka.

— Spójrz, Allanie! — zawołał Robin. — Widzisz bliznę na tamtym buku? To ślad po twojej strzale, która odłupała kawałek kory, celowałeś wtedy do dorodnego rogowca i chybiłeś paskudnie. To było tego samego dnia, kiedy złapała nas burza i musieliśmy zatrzymać się na noc w chacie starego kmiecia, pamiętasz? Tego, co miał hoże córę.

Jechali tak powolutku, wspominając dawne dzieje, które wracały z całą świeżością;- nigdy nie myśleli, że w tych starych stronach odnajdą tyle nowych wrażeń; Aż ukazała się ich oczom zielona polana i dąb rozłożysty, miejsce, w którym przeżyli tak wiele lat. W milczeniu stanęli obaj pod sędziwym dębem. Robin rozglądał się wokół, było tu swojsko i tak niezwykle zarazem, bo tam, gdzie niegdyś rozbrzmiewał gwar wesołego obozowiska, panowała teraz cisza odludnego pustkowia. I “gdy tak patrzył — las, murawa i niebo zamgliły mu się w oczach od słonych łez, których nie mógł powstrzymać, taki bowiem żal ścisnął go za serce.

Z rana przewiesił przez ramię swój stary róg myśliwski i wraz z dojmującym żalem ogarnęła go wielka tęsknota, aby raz jeszcze zagrać na rogu. Podniósł go do ust i zagrał. “Tirila, lirila” pomknęły czyste dźwięki rogu po leśnych ścieżkach, wracając echem z dalekich ostępów: „Tirila, lirila, tirila, lirila”, aż zamilkły rozplywając «ię w przestrzeni.

Los chciał, że akurat tego ranka Mały John miał do załatwienia jakąś sprawę i wypadła mu

droga przez las. Szedł pogrążony w myślach, kiedy doleciały go z bardzo daleka czyste tony myśliwskiego, rogu. Jak jeleni, gdy poczuje strzałę w sercu, tak poderwał się Mały John na ów odległy dźwięk. Jakby wszystka krew uderzyła mu płomieniem na policzki, gdy schylił głowę i nasłuchiwał. Znowu nadleciał cichutki, czysty dźwięk rogu i jeszcze raz powtórzył się w oddali. Wtedy Mały John wydał dziki okrzyk tęsknoty, radości i żalu. Z pochylonym czołem rzucił się przez zarośla. Przedzierał się, łamiąc i tratując wszystko, jak dzik przez chaszczę. Nie dbał o ciernie i kolce, które drapany do krwi i szarpały odzienie, gdyż gnała go tylko jedna myśl, aby najkrótszą drogą dostać się na zieloną polanę, skąd nadleciał głos rogu. Wypadł wreszcie z zarośli, cały w igliwiu i listkach, które sypały się na niego, i nie zwlekając ni chwili rzucił się naprzód i runął Robinowi do stóp. Objął swego wodza za kolana i całym jego ciałem wstrząsnęło łkanie; ani Robin, ani Allan z Doliny nie mogli dobyć słowa, tylko stali spoglądając na Małego Johna, a łzy im spływały po twarzach.

Gdy tak stali, siedmiu królewskich leśniczych -wypadło na polanę i podniosło wielki okrzyk radości na widok Robina, a przewodził im Will Stutely. Niebawem zjawiono się jeszcze czterech, zdyszanych i zasapanych, a wśród nich Will Kędzierzawy i Muszka Młynarczyk; oni też usłyszeli granie rogu Robina. Z wielkim płaczem całowali ręce i szaty swego wodza.

Wreszcie Robin rozejrzał się zamglonymi od łez oczami i powiedział wzruszonym głosem:

— Przysięgam, że nigdy już nie porzucę ukochanych lasów. Dostyc mam rozłąki z wami i z borem. Zrzekam się imienia Roberta, Lorda Huntingdonu, i przyjmuję z powrotem ów szlachetniejszy tytuł wodza leśnej drużyny, Robin Hooda.

Rozległ się wielki okrzyk i dawni towarzysze ściskali się z radości.

Wieść o tym, że „Robin Hood na stałe powrócił do Sherwoodu, obiegła okolice lotem błyskawicy, więc nawet tydzień nie minął, kiedy zgromadziła się przy nim prawie cała dawna kompania. Tylko król Jan, gdy się o tym wszystkim dowiedział, zaklął z gniewu i poprzysiągł, że nie spocznie, dopóki Robin Hood nie znajdzie się w jego mocy, żywy czy umarły. Akurat przebywał na dworze królewskim pewien rycerz, sir William Dale, sławny i dzielny wojak, Świetnie znał sherwoodzkie bory, gdyż miał w swojej pieczy tę ich połąć, która rozpościerała się w pobliżu zacnego miasta Mansfield. Temu zatem rycerzowi król wydał rozkaz schwytania Robin Hooda, powierzył mu żołnierzy i swój sygnet dla okazania go Szeryfowi, aby ten wezwał pod broń swoich ludzi i dopomógł w obławie. Sir William i Szeryf wyruszyli, aby spełnić powierzone im zadanie i pojmać Robin Hooda. Przez siedem dni przetrząsali puszcę nie natrafiając na żaden jego ślad.

Gdyby Robin pozostał tak łagodny jak dawniej, wszystko mogłoby spełznąć na niczym, podobnie jak poprzednie wyprawy, ale całe lata walk pod rozkazami króla Ryszarda odmieniły jego naturę. Nie mógł ścierpieć, że ucieka przed pogonią i czmycha jak lis przed sforą, gdyż boleśnie raniło to jego dumę. Tak więc doszło do tego, że Robin Hood ze swoją bandą stawił czoło żołnierzom pod wodzą sir Williama i Szeryfa i krwawa walka wywiązała się w lesie. Pierwszy w tym boju padł Szeryf Nottinghamu; zanim dziesięć strzał przeszło powietrze, zwałił się z konia trafiony w skroń. Wielu lepszych od niego pocałowało ziemię tego dnia, aż wreszcie sir William Dale, sam ranny, wycofał się pokonany z resztką swojego wojska i umknął z lasów. Zostawił jednak za sobą dziesiątki poległych, nad którymi szumiała puszcza.

Robin Hood, chociaż pokonał wrogów w uczciwym boju, gnębił się tym okropnie i martwił tak długo, aż schwyciła go gorączka. Trzymała go przez trzy dni i choć walczył z nią, wreszcie go zmogła. Rankiem czwartego dnia przywołał Małego Johna i powiedział mii, że nie może pozbyć się gorączki i dlatego wybierze się do swojej kuzynki, przeoryszy klasztoru nie opodal Kirklees w hrabstwie York, która świetnie umie leczyć, aby dać sobie puścić krew dla poprawy zdrowia.

Poprosił Małego Johna, aby na wszelki wypadek towarzyszył mu w tej podróży. Pożegnali się więc z całą bandą i do czasu ich powrotu Robin Hood zlecił dowództwo Willowi Stutely. Posuwali się w wolnym tempie, robiąc długie popasy, nim dotarli do klasztoru w Kirklees.

Swojej kuzynce Robin wyświadczył niegdyś wielkie przysługi; gdyby nie względy, jakimi się cieszył u króla Ryszarda, nie zostałyby przeoryszą. Ale niczego się tak łatwo nie zapomina jak długu wdzięczności; kiedy więc przeorysza usłyszała, że Robin porzucił zaszczyty i tytuł Lorda Huntingdonu i wrócił do Sherwoodu, zirytowała się okropnie i strach ją ogarnął, że pokrewieństwo z Róbinem ściągnie i na nią gniew królewski. Dlatego to, kiedy Roojn przybył do niej z prośbą o pomoc lekarską, zaczęła knuć przeciwko niemu spisek mniemając, że przez wyrządzenie mu krzywdy zaskarbi sobie względy jego wrogów. Ale nie dała niczego poznać po sobie i powitała Robina z pozorną uprzejmością. Zaprowadziła go krętymi kamiennymi schodkami do komnaty mieszczącej się tuż pod dachem wysokiej, okrągłej wieży.

Małego Johna nie wpuściła jednak do środka, biedak poszedł więc precz od wrót klasztoru { zostawił swego wodza na łasce przeoryszy. Ale nie oddalił się, tylko znalazł niewielką polankę, skąd mógł mieć na oku cały klasztor, i położył się tam jak ogromny wierny pies przepędzony od drzwi, za którymi przebywał jego pan.

Kiedy mniszki umieściły Robin Hooda w komnacie pod dachem, wieży, przeorysza odesłała je wszystkie na dół, a sama kawałkiem sznura przywiązała mocno ramię Robina, jak gdyby zabierała się do puszczenia mu krwi. I tak też uczyniła, ale zamiast otworzyć jedną z żył siniejących pod samą skórą, zapuściła ostrze głębiej i otworzyła tętnicę, którą jasna, pulsująca krew płynie prosto z serca. Robin nie poznał się na tym, gdyż krew sączyła się dość wolno, nie budząc w nim żadnego podejrzenia.

Po dokonaniu tego nikczemnego postępku przeorysza odeszła, zostawiając Robina samego, i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Przez cały ten długi dzień krew z Robina uciekała i nie mógł jej zatamować, choć starał się na wszelkie sposoby. Raz za razem wołał O pomoc, ale nikt się nie zjawiał, gdyż kuzynka zdradziła go, a Mały John znajdował się za daleko, by usłyszeć jego głos. Wtedy Robin podniósł się, słaniając się i wspierając rękami o ścianę, sięgnął wreszcie po swój róg. Zatrąbił po trzykroć, ale słabo i wątle, gdyż dostał zadyszki wskutek choroby i utraty sił. A jednak Mały John dosłyszał go na polanie i z sercem ściśniętym trwogą pomknął wielkimi susami w stronę klasztoru. Załomotał do wrót i krzyknął głośno, aby go wpuszczono; mniszki jednak czuły się bezpiecznie za masywnymi dębowymi wrotami i kazały mu iść precz, wrota bowiem były zamknięte na sztaby i nabijane ćwiekami.

Wówczas Mały John z rozpaczy i lęku o życie swego wodza wpadł w furję. Rozejrzał się dziko i wzrok jego padł na ciężki kamienny moździerz, taki, którego w dzisiejszych czasach w trzech chłopów by nie udźwignął, Podskoczył, zgiął się w pałąk, moździerz siedział mocno w ziemi, ale Mały John targnął go i dźwignął. Słaniając się pod ciężarem doniósł go i cisnął z łomotem w drzwi.

Impet wyważył wrota i przerażone mniszki na widok Małego Johna rzuciły się z piskiem do ucieczki. Mały John wszedł, nie powiedział ni słowa; tylko pomknął na górę krętymi schodami, aż dopadł drzwi komnaty, w której znajdował się jego wódz. Okazało «tę, że i te drzwi są zaryglowane, ale Mały John zaparł się o nie barkiem i wysadził je z zawiasów.

Pod szarą ścianą ujrzał Robina — pobladły i wycieńczony ledwo trzymał się na nogach, głowa słaniała mu się z osłabienia. Z dzikim okrzykiem rozpaczy Mały John skoczył i chwycił go w ramiona. Wziął go na ręce jak dziecko, zaniósł do łóżka i położył delikatnie.

Wtedy z pośpiechem wpadła przeorysza, gdyż przeraziła się swego postępku i bała się zemsty Małego Johna i całej bandy; sprytnie zatamowała krew bandażami i krwotok ustał. Mały John ponuro

przyglądał się temu z boku, a kiedy zrobiła swoje, surowym tonem kazał jej iść precz; posłuchała go, blada i rozdygotana. Kiedy wyniosła się za drzwi, Mały John zaczął dodawać Robinowi otuchy, śmiejąc się głośno i powiadając, że to dziecinne obawy, że żaden chłop na schwał jeszcze nie umarł, jak mu tam trochę krwi pociekło.

— Wystarczy ci tydzień — powiedział — a będziesz hulał po lasach, zdrów jak tur.

Ale Robin na łożu potrząsnął głową i uśmiechnął się słabo.

— Mój ty kochany Mały Johnie — szepnął — niech cię Pan Bóg błogosławi za twoje dobre, męskie serce. Ale nigdy już nie będziemy razem hulać po lasach, mój przyjacielu.

— Właśnie że będziemy! — zawołał głośno Mały John. — Właśnie że tak... Do licha, nikt ci więcej krzywdy nie zrobi, kto śmie mówić, że jeszcze coś gorszego cię spotka? A ja od czego tu jestem? Niech tylko zobaczę, że ktoś ośmieli cię tknąć... — zachłysnął się słowami i urwał niespodzianie. W końcu powiedział głębokim, ochrypłym głosem: — Niech ci się tylko stanie najmniejsza szkoda wskutek tego, co dziś zaszło, to klnę się na świętego Jerzego, że czerwony kur zapieje na dachu tego klasztoru, który spłonie ze szczętem w gorących płomieniach. A te babska... — zgrzytnął zębami — już ja się z nimi rozprawię, marny ich los!

Ale Robin Hood wziął jego szorstką, ogorzałą dłoń w swoje wycieńczone ręce i strofował go łagodnie, cichym i słabym głosem zapytując, odkąd to Mały John zamierza krzywdzić niewiasty, nawet w zemście. Tak do niego przemawiał, aż wreszcie tamten obiecał zdławionym głosem, że nie będzie się mścić, choćby nie wiadomo co się stało. Potem zapadła cisza i Mały John siedział trzymając Robina za rękę i spoglądając przez otwarte okno; raz po raz coś ścisnęło go za gardło, przęłykał łzy. Tymczasem słońce powoli chyliło się na zachodzie, aż całe niebo rozgorzało wspaniałą zorzą. Wtedy Robin Hood urywanym szeptem poprosił, aby go podnieść, bo chce raz jeszcze spojrzeć na lasy; Mały John wziął go w ramiona i oparł jego głowę na swojej piersi. Robin patrzył długo, ogarniając zieloną krainę tęsknym spojrzeniem, a Mały John siedział ze zwieszoną głową, gorące łzy toczyły mu się z oczu i kapały na kaftan, czuł bowiem, że bliska jest chwila rozstania. A wtedy Robin Hood poprosił, żeby założyć cięciwę na jego krzepki łuk i wybrać smukłą i dobrą strzałę z kołczana. Mały John zrobił to nie przeszkadzając choremu i nie wstając z miejsca. Palce Robina pieśczośliwie ujęły łuk i gdy poczuł go w ręku, słaby uśmiech pojawił się na jego twarzy. Założył strzałę na wysłużoną cięciwę, tak dobrze znaną koniuszkom jego palców.

— Mały Johnie — powiedział — Mały Johnie, ulubiony mój przyjacielu, którego kocham nade wszystko w świecie, proszę cię, bacz, gdzie ta strzała doleci, i tam wykopcie mi mogiłę. Połóżcie mnie twarzą do wschodu, Mały Johnie, dbajcie o to, aby w miejscu mojego spoczynku było dużo zieleni i aby nie ruszano moich stę ranych kości.

Gdy to powiedział, podniósł się niespodzianie i usiadł wyprostowany. Jak gdyby wróciła mu jego dawna siła, napiął łuk przyciągając cięciwę do ucha i wypuścił strzałę przez otwarte okno. A kiedy mknęła przez niebo, ręka jego opadła powoli i spoczęła wraz z łukiem na kolanach, a ciało jego osunęło się w ramiona wiernego druha, ale coś uciekło z tego ciała jak strzała z łuku skrzydlatym lotem.

Mały John długo siedział bez ruchu, trzymając go w ramionach, aż złożył go delikatnie na pościeli, skrzyżował mu ręce na piersi i zakrył mu twarz. Odwrócił się na pięcie i w milczeniu wyszedł z komnaty.

Na stromych schodach napotkał przeoryszę i kilka starszych sióstr. Odezwał się do nich głuchym, drżącym głosem:

— Jeśli nie będziecie trzymać się z daleka od tej komnaty, to zwałę wam na łby całą tę rudere, kamień na kamieniu nie zostanie. Dobrze to sobie zapamiętajcie, bo ja nie żartuję.

To rzekłszy zostawił je i poszedł. Niebawem ujrzały go, jak biegł pędem przez równinę w zapadającym zmierzchu, aż pochłonał go las.

Czarne niebo ledwie szarzało na wschodzie, gdy Mały John z sześcioma towarzyszami nadszedł szybkim marszem do klasztoru. Nie zobaczyli nikogo, gdyż zakonnice poukrywały się gdzieś po kątach, przestraszone niedawną groźbą. Wbiegli po kamiennych schodach na górę i niebawem wielki płacz doleciał stamtąd, Po jakimś czasie uspokoiło się, a potem szurały nogi na krętych i stromych schodach, którymi znosili ciężar.. Kiedy wychodząc pojawili się we wrotach klasztoru, na tonącej w mrokach przedświtu polanie podniósł się wielki, głośny lament, jak gdyby liczni ludzie, ukryci w pomroce, zajęczeli z rozpaczy.

Tak umarł Robin Hood w klasztorze Kirklees, w pięknym hrabstwie Yorku, z przebaczeniem w sercu dla swoich krzywdzicieli, Albowiem przez całe życie okazywał miłosierdzie błądzącym i współczucie słabym.

Drużyna jego rozpierzchła się, ale nikt ich już odtąd nie prześladował, gdyż nastały rządy nowego i łagodniejszego szeryfa, więc wiedli spokojny żywot i wielu z nich dożywając sędziwego wieku przekazało te opowieści swoim dzieciom i wnukom.

Ktoś powiada, że na kamieniu w Kirklees znajduje się stary napis. Wyrzyto go w dawnej angielskiej mowie, a brzmi on tak:

TU POD TYM GŁAZEM POŁOŻONY
SPOCZAŁ LORD ROBERT Z HUNTINGDONU.
ARCYMISTRZ W ŁUKU, KRZEPKI W UDACH —
LUD DAŁ MU IMIĘ ROBIN HOODA.
TAK DZIELNYCH JAKO ON RĘBACZY
ANGLIA JUŻ NIGDY NIE ZOBACZY.

A teraz, drogi przyjacielu, my też musimy się rozstać, gdyż przyszedł kres naszych wesołych wędrówek i tutaj, u grobu Robin Hooda, rozchodzimy się każdy w swoją stronę.

[1] Po podboju Anglii w 1066 roku zwycięzcy Normanowie stali się przedmiotem nienawiści podbitej ludności anglosaskiej.

[2] Średniowieczny śpiewak ballad miłosnych i poematów bohaterskich.

[3] Co było do okazania (łac.)

[4] Ojciec nasz i Zroś Maria (łac.).

[5] W niebie znajdziesz spokój (łac.).

[6]

W żargonie złodziejskim: "...chłopu ukradł pieniądze z kieski, gdy spał".

[7] Ludzie skazani na infamię, czyli utratę czci i praw obywatelskich.

[8] Minstrel Ryszarda Lwie Serce. Król, wracając z trzeciej wyprawy krzyżowej w 1190 roku, został uwięziony przez Leopolda II austriackiego w zamku Diirnstein i tam odnaleziony przez wiernego minstrela.